

Mroczna Pani

MIKE RESNICK



MROCZNA
PANI

Mroczna Pani

MIKE RESNICK

MROCZNA PANI

Romantyczna opowieść z odległej przyszłości

Przełożyła: EWA WOJTCZAK



**Dom Wydawniczy REBIS
Poznań 1994**

Mroczna Pani

Tytuł oryginału TheDarkLady

Copyright © 1987 by Mike Resnick

Copyright © for the Polish translation by REBIS Publishing Mouse Ltd., 1994

Redakcja: Robert Olbromski

Wydanie I

ISBN 83-7120-149-4

Łamanie komputerowe perfekt s. c., Poznań, ul. Grodziska 11

*Dla Carol jak zawsze
oraz dla Toma Doherty i Beth Meacham,
którzy dotrzykali wszystkich obietnic.*

PROLOG

Kiedy na Ziemi pojawił się pierwszy człowiek, jej pamięć wypełniała już niezmiernie otchłań wieków.

Stała na szczycie Ceineterly Ridge podczas ataku generała Picketta i obserwowała pochód sześciuset jeźdźców ku Dolinie Śmierci. Znajdowała się w Pompejach, kiedy wylał Wezuwiusz, i w syberyjskiej tajdze, gdy spadł meteoryt.

Polowała na słońce z Selousem i na bizona z Codym. Była przy upadku Troi i nad Little Bighorn. Patrzyła jak Manolete i Dominguez walczyli z rozjuszonymi bykami na zalanych krwią arenach Madrytu.

Towarzyszyła Człowiekowi, gdy wyruszył między gwiazdy. Widziała bitwę o Spicę i oblężenie Syriusza V; siedziała też w rogu ringu Jjinmy'ego McSwaina w tę fatalną noc, kiedy walczył z Łamaczem Czaszek Murchisonem. Wyprawiała się w kosmos z Aniołem, obserwowała jak Billybuck Dancer umierał pod czerwonym słońcem jakiegoś odległego świata i stała obok Santiago w chwili, gdy zastrzelił go Johnny Jeden Znak.

Nie ma imienia. Nie posiada też przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości. Zawsze ubiera się na czarno i chociaż spotkała ją wielu, tylko nieliczni wiedzieli, kim jest naprawdę. Ujrzysz ją — jeśli w ogóle będzie ci to przeznaczone — chwilę po tym, jak po raz ostatni zaczerpniesz powietrza. Zanim zdążysz je wypuścić, pojawi się przed tobą — milcząca, o smutnych oczach — i skinie na ciebie ręką.

To będzie właśnie ona, Mroczna Pani. A oto jej historia.

CZEŚĆ 1

Człowiek, który miał to wszystko

Od czego by tu zacząć?

Z pewnością nie będzie to epos, chociaż akcja rozciąga się na kilka tysiącleci i toczy się w różnych systemach gwiazdnych. Nie będzie to również powiastka miłosna, mimo że wielu bohaterów tej historii doprowadziła do zguby romantyczna namiętność. Właściwie trudno to nazwać nawet prawdziwą opowieścią o wielkiej przygodzie, chociaż oczywiście, gdyby nie wielka przygoda, w ogóle nie byłoby o czym opowiadać.

Z założenia miała to być kronika faktów i jako taka powinna była zostać przekazana w języku oficjalnym. Gdybym jednak wybrał ten dialekt, musiałbym zrelacjonować wam chronologicznie całe moje życie począwszy od dnia narodzin, a wówczas mielibyście znikomą szansę ocenić w sposób właściwy mój udział w tych zdarzeniach. A ja jestem, prawdę mówiąc, kimś więcej niż tylko ich obserwatorem: tak bardzo stałem się ich częścią, że — niestety — okryłem hańbą swoje imię, swój Dom i swoją rasę.

Dlatego zdecydowałem się przemówić do was w języku nieoficjalnym i zgodnie z jego zasadami zacznę moją opowieść w najpóźniejszym z możliwych momencie, a więc w chwili, w której stałem się częścią tej niezwykłej historii.

Początek tego wszystkiego miał miejsce pewnego dnia w przeszłości w Galerii Odyseusz. Z wielkim trudem wspiąłem się właśnie po jej szerokich tytanowych schodach i sapiąc z wysiłku w ciężkim, wilgotnym powietrzu zbliżyłem się do drzwi ogromnego narożnego budynku. Przed wejściem stało dwóch strażników. Obaj ubrani byli w matowopurpurowe mundury, a na nogawkach ich spodni lśniły jaskrawe, czerwone lampasy. Uznałem za właściwe odezwać się do nich w stylu gości honorowych.

— Witaj, mój dobry człowieku — zacząłem oficjalnie. — Proszę mi wskazać miejsce, gdzie odbędzie się następna aukcja.

— Niech skonam! Popatrz! — zaśmiał się wyższy ze strażników. — To coś nie tylko nosi buty, ale również gada!

Natychmiast dotarło do mnie, że zapewne użyłem niewłaściwej formy, więc szybko zmieniłem ją na styl prośby.

— Wybacz mi, dobry panie — powiedziałem. Kolor mojej skóry zbladł, a ja pochyliłem głowę w geście pokory. — Tysiąc-krotne przeprosiny za to, że cię obraziłem. Z uniżeniem błagam cię, abyś dopomógł mi dotrzeć do mojego celu.

— No, to już chyba lekka przesada — chrząknął nerwowo strażnik. Uspokoilem się trochę, uświadomiwszy sobie, że wybaczył mi moje nietaktowne słowa. — Obejrzyjmy jego papiery.

Podąłem mu paszport, zaproszenie, kartę wstępu i czekałem w milczeniu, aż on i jego towarzysz sprawdzą moje dokumenty.

Nagle strażnik podniósł oczy i popatrzył na mnie badawczo.

— Leonardo? — spytał z powątpiewaniem.

— Tak, dobry panie.

— Skąd takie coś jak ty ma ludzkie imię?

Wskazałem na paszport.

— Zechce pan zauważyć, dobry panie, że Leonardo nie jest moim prawdziwym imieniem. Jestem członkiem Domu Crsthionn.

Spojrzał na miejsce, które mu pokazałem; dwa razy próbował odczytać moje bjornneńskie imię, ale w końcu zrezygnował.

— W takim razie, co tu robisz z zaproszeniem dla jakiegoś Leonardo?

— Leonardo to imię, jakim nazywają mnie tutaj, na Odległym Londynie, który jest moim miejscem zatrudnienia, dobry panie.

— Chcesz mi wmówić, że tu pracujesz?

— Owszem — odparłem, przypominając sobie, że na potwierdzenie trzeba skinąć głową. — Aktualnie jestem związany z Galerią Claiborne.

— Mówisz poważnie? — mruknął niedowierzająco.

— Jak najbardziej, dobry panie. — Skłoniłem się i zgarbiłem ramiona w niemal doskonałej pozie oznaczającej nieagresję. — Czy mogę już przejść?

Potrząsnął głową.

— Na mojej liście nie ma nic na temat żadnego obcego o imieniu Leonardo.

Mógłbym zwrócić mu uwagę, że na Odległym Londynie rasa ludzka jest tak samo obca jak Bjornni, ale takie stwierdzenie nic byłoby zgodne ze stylem prośby, a już raz go przecież obraziłem, więc... Zamiast tego zgarbiłem się jeszcze bardziej.

— Moje papiery są w porządku — zauważyłem. Oczy utkwiliem w szarym tytanie podłogi. — Bardzo proszę, dobry panie. Jeśli nie pozwoli mi pan wykonywać mojej pracy, Dom Crsthionn zostanie zhańbiony.

— Najpierw musimy ustalić, co to za praca — powiedział. — Wewnątrz wystawiono dzieła o łącznej wartości dwustu milionów kredytów. Moim zadaniem jest upewnić się, że nie masz zamiaru ich ukraść.

— Albo na przykład zjeść — dodał jego towarzysz z drwiącym uśmiechem.

— Bardzo was proszę, dobrzy panowie — nalegałem — zechciejcie przywołać Hectora Rayburna albo Tai Chong, a oni poświadczą moją tożsamość i potwierdzą, że mam prawo wejść do środka.

— Jest tam ktoś o nazwisku Rayburn albo Chong? — spytał strażnik swego towarzysza.

— Skąd mogę wiedzieć — odparł tamten. — Zaraz sprawdzę.

— Okay. Zrób to. — Strażnik obrócił się z powrotem do

mnie. — Wszystko będzie dobrze, Leo.

— Czy pan mówi do mnie, dobry panie? — spytałem.

— A widzisz tu kogoś innego?

— Zapomniał pan mojego imienia, dobry panie — zauważyłem łagodnie. — Brzmi ono Leonardo.

— Najmocniej przepraszam — stwierdził, naśladowując mój ton głosu i nisko się kłaniając — Leonardo. — Nagle wyprostował się. — Może obejrzałbyś sobie wschodnią stronę budynku, a my w tym czasie sprawdzimy wszystko jak należy. Jeśli ktoś z nich poręczy za ciebie, natychmiast cię zawiadomię.

— Bardzo pragnę dołączyć do moich współpracowników, dobry panie — jęknąłem. — Czy nie mógłbym poczekać tutaj?

Potrząsnął głową.

— Stoisz w przejściu.

Spojrzałem za siebie. Nie było nikogo.

— Potencjalnie przeszkadzasz — wyjaśnił, kiedy obróciłem się z powrotem do niego i popatrzyłem pytająco.

Uznałem, że chyba znowu go czymś obraziłem, przestałem więc używać stylu prośby.

— Długo to potrwa? — rzuciłem.

— Co się stało z „dobry panie”? — mruknął, ignorując moje pytanie.

— To była najwyraźniej nieodpowiednia forma zwracania się do ciebie — odparłem. — Próbuję sprawdzić, który styl nie będzie dla ciebie obraźliwy.

— A co byś powiedział na milczenie? — zasugerował.

— Nie znam stylu milczenia — odrzekłem szczerze. — Mógłbyś odpowiedzieć na moje pytanie?

— Jakie pytanie?

— Jak długo będę musiał czekać?

— Skąd, do cholery, mogę wiedzieć? — wybuchnął złością. — Wszystko zależy od tego, ilu Rayburnów i Chongów siedzi tam w środku. — Urwał. — Słuchaj — dodał po chwili — ja tylko wykonuję swoje obowiązki. A teraz idź i pooglądaj sobie wschodnią stronę jak grzeczny chłopczyk, dziewczynka czy czym tam jesteś. Damy ci znać, kiedy wszystko się wyjaśni.

Obróciłem się i zszedłem po schodach. Ciągle nie mogłem się przyzwyczaić do chodzenia w butach, a ruchomy chodnik poruszał się tak szybko, że nie byłem pewny, czy zdołam utrzymać równowagę. Ruszyłem więc pieszo ulicą wzdłuż wschodniej ściany budynku, która stanowiła gładką taflę symetrycznie połączonych płyt z tytanu i szkła. Wokół mnie nie było żywej duszy. Zwolniłem kroku, aby obejrzeć ceramiczną mozaikę wklejoną w metalową ścianę na wysokości ludzkich oczu. W końcu doszedłem do prostych, nic oznakowanych drzwi, które prowadziły do galerii. Pokonałem dziesięć stopni i spróbowałem je otworzyć. Były zamknięte.

Stałem przy drzwiach i czekałem. Tak jak zawsze kiedy jestem sam, nagle poczułem się nagi i w jakiś sposób niekompletny. Próbowałem odsunąć od siebie wspomnienie ciepła i bezpieczeństwa, jakie daje Rodzina, ale jak na złość moje myśli wciąż do tego wracały. Byłem przecież jedynym przedstawicielem swojej rasy w całkowicie obcym świecie.

Minęło długie pięć minut, potem jeszcze dziesięć, i z każdą upływającą sekundą uświadamiałem sobie, jak wielki wstyd przynoszę mojej Matce Wzorcowej i mojemu Domowi. W porównaniu z tym odczuciem, rozczarowanie jakie przeżyłbym, gdybym nie mógł zobaczyć rzeźb legendarnego Mority wydało mi się nic nie znaczącą błahostką.

Obok mnie przeszły dwie ludzkie kobiety, otwarcie wpatrując

się we mnie. Kilka metrów dalej jedna z nich szepnęła coś do drugiej, po czym obie zaczęły się głośno śmiać.

Wreszcie w progu stanęła długo oczekiwana Tai Chong i natychmiast pospieszyła w moim kierunku.

— Leonardo — odezwała się — tak mi przykro za to nieporozumienie!

— Jak dobrze, że tu jesteś, wielka pani — odpowiedziałem w stylu przyjaźni, którym zawsze posługiwałem się w jej obecności.

— Długo czekałeś? — spytała.

— Jakieś dwadzieścia minut — odparłem, chowając za siebie ręce, aby nie mogła ich zobaczyć, póki kolor mojej skóry nie wróci do normalnego stanu.

— To jest niedopuszczalne! — krzyknęła ze złością. — Już ja pokażę tym strażnikom!

— To była moja wina, wielka pani — oświadczyłem. — Obraziłem ich, gdyż zwróciłem się do nich w niewłaściwej formie.

— Bzdura! Przez całą noc odsyłają do tych drzwi wszystkich obcych.

Przyszła mi do głowy myśl, że galeria powinna zatrudnić strażników mniej wrażliwych i łatwiej wybaczących, ale nic nie powiedziałem. Tai Chong chwyciła moją dłoń, aby wprowadzić mnie do środka.

— Twój kolor się zmienił — zauważyła, kiedy niechętnie wyciągnąłem palce.

— Tu na zewnątrz jest ciepło, wielka pani — skłamałem. Skoro sama nic rozpoznała odcienia zmartwienia, po co miałem ją denerwować?

— Nie wiedziałam, że jesteś taki wrażliwy na wahania temperatury — powiedziała ze współczuciem. — Może chciałbyś, żebym zabrała cię z powrotem do hotelu?

— Proszę pozwolić mi zostać! — rzuciłem szybko, próbując, zapanować nad przerażeniem w głosie.

— No cóż, jeśli sam tego chcesz, to chodźmy — stwierdziła, wpatrując się we mnie, a mój kolor stał się jeszcze jaśniejszy. — Po prostu martwię się o ciebie.

— Dziękuję za troskę, wielka pani, ale muszę kontynuować naukę i przynosić zaszczyt mojemu Domowi. — Zamilkłem. — A poza tym — dodałem z poczuciem winy, ponieważ wyrażałem osobiste pragnienie — od lat czekałem na okazję, by zobaczyć rzeźby Mority.

— Niech ci będzie — odparła wzruszając ramionami. — Ale i tak zamierzam złożyć skargę na strażników.

— To była wyłącznie moja wina, wielka pani.

— Bardzo w to wątpię. A tak przy okazji — dodała, kiedy weszliśmy do budynku — myślałam, że zaczniesz mi wreszcie mówić po imieniu.

— Postaram się o tym pamiętać, wielka pani.

— Wiesz co, jakoś nie zauważyłam, żebyś miał problemy z wymówieniem imienia pana Rayburna.

— On nie jest wielką panią — wyjaśniłem.

Zaśmiała się sucho.

— Któregoś dnia, Leonardo, będę musiała złożyć wizytę w twoim świecie, żeby poznać wszystkie te wielkie panie i całkiem niewielkich panów.

Znaleźliśmy się w głównej galerii — ogromnej, owalnej sali o brudnobiałych ceramicznych ścianach i kopule zbudowanej z kwadratów brązowego szkła słonecznego. Kiedy poczułem ciepło i bliskość tłumu, natychmiast całkowicie zniknęło moje złe samopoczucie. We wnętrzu było może ze czterysta wykwintnie i ze smakiem ubranych istot. Znaczną większość stanowili ludzie.

Wśród przedstawicieli pozostałych ras rozróżniłem Lodinitów, trzech Ramorian, dwóch Molluteiów, trzy upierzone istoty z gwiazdozbioru Quinellus, a w kącie dostrzegłem samotnie stojącego, dumnego Canphorytę z szarymi, muskularnymi, giętkimi ramionami złożonymi na wąskiej klatce piersiowej. Połyskujące, kryształowe medale oznaczały, że uczestniczył w dwóch powstaniach przeciw Oligarchii.

Tai Chong trzymała mnie ciągle za rękę i prowadziła przez salę, przedstawiając swoim przyjaciołom i współpracownikom (zwracałem się do nich w stylu dyplomacji dworskiej; charakterystyczna dla niego niejednoznaczność zdawała się ich śmieszyć). Po chwili podszedł Hector Rayburn i przywitał się z nami. Wyglądał bardzo wytwornie w lśniącem metalicznie wieczorowym ubraniu.

— Widzę, że go znalazłaś, madame Chong — odezwał się.

— Te dranic na zewnątrz utworzyły specjalne wejście „Tylko dla obcych” — powiedziała. Jej gniew powrócił.

— To było tylko drobne nieporozumienie, przyjacielu Hektorze — wtrąciłem.

— To było karygodne pogwałcenie zasad dobrego wychowania — odparła Tai Chong.

— Cóż, chyba nikt z przybyłych nie doznał jednak żadnej straszliwej przykrości — zauważył Rayburn spokojnie. Zignorował piorunujące spojrzenie Tai Chong. — Leonardo, czy mógłbyś poświęcić mi trochę czasu?

— Oczywiście, przyjacielu Hektorze. — Obróciłem się do Tai Chong. — Nie masz nic przeciwko temu, wielka pani?

— Kolekcja z gwiazdozbioru Albion? — spytała Rayburna.

— Tak — odrzekł.

Uśmiechnęła się do mnie.

— No cóż, po to tu przecież jesteś. Spotkamy się ponownie,

kiedy skończycie.

Wyszliśmy z galerii i Rayburn poprowadził mnie wąskim, wyłożonym posadzką korytarzem.

— Będzie to cholernie przeżywać przez następne parę dni — zauważył.

— Przepraszam, ale nie rozumiem, przyjacielu Hektorze.

— Madame Chong — wyjaśnił. — Ona i jej przekłete zasady! Obaj wiemy, że ci strażnicy to tylko para głupich gburów, którzy nie mieli zamiaru wyrządzić ci krzywdy. Ale jej nigdy o tym nie przekonasz. — Westchnął. — Szkoda, że tak samo energicznie nie stajesz w obronie swoich ludzkich pracowników. — Nagle wydał się jakiś nieswój. — Oczywiście, nie miałem zamiaru cię urazić.

— Wiem o tym — odpowiedziałem ostrożnie.

— Tai sądzi, że uda jej się zmienić naturę ludzką z dnia na dzień, a to jest po prostu niemożliwe — kontynuował. — Któręgoś dnia zacznie bronić jakiegoś niewłaściwego obcego, na przykład pieprzonego psychopatycznego mordercę, i znajdzie się w prawdziwych opałach.

Zanim zdołałem wymyślić odpowiednią ripostę, weszliśmy do małej prostokątnej galerii. Znajdowało się tam prawie pięćdziesiąt obrazów i hologramów: akty, portrety, krajobrazy, widoczki mórz i przestrzeni kosmicznej, martwe natury, a nawet jakieś dzieła sztuki abstrakcyjnej stworzone przy pomocy komputera z modułem percepcyjnym Durhama/Liebermanna.

Rayburn dał mi trochę czasu na obejrzenie kolekcji, a potem powiedział:

— Mam klienta, który chciałby zainwestować co nieco w parę kawałków z gwiazdozbioru Cluster. A ponieważ zajmujesz się ekspertyzą, pomyślałem, że najpierw zasięgnę twojej porady.

— Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się pomóc, przyjacielu Hec-

torze — odpowiedziałem. — Ile pieniędzy jest ona w stanie wydać?

— Nie ona, ale on — poprawił mnie. — Ma do wydania ćwierć miliona kredytów. Znalazłem parę podobnych dzieł w moim katalogu, ale chciałbym skorzystać również z twojej wiedzy. Zresztą, orzeczenia autentyczności nigdy nie były moją mocną stroną. — Zamilkł zakłopotany. — Przede wszystkim chciałbym, abyś ocenił tamto dzieło Primrose'a. — Nagle jego pewność siebie zaczęła wracać. — Oczywiście, to ja podejmę ostateczną decyzję i wezmę za nią pełną odpowiedzialność, potrzebuję tylko twojej opinii jako eksperta.

— Jeśli mam ci naprawdę pomóc, przyjacielu Hectorze, muszę z całym szacunkiem poprosić cię o pozwolenie, bym dokładniej mógł się przyjrzeć kolekcji.

Rayburn uspokoił się.

— To rozumiacie. W takim razie opuszczę cię na kilka minut. — Skierował się do wyjścia. — Chcę skosztować trochę tego denbiańskiego wina, zanim wszystko wypiją. — Zamilkł, kiedy dostrzegł, że moja skóra ciemnieje. — Nic masz chyba nic przeciwko temu, co? Przecież i tak na nic ci się tu nic przydam.

— Nie, nic, przyjacielu Hectorze — skłamałem. — Idź, proszę.

— Cieszę się. Wiedziałem, że wszystko, co madame Chong paplała o Bjornnach, że niby nic znoszą zostawać sami, to tylko jej wymysły. — Wyszedł na korytarz, a potem z powrotem wsunął głowę przez drzwi. — Nie zapomnisz sprawdzić Primrose'a, prawda?

— Nie zapomnę, przyjacielu Hectorze — zapewniłem go.

— Wspaniale. Wróć za moment.

Odszedł, a ja usiłowałem skoncentrować się na kolekcji, i stopniowo dręczące mnie poczucie nagości ustępowało, przede

wszystkim dzięki temu, że całkowicie poświęciłem się postawionemu przede mną zadaniu.

Prawie wszystkie dwuwymiarowe obrazy miały od sześciuset do tysiąca lat, chociaż jeden (wcale nie najwyższych lotów) pochodził prawdopodobnie sprzed prawie trzech tysięcy lat. Większość hologramów, zwłaszcza tych wykonanych techniką static/stace (unieruchomienie w kadrze wzorów elektrostatycznych), liczyło sobie nic więcej niż wiek, ale był również i taki, który zdawał się pochodzić sprzed prawie pięciu tysięcy lat, a więc z czasów, kiedy rasa ludzka dopiero zaczynała podbijać Galaktykę.

Poza tymi dwoma starymi dziełami, cała reszta niezaprzeczalnie została stworzona ludzkimi rękoma, chociaż podejrzewałem, że autorem jednego z dwóch najstarszych eksponatów prawdopodobnie także jest człowiek. Z całej kolekcji tylko dwóch artystów było naprawdę wielkiego formatu — Jablonski, żyjący jakiś tysiąc lat temu na Kabalka V i Primrose, który zdobył pewien rozgłos na Bariosie IV, zanim jego prace straciły renomę u krytyków. Pozostałe dzieła w dość schematyczny sposób reprezentowały znane i łatwe do zidentyfikowania szkoły plastyczne gwiazdozbioru Albion.

Zbadałem dzieło Primrose'a, które już na pierwszy rzut oka oceniłem jako pomniejszą pracę tego niemodnego artysty. Bez specjalnego kłopotu udało mi się określić, że płótno pochodzi z Bariosa IV i że podpis nie jest sfałszowany, po czym przeszedłem do pozostałej części ekspozycji.

Moją uwagę przykuło szczególnie jedno malowidło. Był to portret kobiety i mimo że brakowało mu techniki Jabłońskiego, natychmiast wzbudził moje żywe zainteresowanie. Rysy modelki wyrzeźbiono z pietyzmem, a z kolorystyki płótna emanowała

jakaś niezwykła atmosfera samotności i głębokiej tęsknoty za czymś nieosiągalnym. W tytule nie było niczego, co wskazywałoby na tożsamość kobiety — ściśle rzecz biorąc, obraz nazywał się po prostu Portret — ale bez wątpienia musiała być kimś bardzo ważnym, ponieważ widziałem jej podobiznę już dwukrotnie: na hologramie z Bindera X oraz na obrazie z Patagonii IV.

Podszedłem do obrazu Jablonskiego i dwóch z bardziej egzotycznych hologramów wykonanych techniką static/stace i spróbowałem się na nich skoncentrować, ale jakiś nieokreślony przymus cały czas ciągnął mnie z powrotem do tamtego portretu, więc w końcu mu uległem. Zacząłem studiować pociągnięcia pędzla i subtelne niuanse światłocienia zarysowane na twarzy modelki.

Nazwisko artysty brzmiało Kilcullen. Nic mi to nie mówiło. Dokonałem pobieżnej analizy struktury płótna, chemicznego składu farby i stylu niemal kaligraficznie wykonanego podpisu w górnym lewym rogu, i oceniłem wiek obrazu na pięćset czterdzieści dwa lata, a jako jego miejsce pochodzenia ustaliłem jedną z ludzkich kolonii w systemie Bortai.

Nagle poczułem gwałtowny przyływ fali ciepła i z ulgą uzmysłowiłem sobie, że już nie jestem sam w pomieszczeniu.

— Witaj ponownie, przyjacielu Hectorze — powiedziałem, obracając się do niego.

— No i co? — zapytał, sącząc wino z wytwornego kryształowego pucharu. — Czy Primrose jest autentyczny?

— Tak, przyjacielu Hectorze — odrzekłem. — Ale to dzieło nie należy do jego najlepszych. Powinno kosztować jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy kredytów ze względu na sławę artysty, ale moim zdaniem w najbliższych latach jego wartość raczej nie wzrośnie znacząco.

— Jesteś pewien?

— Tak.

Westchnął.

— Szkoda. Mam wrażenie, że Jablonski będzie zbyt drogi.

— Też mi się tak zdaje, przyjacielu Hectorze. Jest wart przynajmniej pół miliona kredytów, a całkiem możliwe, że nawet sześćset tysięcy.

— Cóż, w takim razie... — Raybum zamyślił się na chwilę. — Masz jakieś propozycje?

— Mnie osobiście bardzo się podoba to malowidło — powiedziałem, wskazując na portret.

Podszedł i przez chwilę mu się przyglądał.

— No, nie wiem — odezwał się w końcu. — Z daleka chyba faktycznie może się podobać, ale jeśli mu się dokładniej przyrzuć, dochodzi się do wniosku, że Kilcullen to jednak nie Jablonski. — Wpatrywał się w płótno jeszcze przez chwilę, a potem zwrócił się do mnie: — Jak sądzisz, ile może kosztować?

— Może z pięćdziesiąt tysięcy kredytów — odparłem. — Najwyżej sześćdziesiąt, jeśli w rejonie Bortai cenią Kilcullena.

Popatrzył na obraz jeszcze raz i zmarszczył brwi.

— Nie jestem przekonany... — Zadumał się. — To duże ryzyko kupować obraz praktycznie całkowicie nieznanego artysty. Mam wątpliwości, czy można to w ogóle nazwać inwestycją. Płótno może i jest warte tylko pięćdziesiąt tysięcy, ale to wcale nic znaczy, że jego cena wzrośnie szybciej niż stopa inflacji. — Przerwał. — Chyba się jeszcze zastanowię. — Ponownie popatrzył na obraz. — Ale masz rację, jest naprawdę frapujące, daję słowo.

W tej samej chwili do sali weszła Tai Chong.

— Byłam pewna, że tu was znajdę — oznajmiła. — Aukcja zacznie się za niecałe pięć minut.

— Właśnie wychodziliśmy, madame Chong — stwierdził Rayburn. Ruszyłem za nim.

— Znalazłeś coś interesującego? — spytała mnie Tai Chong.

— Jeden drobiazg, wielka pani.

— Portret kobiety w czerni? — spytała.

— Tak, wielka pani.

Skinęła głową.

— Też ją zauważyłam. — Uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo i zmieniła temat. — Jesteś gotów na spotkanie z rzeźbami Mority?

— O tak, wielka pani! — krzyknąłem z entuzjazmem. — Przez całe życie marzyłem, żeby zobaczyć na własne oczy rzeźby Mority!

— No to chodźmy — powiedziała, biorąc mnie za rękę. — Prawdopodobnie nigdy już nie będzie jednocześnie trzech z nich na jednej planecie. — Odwróciła się do Rayburna. — Wrócimy za parę minut.

— Poczekał na was tutaj — oświadczył ze spokojem. — I tak nie interesują nas dzieła, które zostaną wystawione na początku aukcji.

Tai Chong poprowadziła mnie do małej bocznej salki. Bez powodzenia próbowałem zapanować nad swoim kolorem, który co chwilę dziko się zmieniał. Byłem zbyt podniecony. Przez moment poczułem nawet prawie fizyczny ból, ponieważ ciągle jeszcze czułem się zażenowany, gdy musiałem ujawniać wszystkim moje osobiste, prywatne zainteresowanie.

— Czy mogę zobaczyć wasze karty wstępu? — Drogę zastąpił nam atletycznie zbudowany, ubrany w purpurę strażnik.

— Byłam tutaj niecałe pięć minut temu — zauważyła Tai Chong.

— Wiem, madame Chong, ale takie mam rozkazy.

Westchnęła i wyjęła kartę identyfikacyjną.

- W porządku. Może pani przejść.
- Dziękuję — odparła. — Chodź, Leonardo.
- On nie — oznajmił strażnik. — A może to ona?
- On jest ze mną — obruszyła się Tai Chong.
- Przykro mi — stwierdził stanowczo strażnik.
- Leonardo, pokaż panu zaproszenie.

Strażnik potrząsnął głową.

— Możesz sobie oszczędzić fatygi — zwrócił się do mnie. — Tylko dyrektorzy galerii mogą tu wejść.

— Jestem liczącym się członkiem Domu Crsthionn — zauważyłem.

— Czy to jakaś galeria obcych? — spytał.

— Tak. — Taka odpowiedź wydawała mi się znacznie prostsza niż tłumaczenie mu, czym są Domy Bjornnów.

— Przykro mi. Wejść mogą jedynie dyrektorzy ludzkich galerii.

Byłem oszołomiony. Zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć, a kolor mojej skóry przybrał barwę oddającą całkowite upokorzenie. Aż do tej chwili nie uświadamiałem sobie w pełni, jak bardzo cieszyła mnie myśl, że zobaczę rzeźby Mority. Wyglądało jednak na to, że Matka Wszechrzeczy skarciła mnie za moje zuchwalstwo — próbowałem przecież wynieść osobiste pragnienia ponad zainteresowania Domu. Kiedy do mojego umysłu dotarł fakt, że to jest kara, cały gniew natychmiast mnie opuścił. Spokorniałem i postanowiłem milczeć. Kara była sprawiedliwa.

Jednak podczas gdy ja pogodziłem się już z sytuacją, Tai Chong wyglądała jakby miała za chwilę eksplodować z wściekłości.

— Co się tu dzieje? — wrzasnęła. — Leonardo przybył na Odległy Londyn w ramach wymiany i jest związany z Galerią Clairborne. Jego papiery są w porządku, a poza tym osobiście za niego ręczę.

— Madame Chong, jesteśmy w stanie wojny z ponad pięćdziesięcioma obcymi rasami w Galaktyce — tłumaczył strażnik.

— Ale nic z Bjornnami! — odpaliła.

— Proszę zrozumieć, wypełniam tylko swoje obowiązki. Jeżeli chce pani złożyć skargę, proszę zgłosić się do dyrektora.

— Możesz być pewny, że to zrobię! — rzuciła. — Takie traktowanie honorowych gości jest wprost niewybaczalne!

— Bardzo panią proszę — jęknąłem, ciągnąc ją delikatnie za rękaw z błyszczącego materiału i próbując ukryć moje upokorzenie. — Nie chcę być powodem żadnego zamieszania. Obejrzę rzeźby Mority innym razem.

— O północy wszystkie będą już na różnych statkach kosmicznych, które skierują się Bóg raczy wiedzieć dokąd — odpowiedziała. — Druga taka okazja nigdy się nie nadarzy.

— Więc obejrzę je podczas licytacji.

— Są zbyt ciężkie i duże, aby je wnieść do sali aukcyjnej — wyjaśniła. — Właśnie dlatego wystawiane są tutaj. — Obróciła się do strażnika. — Pytam cię po raz ostatni: wpuścisz mojego współpracownika na wystawę czy nie?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę. Takie mam polecenie.

Zdawało mi się, że cierpliwość Tai Chong jest na krawędzi wybuchu, więc pomimo przepelniającej mnie goryczy, łagodnie dotknąłem jej ręki.

— Bardzo proszę, wielka pani — szepnąłem. — Jest wiele innych rzeźb i obrazów, które mogę obejrzeć.

— Do diabła, Leonardo, czy to cię w ogóle nie denerwuje? — spytała z wyraźną irytacją.

— Nauczono mnie, że kiedy odwiedzam świąty ludzi, muszę podporządkowywać się ich prawom — odparłem ostrożnie.

— To nie jest prawo! — wycedziła zimno, wpatrując się z jawną niechęcią w strażnika. — To jest polityka i zamierzam przeciwko temu zaprotestować!

— Może pani to zrobić w każdej chwili — powiedział strażnik z całkowitą bez troską kogoś, kto wie, że nie ponosi żadnej odpowiedzialności za swoje zachowanie.

Spojrzała na niego prawie z nienawiścią, a potem gwałtownie weszła do głównej sali aukcyjnej, ciągnąc mnie za rękę, jak gdybym był małym ludzkim dzieckiem. Mimo wszystkich przykrości i rozczarowań poczułem się dziwnie rozluźniony. W końcu udało mi się przecież uniknąć otwartej awantury, a doświadczenie mówiło mi, że w gruncie rzeczy prywatne chęci i dążenia jednostki nic są wcale ważne.

Wówczas dopiero zaczynałem poznawać ludzką społeczność i po raz pierwszy próbowałem zaspokoić własne, zupełnie błahie pragnienia. Jak się później okazało, nie miał to być ostatni raz.

2

Aukcja właśnie się zaczynała, kiedy ponownie dołączyliśmy do Rayburna. Właśnie zajęty był ożywioną rozmową ze starszą kobietą o pofarbowanych na zielono włosach, które stanowiły kolorystyczne dopełnienie dla noszonych przez nią szmaragdów. Zdążyłem się już niemal całkowicie uspokoić po przejściach ze strażnikiem, ale z Tai Chong wściekłość wciąż jeszcze nie opadła.

— Szanowni państwo — odezwał się prowadzący aukcję — witam w Galerii Odyseusz na kolejnej, trzeciej już z organizowanych cyklicznie co pół roku aukcji. Dziś wieczorem łaskawej uwadze państwa polecimy sto czterdzieści trzy dzieła. Większość pochodzi ze światów gwiazdozbioru Albion i gwiazdozbioru Quinellus. Jak państwo zapewne wiecie, najcenniejszymi okazami spośród dziś proponowanych są trzy prace genialnego Felixa Mority, które podarował nam rząd Argentyny III. Pragnę powiadomić państwa, że pieniądze uzyskane ze sprzedaży rzeźb Mority zostaną przeznaczone na walkę ze zmutowanym wirusem, który dokonał ogromnego spustoszenia w systemie Argentyna i że Galeria Odyseusz przekaże jedną trzecią wszystkich prowizji zarobionych tego wieczora na Fundusz Pomocy Argentynie III.

— Dzięki Moricie i tak zarobią dziesięć razy więcej niż zwykle — wyszeptał Rayburn z chytrym uśmieszkiem. — To część handlowej strategii.

Prowadzący aukcję wyczekał, aż umilknie uprzejmy aplauz.

— A teraz otworzymy ten wieczór czymś naprawdę wyjątkowym — dziełem z samej Ziemi!

Wniesiono starą chromową rzeźbę. Wykonana została w Ugandzie w 2908 roku po Chrystusie (czyli dwa lata przed początkiem ery galaktycznej), jakimś sposobem sto lat później znalazła się na Spicy II i tam dodała ją do swojej kolekcji Andra Barros, słynna aktorka ery późnej republiki. Pomimo tak fascynującej historii, nawet dla laika było jasne, że rzeźba pozbawiona jest jakiegokolwiek wartości artystycznej. Wobec braku zainteresowania zgromadzonych licytator natychmiast zaczął przedstawiać kolejne ciekawostki na jej temat, bez powodzenia próbując podbić cenę ponad wywoławcze tysiąc kredytów.

Tai Chong przez długą chwilę z napięciem obserwowała licytację, a potem obróciła się do mnie.

— Zostań z Hectorem — powiedziała tonem, który nie zwiastował nic dobrego. — Wrócę niebawem.

— Mam nadzieję, że nic zamierzasz składać protestu w moim imieniu, wielka pani?

— Właśnie to mam zamiar zaraz zrobić.

— Wolałbym, żeby pani tego nie robiła.

— A niby dlaczego? Nie można dłużej tolerować politycznych matactw muzeum!

— Wielka pani, świadomość że jestem kimś obcym w waszej społeczności i tak jest dla mnie wystarczająco trudnym przeżyciem — oświadczyłem. — Po co mam dodatkowo ściągać na siebie uwagę skargą, iż źle traktujecie inne rasy?

— Przecież nie należysz do żadnej z ras, z którymi jesteśmy w stanie wojny — spierała się. — Należysz do... — Nagle umilkła.

— Należę do tych łagodnych? — zasugerowałem.

— Do jednej z ras, z którymi zawsze mieliśmy pokojowe i harmonijne kontakty — odparła z zakłopotaniem.

— W tej galaktyce jest ponad dwa tysiące gatunków inteligentnych istot, wielka pani — zauważyłem. — Nie można oczekiwać od każdego ludzkiego strażnika, żeby rozpoznawał je wszystkie, a ponieważ Oligarchia jest w stanie wojny...

— Oligarchia zawsze jest z kimś w stanie wojny — przerwała gwałtownie.

— Biorąc pod uwagę te uwarunkowania, niewątpliwie ich polityka jest rozsądna.

— Ale przecież właśnie przez nią zostałeś upokorzony!

— Jednostka się nie liczy — odparłem ze spokojem.

— A właśnie, że tylko jednostka się liczy! — powiedziała sta-

nowczo podniesionym głosem i mimowolnie jeszcze raz uświadomiłem sobie, jak bardzo poglądy Tai Chong są mi obce.

Nasza głośna rozmowa przyciągnęła zaciekawione spojrzenia. Tai Chong przypomniała sobie, że staję się niespokojny, znajdując się w centrum powszechnej uwagi, i obniżyła głos.

— Przykro mi, Leonardo, ale naprawdę muszę złożyć ten protest — szepnęła. — Kiedy obrażają jednego ze współpracowników Claiborne'a, to tak, jakby obrażali samego Claiborne'a. Moim obowiązkiem jest stawać w obronie podwładnych, nawet jeśli oni sami się temu sprzeciwiają.

Doszedłem do wniosku, że dalsza kłótnia jest bezcelowa, więc umilkłem, a Tai Chong odeszła, żeby poszukać dyrektora Galerii Odyseusz. Starłem się skoncentrować na licytacji i próbowałem nie myśleć o konsekwencjach posunięć mojej szefowej.

W chwilę później na aukcji pojawiło się dzieło Jablonskiego i kiedy tylko usłyszałem, iż cenę wywoławczą ustalono na dwieście tysięcy kredytów, wiedziałem już, że trafnie przewidziałem jego ostateczną cenę. Przy czterystu pięćdziesięciu tysiącach kredytów do licytacji włączył się prywatny kolekcjoner z sektora Antares i w końcu kupił obraz za pięćset siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Twoja prognoza sprawdziła się prawie co do kredytu — pochwalił mnie Raybum. — Znakomicie znasz swój fach, Leonardo.

— Dziękuję, przyjacielu Hectorze — odrzekłem, promieniejąc z dumy, chociaż nadal czułem się zakłopotany skargą Tai Chong.

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

— Naprawdę sądzisz, że moglibyśmy dostać ten portret za pięćdziesiąt tysięcy?

Moja skóra gwałtownie i niespodziewanie pociemniała.

— Tak, jeśli Kilcullen nie zdobył sławy na Bortai albo na sąsiednich planetach. Ale nawet jeżeli cieszy się tam dużą renomą, obraz i tak nie będzie kosztował więcej jak sześćdziesiąt tysięcy kredytów.

Następny był Primrose i chociaż dzieło pochodziło z jego okresu czarodziejskiego, poszło za niewielką sumę stu dziewięćdziesięciu tysięcy kredytów, co — muszę przyznać — trochę mnie rozczarowało. Ta niska cena potwierdziła już od pewnego czasu zauważalny spadek reputacji malarza.

Tai Chong wróciła z emanującym na kilometr samozadowoleniem na twarzy i bez większego zainteresowania przyglądała się licytacom trzech następnych dzieł, które osiągnęły dość przeciętne ceny.

Po długim oczekiwaniu wystawiono wreszcie na licytację pierwsze z dzieł Mority.

— Przestrzenna niewielkość podium uniemożliwia wystawienie płaskorzeźby w tej sali — powiedział licytator — ale ufam, że wszyscy państwo mieli już okazję ją zobaczyć. To szczególne dzieło Mority opisano w państwa katalogach pod numerem siódmym. Jest to wyjątkowej piękności mozaika z krzemieni i słonecznych kryształów zatytułowana Świt. Zaczynamy licytację od pół miliona kredytów.

W niecałą minutę cena rzeźby Mority podskoczyła do trzech milionów, przy czterech przyłączył się Canphoryta, ale w końcu dzieło kupiło jedno z wielkich muzeów Delurosa VIII za sześć i pół miliona kredytów. Tai Chong zapewniła mnie, iż rzeźby Mority nieraz już sprzedawano za wyższe sumy, licytator jednak oznajmił, że jest to absolutny rekord na Odległym Londynie, choć jednocześnie wyraził nadzieję, iż zostanie on pobity przed upływem czterdziestu minut — podczas licytacji następnej rzeźby

tego samego artysty.

Tai Chong złożyła ofertę na mały hologram, ale przelicytował ją Canphoryta, a potem nabyła wyborną martwą naturę z Terra za ne.

Kilka minut później Rayburn klepnął mnie w ramię.

— Następny jest twój portret — powiedział. — Spróbuję go zdobyć. — Po czym dodał: — Pięćdziesiąt tysięcy kawałków, nieprawdaż?

— Taka jest moja ocena, przyjacielu Hectorze — odparłem.

— Następny punkt — oznajmił licytator, kiedy wniesiono na podest malowidło — to portret bez tytułu Christophera Kilcullen. Artysta ów, zanim został malarzem, zdobył sławę jako bohater marynarki wojennej. Brał udział w powstaniu Jhaghon w 4306 roku ery galaktycznej, w którym pokonaliśmy przeważające siły wroga. — Urwał, studiując notatki. — Po przejściu na emeryturę komandor Kilcullen całkowicie poświęcił się sztuce i chociaż nie należał do szczególnie płodnych malarzy, jego prace zdobią teraz ściany muzeów na Spicy II i Lodinie XI, a także na jego rodzinnej planecie Bortai. Dzieło, które państwo widzicie, podarował nam pełnomocnik Heinricha Vollmeira, gubernatora Mirzam X, a jego cena minimalna ustalona została na dwadzieścia tysięcy kredytów.

— Nie znam tego terminu, przyjacielu Hectorze — wyszeptałem.

— Jakiego? Cena minimalna? To znaczy, że właściciel, a w tym przypadku pełnomocnik właściciela, wyznaczył za ten obraz sumę dwudziestu tysięcy kredytów i zgodził się odkupić go, jeśli nikt nie zaoferuje wyższej stawki, za tę właśnie kwotę.

— A galeria bierze od tego prowizję?

— Otóż to, i założę się, że Argentyna III nie zobaczy nawet kredytu z tych transakcji, które nie przekroczą cen minimalnych.

Przez prawie minutę trwała cisza, a potem Rayburn skinął głową jednemu z asystentów licytatora.

— Otrzymałem ofertę dwudziestu tysięcy kredytów z Galerii Claiborne — oświadczył licytator. — Kto da dwadzieścia pięć? — Rozejrzył się po sali. — Dwadzieścia tysięcy po raz drugi. — Odczekał następne pół minuty. — Ostatni raz pytam, czy ktoś da dwadzieścia pięć?

Nagle uśmiechnął się do kogoś po drugiej stronie sali.

— Jest dwadzieścia pięć tysięcy od pana Malcolma Abercrombiego — oznajmił. — Kto da więcej?

Rayburn skinął głową.

— Jest trzydzieści. Kto powiedział trzydzieści pięć?

Spojrzałem na przeciwną stronę sali i ujrzałem dżentelmena o białych włosach, grubych, krzaczastych brwiach i twarzy pokrytej głębokimi zmarszczkami, który przez chwilę trzymał w górze cztery chude palce, a potem pokazał pięść. Plamy wątrobowe na jego ręce były bardziej widoczne niż platynowy sygnet na palcu.

— Kto to jest, wielka pani? — spytałem Tai Chong.

— To Malcolm Abercrombie — szepnęła w odpowiedzi.

— Z którą galerią jest związany? — zapytałem. — Jego nazwisko nie jest mi znane.

— To prywatny kolekcjoner — odrzekła. — Nie wiem o nim zbyt wiele, poza tym, że mieszka tutaj, na Odległym Londynie i, jak mówią, żyje na odludziu i jest trochę dziwakiem.

— Pan Abercrombie zaoferował czterdzieści tysięcy. — Licytator odwrócił się w stronę Raybuma. — Czy usłyszałem pięćdziesiąt?

Rayburn milczał przez kilka sekund, a potem prawie niedostrzegalnie skinął głową.

— Jest pięćdziesiąt tysięcy. Kto da więcej?

Abercrombie, podniósł pięć palców, potem zacisnął je w pięść i wyciągnął palec wskazujący.

Licytator przez długą chwilę wpatrywał się w niego, wreszcie zapytał wyraźnie skonsternowany:

— Przepraszam, panie Abercrombie, to jest pięćdziesiąt jeden czy sześćdziesiąt?

— Proszę sobie wybrać — odparł Abercrombie głośnym, zgrzytliwym głosem i w tłumie rozległ się powstrzymywany chichot.

— Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić — zauważył licytator z zakłopotaniem. — Mógłby pan ogłosić swoją stawkę?

— Sześćdziesiąt — odpowiedział Abercrombie, a jego słowa zagłuszyły spontaniczne brawa widowni.

— Jest sześćdziesiąt tysięcy kredytów — oświadczył licytator, patrząc z oczekiwaniem prosto na Rayburna. — Czy usłyszę więcej?

— To jest maksimum, prawda? — spytał mnie cicho Rayburn.

— Jeśli ma się opłacać, przyjacielu Hectorze — odparłem.

Zastanawiał się przez moment, a potem popatrzył ponownie na licytatora i potrząsnął głową.

— Czy usłyszę sześćdziesiąt pięć tysięcy? — spytał licytator, lustrując tłum bez większej nadziei. — Sześćdziesiąt tysięcy po raz drugi, kto da więcej?

— Siedemdziesiąt pięć — odezwał się nagle jakiś głos z tyłu sali i wszyscy odwrócili się, żeby zobaczyć kim jest ten nowy kupiec.

— Świetnie, pan Reuben Venzia dał siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów — oznajmił z wyraźnym zadowoleniem licytator, a mały mężczyzna o oliwkowej cerze i z wielkim czarnym wąsem

nerwowo skinął głową, ostatecznie potwierdzając ofertę.

— Kto to jest, do cholery? — spytał Rayburn.

Tai Chong zagadnęła szeptem stojącą obok kobietę.

— Bogaty biznesmen z Declana IV.

— Jeszcze jeden kolekcjoner? — spytał Rayburn.

Tai Chong znowu skonsultowała się z tamtą kobietą.

— Ostatnio kupił galerię sztuki w systemie Dedal — powiedziała do Rayburna.

— Chyba nie zamierza się licytować zbyt długo, jeśli przebija od razu o dwadzieścia procent — zauważył Rayburn. — Do diabła, wydaje mu się, że kupuje jakieś arcydzieło?

— Mam sto tysięcy od pana Malcolma Abercrombiego — oznajmił licytator.

— Może zamierza tylko podbić cenę — zadumała się Tai Chong.

Venzia zrobił szybki gest ręką.

— Sto dwadzieścia pięć tysięcy kredytów od pana Venzii.

Rayburn spojrział na mnie nerwowo.

— Co tu się dzieje? — zapytał. — O ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że obrazek pójdzie między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt tysięcy.

— I tyle właśnie powinien kosztować, przyjacielu Hectorze — odparłem, a moja skóra przybrała odcień dezorientacji. — Nie mam najmniejszego pojęcia, skąd to zainteresowanie.

Po kolejnych dwu minutach cena podskoczyła do trzystu tysięcy kredytów, a ja nadal nie znajdowałem żadnego wytłumaczenia.

— Przecież to wcale nic jest aż tak dobry obraz! — wymamrotał Rayburn, równie zdezorientowany jak ja.

— Leonardo — zwróciła się do mnie Tai Chong — co możesz mi powiedzieć o tym Kilcullenie?

— Niestety, usłyszałem o nim po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru, wielka pani — odrzekłem.

— Ale gdyby mieszkał w gwiazdozbiorze Albion i jego dzieła byłyby warte trzystu tysięcy, musiałbyś o tym wiedzieć?

— Bez wątpienia — przytaknąłem.

— Robi się coraz ciekawiej — wymruczała Tai Chong, kiedy Abercrombie zadysponował trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów.

— Kto da czterysta tysięcy? — prawie wykrzyczał podniecony licytator.

Venzia bez namysłu skinął głową. W chwilę później dobrze ubrana młoda kobieta podeszła do licytatora i coś do niego szepnęła.

— Zawieszamy aukcję na minutę — oświadczył licytator. Odszukał wzrokiem małego mężczyznę o oliwkowej cerze. — Panie Venzia, czy mógłby pan podejść do mnie?

— No, no, no, i co teraz? — zamyślił się Rayburn.

Venzia podszedł do podestu i natychmiast wywiązała się ożywiona dyskusja między nim, licytатorem i dwiema asystentkami dyrektora Galerii Odyseusz. Po krótkiej wymianie zdań Venzia najwyraźniej się zdenerwował, a nieco później ostentacyjnie wymaszerował z głównej galerii. Jego twarz była sina z wściekłości.

— Oferta pana Venzii na czterysta tysięcy kredytów nie została przyjęta — oznajmił licytator. — Trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy po raz drugi, czy ktoś da więcej? — Rozejrzał się po sali. — Nikt? W takim razie trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów po raz trzeci. Obraz kupił za tę sumę pan Malcolm Abercrombie.

Tłum zaszemrał z podziwu, a Abercrombie podszedł do prowadzącego aukcję, aby ostatecznie potwierdzić zakup dzieła.

— To nie ma żadnego sensu! — wymamrotał zdenerwowany

Rayburn. Obrócił się gwałtownie w stronę Tai Chong. — Chcę jeszcze raz rzucić na to okiem.

— Proszę bardzo.

— Czy Leonardo może pójść ze mną?

— Myślę, że nawet powinien — odparła. — W końcu zna się na sztuce najlepiej z nas wszystkich.

— Chodź, Leonardo — powiedział Rayburn, ruszając do małej bocznej galerii, którą zamieniono na prowizoryczne biuro handlowe. Nie zwlekając poszedłem za nim.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, Venzia już tam był i właśnie kłócił się z Abercrombiem, który ostentacyjnie wręcz ignorował małego człowieczka.

— Ale pan go kupił fuksem! — protestował Venzia.

— Wybacz pan, ale to chyba nie moja wina, że nie ma pan przy sobie dosyć pieniędzy — rzucił gburowato Abercrombie, zaciskając dłonie na uchwycie obrazu, jak gdyby się bał, że Venzia spróbuje mu go odebrać.

— Trzysta pięćdziesiąt tysięcy kredytów powinno wystarczyć nie tylko na ten obrazek, ale i na następne pół tuzina innych Kilcullenów.

— Ja mam inne zdanie — powiedział beznamiętnie Abercrombie.

— Chcę wiedzieć, dlaczego! — nalegał Venzia. — Obaj wiemy, że to przeklęte płótno nie jest warte nawet sześćdziesiąt tysięcy kredytów.

— To ciekawe dlaczego próbował pan zalicytować czterysta tysięcy?

— Mam swoje powody — odparł Venzia.

— Jakiegokolwiek są, mało mnie interesują — stwierdził zimno Abercrombie.

— Proszę posłuchać — powiedział Venzia. — Zapłacę panu za

niego pół miliona kredytów tu i teraz.

— Nie ma pan tu i teraz pół miliona kredytów.

— Nie mam przy sobie! — warknął Venzia. — Ale mogę wypisać czek.

— Pańska oferta mnie nie interesuje — odrzekł Abercrombie, okazując coraz większą irytację. — A teraz proszę odejść, zanim będę zmuszony poprosić ludzi z ochrony galerii, żeby pana wyprowadzili siłą. Jestem bardzo zajęty.

Venzia przez moment wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym nienawiści, obrócił się energicznie na pięcie i gniewnie pomaszerował ku głównemu wyjściu.

Nagle Abercrombie zauważył Rayburna.

— Pan również ma zamiar oskarżyć mnie o oszustwo? — zapytał.

— Ależ skąd, panie Abercrombie — wyjaśnił pospiesznie Rayburn, robiąc krok do przodu. — Po prostu wpadłem, aby pogratulować panu zakupu.

— Trochę, cholera, kosztował — zauważył burkliwie Abercrombie, lekceważąc wyciągniętą rękę Rayburna.

— Jakies siedem razy więcej, niż przypuszczaliśmy — zgodził się Rayburn. — A tak właściwie, dlaczego pan go za tyle kupił?

— Ponieważ chciałem go mieć — wyjaśnił Abercrombie. — Jeżeli ma pan jeszcze jakieś inne pytania, proszę się streszczać. Muszę załatwić bezpieczny przewóz obrazu do mojego domu.

— Czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, by mój współpracownik rzucił okiem na pański zakup?

— Pański współpracownik? — powtórzył z niedowierzaniem Abercrombie. Nagle wycelował kciukiem w moim kierunku. — Ma pan na myśli „to”?

— To jest Leonardo — oznajmił Rayburn. — Nasz ekspert w

sprawach gwiazdozbioru Albion.

Wykonałem oficjalny głęboki ukłon i zacząłem zbliżać się do obrazu.

— Jesteś już wystarczająco blisko — zauważył złowieszczo Abercrombie, kiedy znalazłem się około dziesięciu stóp od płótna.

— Czy coś nie tak, przyjacielu Malcolmie? — spytałem.

Jego zimne, niebieskie oczy wpatrzyły się we mnie.

— Nie darzę obcych specjalną sympatią i nie podejrzewam, żeby to się kiedykolwiek zmieniło.

— W takim razie zadowolę się oglądaniem obrazu z tej odległości, przyjacielu Malcolmie — powiedziałem.

— Nie jestem twoim przyjacielem — stwierdził z niechęcią Abercrombie.

Studiowałem przez moment dzieło, aż Rayburn zapytał:

— I co, zmieniłeś zdanie, Leonardo?

— Nie, przyjacielu Hectorze — odparłem. — Nie zmieniłem.

— A teraz, jeśli już skończyliście... — zaczął Abercrombie. — Spieszę się.

— Skończyliśmy — zgodził się Rayburn, po czym obrócił się w moją stronę, kiedy Abercrombie zajął się nadzorowaniem pakowania obrazu. — Czy jesteś absolutnie pewien, że nigdy przedtem nic widziałeś żadnego płótna Kilcullena?

— Tak, przyjacielu Hectorze.

— A może chociaż ten obraz przypomina ci dzieła jakichś innych artystów z gwiazdozbioru Albion, które mogłyby pójść za podobną sumę?

— Nie, przyjacielu Hectorze.

— Posłuchaj mnie teraz uważnie, Leonardo — powiedział powoli Rayburn. — Dwóch różnych ludzi wyceniło ten obraz na ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy kredytów i zanim kiedykol-

wiek w przyszłości spróbuję kupić jakieś dzieło z gwiazdozbioru Albion, chciałbym wiedzieć, dlaczego twoje prognozy aż tak bardzo rozminęły się z ich opinią. Pan Abercrombie jako kolekcjoner mógł się po prostu rozkochać akurat w tym obrazie, ale Venzia posiada galerię... Więc jeszcze raz cię pytam: czy tego Kilcullena łączy coś z jakimkolwiek innym dziełem z gwiazdozbioru Albion, które mogłoby zostać sprzedane za sześciocyfrową cenę?

— Absolutnie nic, przyjacielu Hectorze — odpowiedziałem. — Nie chcę obrażać przyjaciela Malcolma, ale to płótno naprawdę nie jest warte takich pieniędzy. Chociaż rzeczywiście muszę przyznać, że temat obrazu przypomina mi pewne inne warte uwagi dzieło. Wykazuje mianowicie uderzające podobieństwo do hologramu z Bindera X, który został sprzedany za sto pięćdziesiąt tysięcy kredytów prawie dwa lata temu.

Abercrombie gwałtownie obrócił się do mnie.

— Kiedy powiedziałaś „temat”, miałaś na myśli modelkę? — spytał ostro.

— Tak, przyjacielu Malcolmie.

— Widziałaś ją już wcześniej? — nalegał.

— Cóż, przyjacielu Malcolmie — odparłem — widziałem bardzo podobną twarz na hologramie z Bindera X. Ale widziałem również kobietę o identycznych niemal rysach na obrazie patagońskim, a Patagonię IV opuszczono trzysta lat przed narodzinami Kilcullena.

— Przypuszczam, że dla ciebie wszyscy ludzie są do siebie dość podobni — zasugerował Abercrombie, ale odniosłem przemożne wrażenie, że z napięciem czeka na moją odpowiedź.

— Wręcz przeciwnie, przyjacielu Malcolmie — stwierdziłem. — Każde z was uważam za całkowicie odmienną istotę. W prze-

ciwnym razie z pewnością nie mógłbym specjalizować się w ekspertyzie dzieł sztuki malowanych przez ludzi z gwiazdozbioru Albion.

Wpatrywał się we mnie przez długą chwilę. Czułem jego potężną niechęć do mnie, chociaż nie potrafiłem znaleźć dla niej żadnego logicznego uzasadnienia. W końcu milioner zwrócił się do Raybuma:

— Chciałbym zamienić z panem słowo — oświadczył. I po chwili dodał: — Na osobności.

— Cóż, proszę bardzo — odrzekł Raybum. — Może byś dołączył do madame Chong, Leonardo? Przyjdę za minutę — zasugerował przepraszającym tonem.

— Dobrze, przyjacielu Hectorze — odparłem, zadowolony, że w końcu uwalniam się od niepokojącego towarzystwa Abercrombiego i wróciłem na aukcję.

— Gdzie jest Hector? — spytała Tai Chong, kiedy zobaczyła, że jestem sam.

— Rozmawia z panem Abercrombiem, który chyba żywi do mnie głęboką niechęć — odparłem. — Naprawdę nie zrobiłem niczego, co mogłoby go obrazić, wielka pani.

— Jestem pewna, że nie jesteś niczemu winny, Leonardo — uspokoiła mnie. — Mam tylko nadzieję, że po tym wieczorze nie oceniasz źle całej rasy ludzkiej.

— W ogóle was nie oceniam, wielka pani — odrzekłem.

— A masz do tego pełne prawo.

Zamilkła i z roztargnieniem przyglądała się, jak mały trójwymiarowy krajobraz kosmiczny z Thamaaliki II sprzedano za dość umiarkowaną cenę, a wczesny obraz Kamathiego osiągnął cenę nieco wyższą niż przewidywałem, biorąc pod uwagę prymitywizm jego kolorystyki. Po jakimś czasie, z dziwnym wyrazem twarzy, dołączył do nas Raybum.

— I co? — zapytała Tai Chong.

— Ten facet złożył nam właśnie najbardziej zwariowaną propozycję, jaką kiedykolwiek słyszałem!

— O co chodzi? — spytała.

— Zaraz pani powiem — odparł. Zwrócił się w moją stronę. — Leonardo, chcę usłyszeć od ciebie szczerą odpowiedź: co sądzisz o Malcolmie Abercrombiem?

— Sądzę, że musi być trochę podenerwowany z powodu tej licytacji, przyjacielu Hectorze.

— Daj spokój — zadrwił Raybum. — Powiedziałem: szczerą!

— Myślę, że jest ograniczonym ksenofobem, który nie ma zielonego pojęcia o prawdziwej sztuce — wysapałem i poczułem jak mój kolor przechodzi w odcień absolutnej ucziwości.

— To mi się podoba znacznie bardziej — wtrącił chichocząc Raybum. — On myśli o tobie jeszcze gorzej.

— Przejdź do sedna, Hectorze — zirytowała się w końcu Tai Chong.

— Już to robię, madame Chong — powiedział Rayburn. — Otóż, Malcolm Abercrombie właśnie zaferował Galerii Clai-borne do wyboru atramentowy rysunek wczesnego Sabaia albo pięćdziesiąt tysięcy kredytów.

— W zamian za co? — zapytała podejrzliwie.

Rayburn wyszczerzył zęby w zadowolonym uśmiechu.

— Za tydzień pracy Leonardo.

Siedziałem w gabinecie Malcolma Abercrombiego. Byłem sam i czułem się nieswojo.

Dotarłem na spotkanie niemal dziesięć minut przed umówioną godziną. Prawie dziewięć minut stałem na ruchliwej, zatłoczonej spieszącymi się istotami ulicy. W tym czasie dokładnie obejrzałem od zewnątrz olbrzymi dom milionera i oceniłem matematyczną precyzję otaczających go francuskich ogrodów. Szczególnie zachwyciło mnie piękno dwóch wielkich kamiennych fontann, które stały przed wschodnim i zachodnim skrzydłem budynku.

W końcu, kiedy byłem już przekonany, że nie pojawię się zbyt wcześnie i nie zakłócę spokoju właściciela domu, wszedłem na prowadzący do posiadłości ruchomy chodnik. Miałem nadzieję, że zostanę natychmiast przetransportowany do frontowych drzwi, ale nic takiego nie nastąpiło.

Ogarnęła mnie panika. Dom był oddalony od ulicy prawie o pięćset stóp i uświadomiłem sobie, że moja specyficzna budowa w połączeniu z dość dużym ciężeniem Odległego Londynu w żadnym wypadku nie pozwoli mi pokonać tego dystansu w jedną jedyną minutę, która mi pozostała. Byłem zrozpaczony! Od trzech dni znałem termin spotkania, a jednak miałem się spóźnić...

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko w koszmarnie wolnym tempie ruszyć w stronę budynku. W momencie, w którym zrobiłem pierwszy krok, mechaniczny głos spytał mnie, czy życzę sobie pojechać do drzwi frontowych, kuchennych, wejścia dla służby, czy też do skrzydła dla gości.

— Do drzwi frontowych, jeśli można — powiedziałem z ogromnym uczuciem ulgi.

— Przykro mi — wyrecytował beznamiętnie głos — ale jestem

tak zaprogramowany, że do frontowego wejścia mogę transportować wyłącznie przedstawicieli rasy ludzkiej. Czy mógłbyś wybrać coś innego?

— Mam umówione spotkanie z panem Abercrombiam — odparłem niepewnie. — Nie wiem jeszcze, czy jestem gościem, czy służącym.

— Jestem tak zaprogramowany, że nie mogę przetransportować członków żadnej obcej rasy również do skrzydła dla gości. Czy chcesz pojechać do drzwi dla służby?

— Tak — sapnąłem zniecierpliwiony — i proszę cię bardzo, pospiesz się. Muszę tam dotrzeć za trzydzieści sekund.

— Jestem tak zaprogramowany, że mogę poruszać się tylko z jedną prędkością. Proszę się przygotować. Ruszamy za dziesięć sekund.

Westchnąłem i przypiąłem stopy do powierzchni, a chwilę później chodnik zaczął się powoli i łagodnie posuwać ku domowi.

— Nie możesz tędy wejść do środka — oznajmił głos, kiedy mijalem frontowe drzwi, i powtórzył to samo stwierdzenie po raz drugi, gdy objeżdżaliśmy wschodnie skrzydło domu. W końcu zatrzymałem się przed mniej ozdobnymi drzwiami, gdzie poinformowano mnie, abym opuścił chodnik i wszedł do domu.

Gdy to zrobiłem, przyturlał się do mnie metalicznie połyskujący robot. To był trzeci robot, którego zobaczyłem na Odległym Londynie.

— Czy nazywasz się Leonardo? — spytał.

— Tak — odrzekłem.

— Czekaliśmy na ciebie. Pozwól za mną, proszę.

Obrócił się wokół własnej osi i pojechał przed siebie wykładanym boazerią korytarzem. Wreszcie zatrzymał się i poczekał,

aż do niego dołączę.

— Wejdź do tego gabinetu — oznajmił, otwierając przede mną drzwi. — Pan Abercrombie wkrótce do ciebie dołączy.

Wszedłem do środka. Odczułem tak wielką ulgę na myśl, że moje spóźnienie prawdopodobnie przeszło nie zauważone, iż z początku prawie zupełnie zlekceważyłem instynktowny niepokój, który dopadł mnie, kiedy tylko za robotem zamknęły się drzwi i zostałem samotny i opuszczony. Zacząłem uważnie badać wyposażenie pokoju, przekonany, że lada chwila nadejdzie Malcom Abercrombie.

Upłynęło czterdzieści pięć niewyobrażalnie długich minut, a ja wciąż byłem sam. Czułem się nagi i straszliwie samotny.

Gabinet w pełni zgadzał się z moim wyobrażeniem o jego właścicielu: był zimny, wykwintnie urządzone i obcy. W istocie bardziej przypominał ogromną salę; jak dla mnie był zbyt duży i miał za wiele drzwi. Ściany były zupełnie puste — nie wisały na nich ani obrazy, ani hologramy. Na ustawionym naprzeciw drzwi, przez które wszedłem, politurowanym biurku z twardego drewna poza popielniczką i zestawem jakichś niezwykłych przyborów do pisania nie było niczego więcej; żadnych papierów czy choćby terminala komputerowego, nic. Krzesło za biurkiem miało wysokie i wąskie oparcie, a kiedy podszedłem bliżej, zauważyłem leżącą na siedzeniu małą poduszeczkę, używaną zapewne jako podkładka na plecy. Poza tym w pokoju stały jeszcze tylko trzy wysokie skórzane krzesła ustawione w rzędzie pod jedną ze ścian; były kosztowne, ale chyba również niezbyt wygodne. Między dwoma z nich znajdował się onyksowy piedestał, na którym stała mała kryształowa czarka o altairiańskim wzorze. Okna za biurkiem wychodziły na starannie przycięte w zawiły labirynt prostokątów zarośla.

Żeby uwolnić się od natarczywych myśli o moim odosobnieniu, jeszcze raz zastanowiłem się nad formą, w jakiej powinienem zwracać się do mojego gospodarza, kiedy w końcu przyjdzie. Okazał już przecież niezadowolenie ze stylu przyjaźni, a ponieważ to nie ja prosiłem o spotkanie, odrzuciłem również styl prośby. Problem polegał na tym, że nie byłem pewny mojego statusu: nic wiedziałem, czy jestem gościem. — co wymagałoby użycia stylu gości honorowych — czy może płatnym konsultantem, a wtedy mógłbym zastosować styl osób równych rangą. Oczywiście, zawsze istniało też prawdopodobieństwo, że pan Abercrombie chce mnie po prostu zatrudnić, co pociągnęłoby za sobą użycie stylu pracowników albo (jeśli nie miałyby być między nami hierarchii ważności) stylu handlowego.

Ciągle jeszcze rozważałem ten problem, kiedy drzwi się otworzyły i Malcolm Abercrombie, ubrany w barwy brązu i bursztynu, które jakby dopełniały kolorystyczny wystrój pokoju, wszedł do gabinetu i skierował się prosto do biurka. W ustach milionera tkwiła cygarniczka z litego złota, a w niej pachnący słodko spicański papieros.

Abercrombie usiadł, zaciągnął się papierosem po raz ostatni, wyjął z cygarniczki niedopałek i zgasił go w popielniczce. Później wyprostował się na krześle, splótł dłonie na brzuchu i wpatrzył się we mnie. Stałem w zupełnym milczeniu i próbowałem udawać całkowity spokój.

- Leonardo, prawda? — odezwał się w końcu.
 - Masz absolutną rację, Malcolmie — odparłem.
- Zmarszczył brwi.
- Nazywaj mnie panem Abercrombiem.

Wywnioskowałem, że wyraźnie nie odpowiadał mu styl osób równych rangą. Szybko zmieniłem go więc na styl pracow-

ników.

— Jak pan sobie życzy, panie Abercrombie. Zapewniam, że nie zamierzałem pana urazić.

— Kiedy poczuję się urażony, nic omieszkać cię o tym zawiadomić — odparł zjadliwie i znowu się we mnie wpatrzył. — Nie wygląda, żebyś się dobrze czuł stercząc tam. Kłapnij sobie.

— Słucham?

— Krzesło — powiedział, a jego twarz przybrała niechętny wyraz. — Chyba że członkowie twojej rasy są szczęśliwsi, kiedy stoją. Dla mnie to bez różnicy.

Odwrociłem się w stronę ustawionych pod ścianą trzech krzeseł o prostych oparciach i skórzanych siedzeniach.

— Czy mam przysunąć je do pańskiego biurka, aby nam się łatwiej rozmawiało? — zasugerowałem, podchodząc do jednego z nich.

— Zostaw je tam, gdzie stoi — rzucił gburowato. — W razie potrzeby będziemy mówić głośniej.

— Jak pan sobie życzy — wyszeptałem speszony, ostrożnie siadając na krześle.

— Przypuszczam, że powinienem zaproponować ci drinka albo coś innego do picia — stwierdził Abercrombie, po czym dodał: — Czy twoja rasa w ogóle coś pije?

— Wypiłem już moją dzienną rację wody — odparłem. — Mój organizm nie przyswaja ludzkich alkoholi i innych środków odurzających.

— No dobrze... — wycedził. Spojrzał na mnie z chwilowym zaciekawieniem. — Wiesz, jesteś pierwszym obcym, któremu pozwoliłem wejść do tego domu...

— Czuję się wysoce zaszczycony, panie Abercrombie — oświadczyłem. Uznałem, że styl pracowników jest rzeczywiście

najodpowiedniejszy; zresztą styl osób równych rangą nie dopuszcza kłamstw.

— Z wyjątkiem paru służących, którzy nie zagrzali tu długo miejsca — dodał. — W końcu wylałem ich na zbity pysk.

— Przykro mi to słyszeć.

Wzruszył ramionami.

— To była wyłącznie moja wina. Po co w ogóle zatrudniałem obcych?

— Ale zatrudnił pan mnie — zauważyłem.

— Tylko na określony czas.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Potem Abercrombie umieścił następnego papierosa w cygarniczce, zapalił go i popatrzył na mnie.

— A właściwie, jak to się do cholery stało, że masz takie idiotyczne imię? — zapytał nagle.

— Kiedy byłem młodszy, miałem aspiracje, by zostać artystą — odpowiedziałem. — Wprawdzie nie jestem wystarczająco utalentowany, ale zawsze wożę z sobą teczkę z rysunkami i od czasu do czasu coś do niej dodaję. Kiedy przyleciałem do Galerii Claiborne w ramach programu wymiany, pokazałem jedną z moich prac Hectorowi Raybumowi. Była to satyryczna interpretacja Mony Lisy da Vinci, która bardzo mu się spodobała, a ponieważ moje imię było nie do wymówienia dla ludzi, przyjaciel Hector nazwał mnie Leonardo.

— To głupie imię — burknął Abercrombie.

Styl pracowników nie pozwolił mi zaprzeczyć temu stanowczemu stwierdzeniu mojego pracodawcy, więc w ogóle się nie odezwałem.

— To imię pasuje do brodatego, opryskanego farbą faceta — kontynuował myśl Abercrombie — a nie do pasiastego jak cukierek koszmaru sennego z pomarańczowymi oczyma i nosem z

boku twarzy.

— To jest zasadnicza cecha mojego Wzorca — wyjaśniłem. — Mój otwór oddechowy znajduje się pomiędzy oczyma. Być może nie widzi pan tego zbyt dobrze z tej odległości.

— Niech dystans między nami pozostanie bez zmian! — krzyknął. — Nie mam ochoty oglądać twojego nosa!

— Przecież się nic ruszam — zapewniłem go. — Nie musi pan się mnie bać.

— Bać się? — rzucił pogardliwie. — Do diabła, nie potrafię nawet w przybliżeniu zliczyć obcych, których zabiłem w swoim życiu! Brałem udział w bitwie o Canphor VI i walczyłem trzy lata w wojnie raboliańskiej. Może i muszę najmować niektórych z was, hardych drani, którzy nosicie nasze ubrania, uczycie się ziemskiego języka i udajecie, że jesteście ludźmi, ale wcale nic musi mi się to podobać, a już zupełnie nic mam obowiązku być dla was miły. Zostań tam, gdzie jesteś, a wszystko będzie w porządku.

Skoro z takim wstrętem odnosił się do mnie, jeszcze bardziej zaciekało mnie, dlaczego poprosił o to spotkanie i poruszyłem tę kwestię tak subtelnie i łagodnie, jak tylko zezwalał na to styl pracowników. Zaczynałem trzy razy, zanim w końcu odważyłem się zapytać wprost.

— Mam powody by przypuszczać, że możesz się okazać dla mnie użyteczny — odrzekł mi.

— W jakim charakterze? — spytałem.

— Kto tu zadaje pytania, ja czy ty? — spytał z irytacją.

— Pan, panie Abercrombie.

Zaciągnął się papierosem, pochylił do przodu, aż jego łokcie znalazły się na blacie biurka i otaksował mnie baczным spojrzeniem.

— Na ile mnie wyceniasz?

— Nie mam pojęcia — powiedziałem, całkowicie zaskoczony pytaniem.

— Dysponuję blisko sześciuset milionami kredytów — oświadczył, obserwując mnie z uwagą i oczekując mojej reakcji. — Jeśli dobrze wykonasz swoją robotę, przekonasz się, że nie jestem skąpy, nawet dla obcego. — W jego oczach zapłonęła nienawiść. — Ale chcę, abyś wiedział, że jeżeli spróbujesz mnie wykorzystać, okażę się najbardziej pamiętliwym sukinsynem, z jakim kiedykolwiek miałeś do czynienia. Zwędzisz jedną popielniczkę, a wydam wszystkie sześćset milionów kredytów, żeby cię schwytać. Rozumiesz?

Szczęśliwie dla nas obu nie używałem stylu osób równych rangą, ponieważ moja odpowiedź z pewnością ciężko uraziłaby pana Abercrombiego, a jego riposta prawdopodobnie wpędziłaby mnie w krańcowo złe samopoczucie. Odpowiedziałem więc bez żadnych emocji:

— Bjornni nie kradną, panie Abercrombie. To jest sprzeczne zarówno z naszym prawem, jak i kodeksem moralnym.

— Moralność moralnością, a wszyscy i tak to robią — rzucił. — Spędziłem czterdzieści lat na kompletowaniu mojej kolekcji i zanim uzyskasz do niej pełny dostęp, chcę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej.

— Jeśli tak bardzo niepokoi się pan o bezpieczeństwo swojej kolekcji, to przecież wcale nie muszę jej oglądać — powiedziałem.

— Ależ musisz — odparł stanowczo.

— Z pewnością chroni ją system zabezpieczeń — stwierdziłem, a moja skóra pociemniała na myśl o możliwości obejrzenia wspaniałej kolekcji.

— Nic pierwszy raz obcy przedostałby się przez system, który został stworzony, aby powstrzymać człowieka. — Przerwał i zmarszczył brwi. — Dlaczego ciągle zmieniasz kolory?

— Kolory pozostają bez zmian, zmienia się tylko ich nasycenie — wyjaśniłem.

— Odpowiedz na moje pytanie.

— W taki właśnie sposób Bjornni nieświadomie wyrażają swoje emocje.

— A co ten szczególnie odcień oznacza? — kontynuował.

— Podnieca mnie myśl, że zobaczę pańską kolekcję — odrzekłem. — Mam nadzieję, że natężenie mojego koloru nie zdenerwowało pana.

— Denerwuje mnie wszystko, czego nie rozumiem — stwierdził. — A co z paskami? Czy one również się zmieniają?

— Nie — odparłem. — One, podobnie jak znaki na mojej twarzy, o które pytał pan wcześniej, to zasadnicze elementy Wzorca Domu Crsthionn.

— Czy to coś w rodzaju tatuażu?

— Tak — skłamałem bez wahania. No bo jak wytłumaczyć dziedziczny Wzorec człowiekowi, który uważa wszystkie kolory i wzorce za gorsze od swego własnego?

— Ile miałeś lat, kiedy otrzymałeś swój Wzorec? — spytał z cieniem zaciekawienia.

— Byłem bardzo młody — odpowiedziałem szczerze.

— Dali ci to po tym, jak przystąpiłeś do Domu Crsthionn?

— Nie, panie Abercrombie. — Próbowałem sprawić, by moja odpowiedź była jasna i w miarę prawdziwa. — Stałem się członkiem Domu Crsthionn dopiero po otrzymaniu Wzorca.

— Czy to coś w rodzaju ceremonii inicjacji? — spytał.

— Niezupełnie — odparłem.

Zdecydował, że czas zmienić temat.

- A co z twoją żoną? Czy ona również posiada Wzorzec?
- Tak.
- Jak on wygląda?
- Przypuszczam, że bardzo podobnie do mojego — odrzekłem. — Nigdy jej nie widziałem.
- Zamrugał oczyma, jakby nie rozumiał.
- Nigdy nie widziałeś własnej żony?
- Tak, panie Abercrombie.
- A czy kiedykolwiek ją zobaczysz?
- Oczywiście — przytaknąłem. — Jak inaczej moglibyśmy się rozmnażać?
- Zabij mnie, cholera, jeśli potrafię zgadnąć! — powiedział.
- Kto, do diabła, może wiedzieć, jak wy obcy się rozmnażacie?
- Mógłbym to panu wyjaśnić — zaproponowałem.
- Oszczędź mi szczegółów — wycedził Abercrombie, wykrzywając niemiłosiernie twarz.
- Jak pan sobie życzy — odparłem. — Nie miałem zamiaru pana obrazić. Dla Bjonna akt rozmnażania jest czynnością naturalną, dokładnie taką samą jak wchłanianie i wydalanie.
- Wystarczy! — wybuchnął. — Nie zaprosiłem cię tutaj, żebyś opowiadał mi o tym, jak długo siedzisz zwykle na sedesie.
- Dobrze, panie Abercrombie.
- To jest odrażające i zboczone.
- Przykro mi, że pan tak myśli — szepnąłem. — Bez wątpienia wyraziłem się w niewłaściwy sposób.
- Przyglądał mi się z uwagą przez dłuższy czas.
- Nie masz za cholerę odwagi, co?
- Nic rozumiem, panie Abercrombie.
- Nikomu nie pozwoliłbym mówić do siebie w ten sposób, w jaki mówię do ciebie. Plunąłbym mu w twarz i wyszedł.
- Zaproponował pan, że zapłaci Galerii Claiborne za moje

usługi — wyjaśniłem. — Przyniósłbym wstyd mojemu Domowi, gdybym nie wypełnił tego zobowiązania.

— Ale na pewno chciałbyś dać mi w mordę, co? — kontynuował temat.

— Nie, panie Abercrombie. Nie wierzę, że coś takiego mogłoby mnie bawić.

— Jezu! — wymamrotał z pogardą w głosie. — Canphoryci przynajmniej umierają walcząc. Co się stało z wami, Bjornnami?

— Być może odpowiedź tkwi w tym, że w przeciwieństwie do ludzi i mieszkańców Canphora VI i VII, Bjonni nie pochodzą od zwierząt mięsożernych i dlatego są pozbawieni waszych agresywnych cech.

Abercrombie zamyślił się na moment, a potem wzruszył ramionami.

— W porządku — oznajmił. — Przejdźmy do interesów.

— A więc moje odpowiedzi usatysfakcjonowały pana?

— Niespecjalnie. Ale przekonały mnie, że nie okradniesz mnie, bo nie starczy ci na to odwagi. — Wstał. — Chodź ze mną.

— W jakiej odległości za panem mam iść? — spytałem, przypomniało mi się bowiem, że zakazał mi się do siebie zbliżać.

— Lepiej się zamknij i chodź już — warknął, kierując się do drzwi. Otworzył je w chwili, w której się z nim zrównałem i weszliśmy razem do wielkiej, dobrze oświetlonej sali, o długości około siedemdziesięciu stóp i mniej więcej dwudziestu stopach szerokości. Na ciemnych, obitych boazerią ścianach wisiało około pięćdziesięciu obrazów i hologramów największych artystów Galaktyki.

— Wyborny! — krzyknąłem, gdy ujrzałem krajobraz Ramotti z okresu purpurowego. — Jaka pierwszorzędna technika malarska!

- Znasz te wszystkie płótna? — spytał.
- Nie — przyznałem się. — Tylko niektóre.
- Ale znasz artystów?

Popatrzyłem jeszcze raz.

- Tak.
- Trzy z nich to kopie. Wskaż mi je.
- Ile mam czasu? — spytałem.
- Tyle, ile potrzebujesz. — Umilkł. — Znowu pociemniałeś.
- Podoba mi się to wyzwanie — powiedziałem, a kolor mojej skóry zaczął się rozjaśniać w chwilę później, kiedy nagle uzmysłowiłem sobie, jak bardzo osobiste wyraziłem zdanie.

Chodziłem w tę i z powrotem po galerii, zatrzymując się przed każdym obrazem i hologramem i pobieżnie każdy analizując. W końcu wróciłem do Abercrombiego, pamiętając o tym, żeby zatrzymać się nie bliżej niż dziesięć stóp od niego.

— Próbował pan ze mnie zażartować, panie Abercrombie — uśmiechnąłem się. — Tu są cztery falsyfikaty.

— Do cholery, chyba oszalałeś! — wybuchnął.

— Portret Skarlosa, martwa natura Ngoniego, hologram Perkinsa i akt Menkego. Wszystko to kopie.

— Wydałem na Ngoniego osiemset tysięcy kredytów!

— A więc został pana oszukany — stwierdziłem spokojnie. — Ngoni żył na Nowej Kenii pięć wieków temu, a ten obraz nic liczy sobie nawet trzystu lat.

— Skąd możesz to wiedzieć? — zapytał.

Spróbowałem wyjaśnić, w jaki sposób Bjonni analizują skład chemiczny obrazów, strukturę płótna, wiek drewna i farb, ale ponieważ widmo ultrafioletowe i pasma podczerwieni są dla ludzi niewidzialne, nie mógł nic z tego zrozumieć. Nie ma też żadnych dialektów w języku ziemskim, które zawierałyby właściwe terminy na określenie tych nieznanymi ludziami czynności,

nie udało mi się więc jasno odpowiedzieć na jego pytanie.

— W porządku — zniecierpliwiał się. — Wierzę ci na słowo. — Urwał, pogrążając się w myślach, a potem gwałtownie podniósł oczy. — Wyślę ten obraz do Odyseusza po zaświadczenie autentyczności, a jeśli potwierdzą twoją ocenę, mój agent na Nowej Kenii pożałuje, że w ogóle się urodził.

— Czy miałem rację w przypadku pozostałych trzech?

Pokiwał głową.

— Więc zatrudnił mnie pan, żeby zbadać autentyczność dzieł sztuki, które pan zakupił lub zamierza zakupić do swojej kolekcji?

— Nie — odparł. — Chciałem tylko sprawdzić, czy znasz swój fach. — Zamilkł, a po chwili dodał niechętnie: — I widzę, że znasz.

— Dziękuję, panie Abercrombie.

— Przejdźmy do następnego pokoju — mruknął, otwierając drzwi na końcu galerii.

Podążyłem za nim do małej salki — małej przynajmniej jak na ten dom — i znalazłem się w pomieszczeniu bez okien. Na ścianach sali wisiało siedemnaście malowideł i pięć hologramów, a także para pięknie wyrzeźbionych kamei i mała figurka. Każde z dzieł przedstawiało kobietę niezwykle podobną do tej z obrazu Kilcullena.

— I co? — spytał po chwili, kiedy przyjrzałem się już wszystkim.

— Jestem pod wielkim wrażeniem — oświadczyłem, a mój kolor przybrał głębszy odcień. — Wydaje mi się, że cztery z tych obrazów zostały wykonane jeszcze przed erą galaktyczną.

— Zgadza się — odparł. — A statuetka pochodzi przed narodzin Chrystusa.

— Z jaką religią związana jest ta kobieta? — zapytałem.

— Z żadną.

Zaskoczyła mnie ta odpowiedź.

— Jeśli ta sama osoba pojawia się w dziełach, które powstawały w ciągu wielu tysięcy lat i na planetach odległych od siebie o biliony mil, musi być ważną postacią w historii waszej kultury.

— Ona nie ma nic wspólnego z historią naszej kultury — stwierdził twardo Abercrombie.

— W takim razie jak inaczej można wyjaśnić fakt, iż jej podobizna pojawia się w tak wielu różnych dziełach sztuki? — spytałem.

— Nie mam pojęcia — odrzekł.

— Bardzo ciekawe — stwierdziłem, cofając się i porównując trzy z najbliższych obrazów. — To najwyraźniej ta sama kobieta. Zawsze jest ubrana na czarno, a na jej twarzy gości stale głęboki smutek.

— Mam nadzieję, że nie sugerujesz, iż pozowała każdemu z tych artystów — zakpił ze mnie Abercrombie. — Ostatnie dzieło jest młodsze od pierwszego o siedem tysięcy lat. Ludzie mogą wiele wytrzymać, ale prędzej czy później wszyscy umieramy. Zwykle zresztą prędzej...

— Sugeruję tylko, że może istnieć jakieś jedno źródło, starożytne malowidło albo rzeźba, którego wszystkie te eksponaty są po prostu interpretacjami.

— Może. — Był pełen wątpliwości. — Ale jestem jakoś cholernie pewny, że nie byłbym w stanie go znaleźć.

Powoli obszedłem pokój jeszcze raz, oglądając po kolei wszystkie dzieła.

— Mają jeszcze jedną interesującą cechę wspólną — zauważyłem.

— Jaką?

— Żadne nie zostało wykonane przez artystę większego kalibru — stwierdziłem.

— Czy to znaczy, że nigdy przedtem nie natknąłeś się na tych artystów? — spytał zaskoczony.

— Właśnie.

— A Kilcullen?

— Pierwszy raz usłyszałem o nim na aukcji.

— W takim razie, na jakiej podstawie wyceniłeś jego obraz na pięćdziesiąt tysięcy kredytów? — spytał ostro.

— Analizując wiek obrazu, miejsce pochodzenia, ogólną szkołę plastyczną i jakość dzieła. Brałem również pod uwagę sławę artysty — wyjaśniłem.

Przez chwilę zastanawiał się nad moją odpowiedzią i w końcu skinął głową.

— Czy mają jeszcze coś wspólnego? — zapytał.

— Pan jest ich jedynym łącznikiem — odrzekłem. Umilkłem, świadom, że może go urazić moje następne pytanie, ale ostatecznie zdecydowałem się je zadać: — Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego właściwie one pana interesują, panie Abercrombie? Pojawienie się tej samej modelki na tak wielu portretach jest oczywiście intrygującą tajemnicą, ale muszę zauważyć, że większość z tych dzieł jest stosunkowo prymitywna malarsko i kiczowata.

— Jestem kolekcjonerem — rzucił nieco butnie.

— W takim razie ta kobieta musi mieć dla pana jakieś znaczenie — zaryzykowałem.

— Podoba mi się jej twarz — odparł.

— Twarz jest śliczna, to prawda — zgodziłem się — ale na pewno ma pan jeszcze i inne powody.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Dwa dni temu widziałem jak zapłacił pan trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów za obraz, który wart jest najwyżej pięćdziesiąt tysięcy.

— No i co z tego?

— Po prostu wydaje mi się, że oprócz podziwu dla kobiecej urody, musiał pan mieć także inne powody, aby zapłacić tak dużo.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym zaczął mówić:

— Mam osiemdziesiąt dwa lata, moje zdrowie stale się pogarsza, żona nie żyje, obaj synowie zostali zabici w wojnie z Set-tami, nie widziałem się i nie rozmawiałem z moją córką od przeszło trzydziestu lat, mam jedną wnuczkę, której nie cierpię i posiadam sześćset milionów kredytów. Jak sądzisz, co powinienem zrobić z tymi pieniędzmi: zostawić je jakiejś kobiecie, której nie potrafiłbym nawet rozpoznać i jeszcze jednej, której widoku nie mogę nawet znieść?

Odsunąłem się od niego o kilka stóp. Oszłomiło mnie, że można w tak głupi sposób negować pojęcia Domu i Rodziny i odrzucać zobowiązania wobec nich.

— Pięćdziesiąt tysięcy kredytów, trzysta siedemdziesiąt tysięcy kredytów — powiedział — co to, do diabła, za różnica? Gdybym musiał, wydałbym na tego Kilcullena i pięć milionów. Mogę sobie pozwolić na kupno każdej cholernej rzeczy, której tylko zapragnę. Jaki pożytek będę miał z tych pieniędzy, kiedy spocznę w grobie? — Przerwał dla większego efektu. — Dlatego właśnie tu jesteś.

— Nie rozumiem, panie Abercrombie.

— Powiedziałeś tamtego wieczora, że widziałeś już przedtem tę modelkę dwa razy. — Wskazał ręką na jeden z obrazów.

— To prawda.

— Obraz i hologram, tak?

— Zgadza się. Obraz pochodził z Patagonii IV, chociaż należał do mieszkańca Nowej Rodezji, a hologram był z Bindera X.

— Chcę je mieć. A także wszystkie inne portrety tej kobiety, jakie uda ci się wyszukać.

— Nic nie wiem o żadnych innych, panie Abercrombie.

— Gdzieś istnieją, na pewno — stwierdził z przekonaniem. — Wiele wyśledziłem przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, a przecież nic nie słyszałem o tych dwóch, które ty widziałeś.

— Nawet nie wiem, od czego zacząć poszukiwania — zastrzegłem się.

— Wiesz już, jak znaleźć dwa z nich. Wiesz, gdzie zostały sprzedane i możesz dowiedzieć się, kto je kupił.

— Przypuszczam, że tak — przyznałem. — Ale to nie znaczy, że ich nowi właściciele będą chcieli się z nimi rozstać.

— Nie ma obaw, na pewno sprzedadzą — zapewnił mnie Abercrombie. — Znajdź je tylko, a dalej już sobie sam poradzę. — Zacisnął szczęki. — A później rozejrzemy się za następnymi.

— Bardzo wątpię, żebyśmy w tydzień zdołali znaleźć choćby te dwie prace, o których wspomniałem, panie Abercrombie — zadumałem się.

— A więc dostaniesz na to miesiąc. — Wzruszył ramionami. — Co za różnica?

— Zatrudnił mnie pan tylko na tydzień — zauważyłem.

— Zatrudnię cię na tak długo, jak długo będę cię potrzebował — rzucił ostro.

— Ależ ja mam zobowiązania wobec Galerii Claiborne — zaprotestowałem.

— No to porzucisz Galerię Claiborne.

— Proszę tego nie uznać za brak szacunku, panie

Abercrombie, ale przyleciałem na Odległy Londyn w ramach programu wymiany i muszę...

— Posłuchaj — przerwał mi — jeżeli będę musiał kupić całą tę cholerną Galerię Claiborne, aby dostać to, czego chcę, zrobię to! Jasne?

Nie byłem w stanie wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi, więc zamilkłem.

— Dobrze ci zapłacę — kontynuował mniej szorstko. — Pensja, wydatki... Powiedz tylko, ile chcesz.

— Przyleciałem tutaj, żeby zdobywać wiedzę o sposobach postępowania Claiborne'a, którą potem mam przekazać innym członkom mojego Domu. Taką samą praktykę w Domu Crsthionn odbywa aktualnie jeden z ludzi z Claiborne'a.

— Twój Dom chce zarabiać, prawda? — zapytał.

— Tak, oczywiście.

— Będę płacił twojemu Domowi dziesięć tysięcy kredytów za każdy miesiąc, który dla mnie przepracujesz. Poza tym dostaniesz również własną pensję. Czy to rozwiązuje twój problem?

— Nie wiem — odparłem. Byłem zakłopotany i mój kolor zmieniał się szaleńczo. — Muszę przemyśleć pańską ofertę bardzo dokładnie.

— Pozwól, że ci to ułatwię. Jeśli mi odmówisz, wykopię cię stąd w jednej chwili. Stracisz pracę i twój Dom nie dostanie ani kredytu. Jak to się godzi z twoim cennym pojęciem hańby?

— Nie zrobi pan tego, panie Abercrombie!

Popatrzył na mnie zimno.

— Chcesz się przekonać? — spytał spokojnie. — To nie jest czcza groźba, mówiłem ci już, że zawsze dostaję to, czego chcę.

— W takim razie chyba nie mam wyboru — powiedziałem. Czuję się bardzo nieszczęśliwy. — Jestem zmuszony przyjąć pańską propozycję.

— Więc załatwione. Skontaktuję się z Raybumem jeszcze tego popołudnia i powiem mu o naszej nowej umowie.

— Hector Raybum pracuje tam, tak jak ja. Dyrektorem Gallerii Claiborne jest Tai Chong.

— Madame Chong — powtórzył ponuro. — Znam ją na wylot.

— To bardzo wykształcona kobieta.

— A także niezmiernie litościwa dusza. Szaleje za obcymi i czasem zapomina, do której rasy należy.

— Nie wolno panu mówić w ten sposób o mojej wielkiej pani!

— krzyknąłem tak stanowczo jak tylko umiałem.

— Ach! — zaśmiał się Abercrombie. — Więc mimo wszystko masz jednak trochę odwagi. Pozwól, że dam ci małą radę, Leonardo: zachowaj swoje męstwo dla siebie i nie marnuj go na Tai Chong. Takich ludzi jak ona nazywam niedzielnymi litościwymi duszyczkami, a to najgorszy rodzaj z wszystkich stworzeń.

— Nie rozumiem.

— Madame Chong to typ takiej osoby, która wpada w niedzielę na jeden z waszych obcych światów, łązi z tobą ulicami w tę i z powrotem, demonstruje w obronie wszelkich pieprzonych praw dla twojego ludu, a gdy przychodzi poniedziałkowy ranek i armia rusza, aby spacyfikować manifestantów, Tai Chong wraca sobie spokojnie na Odległy Londyn. I na dodatek czuje się jak ktoś, kto świetnie wypełnił swój obowiązek. Potem przez cały tydzień zastanawia się, komu by tu pomóc w uzyskaniu wolności w następny weekend.

— Nie będę dłużej słucał takich rzeczy! — zaprotestowałem, a mój kolor znowu się dziko zmieniał. — wielka pani jest dla mnie bardzo dobra i delikatna.

— Nie możesz przelać dobroci na swoje konto bankowe albo wypożyczyć jej twojemu Domowi. Ja ci oferuję pieniądze. A poza tym nikt mi nie będzie dyktował, co mam mówić w moim wła-

snym domu.

Po raz kolejny nie potrafiłem znaleźć odpowiedniej riposty, więc milczałem.

— W porządku — oznajmił, uznając temat za wyczerpany. — Załatwione.

— Kiedy mam zacząć? — spytałem w końcu.

— Już zaczęłeś.

— Ale najpierw muszę otrzymać zgodę madame Chong.

— Zajmę się tym — przyrzekł Abercrombie.

— Ale...

— Kwestionujesz moje słowo? — zapytał złowieszczo.

— W żadnym wypadku, panie Abercrombie. — Westchnąłem z rezygnacją. — Od czego mam zacząć?

— To zależy wyłącznie od ciebie. Potrzebujesz danych z bibliotek, więc korzystaj z nich do woli. Chcesz polecieć do gwiazdozbioru Albion, leć. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, kup to. Za wszystko zapłacę. Używaj mojego konta. Zadzwoń do banku i załatwię ci wszelkie pełnomocnictwa.

— A jeśli zechcę jeszcze raz zobaczyć pańską kolekcję?

— Poinstruuję roboty, aby dopuszczały cię do tych pokoi o każdej porze dnia i nocy. Ale możesz oglądać tylko kolekcję. Do reszty domu masz wstęp wzbroniony. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

— Tak, panie Abercrombie.

— I jeszcze jedno.

— Tak?

— Jest taki facet nazwiskiem Venzia, który tamtego wieczora licytował obraz Kilcullena do trzystu pięćdziesięciu tysięcy kredytów i pewnie posunąłby się dalej, ale miał jakieś kłopoty z kartą kredytową. Spróbuj się dowiedzieć, dlaczego chciał kupić to płótno.

— Może także jest zakochany w twarzy modelki — zasugerowałem.

— Wątpię.

— Mogłbym spytać skąd ta pewność?

— Ponieważ od początku nie robiłem żadnego sekretu z mojej kolekcji, a ten facet nigdy wcześniej nie wyraził zainteresowania którymkolwiek z moich dzieł.

— Zbadam tę sprawę, panie Abercrombie — zapewniłem go.

— Zrób to — powiedział i odprawił mnie.

W ten oto sposób przestałem pracować dla Tai Chong, która współczuła wszystkim rasom i wstąpiłem na służbę do Malcolma Abercrombiego, który w tym samym stopniu nie cierpiał wszystkich ras, jak mi się wydaje, łącznie z własną.

4

Moja droga Matko Wzorcowo!

W ciągu ostatnich sześciu tygodni, które spędziłem na służbie u pana Malcolma Abercrombiego zdarzyło się całe mnóstwo ważnych rzeczy, więc teraz, kiedy wreszcie wróciłem na Odległy Londyn, chciałbym zrelacjonować ci wszystkie te fakty wraz z najdrobniejszymi szczegółami.

Najpierw jednak muszę ci opowiedzieć coś więcej o samym panu Abercrombiem, ponieważ mam wrażenie, że mój pierwszy opis jego osoby nieco cię przeraził.

Przekonałem się, że to naprawdę bardzo niezwykły człowiek. Początkowo myślałem, że jest rasistą. Myliłem się. Uczciwiej by-

łoby powiedzieć, że nie lubi żadnej rasy, włączając w to również ludzką. Ale teraz nie czuję się już nieprzyjemnie w jego towarzystwie, być może dlatego, że odnosi się do mnie z tym samym brakiem serdeczności, z którym traktuje wszystkich, nawet swoją własną wnuczkę.

Wbrew mojemu pierwszemu wrażeniu okazało się, że jest również zdolny do aktów wielkiej hojności i prawości, chociaż nie znosi, gdy mu się za nie dziękuje. Jeśli tylko próbuję, natychmiast staje się odpychająco gburowaty.

Chcąc lepiej uzmysłwić ci charakter mojego pracodawcy, opowiem o mojej podróży na Binder X, którą odbyłem, aby wykonać zlecenie mi przez niego zadanie.

Z Odległego Londynu do systemu Binder lata tylko jeden statek pasażerski na tydzień, ponieważ nasza planeta nie utrzymuje trwalszych kontaktów handlowych z Granicą Wewnętrzną. Kiedy zacząłem starania o przelot, powiedziano mi, że wszystkie miejsca drugiej klasy zostały już wykupione, a obcym (słowo to jest jakimś dziwnym terminem, którym ludzie określają nie ludzi, a przecież sam Człowiek jest „obcym” dla ponad miliona światów) nie wolno zajmować przedziałów pierwszej klasy. Mimo, że bez problemu mogłem zapłacić za takie miejsce, a ponad połowa z nich nie została w ogóle sprzedana, i tak nie udało mi się zakupić biletu. Poinformowałem o moich problemach pana Abercrombiego, a ten wykonał tylko jeden telefon i nagle dostałem nie tylko przedział, ale aż dwupokojowy apartament! Był to taki akt hojności, że nigdy później nie mogłem zdobyć się na odwagę, by powiedzieć mojemu dobroczyńcy, iż w chwili, gdy statek wystartował, natychmiast opuściłem swoją kwaterę, i większą część podróży spędziłem w korytarzu drugiej klasy, w towarzystwie innych nie ludzi. Jeśli pan Abercrombie nie

może pojąć nawet koncepcji Domu, to jak mógłby zrozumieć, czym jest dla mnie ciepło i bezpieczeństwo Gromady?

Kiedy podziękowałem mu wylewnie za oszczędzenie mi upokorzenia, odpowiedział, że jestem jego pracownikiem i że poczuł się tak, jakby to jego samego znieważono. Wcale nie oburzyło go traktowanie obcych jak istot gorszego gatunku. Myślę, że w gruncie rzeczy absolutnie się z takim postępowaniem zgadza i całym sercem je popiera, nie życzy sobie tylko, aby odnoszono się w ten sposób do jego służącego, nawet jeśli tym służącym jest ktoś taki jak ja.

Doprawdy, pan Abercrombie jest człowiekiem pełnym sprzeczności. To jeden z najlepiej sytuowanych ludzi na Odległym Londynie i może sobie kupić dosłownie wszystko, czego tylko zapragnie, a jednak chyba wcale nie odczuwa radości z własnego bogactwa. A ponieważ jego wiedza o sztuce jest, delikatnie mówiąc, ograniczona, wydał już na różne kiepskie obrazy znaczną część swojej fortuny.

Albo inna sprawa: podczas gdy większość ludzi wzbrania się przed używaniem robotów albo niehumanoidalnych asystentów i pracowników, obawiając się kradzieży ze strony pierwszych i czując pogardę wobec drugich, dom pana Abercrombiego jest prowadzony przez trzy roboty, a ja otrzymałem prawo swobodnego dostępu do jego całej kolekcji.

Pan Abercrombie przekazał też olbrzymi datek tutejszemu szpitalowi w imieniu jednego ze swych zmarłych synów, chociaż absolutnie nie ufa lekarzom i woli cierpieć z powodu niezmiernie bolesnego guza w części lędźwiowej kręgosłupa niż poddać się operacji. Odmawia również rozmowy na temat drugiego zmarłego syna, a jestem prawie całkowicie pewien, że bardzo go kochał. Za to niemal bez przerwy mówi o córce i wnuczce, chociaż

obu — czego już naprawdę nie mogę pojąć — szczerze nienawidzi. Wydaje tysiące kredytów na utrzymanie swoich ogrodów, a nigdy nie widziałem, żeby się choć po nich przechadzał. Nawet nie spogląda na nie z okna.

Do mnie odzywa się przeważnie w wielce obraźliwy sposób, a mimo to jestem przekonany, że nikomu innemu za nic w świecie nie pozwoliłby tak się do mnie zwracać, przynajmniej dopóki jestem u niego na służbie. Płaci mi tyle, że zaledwie starcza mi na utrzymanie, chociaż wiem, że zawarł hojne umowy zarówno z Galerią Claiborne, jak i z Domem Crsthionn. W jego domu zalegają ogromne zapasy wina, whisky i innych ludzkich trunków, ale nigdy nie widziałem, żeby z nich korzystał. Z pewnością nie trzyma ich też dla gości, ponieważ absolutnie nikt u niego nie bywa.

Właściwie pan Abercrombie nie posiada prawdziwej biblioteki z książkami czy taśmami, zresztą w domu nie ma niczego, co chociaż w przybliżeniu wiązałoby się z jakąś formą rozrywki. Pomimo to opuszcza dom niezwykle rzadko, woli śledzić na monitorach jak rośnie jego kapitał i wydawać polecenia komputerom.

Z uporem powtarza, że w ogóle nie obchodzą go obce rasy, a przecież kiedy tylko wspomnę Bjornnów, zawsze zadaje mi masę pytań. Zauważyłem, że szczególnie interesuje go struktura Domu, ale — jak mi się wydaje — zupełnie nie jest w stanie zrozumieć, że to Wzorzec definiuje Dom, a nie odwrotnie. Wszystko, co powiedziałem mu o Matce Wzorcowej i matce rodzonej najpierw go zdziwiło, a potem uraziło i chociaż sam pogardza towarzystwem własnej córki, nie może pojąć, dlaczego nic mnie nie łączy z moją rodzicielką. Jest wściekły, że jego córka poślubiła mężczyznę, którego nie aprobował, co jest zupełnie zrozumiałe, a

jednocześnie zaskakuje go fakt, że nie widzę absolutnie nic złego w tym, że Dom wybrał mi Wzorcową Małżonkę, kiedy jeszcze byłem dzieckiem.

Najbardziej jednak fascynująca jest chyba jego obsesja na punkcie kobiety, która prawdopodobnie w ogóle nigdy nie istniała, a jeśli nawet istniała, to i tak nie żyje już od przynajmniej siedmiu tysięcy lat.

Prawdę mówiąc, właśnie z powodu tej obsesji pan Abercrombie zatrudnił mnie, powierzając podwójną rolę agenta do spraw zakupu obrazów przedstawiających tę dziwną postać i znawcy dzieł sztuki.

W ramach mojego pierwszego zadania musiałem polecieć na Binder X i tam zdobyć hologram tej frapującej kobiety. Podróż trwała pięć monotonnych dni; w tym czasie poznałem wielu Declanitów i Darbeenanów, którzy mieli do załatwienia na Binderze sprawy swoich odległych planet.

Gdy wreszcie dotarłem do celu, całe dwa dni zajęło mi odszukanie hologramu i dotarcie do jego właścicielki, kobiety o nazwisku Hannah Comstock. Pamiętałem, że to nie ona nabyła go podczas aukcji, w której brałem udział kilka lat temu, najwyraźniej więc odkupiła go bezpośrednio od tamtego kolekcjonera.

Na planetach Granicy Wewnętrznej nastawienie wobec nie-ludzi jest znacznie bardziej przyjazne i dlatego pani Comstock bez wahania zaprosiła mnie od razu do swego domu, który znajdował się około pięciu mil od centrum Fortu Rodriguez, najmnijszego z pięciu miast Bindera X.

Zaraz na wstępie wyjaśniłem pani Comstock cel mojej misji — powiedziałem, że zostałem upoważniony przez Malcolma Abercrombiego do nabycia w jego imieniu hologramu. Właścicielka najpierw kategorycznie odmówiła, twierdząc, że lubi to

dziełko za bardzo, aby kiedykolwiek chciała się go pozbyć, ale po krótkim namyśle podała wreszcie cenę, która moim zdaniem przynajmniej o połowę przewyższała wartość portretu. Natychmiast przekazałem tę informację mojemu pracodawcy, a on skontaktował się z panią Comstock osobiście i sfinalizował transakcję w czasie, gdy spałem w swoim hotelu.

Następnego ranka poszedłem do domu pani Comstock, aby odebrać hologram i przy okazji wypytać o jego historię. Okazało się jednak, że nie ma na ten temat najmniejszego pojęcia, a dziełko kupiła wyłącznie ze względu na autora — Petera Klipsteina. Nazwisko tego człowieka było mi całkowicie obce, więc wyjaśniła mi, że to właśnie on odkrył system Corvus i że koloniści uważają go za wielkiego bohatera. Kilka lat temu doszła do wniosku, że nazwisko Klipsteina może za jakiś czas uczynić hologram dość cennym, przynajmniej dla kolonistów Corvusa, i nabyła go w ramach długoterminowej inwestycji.

Zapytałem, czy słyszała o jakichś innych hologramach Klipsteina. Zaprzeczyła i dodała jeszcze, że była naprawdę zaskoczona, kiedy dowiedziała się, iż stworzył w ogóle ten jeden. Była tak zdziwiona, że zanim go kupiła, poprosiła o potwierdzenie autentyczności.

Ponieważ statek na Nową Rodezję, która była moim następnym portem przeznaczenia, odlatywał dopiero następnego dnia, zaszedłem do lokalnej biblioteki i poleciłem głównemu komputerowi, aby znalazł dla mnie dane biograficzne Petera Klipsteina. Okazało się, że napisano o nim ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia siedem pełnych biografii. Kazałem więc komputerowi dokładnie wszystko przeczytać i sporządzić dla mnie streszczenie o długości dziesięciu tysięcy słów. Skłóć to dossier jeszcze bardziej i przedstawię ci teraz tylko najważniejsze

fakty z biografii tego człowieka.

Peter Klipstein należał do związanych z rządem Korpusów Pionierskich, które zajmowały się sporządzaniem map i poszukiwaniem nowych światów nadających się do zaludnienia. Było to we wczesnych latach Republiki, a więc jakieś dwadzieścia pięć wieków temu. (Korpusy powstały na początku ery galaktycznej, przeżyły i Republikę, i Demokrację i zostały rozwiązane natychmiast po nastaniu Oligarchii, czyli jakieś czterysta lat temu.)

Po wyrysowaniu map sześciu różnych systemów gwiazdnych, Klipstein przybył do układu Corvus, gdzie sam odkrył jeden zamieszkały świat — Corvus II i nadzorował badania drugiego — Corvusa III.

Kiedy w wieku czterdziestu siedmiu lat przeszedł na emeryturę, osiadł właśnie na Corvusie III. Nabył tam ogromną, nieurodzajną posiadłość i żył w niezrozumiałej izolacji, z dala od rodziny i przyjaciół. Demokracja nie była w stanie utrzymać siłą wszystkich podbitych przez siebie światów Granicy, więc kiedy na Corvus III napadli Kłokanni, Flota nawet nie próbowała zbrojnie wspomóc kolonistów. Planeta została zdobyta w niecałe trzy dni i wtedy właśnie Klipstein zaczął działać jako samotny sabotażysta i terrorysta, czym w końcu zmusił Kłokannów do opuszczenia Corvusa III. Wówczas bohaterowi zaproponowano stanowisko gubernatora tej planety, którą na jego cześć nazwano Klipstein. Odmówił, wrócił do swojej posiadłości i tam samotnie dożył późnej starości. W biografiiach nie było żadnych wzmianek na temat jego osiągnięć artystycznych, więc doszedłem do wniosku, że musiał mieć minimalny dorobek — wprawdzie hologram modelki został wykonany tylko przy pomocy zwykłego komputera, to jednak ostateczny rezultat był na tyle frapujący, że gdyby Klipstein wyprodukował więcej takich

dzieł, z pewnością zdobyłby na tym polu jakiś rozgłos.

Poza nabyciem znanych mi portretów kobiety, którą pan Abercrombie tak bardzo się zafascynował, otrzymałem także drugie zadanie — w miarę możliwości odnaleźć wszystkie dzieła sztuki, w których pojawia się jej postać. Ponieważ ciągle pozostawało tajemnicą, dlaczego ukazywała się w rozmaitych dziełach, powstałych w odstępach setek i tysięcy lat, w światach odległych o biliony mil, miałem nadzieję, że może uda mi się wyjaśnić tę zagadkę, gdy się dowiem, co — jeśli w ogóle coś — łączyło wszystkich portretujących ją artystów. Poinstruowałem więc główny komputer biblioteki, by porównał biografię Klipsteina ze znanymi faktami z życia Christophera Kilcullena, malarza, którego obraz z podobizną tajemniczej kobiety pan Abercrombie kupił ostatnio na aukcji na Odległym Londynie.

Odpowiedź była zniechęcająca. Klipstein umarł prawie dwa tysiące lat przed narodzinami Kilcullena. Żyli na planetach odległych o pięćdziesiąt pięć tysięcy lat świetlnych. Klipstein był odkrywcą i twórcą map, Kilcullen — zawodowym oficerem Floty. Żaden z nich nie studiował sztuk pięknych, ale podczas gdy hologram był chyba jedynym poważnym osiągnięciem artystycznym Klipsteina, Kilcullen miał wszelkie szanse zdobyć przed śmiercią malarską sławę. Klipstein był ateistą, Kilcullen — pobożnym członkiem jakiegoś mało znanego chrześcijańskiego kultu. Klipstein nigdy się nie ożenił i jego biografowie sugerowali, że może nawet żył w całkowitym celibacie, Kilcullen natomiast miał cztery żony, rozwiódł się z pierwszą i przeżył następne trzy. W gruncie rzeczy ich żywoty były tak odmienne, że udało mi się znaleźć tylko jedną jedyną cechę wspólną — każdy z nich w jakimś momencie swego życia walczył przeciwko przytłaczającej sile wroga, okazując chwalebna odwagę czy wręcz bohaterstwo.

Fakt ten doprowadził mnie do przekonania, że postać z obrazu nie istnieje realnie i jest prawdopodobnie wyobrażeniem jakiejś starożytnej bogini wojny. Jednakże komputer nie zdołał odszukać w mitologii ludzkiej żadnej ciemnowłosej bogini wojny. Wobec tego poleciłem mu, by ustalił, czy jakaś brunetka nie była przypadkiem założycielką albo ewentualnie świętą patronką Floty i ponownie otrzymałem odpowiedź negatywną, przy czym komputer oznajmił — co mnie zbytnio nie zaskoczyło — że walkę Klipsteina z trudem można zakwalifikować jako oficjalne działanie Floty.

Ostatnie godziny przed odlotem z Bindera X spędziłem w bibliotece, usilnie próbując znaleźć choćby jeden pozamilitarny punkt wspólny w życiu obu artystów, ale komputer wciąż upierał się, że nie ma żadnego.

W końcu musiałem odlecieć na Nową Rodezję i moje pytania pozostały bez odpowiedzi. Wsiadłem na mały pasażerski statek, na którym szczęśliwie wśród pasażerów było wielu nie ludzi, więc bez kłopotów spędziłem większość podróży w ich towarzystwie. Na małym, osadniczym świątku Morioth II przesiadłem się na inny statek i pozostałą część podróży zniosłem o wiele gorzej, ponieważ oprócz mnie leciało nim tylko sześciu pasażerów — pięciu ludzi i jeden Canphoryta — którzy w ogóle nie opuszczali swoich przedziałów. Zanim wyładowaliśmy, doszedłem do wniosku, że Klipstein musiał być kompletnie szalony, ponieważ żadna zdrowa na umyśle istota nie zamieszkałaby z własnej woli z dala od ciepła i bezpieczeństwa, jakie daje towarzystwo innych członków własnej rasy.

(Prawdę mówiąc, moja szacowna Matko Wzorcową, zaświtała mi nawet w głowie myśl, że naszą galaktyką włada rasa niespełna rozumu, no bo kto z wyjątkiem ludzi tak bardzo miłuje

przerażające pojęcie prywatności? Oczywiście, nie wypowiedziałbym tego głośno w obecności któregoś z nich.)

Nowa Rodezja to urzekająco piękna planeta, cała w zieleni i błękitach. Jej północny kontynent składa się prawie w całości z gęsto pokrytych lasami gór, a dwa południowe lądy, płaskie i poprzecinane setkami rzek, stanowią idealny teren do uprawy ziemi. Światek ten zawarł niezwykle korzystną umowę handlową z siostrzaną planetą Nowe Zimbabwe, która znajduje się w odległości około siedmiu lat świetlnych: Rodezja w zamian za metale i surowce radioaktywne dostarcza jej zboże i mięso. Ponadto obie planety wspólnie dysponują swoimi zasobami naturalnymi i zgodnie współpracują ekonomicznie, występując jako jedność w kontaktach handlowych z innymi światami Oligarchii.

W porcie kosmicznym czekał już na mnie lodinicki ambasador (na Nowej Rodezji ze wszystkich światów nie ludzi swoje ambasady miały tylko Lodin XI, Canphor VI i VII oraz Galaheen IX). Dzięki jego pomocy w niecałą godzinę ustaliłem, kto jest właścicielem obrazu, którego szukałem.

Nowa Rodezja jako planeta z gruntu rolnicza jest o wiele słabiej zaludniona niż Nowe Zimbabwe, gdzie mieszka prawie osiemdziesiąt procent ludności tej intrygującej spółki gospodarczej. Ambasador ostrzegł mnie, że Nowi Rodezjanie są nastawieni do obcych nieco bardziej ksenofobicznie niż obywatele większości światów Granicy i faktycznie, mimo jego usługowej pomocy, cały dzień zajęło mi pokonywanie przesadnej liczby kontroli i wypełnianie niezliczonej ilości formularzy, zanim pozwolono mi wreszcie opuścić port kosmiczny i kontynuować misję.

Człowiekiem, którego szukałem okazał się Orestes Minneola, emerytowany dietetyk, który zajmował luksusowe mieszkanie w Salisbury, położonym około dwieście mil na zachód od portu

kosmicznego mieście, pełnym nieustannie spieszących się dokądś istot. Zaprosił mnie do głównego salonu i potraktował uprzejmie, ale moja obecność wyraźnie go deprymowała. Kiedy przedstawiłem mu cel swojej wizyty, najpierw pozwolił mi obejrzeć wiszący w sąsiednim pokoju obraz, a zaraz potem oświadczył, że nie sprzeda go, ponieważ ma dla niego pewną sentymentalną wartość. Zasygnalizowałem więc mimochodem, że pan Abercrombie może zapłacić za to dzieło dość znaczną sumę, ale nadal pozostał nieugięty.

W końcu, kiedy przekonał mnie, że nie chodzi mu o podbicie ceny i że naprawdę nie ma zamiaru rozstawać się z obrazem, spytałem go, jaka jest właściwie przyczyna tego szczególnego przywiązania. Odparł, że twórca dzieła, Rafael Jamal, należy do jego ulubionych bohaterów, a praca nad tym płótnem prawdopodobnie zajęła mu ostatnie lata życia.

Wydawało się to potwierdzać moje podejrzenie, że kobieta z obrazów może rzeczywiście mieć związek z jakimś starożytnym mitem wojennym, więc spytałem pana Minneolę, czy Jamal walczył w szeregach Floty lub był samotnym bojownikiem. Mój rozmówca zmieszał się i w końcu wymruczał, że nic nie wie o wojskowej karierze Jamala.

Wtedy z kolei ja się speszyłem, ponieważ dotąd wydawało mi się, że na tytuł bohatera można zasłużyć wyłącznie poprzez udział w jakichś militarnych operacjach. Pan Minneola stwierdził ostrożnie, iż jestem w błędzie, wyszedł z pokoju i po chwili wrócił z albumem plakatów cyrkowych z różnych stron Galaktyki. Wyznał, że od dawna jest stałym bywalcem cyrków i zapalonym badaczem ich historii. Długo kartkował książkę, aż wreszcie znalazł barwny, amatorsko wykonany plakat. Przedstawiał bardzo młodego, atletycznie zbudowanego mężczyznę w obci-

słym, pokrytym cekinami kostiumie, bujającego się na przyrządzie zwanym trapezem. Był to właśnie Jamal, w opinii pana Minneoli jeden z najświetniejszych akrobatów cyrkowych. Jego popisowym numerem był wykonywany na dużej wysokości przeskok z jednego trapezu na drugi z pięciokrotnym obrotem w powietrzu. W trakcie skoku Jamal nigdy nie korzystał z siatki zabezpieczającej. Jego kariera zakończyła się tragicznym wypadkiem, w wyniku którego został sparaliżowany od pasa w dół. Jakies cztery lata później Jamal umarł.

Podziękowałem panu Minneoli za czas, który zechciał mi uprzejmię poświęcić, i ruszyłem na poszukiwania jakiegoś hotelu, co okazało się niełatwym zadaniem. Wprawdzie w większości odwiedzonych przeze mnie hoteli były wolne miejsca, ale obowiązywał też zakaz przyjmowania obcych. W końcu znalazłem miejsce w zrujnowanym zajeździe na peryferiach tego, co osadnicy nazywali Dzielnicą Tubylców (choć na Nowej Rodezji nie było żadnej inteligentnej rasy tubylczej i uznałem tę nazwę za eufemistyczne określenie getta), i zawiadomiłem pana Abercrombiego, że odszukałem obraz, ale jego właściciel za żadną cenę nie chce się z nim rozstać. Wiadomość ta zupełnie nie zniechęciła mojego pracodawcy, wręcz przeciwnie — raczej go podnieciła. Jak większość ludzi najbardziej miłował te rzeczy, o które musiał walczyć.

W drodze powrotnej na stacji orbitalnej Pellinath IV miałem się przesiąść na inny statek, ale w ostatniej chwili musieliśmy skierować się na Pico II, gdyż parę dni wcześniej Bellami — jedyna inteligentna rasa Pellinathu — odmówili włączenia się w gospodarczy system Oligarchii i Flota wtargnęła właśnie na ich planetę, siłą próbując ich przekonać, by rozważyli tę decyzję ponownie. Wszystkim ludziom i przedstawicielom ras współpra-

cujących z Oligarchią zakazano przebywania w tej strefie i zmuszony byłem czekać na Pico II całe trzy dni, zanim Bellumi wreszcie się poddali.

Chociaż uznałem ponury krajobraz i czynne wulkany planety za niezmiernie fascynujące, powiedziano mi, że Oligarchia uważa Pico II za pomniejszy, mało ważny peryferyjny światek. Sławny był jedynie dlatego, że ponad dwa tysiące lat temu przez krótki czas więziono tu słynnego przestępcę Santiago. Planeta była wtedy dość słabo zaludniona i tale pozostało do dziś.

Odwiedziłem lokalną bibliotekę i poprosiłem komputer o dane biograficzne Rafaela Jamala. Kazałem mu zwrócić szczególną uwagę na ewentualne wojskowe epizody w życiu cyrkowca. Urządzenie przeszukiwało swoją pamięć przez prawie trzy minuty, po czym odpowiedziało, iż jedyną informacją jaką znalazło na temat Jamala jest króciutka wstawka o jego wypadku z kroniki telewizyjnej. Zasugerowałem, że może warto by się podłączyć do większego komputera na Pellinath IV albo na innym pobliskim świecie, ale zostałem poinformowany, że opłata za zużycie tak dużej ilości energii na tej biednej energetycznie planecie jest niezwykle wysoka, więc zamiast tego zacząłem sprawdzać nazwiska artystów z kolekcji Abercrombiego.

Pierwszych siedmiu rzeczywiście służyło w wojsku, ale ósmy nie, a gdy komputer doszedł do dziewiętnastego nazwiska, było już pięciu twórców, którzy zdawali się nie posiadać żadnych związków z armią. Wciąż jednak nie chciałem rozstawać się z moją teorią, mówiącą, że kobieta jest związaną z wojskiem postacią ze starożytnego mitu, i zleciłem maszynie, by ustaliła, czy tych pięciu brało udział w jakichś nieoficjalnych działaniach partyzanckich, ale po namyśle stwierdziłem, że i tak musiałbym poczekać z tym na dostęp do komputera Odległego Londynu i

dałem za wygraną.

Kiedy okazało się, że nasz pobyt na Pico II potrwa dłużej niż kilka godzin, zdecydowałem się spędzić resztę popołudnia w Sali Białych Kruków. Znalazłem tam wiele prawdziwych, oprawionych w skórę książek z papieru, a ponieważ nigdy przedtem nie byłem w takim miejscu, wybrałem kilka ciężkich starych tomisk na temat ludzkich sztuk plastycznych, zamknąłem się w kabinie w sektorze dla obcych i zacząłem kartkować książkę poświęconą modernistycznym krajobrazom kosmicznym. Godzinę później, mniej więcej w połowie tomu, niespodziewanie natknąłem się na kolejny portret nieznaney kobiety Abercrombiego.

Jak zawsze ubrana była na czarno, a śliczną regularność rysów jej twarzy podkreślał wyraz bezmiernego smutku. Szybko sprawdziłem stosowne dane i dowiedziałem się, że portret ten został namalowany na Ziemi w 1908 roku po Chrystusie, w państwie zwanym Ugandą. Autorem był naturalista, Brian McGinnis, który wstąpił się wcześniej odkryciem dwóch rzadkich gatunków orchidei, rosnących na stokach góry wulkanicznej; przed portretem kobiety namalował tylko serię pastelii przedstawiających właśnie te kwiaty.

Na ekranie pojawił się zarys biografii McGinnisa. Artysta urodził się w państwie o nazwie Szkocja, studiował botanikę i biologię, spędził cztery lata w wojsku, po czym w wieku dwudziestu ośmiu lat wyjechał do Ugandy, dzikiego i prymitywnego kraju w Afryce. Opublikował siedemnaście prac monograficznych, z tego trzynaście na temat orchidei, trzy o faunie Ugandy i jedną na temat formacji wulkanicznych. Zmarł na nieznaną chorobę w roku 1910 po Chrystusie, w wieku lat trzydziestu sześciu.

Przeanalizowałem wszystkie informacje uzyskane na temat

czterech artystów, ciągle przekonany o słuszności mojej teorii. Gdyby okazało się, że Jamal jednak służył w wojsku, byłaby to jeszcze jedna cecha wspólna poza faktem, iż wszyscy czterej mężczyźni przenieśli na płótno albo hologram tę samą kobietę. Byłem pewny, że kiedy dostanę się do komputera Odległego Londynu, moje domysły na temat militarnej działalności Jamala w pełni się potwierdzą.

Poprosiłem komputer biblioteczny, aby ustalił, gdzie aktualnie znajduje się obraz McGinnisa, ale nie był w stanie mi pomóc. W pamięci nie było też żadnych informacji o Reubenie Venzii, mężczyźnie, o którym pragnął się czegoś dowiedzieć pan Abercrombie. Prawdę mówiąc, nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie z Pico II nigdy nie zdecydowali się zakupić lepszego komputera do swojej biblioteki.

W końcu wróciłem do pokoju i postanowiłem zadzwonić do pana Abercrombiego, aby przekazać mu nowe wiadomości, ale hotelowy przekaźnik podprzestrzeni nie miał odpowiedniej mocy, aby skontaktować się z Odległym Londynem. Mogłem spróbować połączyć się przez Zartaska i Gamma Leporis IX, stosunkowo najmniej skomplikowaną drogą okrężną, jednak koszt tej operacji był tak wielki, że zdecydowałem się poczekać do powrotu na Odległy Londyn i dopiero wtedy poinformować mojego pracodawcę o ostatnim odkryciu.

Resztę czasu na Pico II spędziłem w bibliotece, badając jeden po drugim tomy o sztuce, w nadziei odszukania kolejnej podobizny tajemniczej kobiety, ale niczego nie znalazłem, a kiedy wreszcie oznajmiono, że Flota ujarzmiła Bellumów, wróciłem na statek i kontynuowałem podróż powrotną na Odległy Londyn.

Od razu po wylądowaniu udałem się do domu pana Abercrombiego i ku swojemu zaskoczeniu ujrzałem obraz Jamala

zawieszony już w galerii. Wyraziłem swoje ogromne zdziwienie, że udało mu się zdobyć go tak szybko, mimo iż pan Minneola za żadne skarby nie chciał się z nim rozstać, na co milioner odpowiedział mi triumfalnym tonem: „Kiedy czegoś chcę, zawsze to dostaję”. Dodał jeszcze, że musiał mu kupić „niemal cały cholerny cyrk na własność”. Przytaczam tu dokładnie słowa pana Abercrombiego i przepraszam za ich wulgarność. Wyglądało na to, że pośrednik milionera jakoś przedostał się z obrazem przez blokadę Floty i dzięki temu malowidło wisało teraz przed moimi oczyma.

Pan Abercrombie niezwykle się podniecił, kiedy wspomniałem mu o obrazie McGinnisa i polecił mi go odnaleźć bez względu na koszty. Kiedy mu powiedziałem, że nie wiem, od czego zacząć i zasugerowałem, iż obraz, który nigdy nie był sławny, a stworzony został sześć tysięcy lat temu, może równie dobrze już w ogóle nie istnieć, mój pracodawca prawie wpadł w furję. Obrzucił mnie obelżywymi wyzwiskami, twierdząc, że próbuję sabotować jego próby skompletowania kolekcji i zażądał, abym natychmiast opuścił jego dom i wrócił do pracy.

Muszę dodać, że poza głodem prywatności, o którym wspomniałem już wcześniej, pana Abercrombiego cechuje dość często spotykana u ludzi rzecz — obsesja. Być może jest to jednak tylko dodatkowy objaw ich psychicznej niestałości.

Ta kobieta bez wątpienia nigdy nie istniała. Nie powinna mieć dla pana Abercrombiego najmniejszego znaczenia. Nigdy żaden sławny artysta nie namalował jej portretu. A jednak mój pracodawca wydał znaczącą część swojego majątku na zakup jej podobizn i jestem przekonany, że gdyby pan Minneola naprawdę nie chciał sprzedać swojego obrazu, pan Abercrombie nie zawahałby się go ukraść. I wszystko to z powodu jakiejś

brunetki o bardzo smutnej twarzy.

Muszę jednak przyznać, że sama modelka w istocie stanowi frapującą tajemnicę. Jak to bowiem możliwe, by ludzie oddzieleni od siebie o dziesiątki wieków i setki tysięcy lat świetlnych uwiecznili tę samą osobę? Dlaczego nigdy nie została namalowana przez żadnego mistrza? Z jakiego właściwie powodu nigdy nie uwiecznił jej ani jeden przedstawiciel innej rasy niż ludzka? Dlaczego nigdy się nie uśmiecha i ubiera się tylko na czarno? No i co mogli mieć z sobą wspólnego wszyscy ci mężczyźni, którzy ją malowali, poza tym, że angażowali się w różne zbrojne konflikty? Czy coś przeoczyłem? Aha, kim ona tak naprawdę jest i co dla nich reprezentuje? I dlaczego nigdy w tytule portretu nie występuje jej imię?

Rozważam te fascynujące problemy bez przerwy i cieszę się, że jestem Bjornnem, a nie człowiekiem, ponieważ wtedy również mógłbym stać się ofiarą obsesji.

Jak zwykle życzę za twoim pośrednictwem pomyślności Domowi i bezpieczeństwa Rodzinie.



Twój oddany Syn Wzorcowy.

Wszedłem do lokalnej filii biblioteki, przedstawiłem się głównemu bibliotekarzowi i poczekałem aż sprawdzi, czy pan Abercrombie naprawdę zapłaci za czas pracy komputera. Po chwili zaprowadzono mnie do jednej z wielu małych kabin, z których składał się Dział Zagraniczny (w rzeczywistości była to po prostu sekcja przeznaczona dla nie ludzi).

Dział był dość zatłoczony i uczucie niepokoju, które prześladowało mnie w drodze z hotelu do biblioteki stosunkowo pustymi ulicami Odległego Londynu, szybko ustąpiło i kiedy uaktywniłem komputer, czułem się już całkowicie swobodnie.

— Dzień dobry — odezwał się nieco mechaniczny głos. — W czym mogę pomóc?

— Potrzebuję krótkiego zarysu biografii artysty cyrkowego o nazwisku Rafael Jamal — odparłem w stylu polecenia. — Interesują mnie zwłaszcza jego powiązania z wojskiem albo jakąś inną formą działalności militarnej.

— Co wolisz: odpowiedź ustną czy wydruk? — spytał komputer.

— A mogę dostać jedno i drugie? — zapytałem.

— Oczywiście, ale to będzie trochę więcej kosztować.

— Zgadzam się.

— Muszę mieć pewne dane wstępne — wyrecytował komputer. — Do jakiej rasy należy Rafael Jamal?

— Był człowiekiem — odrzekłem.

— Żyje? A jeśli nie, to kiedy żył?

— Żył w przybliżeniu trzysta pięćdziesiąt lat temu, w pierwszym wieku istnienia Oligarchii.

— Na jakiej planecie mieszkał?

— Nie wiem — przyznałem się — ale podejrzewani, że na Patagonii IV, ponieważ był inwalidą, kiedy tworzył tam swój obraz, a umarł krótko potem.

— Dziękuję — powiedział komputer. — Szukam w moich plikach bibliotecznych.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Teraz wchodzę do komputera publicznego na Patagonii IV — oznajmiło urządzenie.

Ekran ściemniał na jakieś dwadzieścia sekund, a potem znowu ożył.

— Patagonia IV nic jest już ludzką kolonią. Wchodzę teraz do plików Historycznych Spisów Ludności na Delurosie VIII.

Czekałem cierpliwie, aż w końcu komputer udzielił mi odpowiedzi:

— Jamal, Rafael — zaczął. — Prawdziwe nazwisko: Pedro Santini. Urodzony: 4503 r. e. g., zmarł: 4538 rok. Nieżonaty, umarł nie pozostawiając spadkobierców. Ostatecznie całe jego mienie zostało sprzedane na aukcji publicznej. Do ukończenia szesnastu lat mieszkał na Delvanii III, potem przyłączył się do Cyrku Pięciu Gwiazd braci Balabanów, gdzie pod nazwiskiem Rafael Jamal pracował jako akrobata do czasu, gdy na Patagonii IV w 4533 r. e. g. stracił władzę w nogach na skutek upadku z trapeza. Lewą nogę amputowano mu w 4536 roku.

— Co masz na temat jego służby w wojsku? — spytałem.

— Nigdy nie służył w wojsku.

— W takim razie musiał być przynajmniej świadkiem jakichś nieoficjalnych działań wojskowych — nalegałem.

— To niemożliwe — odparł komputer. — Zaraz po ukończeniu szkoły wstąpił do Cyrku Pięciu Gwiazd braci Balabanów i pozostał tam aż do dnia wypadku.

— Nic z tego nie rozumiem — zauważyłem.

— Jeśli mówię niejasno, mogę przetłumaczyć moją odpowiedź na tysiąc dwieście siedemdziesiąt trzy języki i dialekty inne

niż ziemski — zaoferował się komputer.

— Nie ma potrzeby — szepnąłem, pogrążając się w myślach. W końcu przyszło mi coś do głowy. — Mógłbyś sprawdzić, czy Delvania III przeżyła kiedyś atak wojskowy albo czy były tam jakieś zamieszki społeczne, w czasie gdy mieszkał tam Rafael Jamal?

— Sprawdzam... Nie.

— Czy Cyrk Pięciu Gwiazd braci Balabanów występował kiedykolwiek na jakimś świecie, który był ogarnięty wojną?

— Sprawdzam... Nie.

— Ależ musiał! — wykrzyknąłem zniecierpliwiony.

— Odpowiedź negatywna — odrzekł komputer. — Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

— Tak — stwierdziłem. — Mam tu czterech ludzi: Rafaela Jamalę, Briana McGinnisa, Petera Klipsteina i Christophera Kilcullena. Chcę, żebyś przejrzał ich życiorysy w plikach Historycznych Spisów Ludności na Delurosie VIII, a potem przeanalizował dane i powiedział mi, co ci mężczyźni mają z sobą wspólnego.

Znowu przeszedłem przez procedurę odpowiedzi na podstawowe pytania komputera, a potem czekałem, aż znajdzie niezbędne informacje.

— Analizuję — oświadczyło w końcu urządzenie.

Ułynęła cała minuta milczenia, a po tym nadzwyczaj długim czasie komputer miał już wszystkie dane, których potrzebowałem.

— Rafael Jamal, Brian McGinnis, Peter Klipstein i Christopher Kilcullen wszyscy należeli do rasy Człowiek — oznajmił komputer. — Wszyscy byli płci męskiej. Nie mogę znaleźć żadnych innych cech wspólnych.

— Jesteś zupełnie pewien? — spytałem.

— Nie popełniam błędów — odrzekł komputer. — Muszę ci

zwrócić uwagę, że dane dotyczące Briana McGinnisa są minimalne i pochodzą raczej z Ziemi niż z Delurosa VIII, ale ponieważ Rafaela Jamala, Petera Klipsteina i Christophera Kilcullena nie łączy nic poza rasą i płcią, dodatkowe informacje na temat Briana McGinnisa i tak nie mogłyby zmienić mojej odpowiedzi.

— Dziękuję — powiedziałem, wzdychając z rozczarowaniem. Tylko dla porządku przenalizowałem jeszcze biografie pozostałych artystów, których obrazy wisiały w domu Abercrombiego, ale komputer nic znalazł między nimi żadnych powiązań — nic łączyła ich ani służba w wojsku, ani w ogóle nic innego.

Po jakimś czasie przyszedł mi do głowy kolejny pomysł.

— Chcę, żebyś zanalizował obraz — rzuciłem. — Czy to możliwe?

— Tak — odparł komputer. — Gdzie mogę go znaleźć?

— Jego reprodukcja znajduje się w książce Brytania w Afryce: stulecie malarstwa, która została opublikowana na Ziemi w 1922 roku po Chrystusie. Prawdopodobnie istnieje jeszcze wiele innych egzemplarzy, jednakże ten, który widziałem znajduje się w bibliotece na Pico II. Obraz nie ma tytułu, ale w tej książce jest tylko jedno dzieło Briana McGinnisa.

— Zlokalizowałem egzemplarz wspomianej książki w głównej bibliotece Selici II; dostęp do niej będzie szybszy i mniej kosztowny niż na Pico II. Proszę chwilę poczekać, aż skopiują mi zawartość tekstu.

— Czekam — stwierdziłem.

Ekran pociemniał, a chwilę później znowu się rozświecił.

— Obraz Briana McGinnisa jest już w moim banku pamięci — oznajmiła maszyna. — Który fragment mam dla ciebie zanalizować?

— Kobietę — odparłem.

— Nie mogę ustalić tożsamości modelki ani znaleźć żadnych

danych na jej temat.

— Zupełnie możliwe, że nigdy nie istniała — powiedziałem. — Pojawia się na obrazach, hologramach i rzeźbach w całej Galaktyce przez ponad siedem tysięcy lat, a jej portrety wykonują najprawdopodobniej jedynie członkowie rasy ludzkiej.

— Urwałem. — Mam dostęp do obrazów i hologramów z prywatnych zbiorów Malcolma Abercrombiego. Możesz teraz przetrząsnąć swoją pamięć i sprawdzić, czy poza tą kolekcją są jeszcze jakieś inne dzieła sztuki z wizerunkiem tej kobiety?

— Tak.

— Jeśli uda ci się coś znaleźć — dodałem — dostarcz mi to w formie wydruku.

— Dobrze... Zaczynam poszukiwanie.

Ekran komputera znowu się ściemnił i pozostawał czarny tak długo, że w końcu uświadomiłem sobie swoje odosobnienie i samotność i zacząłem przechadzać się po bibliotece, wchłaniając ciepło i czerpiąc pociechę z bliskości innych istot, które się tam znajdowały. Po upływie pięciu minut wróciłem do pokoiku i musiałem odczekać jeszcze kolejne dziewięćdziesiąt sekund, zanim komputer wreszcie zaczął działać.

— Znalazłem siedem postaci, które przypominają interesującą cię kobietę — odezwała się maszyna. — Kiedy tylko będziesz gotowy, pojawią się na ekranie holograficznym po twojej lewej stronie.

— Wspaniale — powiedziałem, uzmysławiając sobie nagle własne podniecenie. — Zaczynaj.

W tej samej chwili na ekranie pojawiła się kobieca twarz o wystających kościach policzkowych i skośnych oczach.

— To jest statuetka przedstawiająca Prozerpinę, królową Świata podziemnego w mitologii rzymskiej — powiedział komputer. — Została stworzona przez Luciusa Piranusa w 86 roku po

Chrystusie.

Przyjrzałem się uważnie kobiecie. W układzie kostnym jej twarzy występowały pewne podobieństwa i jej włosy mogły być czarne (choć coż można stwierdzić po rzeźbie?), ale oczy miała zbyt małe i uśmiechała się, podczas gdy ta, której szukałem, zawsze wyglądała, jakby trawił ją jakiś tajemny, wewnętrzny smutek.

— Nic — stwierdziłem rozczarowany. — To nie ta sama kobieta. Pokaż następną.

Kolejna twarz pojawiła się na ekranie i tym razem nie miałem nawet cienia wątpliwości, że jest to oblicze istoty, której szukałem.

— To jest wyobrażenie Kamy-Mary, dwoistego ducha erotycznego pożądania i śmierci, który podobno skusił Buddę podczas medytacji. Artysta nieznan. Datę powstania ryciny szacuje się w przybliżeniu na 707 rok po Chrystusie.

— To ona — ucieszyłem się. — Ale jeśli jest duchem hinduskim, dlaczego nie ma hinduskich rysów?

— Mam za mało danych, aby odpowiedzieć na twoje pytanie — odparł komputer. — Mogę kontynuować?

— Tak, proszę.

Pojawił się następny obraz; był tak realny, że prawie poczułem smutek, który z niego emanował. I to znowu była ona!

— Wizerunek Mictecaciuatl, pani śmierci w mitologii meksykańskiej. Artysta nieznan, obraz wykonany w 1744 po Chrystusie.

— Proszę dalej — rzuciłem pospiesznie. Mój entuzjazm powrócił.

Znów ujrzałem jej twarz, ale tym razem był to hologram.

— Dzieło bez tytułu Wilsona Deversa, myśliwego, który polował na wielkie dzikie zwierzęta na Greenveltd; powstało w 718

r. e. g.

Trzy kolejne obrazy pochodziły z Ziemi, Spicy II i Northpoint i każdy z nich był kopią tajemniczej kobiety Abercrombiego.

— To są wszystkie wizerunki, które odnalazłeś? — spytałem, kiedy ostatni zniknął z ekranu.

— Tak, nie posiadam w pamięci żadnych innych jej portretów — odparł komputer. — Ale istnieje możliwość, że została przedstawiona w dziele abstrakcyjnym lub że jej twarz została w jakiś sposób zdeformowana i nie mogę jej zidentyfikować.

— Rozumiem — stwierdziłem. — Możesz dać mi krótki zarys biografii tych artystów?

— Luciusa Piranusa też?

— Nie — odrzekłem. — Chwilowo zostawmy tę statuetkę w spokoju.

— Dwóch artystów nieznanymi — zaczął komputer. — Wilson Devers, urodzony w 678 r. e. g. na Karolu Wielkim, przeprowadził się na Greenveldt w 701 roku. Licencję uzyskał rok później i pozostał zawodowym myśliwym aż do swojej śmierci w roku 723.

— Czy kiedykolwiek służył w wojsku? — spytałem.

— Nie.

— W jaki sposób umarł?

— Został zabity przez klienta zabłąkaną kulą dźwiękową. Mogę mówić dalej?

— Tak, proszę.

— Barien Smythe, urodzony w 3328 r. e. g. na Syriuszu V, przeniósł się na Spicę II w 3334 roku... — Komputer zamilkł na chwilę. — Oficjalnie był projektantem statków kosmicznych, ale mam dostateczną ilość danych, aby przypuszczać, że tak naprawdę był zatrudniony przez konkurencyjny kartel i trudnił się szpiegostwem przemysłowym. Zmarł w 3355 roku na skutek wybuchu, który zniszczył całą fabrykę.

— A pozostali dwaj? — spytałem.

— Milton Mugabe, urodzony na Ziemi w 1804 r. e. g., akwakulturalista specjalizujący się w hodowli rekinów, wielkich drapieżnych ryb żyjących w ziemskich oceanach. Zginął rozszarpany przez rekina w 1861 r. e. g. Drugi mężczyzna to Enrico Robinson, urodzony w 4201 r. e. g. W 4220 roku został zawodowym bokserem, zmienił nazwisko na Komańcz Niszczyciel w roku 4221; przeprowadził się na Northpoint w 4224, a zmarł w 4235 roku z powodu obrażeń odniesionych w jednej z walk.

— Czy ci artyści mają z sobą cokolwiek wspólnego? Jakies podobne przeżycie...? A może coś ich łączy z czwórką wspomnianą wcześniej?

— Nie.

— Odpowiedź nie zajęła ci zbyt dużo czasu — zauważyłem podejrzliwie.

— Przewidziałem twoje pytanie.

— Czy komputery to potrafią? — zapytałem z pewnym zaskoczeniem.

— Tak jestem zaprogramowany — odparł. — Chociaż, gdybyś nie zapytał, sam nie mógłbym ci powiedzieć.

— Rozumiem. Mogę dostać wydruki tych reprodukcji?

— Łącznie z rzeźbą Prozerpiny Piranusa?

— Tak — odrzekłem. — Czy w trakcie drukowania możesz podać mi dane biograficzne Luciusa Piranusa?

— Był pomniejszym artystą rzymskim. Urodzony w 43 roku po Chrystusie, przeniósł się na Kretę w roku 88, zmarł śmiercią naturalną w roku 111.

— Dziękuję.

— Mogę ci jeszcze jakoś pomóc? — spytał komputer.

Westchnąłem.

— Obawiam się, że w tej chwili raczej nie.

— Oczywiście zapamiętam twoją prośbę o inne portrety tej modelki i biografie artystów i jeśli będę sprawdzał pamięć komputerów innych bibliotek, poszukam przy okazji dalszych informacji.

— Bardzo ci dziękuję — powiedziałem.

— To tylko moja praca — odparł komputer.

— Poczekaj! — krzyknąłem, w ostatniej chwili przypominając sobie kolejne polecenie Abercrombiego. — Jest jeszcze jedna rzecz, o którą chciałbym cię poprosić.

— Tak?

— Potrzebuję dokładnego szkicu biograficznego Reubena Venzii.

— Czy mogę prosić o twój kod dostępu?

— Nic wiem, co to jest.

— Nie mogę podawać informacji o żyjących, poza oficjalnie uznanymi za osoby publiczne, nikomu kto nie dysponuje właściwym kodem dostępu.

— A możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie znajdę Venzię?

— Oczywiście. Siedzi dwieście sześćdziesiąt trzy stopy na północ od ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że jest tutaj? — krzyknąłem.

— Tak.

— Co robi?

— Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, zanim nie podasz swojego kodu dostępu — odparł komputer.

— Dziękuję — wymamrotałem. — To wszystko.

Ekran komputera zgasł, a ja zastanawiałem się, co Venzia może robić właśnie tu i teraz. W końcu opuściłem pokój, a kiedy przechodziłem przez Dział Zagraniczny, zobaczyłem, jak Venzia wstaje od stolika i również kieruje się do drzwi. Wpa-

dliśmy na siebie przy wyjściu.

— Leonardo, prawda? — zagadnął, wyciągając do mnie rękę. Przez moment tępo wpatrywałem się w jego dłoń, ponieważ żaden człowiek, z wyjątkiem Tai Chong, nigdy nie miał ochoty na najmniejszy nawet kontakt fizyczny ze mną. W końcu przypomniałem sobie, że jest to znak powitania i uściśnąłem rękę.

— Tak, zgadza się — odparłem w stylu osób równych rangą.
— A pan nazywa się Venezia. Przypominam sobie pana z aukcji sztuki.

— Mów mi Reuben — rzucił lekko. — Mogę ci postawić kawę?

— Mój organizm nie wchłania kawy — odrzekłem.

— No to zamówisz sobie coś innego — stwierdził Venezia. — Chciałbym z tobą porozmawiać.

— To bardzo miło z pańskiej strony, panie Venezia.

— Reuben — poprawił mnie.

— Reuben — powtórzyłem. — Muszę cię jednak poinformować, że jadam w restauracjach dla niepełnych.

— W porządku — powiedział beztrąsko, kierując się do wyjścia. — Chodźmy.

— Nigdy nie widziałem w nich żadnego człowieka — kontynuowałem.

— Niech tylko spróbują mnie nie wpuścić — mruknął.

— No więc dobrze.

— Nie widziałem cię prawie od dwóch miesięcy — zauważył, kiedy wyszliśmy na zewnątrz. — Byłeś za granicą?

— Tak — odparłem, wybierając jak zwykle chodnik, a nie ruchomą taśmę. — Chociaż zupełnie nie mogę dociec, z jakiego powodu mógłbyś chcieć się ze mną zobaczyć, nawet gdybym pozostał na Odległym Londynie. W końcu spotkaliśmy się prze-

cięż tylko jeden jedyny raz.

— Och, ludzie, których łączą zainteresowania zawodowe chcąc nie chcąc muszą na siebie czasami wpadać, zwłaszcza na tak słabo zaludnionej planecie jak Odległy Londyn. — Westchnął.

— Jak ci się podobała Nowa Rodezja?

Zatrzymałem się gwałtownie i odwróciłem do niego.

— Skąd wiesz, że byłem na Nowej Rodezji? — spytałem.

— Po prostu zgadłem — odparł. Wskazał ręką na chodnik.

— Możemy iść dalej?

Podążyłem za nim w milczeniu, roztrząsając jego ostatnią uwagę. Czułem na sobie zdziwione spojrzenia, które przyciągaliśmy, i było mi nieprzyjemnie. Kosmita w ludzkim świecie jest zawsze obiektem zainteresowania, a nierzadko nawet pośmiewiska, ale człowiek spacerujący w towarzystwie jednego z nas to coś tak niezwykłego, że gapie nawet nie próbują ukryć swojej niechęci i niesmaku. Było mi nieswojo i powiedziałem Venzii, że lepiej będzie, jeśli wyprzedzi mnie albo pójdzie za mną, bo wtedy nie będą się tak na nas gapić.

— Niech sobie patrzą — mruknął, wzruszając ramionami. — Dla mnie to bez różnicy.

— Nic denerwuje cię to? — spytałem.

— Dlaczego miałoby mnie denerwować? — odpowiedział pytaniem. — Jeśli nic mają w tej chwili nic lepszego do roboty, niech się gapią, proszę bardzo.

Szliśmy dalej, a ja zastanawiałem się nad jego odpowiedzią. Była typowo ludzka — cechował ją absolutny brak zainteresowania opinią innych istot i pomyślnością Gromady. Przeszliśmy dwa kwartały domów i znaleźliśmy się przed restauracją, w której regularnie się żywiłem. Wprowadziłem go do środka.

— Trochę tu brudno, nie uważasz? — skomentował. Popatrzył

na gołe stoły i mimowolnie zmarszczył nos w reakcji na mieszanekę zapachów, która nas zaatakowała. — Nie moglibyśmy pójść w jakieś przyjemniejsze miejsce? Stawiam.

— To prawda, że są przyjemniejsze lokale — przyznałem, gdyż widziałem po zachowaniu jedzących i kelnerów, że nawet tutaj wzbudzamy ogromne zainteresowanie — ale do żadnego z nich nie będzie mi wolno wejść. Poza tym, ta restauracja jest zwykle dość zatłoczona. To mnie podnosi na duchu.

— Lubisz tłum?

— Tak.

Wzruszył ramionami.

— Niech ci będzie. — Pomachał na kelnera. — Prosimy o stolik.

Podszedł do nas kelner, bladoniebieska trzynożna istota rasy Bemarkani.

— Czy jest pan absolutnie pewien, że chce pan zjeść właśnie tu, proszę pana? — spytał Venzię.

— Prawdę mówiąc, jestem absolutnie pewien, że nie chcę — odparł Venzia z miną wyrażającą wstręt — ale mój przyjaciel i ja prosiliśmy o stolik, więc nas do niego zaprowadź.

Nozdrza Bemarkaniego zaczęły się rozszerzać — u tej rasy to odpowiednik ludzkiego wrogiego spojrzenia — jak gdybym zniszczył dobrą reputację jego restauracji, przyprowadzając tu człowieka, a potem poprowadził nas do stolika na samym końcu lokalu, gdzie byliśmy niewidoczni od strony wejścia.

— Ten nie — powiedział Venzia, wskazując na stolik.

— Mogę spytać, dlaczego nie, proszę pana? — zdziwił się Bemarkani.

— Spójrz — zdenerwował się Venzia — to krzesło nie jest przeznaczone dla ludzi. Musiałbym mieć cztery stopy wzrostu i ogon, żeby się na nim dobrze usadowić. Zupełnie mi nie odpo-

wiada.

Bemarkani w milczeniu poprowadził nas do kolejnego stolika, również na końcu sali, a Venzia wytarł blat chusteczką, skinął głową i usiadł.

— Dużo lepiej to tu nie jest — zauważył — ale, do diabła, tu w ogóle nie ma wygodnych miejsc. — Przerwał. — Gdzie zwykle siadasz, Leonardo?

— Tam, gdzie mnie posadzą.

— Musi ci być czasem cholernie niewygodnie.

— Niestety — przyznałem.

— Więc dlaczego się na to zgadzasz?

— Są rzeczy, które to kompensują.

— Towarzystwo tłumu? Gdybyś nie pozwolił tak sobą pomiatać, czułbyś się o wiele lepiej. — Urwał. — Cóż, przywołajmy jeszcze raz naszego wesołego, uśmiechniętego kelnera i zamówmy coś wreszcie.

Wziąłem napój w postaci roztartej warzywnej papki z Sigma Draconis II, planety bardzo podobnej do mojej własnej, a Venzia poprosił o kawę. Niestety został poinformowany, że nie ma tu czegoś takiego i skończyło się na szklance wody.

— Ależ tu cuchnie — zauważył Venzia, kiedy kelner odszedł.

— Kuchnia zaspokaja potrzeby trzydziestu do czterdziestu różnych ras — wyjaśniłem. — Po pewnym czasie przywyka się do tej mieszanki zapachów.

— Miejmy nadzieję, że nie będziemy tutaj aż tak długo — stwierdził.

— Mogę spytać, po co w ogóle tu przyszliśmy?

— Ponieważ chciałbym się dowiedzieć, dlaczego interesują cię pewne obrazy — odparł.

— Nic widzę powodu, dla którego nie miałbym ci powiedzieć — stwierdziłem. — Wynajął mnie Malcolm Abercrom- bie, abym

pomógł mu zdobyć kilka dzieł sztuki, które chce dodać do swojej kolekcji.

— Dlaczego ty?

— Nic rozumiem?

— Spytałem, dlaczego wybrał akurat ciebie? — wyjaśnił Venzia. — Wiem trochę o Abercrombiem i wydaje mi się, że szybciej dałby sobie odciąć prawą rękę, niż poświęciłby choć chwilę obcemu.

— Widziałem wcześniej dwa obrazki, które pragnął mieć i zatrudnił mnie, abym odszukał ich właścicieli i nabył dla niego te malowidła.

— Coś nowego? — spytał Venzia, przypatrując mi się z uwagą.

— Słowo „nowy” jest w tym wypadku terminem względnym — odparłem.

— Z ostatnich dziesięciu lat?

— Nie. Najnowszy pochodzi z bardzo wczesnego okresu Oligarchii.

Venzia zapalił małe cygaro, całkowicie ignorując wrogie spojrzenia dwóch Teronich siedzących przy sąsiednim stoliku.

— Powiodło ci się? — spytał o wiele spokojniejszym tonem.

— Tak — odpowiedziałem. — Pan Abercrombie zdobył oba dzieła.

— A teraz poszukujesz kolejnych podobizn tej modelki. — Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Masz rację.

— No i dotarłeś tak daleko, jak tylko pozwoliła ci wiedza komputera bibliotecznego.

— Skąd wiesz, o co pytałem komputer?

Znowu się uśmiechnął.

— Powiedziałem mu, aby mnie zawiadomił, jeśli ktokolwiek

zacznie zadawać pytania na temat Mictecaciuatl i Kamy-Mary.

— Szpiegujesz mnie!

— Nie nazwałbym tego szpiegowaniem — odrzekł. — Nie mam najmniejszego pojęcia, jakie pytania zadawałeś, chociaż mógłbym dość łatwo zgadnąć. Ile obrazów zidentyfikował dla ciebie komputer?

Odniosłem wrażenie, że nie miał prawa zadać tego pytania, ale znowu nic udało mi się znaleźć żadnego powodu, by mu nie odpowiedzieć.

— Sześć.

— Odrzuciłeś rzeźbę Piranusa?

— Tak.

— Słuszna decyzja. — Zaciągnął się głęboko. — Cóż, sześć dzieł to wszystko, co kiedykolwiek uda ci się wydobyć z tego komputera. — Urwał. — Aby oszczędzić ci czasu i zbędnych wydatków dodam, że żadnego z nich nie uda ci się zdobyć.

— Nabyłeś je sam? — spytałem.

Zachichotał.

— Nie, do cholery. Ja ich wcale nie chcę.

— Obawiam się, że nie rozumiem — zauważyłem. — Kiedy cię widziałem po raz pierwszy, próbowałeś nabyć obraz Kilculena za czterysta tysięcy kredytów.

— Nie, mylisz się.

— Ależ...

— Wiedziałem, że Abercrombie nie pozwoli nikomu go kupić.

— Przerwał z miną człowieka przesadnie zadowolonego z siebie.

— Po prostu chciałem zobaczyć, czy ktoś jeszcze interesuje się tym malowidłem.

— Po co? Podobno nie obchodzą cię obrazy? — spytałem.

— Mam swoje powody.

— Mogę je poznać?

Potrząsnął głową.

— Raczej nie, Leonardo.

— A to dlaczego?

— Ponieważ mam wrażenie, że nic możesz mi powiedzieć nic, czego bym już nie wiedział. Na razie! — dodał znacząco. — Kiedy dowiesz się czegoś ciekawego, spotkamy się ponownie. Wtedy może będę miał dla ciebie pracę.

— Jestem już zatrudniony przez Galerię Claiborne.

— Myślałem, że pracujesz dla Abercrombiego — rzucił ostro.

— Bo tak jest. Ale na czas pobytu tutaj moim oficjalnym pracodawcą jest Claiborne. Abercrombie płaci im za moje usługi.

— Zapłacę więcej.

— Opuśczenie Claiborne'a wbrew woli galerii okryłoby hańbą mój Dom — wyjaśniłem. — Nigdy bym tego nie zrobił.

— Nie musisz ich opuszczać — stwierdził Venzia.

— Jak to?

— Claiborne to jedna z największych galerii sztuki w Galaktyce — zaczął. — Ma filie na siedemdziesięciu trzech planetach...

— Siedemdziesięciu pięciu — poprawiłem go.

— Może i siedemdziesięciu pięciu — burknął. — Bywasz na czterdziestu czy pięćdziesięciu aukcjach w roku i załatwiasz Bóg wie ile prywatnych transakcji...

— To prawda — potwierdziłem. — Ale nadal nie rozumiem jak...

— Pozwól mi dokończyć — zdenerwował się Venzia. — Masz dostęp do wielu danych na temat tych aukcji i wystawianych dzieł.

— O ile wiem, sam ostatnio nabyłeś galerię sztuki — zauważyłem. — Na pewno masz dostęp do tych samych informacji.

— Potrzebuję szerszego dostępu — powiedział, podkreślając słowo „szerszy”. — Ale tak naprawdę to potrzebuję ciebie.

— Nie wolno mi nawet myśleć o tym, że mógłbym ci pomagać — stwierdziłem stanowczo. — Nie byłbym w porządku wobec innych klientów.

— Nie jestem klientem.

— Ale posiadasz własną galerię sztuki.

— Ta galeria to tylko mój adres pocztowy na Declanie IV.

— W takim razie, dlaczego... — zacząłem, próbując sformułować pytanie.

— Ponieważ potrzebuję informacji, w które wtajemnicza się każdą galerię sztuki. Wiem, że tak wielkie firmy jak Claiborne dostają je o wiele szybciej niż małe.

— Jeśli nie chcesz kupić obrazów, o co ci w takim razie chodzi? — spytałem.

— O nazwiska i adresy artystów.

— Claiborne zawiera prawie milion transakcji rocznie — zauważyłem. — Po co ci taka masa nazwisk?

— Nie chcę wszystkich — wyjaśnił. — Chodzi mi tylko o artystów, którzy namalowali kobietę interesującą Abercrombiego.

— Po co ci te nazwiska?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie powiem ci, póki nie będziesz miał mi do przekazania czegoś równie interesującego.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Ale będziesz miał.

— To byłoby niemoralne.

— Niby dlaczego? — upierał się. — Nie próbuję pozbawić Claiborne'a prowizji ani przelicytować potencjalnych nabywców. Potrzebuję jedynie informacji.

— Nie mogę...

— Nie odmawiaj zbyt pochopnie — przerwał. — Zastanów się przez dzień lub dwa, a dojdiesz do wniosku, że to czego chcę, nie

może wyrządzić nikomu najmniejszej szkody.

— Nawet gdybyś miał rację, to jednak udzielając ci takich informacji, zachowałbym się nielojalnie wobec Malcolma Abercrombiego, ponieważ te dane są zastrzeżone wyłącznie dla niego.

— Nie ma w tym żadnej nielojalności! — zdenerwował się. — Przecież ci tłumaczę, że nie chcę tych cholernych obrazów! — Zamyślił się, a na jego wargach pojawił się wymuszony półuśmiech. — Przedyskutujemy to jeszcze raz za kilka dni. Tymczasem pozwól, że ofiaruję ci coś na potwierdzenie mojej dobrej woli.

— Nie mogę przyjąć od ciebie pieniędzy — obruszyłem się. — Ponieważ nadal pracuję w Galerii Claiborne, a nie dla ciebie, przyjęcie zapłaty byłoby niemoralne.

— A kto mówi o zapłacie? Chcę ci tylko przekazać pewne informacje, które ułatwią ci wykonanie twojego aktualnego zadania.

— Mojego zadania?

Skinął głową.

— Masz przy sobie podręczny komputer?

— Tak — odparłem, wyjmując urządzenie z torby.

— Włącz go.

Posłuchałem go i uruchomiłem komputer.

— Skontaktuj się z Muzeum Dziedzictwa Kulturalnego na Delurosie VIII — powiedział Venzia do komputera. Mówił bardzo powoli, wymawiając wyraźnie każde słowo, aby urządzenie nie popełniło błędu w zapisie. — Użyj kodu dostępu 2141098 i wywołaj materiały na temat Melainy, bogini znanej również jako Czarny Duch Śmierci, Eresh-Kigal, bogini świata podziemnego i Machy, irlandzkiej królowej upiorów. — Potem Venzia położył kciuk na sensorze. — W Bibliotece Kenijskiej imienia MacMillana

na Ziemi użyj tego odcisku kciuka, aby uzyskać dostęp do danych na temat K'tani Ngai, pani mrocznego królestwa. Następnie z komputera biblioteki na Peloranie VII odczytaj informacje o Shareen d'Amato, która podobno nawiedza tamtejszy cmentarz kosmonautów. W tym przypadku nic będziesz potrzebował kodu dostępu.

Zamilkł i obrócił komputer w moim kierunku.

— Czy istnieją portrety tych kobiet? — spytałem.

Kiwnął głową na potwierdzenie.

— Mitologie mogą się zmieniać, ale kobieta wciąż pozostaje ta sama.

— Jesteś zupełnie pewien?

— Nic mógłbym oczekiwać, że poważnie rozważysz moją propozycję, gdybym kłamał, prawda?

— Nie, nie sądzę — zgodziłem się. — Dziękuję ci za pomoc.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Wyjął z kieszeni dyskietkę i wsunął ją na chwilę do mojego komputera. — To jest mój adres na Odległym Londynie i numer dostępu do mojego wideofonu. Zadzwoń, kiedy będziesz już gotów porozmawiać o naszym układzie. — Wstał. — Myślę, że na dziś skończyliśmy. Wybacz mi, że cię już pożegnam, ale szczerze mówiąc ten zapach wywołuje u mnie mdłości.

— Ostatnie pytanie! — krzyknąłem tak głośno, że przyciągnąłem całą masę jeszcze bardziej zaciekawionych spojrzeń z okolicznych stolików. Kelner popatrzył na mnie cierpko.

— Ale tylko jedno, Leonardo — zgodził się Venezia. — Jest różnica pomiędzy dobrą wiarą a filantropią.

— Dlaczego jej portret malują zawsze nieznani ludzie?

— Wcale nie byli tak całkiem nieznani — odrzekł. — Niektórzy z nich są całkiem sławni. Dowiedziałem się na przykład, że ten Kilcullen to wielki bohater wojskowy, a twój młodzieniec z Pa-

tagonii IV przypuszczalnie był największym mistrzem trapezu swoich czasów.

— Ale nie byli uznanymi artystami — upierałem się.

— To prawda — przyznał. Ponownie się zaśmiał. — Dobre pytanie, Leonardo.

— Jaka jest odpowiedź?

— Nie sądzę, żebym w tej chwili chciał ci jej udzielić.

— Przecież się zgodziłeś!

— Pozwoliłem ci zadać pytanie — odparł Venzia. — Nie obiecywałem, że na nie odpowiem.

— Mogę spytać, dlaczego?

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Niestety, to już jest następne pytanie.

Odwrócił się i odszedł, a ja długo jeszcze siedziałem samotnie przy stoliku. Zastanawiałem się, dlaczego facet, który podobno nie zamierza nabyć żadnej spośród rozmaitych podobizn tajemniczej kobiety, tak bardzo interesuje się artystami, którzy ją malowali. I skąd zna tyle faktów — o wiele więcej, niż Malcolm Abercrombie zdołał zgromadzić w ciągu całego ćwierćwiecza.

6

W ciągu następnych dwóch tygodni nie wydarzyło się nic niespodziewanego i dni upływały mi dość spokojnie. Nie udało mi się odnaleźć kolejnych podobizn modelki Abercrombiego, więc większość czasu spędziłem na sprawdzaniu imion z listy, którą Venzia wprowadził do mojego podręcznego komputera.

Rezultaty okazały się intrygujące. Wszystkie wskazane mi

przez Venzię postaci: Mclaina, Eresh-Kigal, Macha i K'tani Ngai, istotnie miały rysy tajemniczej kobiety, ale kiedy zacząłem szukać szczegółowych informacji na temat Melainy — Czarnego Ducha Śmierci, znalazłem aż pięć rozmaitych podobizn, z których każda była inna. Co ciekawe, kiedy jako następnej przyjrzałem się K'tani Ngai, odkryłem, że na wszystkich portretach i rzeźbach, z wyjątkiem tego w Bibliotece MacMillana, miała postać czarnej kobiety i zwykle przedstawiano ją z kończynami leoparda. Podobnie było z Machą i Eresh- Kigal.

Ostatnia na liście była Shareen d'Amato. Poprosiłem komputer biblioteczny Odległego Londynu o dostęp do komputera na Peloranie III. Uzyskałem krótką, ale niezwykle interesującą odpowiedź na moje pytanie:

D'AMATO SHAREEN, DATA URODZIN — NIEZNANA, DATA ŚMIERCI — NIEZNANA; POPROSIŁA O OBYWATELSTWO NA BANTHOR III, ALE BANTHOR III NIE POSIADA ŻADNYCH DANYCH NA JEJ TEMAT.

— Chwileczkę! — krzyknąłem podniecony. — Chcesz powiedzieć, że Shareen d'Amato istniała naprawdę?!

TAK.

— Kiedy i gdzie żyła?

JAK JUŻ WCZEŚNIEJ WYJAŚNIONO, BIOGRAFIA SHAREEN D'AMATO JEST NIEPEŁNA.

— Przedstaw mi dane, które posiadasz.

BYŁA ŻONĄ JEBEDIAHA PERKINSA OD 3222 R. E. G. DO 3224.

— To wszystko, co wiesz na jej temat?

TAK.

— Kiedy został namalowany jej portret?

W 3223 R. E. G.

— Przez Perkinsa?

TAK.

— Podaj mi dane biograficzne Perkinsa.

JEBEDIAH PERKINS, URODZONY W 3193 R. E. G.; PILOT STATKU KOSMICZNEGO W „KARANGA INDUSTRIES” OD 3215 DO 3219 R., PILOT „BONWIT CARTEL” OD 3219 DO 3222 R., PILOT „FALCON CORPORATION” OD 3222 DO 3224 R.; ZGINĄŁ W 3224 R. PILOTUJĄC STATEK Z EKSPEDYCIĄ NAUKOWĄ W POBLIŻE SUPERNOWEJ „QUINIBAR”.

— Podszedł za blisko?

BRAK DANYCH.

— Czy Shareen d’Amato znajdowała się na pokładzie tego statku?

BRAK DANYCH. TAK SIĘ POWSZECHNIE SĄDZI, ALE NIE MA NA TO ŻADNEGO DOWODU.

— Czy zrobiono jej kiedyś zdjęcie albo hologram?

BRAK DANYCH.

— Dlaczego mówi się, że nawiedza cmentarz kosmonautów na Peloranie VII?

BRAK DANYCH.

— Czy ktoś kiedykolwiek twierdził, że ją tam widział?

BRAK DANYCH.

— Dziękuję — powiedziałem, przerywając połączenie.

Byłem trochę zawiedziony, że komputer dostarczył tak niewielu informacji, ale ta jedna wiadomość była naprawdę fascynująca: w przeciwieństwie do bóstw i postaci mitycznych, Shareen d’Amato była istotą realną i przypuszczalnie pozowała do portretu, który znajdował się obecnie w jednym z muzeów sztuki na Peloranie VII.

Natychmiast znalazłem w bibliotece kabinę wideotelefoniczną, zadzwoniłem do Abercrombiego i opowiedziałem mu o

swoim odkryciu.

— Interesujące — stwierdził, wysłuchawszy moich rewelacji. —
W jakim muzeum znajduje się ten obraz?

— Do południa się dowiem — odparłem. — Ale najbardziej
intrygujące jest to, że ta kobieta istniała naprawdę!

Potrząsnął głową.

— Wątpię.

— Ale komputer powiedział...

— Więc się myli — przerwał mi twardo. — Jeśli się urodziła w
czwartym tysiącleciu ery galaktycznej, to czym, do diabła, wy-
tłumaczysz fakt, że jej wizerunek pojawia się na tyłu wcześni-
szych obrazach, hologramach i posążkach?

Jakoś nie przyszło mi to wcześniej do głowy, nie wiedziałem
więc co odpowiedzieć.

— Zastanów się, Leonardo — kontynuował. — Jeśli założyć,
że ta d'Arna to rzeczywiście istniała, to ten obraz musiałby być
pierwszym, ty głupku.

— Mogę zbadać tę sprawę dokładniej — zaproponowałem z
ochotą.

— Gdzie? — spytał pogardliwie. — Najwięcej mógłbyś się
dowiedzieć na Peloranie VII, a tamtejszy komputer powiedział ci
już wszystko, co wie. — Urwał. — Zrozum, nie piszę uniwersytec-
kiej rozprawy na temat tej kobiety. Zatrudniłem cię, żebyś od-
nalazł jej podobizny, a nie po to, abyś opowiadał mi, że po-
mieszkiwała z jakimś pilotem ponad półtora tysiąca lat temu.
Zamiast zajmować się bzdurami, natychmiast odszukaj ten ob-
raz i dowiedz się, ile za niego żądają.

— Dobrze, panie Abercrombie.

Nagle popatrzył na mnie ostro.

— A tak przy okazji, nigdy nie słyszałem o Jebediahu Per-

kinsie. W jaki sposób dowiedziałeś się, że ją namalował?

— Powiedział mi Reuben Venzia.

— Venzia! — prawie krzyknął, prostując się z zainteresowaniem. — Skończyłeś już badanie tego faceta?

— Nawet jeszcze nie zacząłem — odparłem. — Sam znalazł mnie dwa tygodnie temu i przekazał mi pewne informacje dotyczące kobiety z obrazów. — Zadumałem się. — Jak do tej pory wszystko, co mi powiedział, okazało się prawdą.

Jego oczy zwężyły się podejrzliwie.

— Co dałeś mu w zamian za te informacje?

— Zupełnie nic, panie Abercrombie — odrzekłem szczerze.

— Nikt nie daje niczego za nic! — wypalił. — Przyznaj się, co mu obiecałeś? Obrazy z moją modelką?!

— Niczego mu nic obiecywałem — odparłem wstrząśnięty. — Poprosił o pewne specyficzne informacje dotyczące aukcji dziełami sztuki, ale zdecydowanie mu odmówiłem. Nie pomogłem mu również w żaden inny sposób.

— Jakiego rodzaju informacji chciał? — nalegał.

— Informacji dotyczących portretów kobiety, która pana interesuje.

— I dał ci cały ten materiał na temat obrazów, mimo że mu odmówiłeś? — Z głosu Abercrombiego przebijała nie skrywana niewiara.

— Tak — potwierdziłem. — Obchodzi go tylko sama modelka. Portrety zupełnie go nie interesują.

— Nic interesują?! — wrzasnął Abercrombie. — Chciał zapłacić czterysta tysięcy kredytów za obraz Kilcullena, ty wredny, kłamliwy, pasiasty pokurczu!

— Ależ wcale nie miał zamiaru go kupować — wyjaśniłem.

— Czy według ciebie wyglądam na naiwniaka? — zapytał chłodno Abercrombie.

— Powiedział, że tylko próbuje...

Nagle zauważyłem, że ekran jest pusty i mówię do wyłączonego wideofonu. Sprawdziłem, czy nic zostaliśmy przypadkowo rozłączeni, a potem z uczuciem zaskakującego podniecenia wróciłem do komputera. Byłem oczywiście nieszczęśliwy, że zdenerwowałem Abercrombiego, ale z drugiej strony ulżyło mi, że mogę kontynuować poszukiwania i nie muszę udawać się w tej chwili do jego domu, aby wyjaśnić mu szczegółowo, czego się dowiedziałem. (Rzecz prosta, mogłem mu opowiedzieć wszystko przez wideofon albo przelać informacje za pomocą komputera, ale mój pracodawca wolał spotykać się ze swoimi podwładnymi osobiście; nie widziałem w tym zresztą absolutnie żadnego sensu, ponieważ kiedy pojawiałem się w jego posiadłości, zwykle najpierw godzinami ignorował mnie, a potem uparcie twierdził, że słyscam fakty, które mieliśmy razem przedyskutować.)

Przez następne trzy godziny komputer biblioteczny sprawdził na moje polecenie najrozmaitsze źródła, poszukując jakichś dodatkowych informacji o Shareen d'Amato, ale nic nie udało mu się znaleźć. W tym czasie jednak dostarczył mi wielu romantycznych legend na temat ducha kobiety, który podobno nawiedzał cmentarz, pozdrawiając cienie zmarłych kosmonautów, proponując im drinka i oferując usługi erotyczne w drodze do następnego życia.

Miałem właśnie zamiar opuścić bibliotekę i udać się na posiłek do restauracji, kiedy komputer znowu się włączył.

— Poszukując danych o Shareen d'Amato natknąłem się na książkę zawierającą materiał na temat Briana McGinnisa — oznajmił.

— Gdzie? — spytałem.

— W małej lokalnej bibliotece na Aguelli VII.

— Aguela VII nic jest ludzką kolonią — zadumałem się. — W jaki sposób znalazła się tam książka o afrykańskim botaniku?

— Właściwie to nie jest książka o McGinnisie, a raczej o wczesnym okresie kolonizacji Ugandy przez Wielką Brytanię — wyjaśnił komputer. — Razem z trzystu ośmioma innymi tomami o tym afrykańskim kraju sprezentował ją biblioteka Jora Nagata, inżynier budownictwa pochodzenia ugandyjskiego, który wymigrował na Aguellę VII w 2167 r. e. g. i przez jakiś czas pracował nad pewnymi projektami jako konsultant aguellańskiego rządu.

— Czy mogę przejrzeć tę książkę? — spytałem.

— Wkopiowałem już stosowne rozdziały do pamięci i odtworzę je teraz na ekranie — odparł komputer.

Z tekstu liczącego półtora tysiąca słów wynikało, że McGinnis był człowiekiem tak żądnym sławy, iż w niebezpiecznych sytuacjach dość często wykazywał się większą odwagą niż inteligencją. Pewnego razu tylko przy pomocy prostej sztuczki — krzycząc i wymachując białą chusteczką — udało mu się odciągnąć od murzyńskiej wioski pędzące stado bawołów; poza tym niemal regularnie udawał się nieuzbrojony samotnie w dżunglę, aby obserwować drapieżne zwierzęta. Nic nie wspomniano natomiast o tym, że odkrył dwie nowe odmiany orchidei, z których jedną nazwano jego imieniem.

— Czy to wszystko? — spytałem, gdy skończyłem czytać.

— Jeśli chodzi o tekst, tak.

— Chcesz powiedzieć, że masz coś jeszcze?

— Fotografię Briana McGinnisa.

— Wyświetl mi ją.

Nagle ekran pokrył rysunek w kolorze sepii. Ujrzałem młodego mężczyznę, ubranego w szorty i koszulkę z krótkim rękawem; przez ramię miał przewieszoną strzelbę. Na opalonej

twarzą malowało się poczucie wielkiej dumy. Stopa myśliwego spoczywała na szyi wielkiego, cętkowanego kota, uważanego — jak głosił podpis pod obrazkiem — za ludojada. Za McGinnisem stali trzech ciemnoskórzy mężczyźni, którzy mogli być jego asystentami, oraz biała kobieta. Komputer nie musiał powiększać jej twarzy — od pierwszego wejrzenia wiedziałem, kim ona jest. Mimo palącego słońca i ogromnego upału, który — o czym kiedyś czytałem — panuje w równikowej strefie Ziemi, jej strój był idealnie czarny.

To była niewątpliwie ona! Miała te same smutne oczy, te same wydatne kości policzkowe, nawet tę samą fryzurę.

— Kim jest ta kobieta? — zapytałem.

— Nie potrafię odpowiedzieć — odparł komputer. — W książce nie ma żadnej wzmianki na jej temat i nie opisano jej także pod fotografią.

— Rozpoznajesz ją?

— To kobieta z portretów, których szukasz.

— Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi o tym zdjęciu?

— Twierdziłeś, że interesują cię tylko dzieła sztuki i chociaż niektóre fotografie rzeczywiście można określić jako dokonania artystyczne, uważam, iż to konkretne zdjęcie jest przede wszystkim dokumentem.

— Od teraz interesują mnie więc również wszystkie fotografie tej kobiety — oświadczyłem. — Rozumiesz?

— Tak.

— Czy masz jakieś w swojej pamięci? — nalegałem.

Komputer zamilkł na piętnaście sekund.

— Nie.

— Chcę, żebyś ponownie połączył się w moim imieniu ze wszystkimi komputerami bibliotecznymi, z którymi już się wcześniej kontaktowałeś, i ustalił, czy są w ich zbiorach zdjęcia

tej kobiety. Gdy skończysz, kontynuuj poszukiwania w tych komputerach, do których jeszcze nie wchodziłeś. — Przerwałem. — Zaczynaj od biblioteki na Peloranie VII i zobacz, czy nie mają przypadkiem zdjęcia albo hologramu Shareen d'Amato.

— Masz jeszcze jakieś inne polecenia?

— Nic. Będę w hotelu albo w rezydencji pana Malcolma Abercrombiego. Jeśli coś znajdziesz, natychmiast się ze mną skontaktuj.

Opuściłem pokój, poszedłem do kabiny wideotelefonicznej i zamówiłem rozmowę z panem Abercrombiem. Chciałem podzielić się z nim moimi najnowszymi odkryciami. Teraz miałem już dowód, że jego tajemnicza kobieta żyła w dwudziestym wieku po Chrystusie, a więc jakieś dwa tysiące lat przedtem, zanim jej wizerunek zaczął się pojawiać w dziełach sztuki. Wiedziałem, że kiedy robiono tę fotografię klonowanie nie było jeszcze możliwe. Nie mogłem więc sformułować żadnej logicznej teorii, w której mieściłyby się wszystkie fakty, jakie do tej pory zgromadziłem.

Telefon pana Abercrombiego nie odpowiadał. Pomyślałem, że mój pracodawca śpi albo pracuje na swoim komputerze i zdecydowałem bez uprzedzenia rozpocząć podróż do jego domu, w przekonaniu, że gdybym się z nim skontaktował, bez wątpienia i tak zażądałby mojego natychmiastowego przybycia. Niechętnie opuściłem bibliotekę, ponieważ byłem pewien, że gdzieś w dokumentach Oligarchii musi istnieć fotografia Shareen d'Amato i bardzo chciałem ją zobaczyć. Wiedziałem jednak, że połączenia sieciowe zajmą komputerowi dużo czasu, a poza tym uświadomiłem sobie, że im szybciej wyjdę, tym wcześniej wrócę.

Dotarcie do posiadłości pana Abercrombiego zajęło mi prawie czterdzieści minut, ponieważ — jak zwykle w porze obia-

dowej — ulice były niemiłosiernie zatłoczone i noga za nogą wlokłem się wśród setek ciał, ciesząc się ciepłem i bezpieczeństwem, którego mimowolnie dostarczały. W końcu znalazłem się na peryferiach miasta i parę chwil później stałem już na automatycznym chodniku, który prowadził do domu mojego pracodawcy.

— Proszę się przedstawić — odezwał się mechaniczny głos systemu bezpieczeństwa.

— Leonardo.

— Czy jesteś umówiony?

— Nie muszę się umawiać — odparłem, zaskoczony pytaniem. — Pracuję dla pana Abercrombiego.

— Według moich danych aktualnie nie pracuje tu nikt o imieniu Leonardo.

— To śmieszne. Byłem tutaj dwa dni temu.

— Dwa dni temu byłeś na służbie u pana Abercrombiego — oznajmił głos. — Dziś po południu już nie jesteś.

— To musi być jakaś pomyłka — stwierdziłem niespokojnie. — Proszę jeszcze raz sprawdzić rejestr.

— Sprawdzam... Nie jesteś pracownikiem pana Abercrombiego.

— Proszę, pozwól mi z nim porozmawiać — powiedziałem.

— Regulamin zabrania mi łączyć pana Abercrombiego z nieznajomymi.

— Ależ ja nie jestem nieznajomym! — zaprotestowałem.

— Zaprogramowano mi zakaz kontaktowania się z nim w twojej sprawie.

— W takim razie wejdę do domu i porozmawiam z nim osobiście — rzuciłem, robiąc krok do przodu.

— Nie pozwolę wejść osobie nieupoważnionej — zauważył beznamiętnie głos. — Proszę się odsunąć. Za pięć sekund chod-

nik zostanie podłączony do napięcia elektrycznego o śmiertelnej mocy. Cztery-trzy-dwa...

Szybko się wycofałem.

— Chodnik jest teraz nie do przebycia — wyrecytował głos. — Proszę nie próbować dostać się do domu przez trawnik, ponieważ cały dostęp do domu został zablokowany.

— Nie rozumiesz, ty zdradziecki draniu? — zagrzmiął sztucznie wzmocniony głos milionera.

— Panie Abercrombie, co to ma znaczyć? — spytałem zmieszany i przestraszony.

— To znaczy, że kiedy kogoś zatrudniam, nawet kogoś takiego jak ty, oczekuję od niego lojalności!

— Jestem absolutnie lojalny wobec pana — tłumaczyłem się.

— Miałeś tylko dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego sukinsyna, a nie od razu się z nim zadawać! — wrzasnął.

— Nie zadawałem się z nim — wyjaśniłem. — To on mnie odszukał, a ja odrzuciłem jego propozycję.

— Więc dlaczego to ukryłeś?

— Niczego nic ukryłem.

— Bzdury! Spotkałeś go dwa tygodnie temu i w ogóle nie dowiedziałbym się o tym, gdybyś się przypadkiem nie wygadał!

— Myślałem, że sprawa jest zbyt błaha, aby panu o niej wspominać— odparłem. — Po prostu poprosił mnie o pomoc, a ja mu odmówiłem.

— Powinieneś być przyjąć jego propozycję, kiedy miałeś okazję — powiedział Abercrombie. — Teraz jest już za późno.

— Nie rozumiem o czym pan mówi, panie Abercrombie.

— Nikt nie oszuka Malcolma Abercrombiego! Zapłaciłem ci dziesięć razy więcej, niż naprawdę jesteś wart, żebyś pomógł mi zdobyć jedyną we wszechświecie rzecz, której pragnę, a gdy tylko spuściłem cię z oczu, natychmiast zacząłeś tulić się do tej

małej kurzajki, Venzii. Nigdy więcej nie zaufam żadnemu kosmicie. To był cholerny błąd, którego nigdy nie powtórzę.

— Pan całkowicie źle zinterpretował to, co panu powiedziałem, panie Abercrombie.

— Bez wątpienia właściwie zinterpretowałem to, czego nic miałeś odwagi mi powiedzieć!

— Gdybym mógł wytłumaczyć panu osobiście... — broniłem się.

— Nic trzeba, rozumiem cię lepiej, niż ci się wydaje — odrzekł. — A teraz wynoś się w cholerę z mojej posiadłości. — Ależ to jest nieporozumienie! — nic dawałem za wygraną. — Błagam pana, proszę pozwolić mi to wszystko wyjaśnić!

— To koniec — oznajmił. — Zawiadomiłem już Galerię Clairborne i Dom Crsthionn, że rozwiązuję umowę z powodu twojej nielojalności. Teraz, jeżeli nie chcesz, żebym wezwał policję i powiedział, że wdarłeś się bezprawnie na teren prywatny, lepiej się stąd wynoś i to szybko.

— Zawiadomił pan Dom? — powtórzyłem powoli, kiedy dotarła do mnie potworność jego stwierdzenia.

— Słyszałeś.

— Dom? — powtórzyłem jeszcze raz, a nogi ugięły się pod mną i o mało nie straciłem równowagi.

Zapadło posępne milczenie.

— Ale, dlaczego? — spytałem, wciąż porażony tą niespodziewaną wiadomością. — Służyłem panu wiernie. Zdobyłem dla pana portrety. Nigdy pana nie zdradziłem. Ma pan wszystko, czego pan tylko zapragnie. Dlaczego zrobił pan coś takiego?

— Ponieważ nie dostałem tego, za co zapłaciłem.

— Dostał pan! Poleciałem na Nową Rodezję i...

— Zapłaciłem za twoją lojalność!

— Byłem lojalny. A pan zbyt długo żyje w samotności i wszędzie widzi wrogów, chociaż nie ma pan żadnego.

— To wyłącznie moja sprawa. I kiedy rozprawię się z tym wszawym gnojkiem Venzią — obiecał — zobaczysz, co to znaczy być moim przeciwnikiem.

— Ale...

— Jeśli nie znikniesz z mojej posiadłości w ciągu trzydziestu sekund, zadzwonię na policję.

Tak więc, upokorzony i nieszczęśliwy wróciłem do pustego pokoju. Czułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu.

Może ze dwadzieścia razy zaczynałem pisać list do mojej Matki Wzorcowej, aby wyjaśnić sytuację i to paranoidalne nieporozumienie, ale za każdym razem udawało mi się stworzyć jedynie dwie, trzy linijki, po czym mazałem tekst i zaczynałem od nowa. Po prostu nic nie mogło wyjaśnić ani usprawiedliwić mojego zwolnienia z pracy. Osobista hańba jest występkiem wystarczająco nagannym, a ja dodatkowo pohańbiłem także Dom, a być może i całą rasę Bjornnów.

Samobójstwo wydawało mi się jedynym możliwym wyjściem z tej sytuacji, ale popełnione w tym momencie mogło przynieść jeszcze większą hańbę Domowi Crsthionn, ponieważ nadal brałem udział w programie wymiany i musiałem wypełnić swoje zobowiązania wobec Galerii Claiborne. Prawdę mówiąc, problem polegał na tym, że koniecznie potrzebowałem moralnej porady mojej Matki Wzorcowej, ale ponieważ właśnie ją zhańbiłem, nie mogłem zmusić się, aby poprosić ją o wsparcie.

W końcu zdecydowałem, że jutro rano, tuż po otwarciu galerii złożę rezygnację, a kiedy Tai Chong ją przyjmie, wrócę do swego pokoju i w śmierci znajdę ukojenie, za którym tak tęskniłem.

CZĘŚĆ 2

***Człowiek, który ukradł
to wszystko***

7

Następnego ranka poszedłem do Galerii Claibome i poprosiłem o audiencję u Tai Chong. W oczekiwaniu na rozmowę z nią przechadzałem się nerwowo po części wystawowej, spoglądając na wszystko błędnym wzrokiem, nie dostrzegając nikogo i niczego wokół siebie. Minęło parę minut, a ona ciągle nie wzywała mnie do biura, poszedłem więc na tyły galerii i usiadłem przy swoim biurku. Przejrzałem dane zgromadzone w moim komputerze, ale nie miałem siły ich czytać. Chwilę później z uśmiechem rozbawienia na twarzy podszedł do mnie Hector Rayburn.

— Słyszałem, że Abercrombie w końcu cię wykopał — zaczął.

— To prawda, przyjacielu Hectorze — odparłem.

--- Cóż, i tak wytrzymałeś dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał — kontynuował. — Witamy z powrotem.

— Przyszedłem tu jedynie po to, aby zobaczyć się z Tai Chong.

— Tak? Wracasz na Bjornn?

— Mieszkam na Benitarusie II — odrzekłem. — To moja rasa nazywa się Bjornn.

— Co za różnica — stwierdził, wruszając ramionami. — Lecisz tam?

— Nie, przyjacielu Hectorze — odpowiedziałem szczerze — ponieważ zhańbionych nie wolno grzebać w systemie Benitarus.

Rayburn stracił zainteresowanie moją przyszłością i zmienił temat.

— Jaki jest ten Abercrombie? — spytał z ciekawością. — Jest tak bogaty i szalony, jak mówią?

— W istocie jest dość zamożny, przyjacielu Hectorze — od-

parłem, rzucając szybkie spojrzenie na zamknięte drzwi biura Tai Chong. — Ale nie czuję się kompetentny, by ocenić stan jego umysłu.

— Znalazłeś dla niego jakieś obrazy z tą kobietą?

— Dwa.

Popatrzył na mnie.

— Co się z tobą dzisiaj dzieje, Leonardo? Zazwyczaj jesteś niezwykle gadatliwy, ciągle zadajesz pytania i nie można wprost za tobą nadążyć, a dzisiaj zachowujesz się, jak gdybyś stracił najlepszego przyjaciela.

— Zhańbiłem swoje imię.

— W jaki sposób?

— Malcolm Abercrombie wyrzucił mnie za nielojalność — wyjaśniłem, a moja skóra przybrała odcień odzwierciedlający poniżenie.

— I co z tego? — spytał Rayburn. — Mnie wyrzucano z pracy już trzy razy i pewnie zwolnią mnie jeszcze z pięć. Ryzyko zawodowe, jak to się mówi. Kiedy przydarza ci się coś takiego, wypijasz drinka, kładziesz się do łóżka i zapominasz o wszystkim. — Umilkł. — Do diabła, Leonardo, przecież nawet nie musisz szukać nowej pracy. Ciągle masz robotę w Claiborne.

— To nie jest takie proste, przyjacielu Hectorze.

— A właśnie, że jest — odpowiedział. — Wy, Bjornni, po prostu nie macie odpowiedniego dystansu do pewnych spraw.

— Tacy już jesteśmy — rzekłem.

Komputer przerwał nam oznajmiając, że Tai Chong może mnie już przyjąć.

— Słuchaj — powiedział Rayburn — kiedy skończysz z nią rozmawiać, wpadnij do mnie. Wyjdziemy i wrzucimy coś na ruszt. Znam pewien malutki lokalik jakieś trzy kwartały stąd. Obsługują tam absolutnie wszystkich, bez wyjątku. — Nagle

uśmiechnął się znacząco. — Stawiam.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za tę propozycję i w ogóle za twoją przyjaźń, przyjacielu Hectorze. — Wstałem. — Muszę jednak odmówić.

Wzruszył ramionami.

— Zawiadam mnie, jeśli zmienisz zdanie.

Przyrzekłem, że to zrobię, po czym ruszyłem do drzwi Tai Chong. Przez chwilę stałem przed czujnikiem, żeby mógł mnie zidentyfikować, a kiedy drzwi wsunęły się w ścianę, wszedłem do biura.

— Leonardo — odezwała się i podeszła do mnie, wyciągając rękę — tak mi przykro z powodu tego nieporozumienia!

— To moja wina, wielka pani — stwierdziłem. — Okryłem hańbą Galerię Claibome i Dom Crsthionn.

— Ależ to jakiś absurd — zauważyła, pomijając milczeniem moje zwierzenia. — Ten rasista zdołał odnaleźć dwadzieścia parę obrazów w ćwierć wieku. Ty wyszukałeś dla niego dwa w ciągu miesiąca, a on jeszcze miał czelność cię zwolnić!

Przez chwilę stałem bez ruchu i próbowałem zrozumieć jej słowa. W końcu odzyskałem głos.

— Więc nie jesteś na mnie zła, wielka pani?

— Oczywiście, że nie.

— Ale zostałem zwolniony.

— Bez powodu.

— Przyczyną była rozmowa z Reubenem Venzią.

— Wolność wypowiedzi i wolność stowarzyszania się to dwa podstawowe prawa, które chyba umknęły uwagi Malcolma Abercrombiego — oświadczyła pogardliwie. Wskazała na wideofon. — Właśnie mu je przypomniałam, zanim przyszedłeś tutaj.

— Nie czyni sobie z niego wroga, dla kogoś takiego jak ja, wielka pani — stwierdziłem. Mój kolor odzwierciedlał głębokie zmartwienie.

— Zrobiłam to dla Claibome'a — odparła stanowczo. — Nikt nie będzie bezkarnie łżył moich pracowników!

— O tym właśnie chciałem z panią porozmawiać.

— O mojej rozmowie z Abercrombiem?

— Nie, o moim statusie.

— Nie ma o czym dyskutować — nadal jesteś moim pracownikiem — rzuciła uspokajającym tonem.

— Przyszedłem złożyć rezygnację.

Popatrzyła na mnie z zaskoczeniem.

— Rezygnację? O czym ty mówisz, Leonardo?

— Okryłem hańbą mój Dom.

— Wcale nie.

— Wywodzimy się z odmiennych kultur i nie ma sensu spierać się w tej materii, wielka pani — zauważyłem.

— Więc się nie spieraj.

— Nie mam zamiaru, ale muszę nalegać, żeby przyjęła pani moją rezygnację.

— Chcesz podjąć pracę u kogoś innego? — spytała ostro.

— Nie, wielka pani.

Wyraźnie się rozluźniła.

— Co zrobisz, jeśli przyjmę twoją rezygnację? Wrócisz do Domu?

— Popelnię rytualne samobójstwo.

— Co?! — krzyknęła. Jej mina świadczyła o tym, że moja odpowiedź całkowicie ją zaszokowała.

— Odbiorę sobie życie, aby zmyć hańbę, którą przyniosłem Domowi Crsthionn.

— Tylko dlatego, że cię zwolniono? — spytała z niedowie-

rzaniem.

— Tak.

— Ależ to szaleństwo!

— Może dla ludzi — odparłem łagodnie. — Ale w wypadku Bjornnów jest to i właściwe, i oczekiwane.

Potrząsnęła energicznie głową.

— Nie mogę pozwolić, żebyś się zabił, Leonardo.

— Taka jest moja ostateczna decyzja, wielka pani.

— Przedyskutujmy ją spokojnie. — Była bardzo zdenerwowana.

— Nie chcę cię obrazić, wielka pani, ale wolałbym, żebyś przyjęła moją rezygnację jak najszybciej. Zanim bowiem dopełnię obrządku, muszę napisać list do mojej Matki Wzorcowej i załatwić kilka innych spraw.

Przez moment patrzyła na mnie w milczeniu. Potem przez jej twarzy przemknął błysk zrozumienia.

— Mogłeś sobie odebrać życie wczorajszej nocy — stwierdziła, wsłuchując się uważnie we własne słowa, jak gdyby z każdego zdania miało logicznie wynikać następne. — Mogłeś to zrobić również dziś rano. A jednak najpierw przyszedłeś do mojego biura i nalegasz, abym przyjęła twoją rezygnację. — Popatrzyła mi prosto w oczy. — Co się stanie, jeśli odrzucę tę prośbę, Leonardo?

— Nie przeszło mi nawet przez myśl, że mogłabyś mi odmówić, wielka pani.

Nadal wpatrywała się we mnie.

— Twój Dom podpisał kontrakt o wymianie z Galerią Clai-borne — oznajmiła w końcu. — Twój Dom — powtórzyła z namysłem, akcentując zwłaszcza ostatnie słowo — a nie ty. Czyż więc nie powinnam nalegać, abyś honorował to zobowiązanie?

Westchnąłem.

— Jeśli nic przyjmiesz mojej rezygnacji, będę musiał wypełnić do końca zobowiązanie Domu wobec ciebie, wielka pani.

— I nic popełnisz samobójstwa?

— Nic dopełnię rytuału przed zakończeniem pracy dla pani.

— A więc twoja rezygnacja zostaje odrzucona — stwierdziła stanowczo.

— Jest pani bardzo inteligentną kobietą — zauważyłem ponuro.

— A ty wciąż żywym pracownikiem Galerii Claiborne — odparła z pełnym ulgi uśmiechem. — Przynajmniej przez najbliższe dziesięć miesięcy.

— Dziewięć miesięcy i dwadzieścia trzy dni — poprawiłem ją.

— Podyskutujemy o tym dłużej, kiedy oboje będziemy w lepszych nastrojach — powiedziała. Odetchnęła głęboko, wyraźnie sugerując, że rozmowa zbliża się do końca. — Tymczasem wracasz do pracy u Malcolma Abercrombiego.

— Za nic w świecie nie przyjmie mnie z powrotem.

Uśmiechnęła się triumfująco.

— Już cię przyjął.

— Dlaczego? — spytałem.

Podniosła w górę małą, trójwymiarową fotografię obrazu.

— Czy ta osoba nie wydaje ci się przypadkiem znajoma? — spytała.

Popatrzyłem na obrazek i ujrzałem portret tajemniczej kobiety Abercrombiego.

— Poznaję tę modelkę — odpowiedziałem — ale obrazu wcześniej nie widziałem.

— Nikt na Odległym Londynie go nie widział. Posłuchaj... Kiedy wczoraj Abercrombie poinformował mnie, że cię wyrzucił, zapytałam go oczywiście o przyczynę i dowiedziałam się, iż

powodem jest Venzia. Pomyślałam, że Abercrombie mocno by się zastanowił nad twoim zwolnieniem, gdyby miał choć cień podejrzenia, że masz — albo przynajmniej możesz mieć — coś, czego pragnie. Przez parę godzin przeglądałam więc wszystkie elektroniczne tygodniki informujące o nadchodzących aukcjach i prywatnych sprzedażach i w końcu natrafiłam na to. — Wskazała hologram. — Czy tego właśnie obaj pragną?

— Venzia chce tylko informacji, wielka pani — odparłam. — Nie samego obrazu. Zbiera wiadomości o tej kobiecie.

— Zastanawiam się, po co.

— Nie wiem, wielka pani.

Przerwała na moment, jakby zastanawiając się nad dziwnym zainteresowaniem Venzii, a potem wzruszyła ramionami.

— W każdym razie, ten portret sprzeda nam Valentine Heath, kolekcjoner, z którym w przeszłości już wiele razy robiliśmy interesy. Woli sprzedawać wszystkie dzieła bezpośrednio nam. Aukcje uważa po prostu za niepewne i dość... drażniące. Kiedy przyszedłeś do galerii, właśnie mówiłam Abercrombiemu, że znaleźliśmy jeszcze jeden portret jego damy i że możemy mu go sprzedać, ale tylko pod warunkiem, że przyjmie cię z powrotem i przeprosi na piśmie ciebie, Claiborne'a i Dom Crsthionn.

— To dumny człowiek. Na pewno nie zgodzi się na to.

— Ten człowiek ma obsesję na punkcie pewnej pani... — zauważyła.

— Zgodził się?

Uśmiechnęła się.

— Jak najbardziej. Znów jesteś jego pracownikiem.

— Ale ja wcale nie chcę do niego wracać! — wyrwało mi się. Zaskoczyła mnie własna śmiałość.

— Z pewnością jest to lepsze od samobójstwa.

— Samobójstwo przywraca honor — wyjaśniłem. — Natomiast nie widzę w pracy dla człowieka, który mną pogardza i uważa mnie za kłamcę, nic zaszczytnego.

— Udowodnij mu, że się myli.

— Ale...

— Słuchaj, Leonardo — przerwała mi — Hector mi dogaduje, ponieważ zawsze walczę o prawa naszych braci z kosmosu, i ma chyba trochę racji: dużo przemawiam i często manifestuję, ale nigdy nie dokonałam niczego naprawdę istotnego w tej kwestii. Jest więc właśnie okazja, aby naprawdę coś zrobić, a przy okazji dać pewnemu wstrętnemu facetowi małą lekcję pokory. — Uśmiechnęła się do mnie. — A fakt, że jesteś pracownikiem Claiborne'a tylko dodaje temu smaczkowi.

— Czy teraz nic mógłby pracować dla pana Abercrombiego ktoś inny? — spytałem. — Nie chodzi nawet o to, że się za bardzo nic lubimy, ale przyleciałem tu, by poznać wasze metody działania i podnieść moje kwalifikacje zawodowe w analizie technik rozmaitych szkół plastycznych, a jak dotąd niczego się nie nauczyłem, ponieważ cały czas wypełnia mi praca dla niego.

Potrząsnęła głową.

— To ciebie zwolnił, więc właśnie ty wrócisz. Poza tym, jako powszechnie znana bojowniczką o całkowite równouprawnienie wszystkich ras, muszę walczyć o nie, kiedy w końcu mam okazję zrobić to naprawdę. — Klasnęła w ręce. — Nie rób takiej nie-szczęśliwej miny, Leonardo. Zmusiłam Abercrombiego nawet do tego, żeby zapłacił twojemu Domowi spore odszkodowanie.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Nikt nie będzie obrażał moich kosmitów.

— Jestem ci bardzo wdzięczny, wielka pani — stwierdziłem z zapalem.

— Uwierzę w twoją szczerść tylko wtedy, jeśli się nie zabijesz — uśmiechnęła się Tai Chong.

— Obiecałem już, że nie dopełnię rytuału, dopóki jestem twoim pracownikiem — zapewniłem ją.

— Więc ciągle jeszcze masz zamiar to zrobić, kiedy nas opuścisz? — spytała z niedowierzaniem. — Pomimo to, że Abercrombie zgodził się przyjąć cię z powrotem?!

— Nie wiem — zamyśliłem się. — Chyba najpierw poproszę o poradę moralną moją Matkę Wzorcową.

— Ależ ona na pewno ci powie, żebyś tego nie robił! W końcu twój Dom dostaje w tej chwili mnóstwo pieniędzy!

— To są nieuczciwe pieniądze. Ciężką na nich wyrzuty sumienia — mruknąłem.

— Nonsens! — wybuchnęła. — To pieniądze głupiego rasisty, który popełnił poważną pomyłkę i teraz musi za nią zapłacić.

— Wezmę pod uwagę pani zdanie — powiedziałem wymijająco.

— Porozmawiamy o tym później — obiecała. Zapadła kłopotliwa cisza. — Wydaje mi się, że na dzisiaj to już chyba wszystko, Leonardo.

— Czy mam się zgłosić do pana Abercrombiego natychmiast? Potrząsnęła głową.

— Nie. Prawdę mówiąc, załatwiłam ci już przelot na Karola Wielkiego.

— Na Karola Wielkiego, wielka pani?

— Znam twoje uczucia wobec pana Abercrombiego, Leonardo — wyjaśniła — a ktoś przecież musi poświadczyć autentyczność obrazu Valentine'a Heatha. — Zamilkła speszona. — Niestety, nie udało mi się zarezerwować dla ciebie miejsca w pierwszej klasie. Zresztą, pewnie i tak nie pozwoliliby ci tam

wejść..

— Zdaję sobie z tego sprawę, wielka pani.

— No cóż, tak czy owak, mnie się to jednak nie spodobało — powiedziała — i żeby ci to zrekompensować, zarezerwowałam dla ciebie apartament dyrektorski w najlepszym hotelu na Karolu Wielkim.

— Ta planeta leży bardzo blisko centrum Oligarchii — zauważyłem.

— No tak — odparła i spojrzała na mnie pytająco.

— Zajmuję się ekspertyzą dzieł powstałych w gwiazdozbiorze Albion, który znajduje się na samym skraju Wewnętrznej Granicy. Z pewnością ma pani kogoś innego, kto mógłby poświadczyć autentyczność obrazu z tamtego rejonu.

— Według Valentine'a dzieło liczy sobie tylko dwa lata — odrzekła. — Po prostu poproś Heatha, żeby poznał cię z artystą i potwierdź autentyczność malowidła. Tyle chyba możesz dla mnie zrobić.

— Ależ ja nic mam najmniejszego pojęcia, jakie czynniki są ważne w analizie i wycenie tego dzieła, wielka pani — zaprotestowałem.

— Nie przejmuj się tym. Bez względu na to, ile zapłacimy za obraz Valenline'owi, odsprzedamy go Abercrombiemu dużo, dużo drożej, więc na pewno na tej transakcji nic stracimy.

— Jeżeli obraz ma tylko dwa lata i nie interesuje pani jego realna wartość, to dlaczego mam poświadczać jego autentyczność? — spytałem zaintrygowany.

— Z dwóch powodów — odparła. — Po pierwsze, mam zamiar obciążyć Abercrombiego wszelkimi możliwymi kosztami twojej podróży i chcę w związku z tym, żebyś na Karolu Wielkim dobrze się bawił i na niczym nie oszczędzał. Potraktuj tę wy-

prawę jako płatne wakacje.

— A drugi powód?

— Wprawdzie nie wiem zbyt wiele o kobiecie, która pojawia się na obrazach — ciągnęła — ale wiek niektórych dzieł z kolekcji Abercrombiego sugeruje, że żyła ona i umarła bardzo dawno temu. Oznacza to więc, że artysta, który namalował obraz Heatha musiał korzystać z jakichś materiałów źródłowych na jej temat. Spróbuj się dowiedzieć, co to było. Jeśli okaże się, że to dzieło plastyczne, może także i je uda nam się zdobyć dla Abercrombiego. — Zamilkła i po chwili dodała: — Jeszcze jedna sprawa, Leonardo.

— Tak, wielka pani?

— Jeśli Reuben Venezia znowu się z tobą skontaktuje, powiedz mu, że rozważyłeś jego ofertę i chcesz z nim współpracować.

— Ale to będzie nieetyczne!

— Praktycznie obraz Valentine'a Heatha jest już naszą własnością i Venezii w żaden sposób nie uda się położyć na nim łapy. Nie odcinajmy sobie jednak ewentualnego źródła informacji. Możliwe, że Venezia wie o czymś, co mogłoby się okazać dla nas bardzo przydatne.

— Ale przecież Malcolm Abercrombie zwolnił mnie wczoraj właśnie z powodu Venezii! — przypomniałem, nagle uświadamiając sobie ironię sytuacji.

— Abercrombiego zostaw mnie. — W jej głosie zabrzmiała zawzięta determinacja. Wstała i odprowadziła mnie do drzwi. — Nie przejmuj się, Leonardo, wszystko będzie dobrze. — Podała mi dokumenty. — To — powiedziała, wskazując na jeden z nich — jest twoja karta zatrudnienia, która umożliwi ci wstęp do wszystkich budynków publicznych na Karolu Wielkim. — Urwała. — Ale ludzie są tam z reguły dość nowocześni — dodała po chwili — i wątpię, czy w ogóle ktoś każe ci ją okazać. Natomiast to —

wskazała na kolejną książeczkę — jest twój paszport klasy B, dzięki któremu — gdyby okazało się, że artysta znajduje się na jakimś pobliskim świecie — będziesz mógł podróżować przez trzydzieści dni w obrębie pięciuset lat świetlnych wokół Karola Wielkiego. Ponieważ nie mamy biura w tamtym systemie, podałam ci również zaszyfrowany numer konta kredytowego, które założyliśmy w karolińskiej filii Banku Powierniczego. Reaguje na dźwięk twojego głosu, ponieważ wzór twej siatkówki zmyliły system bezpieczeństwa. Masz prawo wydać do dwudziestu tysięcy kredytów. — Zamyśliła się. — To wszystko jedynie na wypadek, gdyby Abercrom biemu odechciało się honorować zobowiązania finansowe wobec ciebie. Znasz kod dostępu do jego konta kredytowego?

— Tak, wielka pani.

— Zaopatrzyłam cię również w hologram Valentine'a Heatha, żebyś mógł go rozpoznać w porcie kosmicznym.

— Chyba nie powinien mieć kłopotów z rozpoznaniem Bjornna wysiadającego ze statku pełnego ludzi, wielka pani?

— Raczej nie — przytaknęła — ale gdyby gdzieś utknął i nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności spóźnił się na lotnisko, na odwrocie fotografii znajdziesz zakodowany adres, który umożliwi ci kontakt z nim. — Podniosła mały hologram i podała mi go. — A to wydruk obrazu, którego autentyczność masz poświadczyć.

Obejrzałem go pobieżnie.

— To ta sama kobieta.

— Wiem — odparła. — Tej twarzy się nie zapomina, nawet jeśli widziało się ją tylko raz.

Popatrzyłem ponownie na wydruk i dostrzegłem dziwny napis pod zdjęciem. Był starannie wydrukowany, ale nic mogłem z niego nic zrozumieć. W końcu oddałem kopię Tai Chong.

— Co tu jest napisane, wielka pani?

— To jest jeden z nowszych kodów tekstowych używanych w niektórych katalogach — wyjaśniła. — Nazywają go, jak mi się zdaje, „elegantki antares”. Wygląda ślicznie, ale wcale nie dziwi mnie, że nie potrafisz go odczytać. — Popatrzyła na tekst. — Napisano tu, że artysta nazywa się Sergio Mallachi. Słyszałeś o nim kiedyś?

— Nie — odparłem. — Podają również tytuł obrazu?

— Tak — przyznała Tai Chong. Wzruszyła ramionami. — Jest raczej dziwny, ale i trochę intrygujący.

— Jak brzmi? — spytałem.

— Mroczna Pani.

8

Potężne rozmiary portu kosmicznego na Karolu Wielkim uświadomiły mi, jak małym światem jest Odległy Londyn.

Muszę zacząć od tego, że nie wylądowaliśmy na samej planecie, tylko na wielkiej stacji orbitalnej. Sterujący wszystkim systemem komputerowy wydawał podróżnym instrukcje, wskazywał im odpowiednie loty, kierował do kontroli celnej, hoteli orbitalnych i podawał terminy wahadłowych przelotów na powierzchnię planety.

Szybko ustaliłem, że wśród tłumu ludzi czekających w doku nie ma Valentine'a Heatha i udałem się prosto do kontroli celnej. Poczekalem aż czujniki prześwietlą mój bagaż i sprawdzą ważność paszportu, a potem wsiałem na bardzo powolny ruchomy chodnik i pojechałem do portu promowego. Najbliższy

wahadłowiec miał odlecieć dopiero za prawie godzinę. Ponieważ na statku, którym przyleciałem podawano przekąski przygotowane jedynie z myślą o ludzkim podniebieniu, zacząłem rozglądać się w poszukiwaniu restauracji dla obcych ras.

Ku memu zdumieniu nie udało mi się znaleźć żadnej. W większości lokali siedzieli obok siebie ludzie i obcy i chyba wszyscy uważali to za coś zupełnie normalnego. Wszedłem do jednego z barów. Przez cały czas z napięciem oczekiwałem, że lada chwila ktoś mi zwróci uwagę, że obcy — albo przynajmniej Bjornni — nie są tu mile widziani, ale kelner bez słowa sprzeciwu zaprowadził mnie do małego stoliczka pod ścianą. Tuż za mną siedziało dwóch ludzi, którzy popijali kawę i rozprawiali o jakimś sportowym wydarzeniu, a przy stoliku po mojej lewej stronie tkwili dwaj Teroni i Lodinita. Teroni jedli ociekające tłuszczem mięso — ich podstawowy przysmak, a Lodinita chrupał z zapamiętaną mieszankę warzywną nieokreślonego koloru.

Na małym ekranie komputera zainstalowanego nad stolikiem pojawiło się menu w języku ziemskim i chociaż z łatwością mogłem je odczytać, poprosiłem o przetłumaczenie na bjomneński; po prostu chciałem zobaczyć, co się zdarzy. Minęło trochę czasu i zacząłem już dochodzić do wniosku, że moje żądanie było jednak zbyt bezczelne, ale zanim zdołałem odwołać polecenie, komputer wyświetlił przekład. Nie chcąc powodować dalszych kłopotów, zamówiłem napój złożony z roztartych na miazgę owoców karolińskich stref tropikalnych. Natychmiast na ekranie pojawiły się dwie kolumny — pierwszą stanowił spis ras, którym napój ten może zaszkodzić (trzy z nich — Do-marian, Setłów i Emran — ostrzegano, że ta szczególna mieszanka owocowa może się okazać dla nich śmiertelna), drugą nieco krótsza lista ras, które nic były wprawdzie narażone na żadne schorzenia,

ale na których organizm płyn ów mógłby zadziałać jak środek odurzający.

Ponieważ Bjornnów nic wymieniono w żadnym z tych wykazów, powtórzyłem zamówienie i niemal od razu zostałem obsłużony. Następny kwadrans spędziłem popijając napój i ciesząc się ciepłem i bezpieczeństwem, które emanowało z bliskiego sąsiedztwa innych istot. W końcu zdecydowałem, że czas się zbierać, więc wpisałem do komputera numer konta Abercrombiego, poczekałem aż zostanie sprawdzone i wróciłem do portu promowego.

Kiedy tam dotarłem, ponownie zaskoczyła mnie niezwykłość Karola Wielkiego. Większość ludzkich planet, które dotąd odwiedziłem, miała jedno albo najwyżej dwa wielkie miasta. Ludzie tak szybko kolonizowali kolejne światy, że ledwie nadążali je zasiedlać. Bogate kolonie na początku były przeważnie małymi miasteczkami, które rozrastały się gwałtownie, ponieważ przybywało do nich coraz więcej ludzi, biedne natomiast zaczynały i kończyły jako całkiem nieważne światy peryferyjne. Ale chociaż słyszałem o Delurosie VIII z siedemnastoma miliardami mieszkańców i innych wielkich planetach, takich jak Ziemia, Spica VI, Terrazane czy Syriusz V, nigdy nie byłem na planecie, gdzie ludzie tak ściśle zabudowali całą powierzchnię.

Od samego wejścia do portu zostałem zalany informacjami na temat Karola Wielkiego. Na Isniącej podłodze doku wrysowano może ze dwadzieścia różnokolorowych linii z instrukcją dla pasażerów, za jakim kolorem mają podążyć, aby dojść do wahadłowca lecącego w odpowiednie miejsce: czerwony do miasta Centralia, purpurowy do Blackwater, złoty do Nowego Johannesburga, pomarańczowy do Dystryktu Wschodniej Granicy i tak dalej. Z tego, co wiedziałem, Valentine Heath mieszkał

w mieście Oceana, wybrałem więc linię prowadzącą do odpowiedniego promu.

Jak każdy inny kosmiczny liniowiec Oligarchii, statek podzielony był na kilka sektorów. Za kabinami pierwszej klasy, z trzema tuzinami wygodnych foteli dostosowanych do figury człowieka, znajdowały się przedziały drugiej i trzeciej klasy, podzielone na środowiska tlenowe i chlorowe, wypełnione rzędami siedzeń, na których mogli się z łatwością usadowić przedstawiciele wszelkich ras: od ważącego sześć ton Kastorianina po malutkiego mieszkańca Tretagansii.

Zmierzałem właśnie do swojego przedziału w drugiej klasie, kiedy zauważyłem, że na samym przodzie sektora pierwszej klasy zajął miejsce Canphoryta, a trzy niebieskie istoty, które weszły tuż przede mną, również tam siadają.

Obróciłem się do ubranej w uniform kobiety, która zarządzała ruchem na pokładzie statku.

— Przepraszam, wielka pani — zacząłem.

— Słucham? — Spojrzała na mnie.

Wskazałem na puste siedzenie tuż przede mną.

— Czy to jest dozwolone?

— Czy co jest dozwolone?

— Czy wolno mi tu usiąść?

— Oczywiście — odparła. — Prawdę mówiąc, w chwili, w której uruchomimy silniki, będziesz musiał gdzieś usiąść.

— Chodziło mi o to, że to kabina pierwszej klasy, wielka pani.

— W lotach wahadłowych nie ma podziału na klasy — wyjaśniła.

— Ale konstrukcja tej kabiny wskazuje...

— Wahadłowiec był wcześniej używany w systemie Spinot — przerwała mi. — Nabyliśmy go niedawno i nie zdążyliśmy jeszcze przerobić. Możesz usiąść gdziekolwiek.

— Dziękuję, wielka pani — powiedziałem.

Przeszedłem korytarzem i zajrzałem do przedziału drugiej klasy. Był dość zatłoczony, ale bez wahania wszedłbym do niego i poszukał wolnego siedzenia. Postanowiłem jednak, że ten jeden jedyny raz polecę w kabinie pierwszej klasy, mimo iż była niemal w połowie pusta. Bardzo chciałem się dowiedzieć, czego doświadczają ludzie, którzy zawsze nią latają. Podjąłem decyzję, usiadłem i przypiąłem się do fotela. Sprawdzając czy pas równo opina moje ciało zastanawiałem się, jaka byłaby reakcja pana Abercrombiego i mojej Matki Wzorcowej, gdyby mogli mnie teraz zobaczyć.

Krótką podróż na powierzchnię Karola Wielkiego odbyła się bez żadnych incydentów. Kilka chwil po wylądowaniu stanąłem przy bramie dla przylatujących, wzrokiem przeszukując tłum w poszukiwaniu Valentine'a Heatha, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Najwyraźniej tu również nie dotarł, więc w końcu udałem się do terminalu komputerowego, aby się dowiedzieć, czy zostawił dla mnie jakąś wiadomość. Okazało się, że nie zostawił.

Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli zamelduję się w hotelu i spróbuję skontaktować się z Heathem później. Poszedłem do stanowiska bagażowego, odebrałem swoją torbę i w obecności przedstawiciela Departamentu Policji Oceany zarejestrowałem dźwięk swojego głosu.

Wyszedłem z terminalu na oświetloną słońcem powierzchnię Karola Wielkiego i zobaczyłem niemal niekończący się sznur pojazdów. Najbliższe z aut natychmiast do mnie podjechało i otworzyły się tylne drzwiczki.

— Witamy w Oceanie — odezwał się kierowca, krępy, łysiejący człowieczek o ujmującym uśmiechu. — Dokąd się udajesz?

— Zawieź mnie, proszę, do hotelu Excelsior, mój dobry czło-

wieku — odparłem w stylu gości honorowych.

— Czy masz tam rezerwację? — spytał.

— Oczywiście — potwierdziłem, wsiadając z bagażem do pojazdu. — Dlaczego pytasz?

Jego ręce dziwnie zadrżały i auto powoli ruszyło.

— Po prostu zwykle mają komplet. Pomyślałem, że jeśli nie zamówiłeś pokoju wcześniej, nie mamy po co tam jechać.

— Jesteś bardzo uprzejmy.

— To moja praca — odparł. — Pierwszy raz jesteś na Karolu Wielkim?

— Tak — rzekłem.

— Mam nadzieję, że będzie ci się tutaj podobało.

— Jestem o tym szczerze przekonany — stwierdziłem, spoglądając przez okno na ogromny obszar brązowej, suchej trawy.

— Mogę ci zadać pytanie, mój dobry człowieku?

— Oczywiście.

— To piękne miasto nazywa się Oceana — zauważyłem. — A gdzie jest ocean?

Zaśmiał się.

— Niewłaściwa pora roku.

— Nie rozumiem.

— Znajdujemy się zaledwie dwieście mil na południe od równika, więc zamiast lata i zimy mamy tu pory suche i deszczowe. Widzisz tę równinę? — spytał, wskazując za okno.

— Tak.

— Kiedy nadchodzi pora deszczowa, cały ten teren zamienia się w jezioro szerokie na prawie dwieście mil i jakieś osiemnaście cali głębokie. Pierwsi ludzie zjawili się tu tuż po deszczach i uznali je za ocean. Nazwali więc miasto Oceaną, a zanim stwierdzili, że popełnili błąd, nazwę zatwierdziły już Korpusy Pionierskie i zarejestrował ją Departament Kartografii na Kalibanie. Zmiana

nazwy sprawiłaby cholernie dużo problemów. — Umilkł na moment. — Właśnie z powodu deszczów port kosmiczny znajduje się tak daleko od miasta. Gdyby był bliżej, przez pół roku znajdowałby się pod wodą.

— Bardzo interesujące — zauważyłem.

— To bardziej kłopotliwe niż interesujące — roześmiał się taksówkarz. — Ciągłe przyjeżdżają do nas przypadkowi turyści, skuszeni wyłącznie nazwą miasta.

Dojechaliśmy do peryferii Oceany, metropolii pełnej lśniących budowli ze stali i kanciastych szklanych wież oraz szerokich dróg przecinających gęsto rozmieszczone dzielnice handlowe i mieszkaniowe. Po pewnym czasie dotarliśmy do gęsto zabudowanej dzielnicy wysokościorców, których szczyty zdawały się sięgać niemal do lekkich, małych, nisko wiszących chmur. Pojazd zatrzymał się.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił kierowca.

Zapłaciłem, wysiadłem z taksówki i podszedłem do jednego z sześciu ubranych w liberię portierów. Ten natychmiast wziął ode mnie bagaż i zaprowadził mnie do stosunkowo małej recepcji, otoczonej wielką ilością niezwykle ekskluzywnych sklepów i butików. Zauważyłem, że w pobliżu znajdował się tylko jeden obcy: trójnożna istota ubrana w złoto-karmazy- nowy uniform hotelowy, z oznakami służby porządkowej. Rozejrzałem się wokół i doszedłem do wniosku, że nikogo nie dziwi jego widok.

Ekspresowa winda szybko zawiozła mnie na sześćdziesiąte czwarte piętro. Wysiadłem i udałem się krótkim, jasno oświetlonym korytarzem do drzwi na końcu. Stanąłem przed nimi i wypowiedziałem moje imię. Poczekąłem aż zostanie zarejestrowany dźwięk mojego głosu, a gdy drzwi się otworzyły, wszedłem do apartamentu.

Znalazłem się od razu w ogromnym salonie z wielkim oknem z widokiem na miasto. Na wyposażenie pokoju składały się cztery krzesła, duży tapczan pokryty białą skórą tumigana, mały, dobrze zaopatrzony barek zbity z doradusiańskiego drewna i kamienny kominek.

Przy barku z napełnioną do połowy szklanką w rękę stał wysoki, bardzo zadbany, kosztownie i elegancko ubrany mężczyzna o włosach koloru spalonej przez słońce trawy z łąk Oceanu. Miał skośne, zielonoszare oczy. Rozpoznałem go natychmiast. Był to Valentine Heath.

— Wejdz i rozgość się — powiedział zapraszająco. — Przepraszam, że nic przyszedłem po ciebie do portu, ale i tak bym cię nie rozpoznał. Powiedziano mi, że jesteś Bjornnem.

— I tak właśnie jest — odparłem.

Popatrzył na mnie z zaskoczeniem.

— Spotkałem w swoim życiu dwóch Bjornnów — stwierdził — i zupełnie nie byli do ciebie podobni.

— Zapewne należeli do innego Domu — wyjaśniłem.

— Byli zielono-czarni, a ich skóra wydawała się pokryta nieskończonym układem koncentrycznych kręgów.

— Musieli być z Domu Ilsthi — zdecydowałem. — To jubile-rzy.

— Zgadza się. — Uśmiechnął się. — Aha, tak w ogóle to cieszę się, że cię poznałem, Leonardo. Jestem Valentine Heath.

— Mogę zadać panu pytanie, panie Heath? — spytałem. Chciałem zwrócić się do niego „przyjacielu Valentine”, ale zdecydowałem, że nie będę używał stylu przyjaźni, póki nie dowiem się, w jaki sposób i dlaczego włamał się do mojego apartamentu.

— Oczywiście. Mów mi Valentine.

— Co pan tutaj robi, panie Heath?

— Valentine — poprawił mnie. — Pomyślałem, że mógłbyś mieć kłopoty ze znalezieniem mojego mieszkania. Zdaje się, że nigdy przedtem nie byłeś na Karolu Wielkim, a Oceana ma dość skomplikowaną sieć ulic i zupełnie nonsensowny system numeracji.

— Pan mnie chyba nie zrozumiał, panie Heath — zauważyłem. — Pytałem, co pan robi w moim pokoju?

— Pewnie nie powinienem był tu wchodzić, ale widzisz, Leonardo, do hotelu prowadzą cztery wejścia. Obawiałem się, że mogę czekać przed niewłaściwym i rozminąć się z tobą.

— Przecież drzwi powinny się otwierać jedynie na dźwięk mojego głosu. Jak pan tu wszedł?

— Nigdy nie ufaj zbyt wiele zabezpieczeniom, Leonardo — rzucił z uśmiechem. — Każda pokojówka czy strażnik z łatwością zdołają tu wejść. Gdybym był tobą, zostawiłbym cenne rzeczy w hotelowym sejfie. — Urwał. — Przyrządzić ci drinka?

— Nie, dziękuję.

— Może coś do jedzenia? Obsługa hotelowa oferuje całkiem niezły wybór i dostarcza wszystko w ciągu dziesięciu minut.

— Nic, dziękuję.

— Cóż, w takim razie, usiądź sobie i odpocznij.

— Nie jestem zmęczony — oświadczyłem. — Może obejrzymy obraz?

— Później — odparł. — Najpierw trochę lepiej się poznamy.

Nagle zacząłem czuć się bardzo nieswojo w obecności tego człowieka. Przecież przełamał system zabezpieczeń mojego apartamentu i najwyraźniej zupełnie nie miał ochoty pokazywać mi obrazu, dla którego przeleciałem całą tę drogę.

— Możemy porozmawiać podczas spaceru po pańskim mieście — zasugerowałem. — Kiedy przez nie przejeżdżałem, wy-

glądało na dość fascynujące.

— Tak naprawdę ożywa dopiero po zmroku — odparł. — Jeśli masz ochotę obejrzeć prawdziwą Oceanę, musisz poczekać aż zajdzie słońce.

Nie chciałem, by Heath zauważył, że się go boję, ale koniecznie pragnąłem opuścić apartament i znaleźć się wśród ludzi, zanim będzie za późno i na własnej skórze przekonam się, jaki zgotował mi los.

— Podczas lotu liniowcem kosmicznym z Odległego Londynu, przyjacielu Valentine — oznajmiłem, podkreślając dwa ostatnie słowa — przeczytałem, że w Oceanie znajduje się znakomite muzeum sztuki. Może poszlibyśmy je teraz zwiedzić, jeśli jest otwarte.

Potrząsnął głową.

— Muszę cię rozczarować, Leonardo. Niestety, zostało zamknięte z powodu remontu.

— Jesteś pewny? — zdziwiłem się. — Artykuł mówił, że zostało zbudowane zaledwie dwa lata temu.

— Zdaje się, że w zeszłym tygodniu ktoś je obrabował i teraz instalują nowocześniejszy system zabezpieczeń. — Podeszedł do krzesła i usiadł. — Może po prostu spędzimy popołudnie tutaj?

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, poszukując w jego ubraniu jakichś wybrzuszeń, które wskazywałyby na ewentualną obecność broni. Niczego podejrzanego nie zauważyłem, ale właściwie i tak nie miało to znaczenia: był przecież o wiele większy i silniejszy ode mnie.

Zebrałem się na odwagę i powiedziałem:

— Przyjacielu Valentine, mój bagaż jeszcze nie przybył. Chyba muszę wrócić na dół do hallu i sprawdzić, czy go czasem nie zgubili.

— Bagażowy przyniesie go tutaj lada chwila — zapewnił mnie. — Prawdopodobnie załadował go na wózek z całą masą innych toreb i roznosi je teraz po wszystkich pokojach.

— Niemniej jednak — nalegałem — wołałbym zejść. Mam tam pewne osobiste rzeczy, które są mi dość bliskie.

Wskazał na konsolę hotelowego interkomu.

— Jeśli naprawdę się martwisz, to zadzwoń do recepcji i dowiedz się, czy twój bagaż jest już w drodze.

— Czuję się o wiele spokojniejszy, gdybym poszedł osobiście — odparłem szczerze, robiąc nieznaczny krok w kierunku drzwi.

Wzruszył ramionami.

— Skoro się tak przejmujesz, idź.

— Nie masz zamiaru mnie zatrzymać? — zdradziłem się.

Jego mina sugerowała, że uznał ten pomysł za bardzo zabawny.

— A niby dlaczego miałbym to robić?

— Pomyślałem... że jesteś... Wydawało mi się... — Byłem tak podniecony i zakłopotany, że nie byłem w stanie sformułować żadnej przekonującej repliki.

— Dobrze się czujesz? — spytał. — Zmieniają ci się kolory.

— To jest odcień upokorzenia — wyjaśniłem. — Pomyślałem, że z jakiegoś powodu chcesz mnie tu zatrzymać..

Heath zachichotał.

— Jesteś całkowicie wolny i możesz iść, gdzie tylko sobie życzysz, ale niestety obawiam się, że będę musiał korzystać z twojej gościnności aż do zapadnięcia zmroku.

— Nic rozumiem.

— Wyjaśnienie jest naprawdę całkiem proste — stwierdził. — Po prostu szuka mnie policja.

— Jesteś przestępcą?! — krzyknąłem, a moje obawy powró-

ciły.

— Nic, tylko podejrzanym.

— W takim razie, dlaczego ukrywasz się przed policją? — spytałem. — Na pewno najrozsądniejszym wyjściem będzie zgłosić się do nich dobrowolnie i szczerze odpowiedzieć na ich pytania.

— W istocie, to jest najlepsza metoda, ale pod warunkiem, że jest się niewinnym — odparł z uśmiechem. — A ja zrobiłem dokładnie to, o co mnie podejrzewają. — Przerwał. — Naprawdę nie chciałbym ci sprawiać kłopotu, Leonardo, ale to jeszcze tylko kilka godzin. Kiedy się ściemni, bez problemu im się wymknę.

— Zabiłeś kogoś? — spytałem, odsuwając się od niego.

— Oczywiście, że nic! Jestem wprawdzie immoralistą, ale nie mordercą!

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Czy twój portret jest kradziony?

— Nigdy nic ukradłbym czegoś tak przeciętnego — obruszył się. — Jeśli chodzi o technikę malarską, jest to właściwie absolutny kicz.

— Ale kradniesz obrazy?

Pociągnął łyk ze szklanki, a potem podniósł oczy z rozbawioną miną.

— Zabrzmiało to tak, jakbym był wielkim złodziejem dzieł sztuki.

— A jesteś?

— Nie.

— Przez chwilę myślałem, że to przez ciebie zamknęli muzeum — oświadczyłem nieco odprężony, choć wciąż jeszcze byłem gotów do ucieczki.

— Bo tak jest — odrzekł spokojnie.

— Ale przecież powiedziałeś mi właśnie, że nie jesteś zło-

dziejem dzieł sztuki!

— „Złodziej dzieł sztuki” to termin zbyt ograniczony. Kradnę również biżuterię i różne inne gustowne cacka. — Zadumał się. — Wolę nazywać siebie mistrzem przestępstwa. Brzmi to o wiele bardziej profesjonalnie.

— Dlaczego mi to powiedziałeś? — spytałem.

— Ponieważ jestem zależny od twojej gościnności — odparł. — I ponieważ na Karolu Wielkim obcy nie może świadczyć przeciwko istocie ludzkiej.

— Ale mogę o wszystkim powiadomić policję.

Wzruszył ramionami.

— I tak już wiedzą, co zrobiłem. Nie potrafią tylko niczego mi udowodnić. — Uśmiechnął się do mnie. — Poza tym, jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele nic robią sobie takich rzeczy.

— Nic mogę się przyjaźnić ze złodziejem — powiedziałem twardo.

— Oczywiście, że możesz. Jestem naprawdę bardzo sympatycznym facetem. I właściwie trudnię się handlem. Gdyby nie to, o wiele trudniej byłoby mi uprawiać zawód, który wybrałem.

— Dlaczego w ogóle zostałeś złodziejem?

— To wina moich rodziców. Osobiście uważam się raczej za ofiarę niż za złodzieja.

— Co mają z tym wspólnego twoi rodzice?

— Wydawali zbyt dużo pieniędzy. — Skończył drinka i pochylił się na krzesło. — Widzisz, Heathowie byli zamożną rodziną od tylu pokoleń, że nawet nie potrafili byś ich policzyć, i oczywiście żaden Heath nigdy nie zniżył się do tego, aby zarabiać na życie. Jedyna rzecz jakiej mnie nauczono, to trwonienie rodzinnego majątku. Możesz sobie wyobrazić moje rozczarowanie, kiedy dowiedziałem się, że pociąg ojca do kobiet i namięt-

ność matki do hazardu niezwykle ten majątek uszczupliły. — Urwał. — Nie nadawałem się nawet do najprostszej pracy, miałem za to wybornie rozwinięte poczucie artystycznego smaku i głęboko wpojone zasady kultury towarzyskiej, jeśli mogę tak nieskromnie siebie oceniać. Ponieważ zostałem stworzony jedynie do przyjemnego życia, niejako w naturalny sposób podryfowałem ku jedynej profesji, do której się nadaję...

— Jakie cechy mogą decydować o tym, że ktoś nadaje się jedynie do złodziejstwa? — spytałem powątpiewająco.

— Jak wszystkie rozpieszczone dzieci, byłem oczywiście wychowywany w przeświadczeniu, że w przyszłości nie będę musiał troszczyć się o nikogo z wyjątkiem siebie — odparł. — Gdybym respektował prawa innych ludzi, przeżywałbym ogromne moralne konflikty za każdym razem, kiedy wykonuję swoje zajęcie. Na szczęście nie cierpię z powodu tego typu skrupułów. Zresztą, gdyby zabrakło takich ludzi jak ja, firmy ubezpieczeniowe przeżyłyby wkrótce poważną recesję, a więc w pewnym sensie przynoszę gospodarce korzyści.

— Wiedziałem, że wśród obcych społeczności znajdują się złodzieje — stwierdziłem — ale nigdy nie przypuszczałem, że spotkam takiego, który będzie szczylił się tym zajęciem.

— A dlaczego nie miałbym być dumny z tego, co robię? To jest pewna forma sztuki i na pewno jestem lepszym złodziejem niż Sergio Mallachi malarzem.

— Chyba powinienem cię poinformować, że nie mam przy sobie gotówki — powiedziałem.

— Nigdy nic kradnę pieniędzy — mruknął pogardliwie. — Zbyt łatwo wyśledzić numery seryjne.

— Wytropienie kradzionego portretu jest jeszcze łatwiejsze — zauważyłem.

— Pewnie! — zaśmiał się. — Ale niektórzy ludzie wydają duże pieniądze, a swoje obrazy trzymają pod kluczem. Cała sztuka polega więc na tym, by kraść dzieła, które są tak sławne, że ich nowi posiadacze nigdy nie odważą się pokazać ich publicznie. Dlatego właśnie robię interesy jedynie z kolekcjonerami i nie bywam na otwartych aukcjach. — Zamyślił się na moment. — Naturalnie, staram się dostarczać zbieraczom wszystko, czego tylko zapragną. Często zdobywam więc płótna także uczciwie i wtedy działam jako pośrednik. — Urwał. — Poza tym — dodał po chwili — od czasu do czasu pełnię także funkcję konsultanta klientów, którzy posiadają miliony kredytów, ale nie mają za grosz gustu. Zwykle załatwiam dla nich mniej więcej takie malunki jak ten. — Wskazał na wyjątkowo kiepski obraz abstrakcyjny, który wisiał za tapczanem.

— Skoro twierdzisz, że zdobyłeś portret Mallachiego uczciwie, to bez ryzyka mogłeś wystawić go na licytację — zauważyłem.

— Tak, ale wtedy ludzie zaczęliby się zastanawiać, dlaczego nie wystawiam wszystkich innych — wyjaśnił. — Konsekwencja przeraża małe umysły, ale niekonsekwencja zapewne zainteresowałaby policję.

— Nie wiem, czy powinienem w ogóle z tobą rozmawiać — stwierdziłem. Poczułem się nieswojo, uświadomiłem sobie bowiem, iż ten mężczyzna urzekł mnie swoim sposobem bycia, a mój strach przed nim zupełnie zniknął. — Jesteś symbolem niemoralności, chaosu i hańby.

— Przeceniasz moją wartość, Leonardo — rzucił lekko. — Jestem tylko facetem, który umie korzystać z nadarzających się okazji, nikim więcej. Powinieneś mi właściwie współczuć, bo pracuję ciężiej niż jakikolwiek Heath w ciągu ostatnich pięciuset lat. A wszystko po to, by na nowo napęłnić opustoszały skarbiec

rodzinny. — Umilkł. Rozejrzał się z uwagą dokoła, jakby zobaczył swoje otoczenie po raz pierwszy. — Boże, jakiż okropny gust miał ten dekorator! Gołe ściany byłyby lepsze niż ta straszna metaliczna tapeta! — Potrząsnął głową. — Założę się, że w łazience wiszą trofea myśliwskie.

— Co ukradłeś z muzeum? — spytałem.

— Tylko jeden drobiazg — odrzekł wzruszając ramionami. — Trudno uwierzyć, że policja może się tak złościć o jedno dziełko, prawda?

— Nie wiem jeszcze, co to było — mruknąłem.

— Rzeźba Mority — odparł.

— Mority?! — wykrzyknąłem.

Skinął głową z uśmiechem, który wręcz promieniował samozadowoleniem.

— Jedna z najbardziej nowatorskich.

— Policja na pewno ją znajdzie podczas rewizji w twoim domu!

— Wszystko zależy od tego, w którym domu będą szukać — odrzekł Heath lekko. Mój okrzyk najwyraźniej nie zrobił na nim wrażenia. — Mam ich jedenaście, wszystkie pod fałszywymi nazwiskami. I tylko trzy z nich są na Karolu Wielkim. Nic będziesz miał nic przeciwko temu, że naleję sobie jeszcze jednego drinka? — Wstał i podszedł do barku. — Jesteś pewien, że nic masz ochoty?

— Tak.

— Jak chcesz. — Ponownie się uśmiechnął. — Ale gdzie się podziały moje maniery? Czy mogę zamówić dla ciebie narodowy napój bjornneński? Obsługa hotelowa z pewnością umie go przyrządzić.

— Dziękuję, nie jestem spragniony.

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Wejść — powiedział głośno Heath. Drzwi otworzyły się i wszedł bagażowy. — Proszę zanieść torbę do sypialni — polecił Heath nieokreślonym gestem wskazując w głąb apartamentu, a kiedy po chwili mężczyzna powrócił, wcisnął mu w dłoń napiwek.

— Dziękuję, panie Leonardo — skłonił się tragarz. — Życzę miłego pobytu w Oceanie.

— Nic wątpię, że taki będzie — odrzekł uprzejmie Heath, polecając drzwiom, żeby się zamknęły.

— Ależ to ja jestem Leonardo! — jęknąłem z rozpaczą.

— To prawda — zgodził się Heath. — Tyle że w tej chwili to ja potrzebuję alibi.

— Po co?

— Kto wie? Dzień jeszcze się nie skończył.

— Zaslugujesz na potępienie — mruknąłem.

Uśmiechnął się.

— Ale jaki jestem przy tym czarujący. Papcio Heath zawsze powtarzał, że jeśli nie potrafisz dbać o swój majątek, powinieneś przynajmniej kultywować jego iluzję. A do tego nieodzowna jest oczywiście choćby odrobina osobistego uroku.

— Malcolm Abercrombie posiada fortunę, a jest najmniej czarującą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem — stwierdziłem.

— Abercrombie? To ten facet, który chce kupić portret Mrocznej Pani, prawda?

— Tak.

— Po co mu on? Ten obraz jest wyjątkowo brzydki. Prawic wstyd mi było proponować go Tai Chong, ale naciskają mnie wierzyciele i do końca tygodnia muszę zdobyć trochę gotówki.

— Pan Abercrombie kolekcjonuje podobizny tej modelki.

— Nie wiedziałem, że pozowała też innym artystom.

— Ta kobieta nie mogła pozować do portretu, który chcesz nam sprzedać — wyjaśniłem. — Nie żyje od ponad sześciu tysięcy lat.

— Nonsens — wycedził drwiąco. — Była kochanką Mallachiego. Z tego, co wiem, nadal jest.

— Mylisz się. — Pokręciłem głową. — Mam jej fotografię z czasów, kiedy człowiek zamieszkiwał wyłącznie Ziemię.

Potrząsnął głową.

— Na tym zdjęciu musi być po prostu ktoś do niej podobny.

— Jestem absolutnie pewny, że to ona. A zresztą mam dowód.

— Mallachi się chyba nic pomylił, co — odburknął Heath. — W końcu sam ją przecież namalował.

— Przyszło mi do głowy, że mógłbym sam porozmawiać z tym Mallachim.

— Nie widzę przeszkód — stwierdził Heath. — A tak przy okazji, ile portretów Mrocznej Pani posiada Abercrombie?

— Dwadzieścia siedem.

Po twarzy Heatha przemknął pożądlivy uśmiezek.

— Czy któreś z nich zostały wykonane przez słynnych artystów?

— Dlaczego o to pytasz? — Stałem się podejrzliwy.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

— Próbuję po prostu podtrzymać rozmowę. A może wolisz siedzieć tutaj w milczeniu aż do zmroku?

— Zdradziłeś mi, że jesteś złodziejem dzieł sztuki — wyjaśniłem. — Nie wiem, czy powinienem odpowiadać na takie pytania.

— Ranisz moje uczucia, Leonardo.

— Jeśli to prawda, przykro mi.

— Jestem bardzo wrażliwą osobą.

- Nie wątpię — mruknąłem.
- A więc nie opowiesz mi o kolekcji Abercrombiego?
- Musiałbym przedtem zasięgnąć porady moralnej w Domu Crsthionn.
- Crsthionn? — powtórzył. — Wydawało mi, że przedtem użyłeś innego słowa.
- Crsthionn to mój Dom. Wcześniej mówiłem o Domu Ilsthni.
- A tak, rzeczywiście — przyznał. — Tamci są jubilerami, a wy pośredniczycie w sprzedaży dzieł sztuki. — Umilkł. — Wyjaśnij mi jedną rzecz, Leonardo.
- Jeśli tylko zdołam.
- Dlaczego twój wygląd tak bardzo różni się od wyglądu jubilerów? W końcu należycie do tej samej rasy.
- Różnice anatomiczne pomiędzy nami nic są większe, niż pomiędzy przedstawicielami rasy ludzkiej — odparłem.
- Może i macie podobną budowę, ale ty jesteś pomarańczowo-fioletowy, pasy, a tamci Bjornni byli pokryci zielonymi i czarnymi kółkami.
- Ludzie też różnią się kolorem skóry, a jednak wszyscy są członkami tej samej rasy. Nasze Wzorce i kolory określają, do którego z trzydziestu jeden Domów należymy, ale wszyscy jesteśmy Bjornnami.
- Chcesz powiedzieć, że otrzymujecie zawód w zależności od tego, z jakimi plamami się rodzicie?
- Dlaczego cię to dziwi? Sam utrzymujesz, że o twojej niemoralnej profesji zdecydowało przyjście na świat w takiej a nie innej rodzinie — odpaliłem.
- Racja. — Wyszczrzył zęby i zamilkł. — Ale gdyby rodzice nie roztrwonili mojego dziedzictwa — dodał po chwili — otwierałaby się przede mną szerokie perspektywy. Ty natomiast naj-

wyraźniej nie miałeś żadnego wyboru.

— Zabrzmiało to tak, jakby spotkało mnie jakieś wyjątkowe nieszczęście, a zapewniam cię, że tak nie jest. Z każdym zawodem związane są rozmaite obowiązki i kary za przekroczenie norm moralnych.

— Ale ty musisz uprawiać ten jeden, narzucony ci zawód — naciskał.

— To nie tak, my stajemy się częścią danego Domu — wyjaśniłem. — To istotna różnica.

— Jakoś nie mogę jej dostrzec.

— W przeciwieństwie do was, pochodzimy od zwierząt stadnych i dzięki temu posiadamy silnie rozwinięty instynkt przynależności do Rodziny. Największą tragedią, jaka może przydarzyć się Bjornnowi, jest urodzenie się z Wzorcem innym niż charakterystyczne dla tych trzydziestu jeden Domów.

— Często się to zdarza? — spytał Heath.

— Mniej więcej raz na dwa tysiące przypadków — odparłem. — Dziecko zostaje wtedy skazane na wygnanie i prawie natychmiast umiera.

— Jak dla mnie, to dość barbarzyński zwyczaj.

— Jesteśmy od tego jak najdalsi. Nasza rasa dąży po prostu do zachowania czystości genetycznej. Gdy pozwala się istnieć w społeczności istotom nie-Wzorcowej, igra się z nieszczęściem.

— Ilu już zabiliście? — spytał.

— Ciągle nie rozumiesz — tłumaczyłem cierpliwie. — Śluby pomiędzy członkami różnych Domów często mają u nas miejsce, ale chcemy uniknąć niepożądanych cech. Sam jestem takim przypadkiem. Moja matka była z Domu Krylken, a ojciec, którego Wzorec noszę, należał do Domu Crsthionn.

— I ojciec cię wychował?

— Zostałem wychowany przez Matkę Wzorcową.

— Zaczyna mi się to wszystko mieszać — oznajmił Heath. — Myślałem, że twoja matka nie miała takiego samego Wzorca.

— Bo nie miała. Jako dziecko zostałem oddany do Domu Crsthionn. Tam moja Matka Wzorcową wprowadzała mnie w etos Domu Crsthionn.

— A co z twoim ojcem?

— Jak to co?

— Nie miał nic do powiedzenia w tej kwestii?

— Nie wiem. Nigdy go nie poznałem. Opuścił Benitarus II, zanim się urodziłem.

— Dlaczego? Czy złamał jakieś prawo, a może źle wybrał żonę?

— Ani jedno, ani drugie — odrzekłem. — Społeczność Bjornów jest matriarchalna. Samca zawsze można zastąpić innym, osobniki rodzaju żeńskiego są natomiast w Domu źródłem siły i mocy. Wszystkie samce po osiągnięciu dojrzałości opuszczają swój Dom, a często również i planetę, aby nie zakłócać jego normalnego życia.

— Z twojego tonu wynika, że jednak tęsknią za atmosferą i życiem rodzinnym swoich Domów.

— Rozpaczliwie.

— Czy kiedykolwiek wracają?

— Tylko w celu spłodzenia potomka albo po to, by otrzymać dalsze wskazówki moralne. — Popatrzyłem Heathowi prosto w oczy. — Podczas podróży po Galaktyce niektórzy spotykają się z różnymi szkodliwymi wpływami i od czasu do czasu muszą wracać do Domu, aby ponownie zanurzyć się w oczyszczającym strumieniu moralnych imperatywów Bjornów i odnowić w sobie niezłomność.

Heath spojrział na mnie z rozbawieniem.

- Chyba próbujesz mnie obrazić.
- Jeśli tak to odebrałeś, przepraszam.
- Łaskawie wybaczam — stwierdził. — A teraz może wróci-libyśmy do rozmowy o Abercrombiem i jego kolekcji.
- Nie pozwalają mi na to moje zasady.
- Moralność może powodować czasem istne męczarnie — skrzywił się Heath. — Zwłaszcza, jak się wydaje, ta w wydaniu bjornneńskim.
- Pochodzę z bardzo stabilnej i honorowej społeczności — wyjaśniłem. — Bez wątpienia niezbyt dokładnie ci ją opisałem.
- Myślę, że wystarczająco. Mam dziwne wrażenie, że wasz system całkowicie tłumi inicjatywę jednostki.
- Jednostka jest niczym. Najważniejszy jest Dom.
- Tak naprawdę wcale nie wierzysz w te brednie, prawda? — spytał.
- Oczywiście, że wierzę!
- Cóż, po dwóch tygodniach obcowania ze mną nauczysz się patrzeć na wszystko bardziej praktycznie.
- Nie będziemy z sobą tak długo.
- Oczywiście, że będziemy — rzucił lekko. — Musisz dokładnie obejrzeć obraz. Chciałeś także spotkać się z Mallachim. To zajmie co najmniej cztery, pięć dni.
- Mówiłeś o dwóch tygodniach — zauważyłem.
- Tak.
- A co niby miałbym tu jeszcze później do roboty?
- Och, jestem pewien, że razem na pewno coś wymyślimy — stwierdził z przekonaniem. Niejasno przeczuwałem, że jest to aluzja do Malcolma Abercrombiego i jego kolekcji.

9

Zapadła noc, a ja ciągle jeszcze nie wyrobiłem sobie jasnego zdania na temat Valentine'a Heatha. Bez wątpienia był interesujący i zabawny. Traktował mnie uprzejmie i z szacunkiem, ale jeśli miałem mu zaufać (a na razie nie widziałem powodu, żeby tego nie zrobić), musiałem wziąć pod uwagę, że był absolutnie amoralnym przestępcą i ukrywał kradzione dzieła sztuki. Nie miałem złudzeń, że niektóre z nich sprzeda wkrótce nic nie podejrzewającej Tai Chong. Zanim zjechaliśmy na parter hotelu Excelsior, zdecydowałem, że pozostanę w jego towarzystwie jedynie do czasu aż uzyskam obraz Mallachiego, a potem pierwszym statkiem wrócę na Odległy Londyn.

— Wynajmiemy pojazd czy wolisz jakąś formę transportu publicznego? — spytałem, kiedy doszliśmy do drzwi frontowych.

— Transportu publicznego? — powtórzył z szyderczym grymasem. — Ocierać się ramię w ramię z przedstawicielami plebsu, którzy chuchają ci w twarz dymem i czosnkiem? Ugryź się w język, Leonardo!

— W takim razie przywołam taksówkę — oświadczyłem i wyszedłem przed hotel.

— Zostaw to mnie — stwierdził, dając znak wielkiemu, luksusowemu, srebrnemu pojazdowi, który stał kilkaset metrów od nas. Auto natychmiast ruszyło i podjechało pod hotel.

— Moja duma i radość — powiedział, otwierając przede mną drzwiczki. — Nawet zapalniczka w samochodzie jest ładowana energią termonuklearną. Co o nim sądzisz?

— Dość duży — zauważyłem, niemal tonąc w ogromnym tylnym siedzeniu.

— Jeśli jesteś spragniony, obok siebie masz barek. — Usiadł koło mnie, nacisnął guzik i po sekundzie wyrosła między nami zgrabna szafka z trunkami.

— Nie, dziękuję.

— Mam tu także wideo z oktafonicznym systemem dźwiękowym — mówił dalej.

— Interesujące — powiedziałem.

Nacisnął kolejny guzik, a ja z trudem stłumiłem krzyk, kiedy całe siedzenie zaczęło nagle wibrować.

— To na te dni, kiedy zmęczy cię ucieczka przed policją — wyjaśnił.

Postukał w szklaną przegrodę, która oddzielała nas od przedniego siedzenia i kierowca rasy Mollutei opuścił szybę.

— Tak, panie Heath? — powiedział do urządzenia tłumaczącego na język ziemski.

— Mieszkanie podziemne, Jamesie.

— Dobrze, panie Heath — odparł Mollutei, zasuwając z powrotem szybę.

— Co to jest mieszkanie podziemne? — spytałem.

Zachichotał.

— Po prostu kryjówka.

— Zauważyłem, że nazwałeś swojego kierowcę Jamesem — stwierdziłem. — Nie wiedziałem, że Mollutei noszą ludzkie imiona.

— Nie noszą, ale nie potrafię wymówić jego prawdziwego imienia, więc nazywam go Jamesem. — I dodał: — Ostatniego, jeśli sobie dobrze przypominam, nazywałem Oscarem.

— Cieszę się, że chętnie zatrudniasz przedstawicieli obcych ras.

— Wspominałem ci już chyba, że w karolińskich sądach nie uznaje się ich zeznań przeciwko ludziom — odrzekł Heath. —

Poza tym, pracują za mniejsze pieniądze, a ja stale usiłuję zmniejszyć koszty własne. Nie zawsze mi się to udaje. Zostałem tak wychowany, że umiem wybierać to, co najlepsze, ale o wiele trudniej już przychodzi mi skalkulowanie maksymalnego zysku. Moje życie zawodowe to niekończące się pasmo prób i błędów.

— Najwyraźniej jak dotąd nie popełniłeś ich zbyt wielu — zauważyłem — ponieważ ciągle jesteś na wolności.

— Och, to w równej mierze zasługa moja, jak i policji — odparł lekko. — Byłbyś zaskoczony, ile musi upłynąć czasu, aby pojęli, że ktoś o mojej pozycji mógłby być złodziejem. Przestępstwa, które — ich zdaniem — mógłby ewentualnie popełnić ktoś o mojej pozycji społecznej, to oszustwa giełdowe, fałszerstwa kontraktów rządowych i afery polityczne. Ale nocne kradzieże? Tego nigdy nie biorą pod uwagę.

— W takim razie, dlaczego musiałeś ukrywać się w moim apartamencie? — spytałem.

— No, prawie nigdy — poprawił się. — Ale kiedy mnie w końcu złapią, rzeźba Mority będzie się już znajdowała u kogoś, kto ma jeszcze więcej powodów niż ja, by ukrywać, że ją posiada. Policja będzie mnie długo i oficjalnie przeproszać, a przy następnej okazji dobrze się zastanowi, zanim w ogóle zacznie mnie podejrzewać o kradzież.

— To rzeczywiście dość komfortowa sytuacja — mruknąłem z dezaprobatą.

— Jeśli się jednak dobrze zastanowić — dodał — nonsensem byłoby aresztowanie zwykłego rzeźmieszka za kradzież cennego klejnotu albo wybitnego obrazu. Pomyśl, przecież takiego ledwie stać na czystą koszulę. Jak może być człowiekiem, którego poszukują? A ja tylko na podstawowe wydatki potrzebuję co najmniej pół miliona kredytów miesięcznie i nie posiadam żad-

nych oficjalnych stałych źródeł utrzymania. Gdyby policja była sprawna, dokładnie rozważyłaby tę sprawę, zrobiłaby obławę na całą masę niepracujących bogaczy i tak długo potrzymała ich w więzieniach, póki by wszystkiego nie wyśpiewali.

— Bardzo interesujący punkt widzenia — przyznałem.

— I znajduje potwierdzenie w faktach — kontynuował. — Kiedy wchodzę w świat zwykłych ludzi, nigdy nie boję się, że zostanę obrabowany, ale podróżując wśród sobie równych, zawsze staram się być uzbrojony po zęby. — Obrócił się do mnie. — Pamiętaj, Leonardo: jeśli jakiś człowiek powie ci, że nie potrzebuje pieniędzy, łap jego portfel i zmykaj.

— A co powinienem zrobić, jeśli powie mi, że jest złodziejem?

— Wszyscy jesteśmy złodziejami — uśmiechnął się Heath. — Tyle że ja jestem uczciwym złodziejem.

— Czy to stwierdzenie nie jest wewnętrznie sprzeczne? — spytałem.

— Oczywiście. Ale kto ci powiedział, że człowiek nie jest pełen sprzeczności? — Wyjrzał przez okno. — No, wreszcie dojechalismy!

Łapałem za klamkę, ale Heath łagodnie chwycił moją rękę.

— Jeszcze nie — stwierdził. Uruchomił przycisk interkomu. — Objedź dom ze dwa razy, Jamesie. — Zwrócił się ponownie do mnie. — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, najpierw sprawdzimy, czy nie jesteśmy śledzeni i czy wejście do budynku nie znajduje się pod obserwacją.

— Co będzie, gdy okaże się, że obserwują dom?

— Wtedy przebiorę się za sąsiada i wyniosę obraz tuż pod nosem policji.

— A jeżeli pojawi się prawdziwy sąsiad? — spytałem.

— Właśnie na niego patrzysz — oznajmił Heath z uśmiechem.

— Nie rozumiem.

— Mam w tym budynku dwa mieszkania. Jedno, w suterenie, wynajmuję na własne nazwisko, a drugie, na szóstym piętrze, jako starszy pan z białą brodą, który w widoczny sposób utyka. Dziadek dość rzadko wychodzi ze swojej klatki, ale na tyle często, by sąsiedzi mogli go zidentyfikować.

— Czyli używasz w Oceanie dwóch tożsamości?

— Prawdę mówiąc, trzech — odrzekł Heath. — Jest to trochę uciążliwe, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się przydadzą. — Znowu przemówił do interkomu: — W porządku, Jamesie. Zaparkuj parę ulic dalej, wysadź nas i miej wszystko na oku.

Pojazd zatrzymał się, a my wysiedliśmy na ciepłe, suche, nocne powietrze.

— Tędy — wskazał Heath, prowadząc mnie ku wejściu do wielkiego bloku mieszkalnego ze stali i szkła.

Weszliśmy do małego hallu i czekaliśmy przez moment, aż system zabezpieczeń ustali tożsamość mojego towarzysza.

— Dobry wieczór, panie Heath — odezwał się wreszcie metaliczny głos.

— Dobry wieczór — odparł Heath.

— Nie jest pan sam — stwierdził głos. — Proszę przedstawić osobę towarzyszącą.

— Leonardo, rasy Bjornn, mój współpracownik z Odległego Londynu. Będzie moim gościem przez najbliższe kilka godzin.

— Zarejestrowałem — wyrecytował głos.

Nagle część ściany się rozsunęła. Heath wszedł do środka, dając mi jednocześnie znak, żebym podążył za nim. Jasno oświetlonym korytarzem doszliśmy do windy, którą zjechaliśmy do suterenu.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział i podszedł do drzwi. Stał przed nimi, podczas gdy sprawdzano dźwięk jego głosu i wzór

siatkówki oka. Potem drzwi wsunęły się cicho w ścianę i weszliśmy do ciemnego mieszkania.

— Światła — rozkazał.

Natychmiast zapaliło się mnóstwo najrozmaiciej usytuowanych lamp. Znalazłem się w elegancko umeblowanym pokoju, wyposażonym w wiele służących rozrywce urządzeń, poczynając od potężnych rozmiarów holograficznego ekranu, po szereg wysoce skomplikowanych gier zręcznościowych podłączonych do komputera. Rozległy się dekafoniczne dźwięki serenady w wykonaniu kwartetu smyczkowego, a na ścianach i suficie zaczęły się układać w hipnotyzujące wzory pastelowe fale światła. Przy jednej ze ścian stała gabłota wystawowa, a w niej znajdowało się około dwudziestu rzeźb i innych dzieł sztuki z całej Galaktyki; większość była niewielkich rozmiarów i sprawiała wrażenie niezwykle kruchych. Od razu dało się zauważyć, że to eksponaty najwyższej artystycznej próby. Przed pokrytym futrem tapczanym stał wysoki na dwie stopy chromowy stolik, na którym leżały trzy oprawne w skórę książki pochodzące z Ziemi.

— Napijesz się czegoś? — spytał Heath.

— Nie, dziękuję — odparłem.

— Jesteś najbardziej nietrunkowym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkałem — zauważył. — A może jesteś głodny? Mam wyjątkowo dobrze zaopatrzoną kuchnię, chociaż muszę się przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie przyrządziłem żadnego posiłku. Musisz sobie sam coś zrobić.

— Może później — stwierdziłem. — Teraz chciałbym zobaczyć obraz Mallachiego.

— Jak sobie życzysz — powiedział i poszedł do następnego pokoju. Chwilę później wrócił z wielkim płótnem, które oparł o tapczan. Bez wątpienia był to portret z hologramu, który dała mi

Tai Chong.

— Koszmarne, co? — skomentował, kiedy obaj wpatrywaliśmy się przez jakiś czas w dzieło.

— Faktycznie, malarz nie jest specjalnie utalentowany — przyznałem.

— Nie miałbym odwagi oferować go Tai Chong — kontynuował Heath — gdyby nie ta kobieta na obrazie. Jest tak piękna, że prawie przezwyjęła ewidentne amatorstwo artysty. — Wpatrywał się w malowidło jeszcze przez moment. — Całkiem frapująca, prawda?

— Tak — zgodziłem się. — Nie wiesz, czy Mallachi namalował też inne jej portrety?

— Wątpię — odparł Heath. — O ile wiem, to jego pierwszy obraz.

— Co możesz mi o nim powiedzieć?

— Niewiele — odrzekł Heath. — Większość czasu spędza na Granicy Wewnętrznej, chociaż prawdziwy dom ma chyba na Quantosie IX. Nigdy nie mówi o swoim zawodzie, ale z urywanych zdań i przypadkowych uwag zdołałem się zorientować, że prawdopodobnie jest łowcą nagród i chyba nieźle mu się powodzi.

— Skoro jest bogatym człowiekiem i nie utrzymuje się z malarstwa, to dlaczego dał ci do sprzedania ten portret? — spytałem.

— Zdaje się, że ta dziewczyna opuściła go parę miesięcy temu.

— I ma tak złamane serce, że nie chce zostawić sobie po niej żadnych pamiątek?

— Albo tak się na nią wściekł..

Przyjrzałem się jeszcze raz twarzy na obrazie.

— Powiedział ci może, dlaczego go opuściła albo dokąd

odeszła?

Heath potrząsnął głową.

— Bardzo słabo znam tego człowieka, Leonardo. — Zerknął na obraz. — Naprawdę sądzisz, że Abercrombie zechce go kupić? — spytał niepewnie.

— Zapewniam cię, że tak.

— W takim razie zupełnie nie ma gustu.

— Mówiłem ci, że kolekcjonuje jej portrety — wyjaśniłem.

— To pewnie zebrał już prawie wszystkie.

— Na razie nic, ale bardzo tego pragnie.

— To chyba nie jest zbyt trudne? — spytał Heath. — W końcu ona ma najwyżej ze trzydzieści pięć lat. Ilu ludzi ją malowało?

— Więcej niż mógłbyś przypuszczać — odparłem. — Ludzie malują i rzeźbią jej oblicze od ośmiu tysięcy lat.

— Musi mieć pospolitą twarz.

— Widziałeś kiedyś kobietę o podobnych rysach? — spytałem.

Ponownie wgapił się w portret, a potem potrząsnął głową.

— Nigdy — przyznał.

— Czy Mallachi kiedykolwiek o niej mówił?

— Mówiłem ci już, że nic nie znam go aż tak dobrze — poskarżył się Heath. — W gruncie rzeczy, spotkałem tego człowieka tylko dwa razy. Powiedział mi jedynie, że poznał ją gdzieś na Granicy.

— Jak długo byli razem? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Kto to może wiedzieć.

— Mam coraz większą ochotę porozmawiać z tym Mallachim — zadumałem się.

— Po co?

— Żeby się dowiedzieć, czy naprawdę istniała.

- Już ci powiedziałem: była jego kochanką.
- Ale sam nigdy jej nie widziałeś.
- To prawda.
- Znasz kogoś, kto ją widział? — spytałem.
- Nie.
- Więc malarz kłamie.
- Z jakiego powodu miałby kłamać? — powątpiewał Heath.
- Zauważyłem, że przedstawiciele twojej rasy często kłamią bez żadnego powodu — powiedziałem.

— To prawda — zgodził się uprzejmie Heath. — Ale co cię właściwie obchodzi, czy ta kobieta istniała?

— Jej twarz przewija się przez całą ludzką historię, najczęściej pojawiając się w wyobrażeniach najrozmaitszych postaci mitologicznych. Jeśli okaże się, że ta kobieta nie istniała, a Mallachi z racji swego zawodu uczcił po prostu jakąś boginkę wojny albo śmierci, to oznaczać będzie, że musiał posiadać jakieś źródło historyczne, coś na czym wzorował portret. Bardzo możliwe, że było to jakieś nieznane mi dzieło sztuki i jeśli faktycznie okaże się to prawdą, mam zamiar kupić je dla Malcolma Abercrombiego.

- Kupi obraz w ciemno? — spytał zaskoczony Heath.
- Tak.
- Naprawdę ma aż takiego fioła na jej punkcie?
- Tak.

Na twarzy Heatha pojawiła się chciwość. Mruknął:

— Mam wrażenie, że moglibyśmy na tym wszystkim nieźle zarobić.

- Wolałbym, żebyś mówił za siebie — zasugerowałem. Obdarzył mnie kolejnym rozbrajającym uśmiechem.
- Tak, jasne, że tak.
- Gdzie jest teraz Sergio Mallachi? — spytałem.

— Prawdopodobnie na Quantosie IX — odparł Heath. — Pozwól, że wykonam szybki wideotelefon do pewnego przyjaciela i na wszelki wypadek się upewnię.

Wyszedł z pokoju, a ja przez kolejne parę minut przeglądałem leżące na ruchomym stoliku trzy oprawne w skórę książki. Dwie z nich były różnymi wydaniem Biblii, a trzecia tomem przekładów Tanblixta, wielkiego poety canphoryjskiego. Właśnie kartkowałem z uwagą tę ostatnią, kiedy Heath wrócił do pokoju.

— Nie mamy szczęścia — oświadczył. — Mallachi poleciał na jakiś świat na Granicy Wewnętrznej. Planeta nazywa się Acheron.

— Nie znam jej.

— Ani ja, ale coś mi mówi, że to jeden z najpaskudniejszych tamtejszych światków.

— Dlaczego tak myślisz?

— Ponieważ Acheron to jedna z nazw Piekła.

— Możesz dowiedzieć się, jakie są jego współrzędne?

— Nie jestem pewien, czy w ogóle warto tam lecieć — oświadczył Heath.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Ponieważ Mallachi miał wrócić na Karola Wielkiego dwa tygodnie temu, a jeszcze go nic ma. — Przerwał. — Biorąc pod uwagę jego profesję, może już w ogóle nie żyć.

— Rozumiem — przytaknąłem.

— Twój kolor ciemnieje — zauważył Heath.

— Odzwierciedla moje rozczarowanie.

— Nie trać tak szybko nadziei — powiedział pogodnie Heath. — Codziennie będę się kontaktował z moim przyjacielem. Zawsze istnieje szansa, że przed twoim powrotem na Odległy Londyn

facet jednak się pojawi. — Wzrok Heatha padł na książkę, którą trzymałem. — Interesujesz się poezją? — spytał.

— Powiedziałbym, że raczej interesują mnie książki jako takie — wyjaśniłem.

— Cudowne przedmioty — zgodził się — ale przy tym strasznie staroświeckie. Całą bibliotekę Oceany można zmieścić na dysku wielkości połowy tego tomiku.

— Bez wątpienia — przytaknąłem.

— Jednakże miło mieć je wokół siebie, jeśli oczywiście cię na nie stać.

— Zaskoczyło mnie, że masz dwa egzemplarze Biblii — wtrąciłem.

— Tak? Dlaczego?

— Bez obrazy — konstruowałem swoją obserwację w stylu dyplomatycznym — ale nie zauważyłem, żebyś specjalnie przejmował się normami moralnymi uznawanymi przez twoją rasę.

Moje słowa najwyraźniej go rozbawiły, bo wybuchnął bez-troskim śmiechem.

— Właściwie nic czytam książek. Po prostu je zbieram.

— Rozumiem — odparłem.

— Jesteś naprawdę w tym dobry, Leonardo — stwierdził z podziwem.

— W czym?

— W specyficzny dla siebie, przesadnie grzeczny sposób, z prawdziwym mistrzostwem sformułowałaś niezwykle kąśliwą przyganę.

— Zapewniam cię, że...

— Oszczędź mi swoich zapewnień — przerwał. — Zawiadomię cię, kiedy poczuję się obrażony.

Zupełnie nie wiedziałem co na to odpowiedzieć, więc zdecydowałem się przemilczeć całą tę sprawę.

— Opowiedz mi coś więcej o tej Mrocznej Pani — odezwał się w końcu Heath. — Ma jakieś imię?

— Nie wiem — odparłem. — Myślałem, że ty je znasz.

Potrząsnął głową.

— Mallachi mówił o niej tylko raz i nazwał ją po prostu swoją kochanką. — Urwał w zamyśleniu. — Zastanawiam się, w jaki sposób znalazła się na tych wszystkich obrazach Abercr ombiego.

— Nie mam pojęcia — stwierdziłem. — Początkowo myślałem, że jest wyobrażeniem jakiejś mitycznej postaci związanej z wojną, ale pewne późniejsze fakty zaprzeczyły temu.

Heath skrzywił się nagle.

— Zaczęliśmy właśnie rozmawiać o niej, jak gdyby naprawdę nigdy nie istniała, a przecież wiem na pewno, że jeszcze niecały rok temu była istotą z krwi i kości.

— To nieprawda — upierałem się. — Nigdy jej nie widziałeś. Wiesz tylko tyle, ile ci powiedział Mallachi.

— Niby dlaczego miałby mnie okłamywać? — zapytał Heath. — Wcale się nią nie interesowałem.

— Jeśli Mallachi mówił prawdę, to jak wytłumaczyć fakt, że wizerunek tej kobiety pojawił się w ponad trzydziestu dziełach sztuki w ciągu ośmiu tysięcy lat? — odpowiedziałem pytaniem.

— Skąd mogę wiedzieć? — spytał z irytacją. — Może to zwykły zbieg okoliczności.

— Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

— Nie — przyznał. — Ale wierzę, że istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie tej zagadki. Nawet jeśli nam samym nie uda się go znaleźć, może... — Nagle rozległo się świdrujące uszy piskliwe brzęczenie i Heath urwał.

— Co to było? — spytałem przestraszony.

Heath poderwał się w jednej chwili.

— To James. Zawiadamia mnie w ten sposób, że już nie jesteśmy sami.

— Policja? — spytałem.

Skinął głową.

— Obawiam się, że musimy się dość szybko ewakuować.

— Ale dlaczego? — spytałem. — Jeśli powiedziałaś prawdę i rzeczywiście zdobyłeś obraz Mallachiego legalnie, nie masz nic do ukrycia.

Spojrzał na mnie rozbawiony.

— Tylko w tym pokoju widzę już trzy książki i ponad tuzin rzeźb wykonanych przez obcych, które należałoby schować przed policją, a nie wiesz jeszcze, co trzymam w sypialni. — Popatrzył się ze smutkiem na dzieła sztuki. — Chyba nie będę miał czasu ich spakować i zabrać z sobą. Wielka szkoda. — Ruszył zdecydowanie w kierunku drzwi. — W porządku — rzucił. — Chodźmy.

— Może po prostu przebierzesz się i wykorzystasz swoją drugą tożsamość? — poddałem.

— Moje przebranie znajduje się w mieszkaniu na szóstym piętrze — wyjaśnił. — Pospiesz się, Leonardo.

— Ja nie muszę się obawiać policji — odparłem.

— Ale chcesz się spotkać z Mallachim, prawda?

— Sam powiedziałeś, że być może jest już martwy.

— A jeśli jednak żyje?

— Znajdę go zatem w swoim czasie — oznajmiłem. — Policja to moi przyjaciele, a nie wrogowie.

— Nie bądź tego taki pewny — mruknął Heath. — Sądzisz, że na poczekaniu uda ci się wymyślić wiarygodną historyjkę, skąd

taki obcy jak ty znalazł się sam w mieszkaniu pełnym kradzionych rzeczy? — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Może nawet wezmą cię za złodzieja. — Prawdopodobnie dostrzegł moje przerażenie, ponieważ ciągnął dalej z coraz większą pewnością siebie: — A już na pewno pomyślą, że tkwisz w tym wszystkim po uszy. Zresztą, system zabezpieczeń budynku potwierdzi, niestety, że przedstawiłem cię jako swego współnika, a ty nie zaprzeczyłeś.

— Żaden Bjornn nigdy nic został aresztowany! Okryję hańbą Dom Crslhionn!

— Przestań więc załamywać ręce i chodź ze mną — powiedział stanowczo Heath.

— Jeśli nawet im uciekniemy, i tak się dowiedzą, że tu byłem.

— Co z tego? — mruknął. — Tai Chong poleciła ci zbadać obraz, więc na pewno wyjaśni wszystko policji.

— Obraz! — krzyknąłem. — Nie możemy wyjść bez niego. Przecież to właśnie po niego przyleciałem na Karola Wielkiego!

— W porządku — stwierdził spokojnie. — Weź go. Ciągle jeszcze mamy minutę czy dwie, zanim policja skontaktuje się z systemem zabezpieczeń i dowie się, którą windą jechaliśmy.

Popędziłem po obraz, chwyciłem go i poniosłem do drzwi.

— Idź za mną — polecił Heath.

Wyszedł na korytarz i pospiesznie skierował się do windy służbowej. Z trudem za nim nadążałem i musiałem prawie cały czas biec, co kosztowało mnie dużo wysiłku. Dwadzieścia sekund później mijaliśmy już parter.

— Dokąd jedziemy? — spytałem.

— Do mojego drugiego mieszkania — wyjaśnił. — Raczej nie udałoby się nam wynieść obrazu na oczach policji, a zatem ukryjemy go tam na jakiś czas.

— Co zrobimy później? — zapytałem z niepokojem.

— Za bardzo się martwisz, Leonardo.

Wysiedliśmy na szóstym piętrze, poszliśmy korytarzem i zatrzymaliśmy się przed jakimiś drzwiami. Heath wpatrywał się w nie przez chwilę z uwagą, po czym ruszył w kierunku schodów.

— Co się stało? — szepnąłem.

— W środku jest policja.

— Skąd wiesz?

— Zawsze kiedy wychodzę z mieszkania, wkładam między drzwi i ścianę kawałeczek ciemnej taśmy o długości mniej więcej cala. Spada, kiedy ktoś otwiera drzwi.

— I teraz go nie ma? Może wyjęła go sprzątaczką? — spytałem.

— Chcesz zaryzykować? — odparł.

— Nie — przyznałem.

— Ani ja.

— I co teraz, przyjacielu Valentine? — spytałem, ze strachu popadając w styl przyjaźni.

— No cóż — odparł — mimo iż zawsze podziwiałem bohaterów filmów wideo, którzy jak koty skaczą po dachach wieżowców, bardzo wątpię, czy potrafię ich naśladować... Będziemy więc chyba musieli liczyć raczej na naszą inteligencję niż zręczność. — Przerwał i zatopił się w myślach. — Na dachu jest lądowisko helikopterów, ale tam na pewno już na nas czekają. Z pewnością ustawili też ludzi przy tylnym wyjściu.

— Proszę, pospieszmy się! — ponagliłem go.

— W tej chwili chyba nie zagraża nam bezpośrednio niebezpieczeństwo — uspokoił mnie. — Prawdopodobnie myślą, że jestem gdzieś w mieście i po prostu pilnują wejścia do budynku.

— System zabezpieczeń zdradzi im, że jesteśmy w środku!

— krzyknąłem.

— Rzeczywiście — przyznał, najwyraźniej zaskoczony. — Zupełnie o tym zapomniałem. — Obrócił się do mnie z rozba-
wioną miną. — Wiesz? Masz zadatki na przestępcę o wyjątko-
wych umiejętnościach oceny sytuacji, Leonardo.

— Błagam! — wymamrotałem zduszonym z przerażenia
głosem.

— Cóż, nie możemy iść ani w górę, ani w dół. Coś mi się
zdaje, że najlepiej zrobimy bezczelnie wychodząc na zewnątrz.
Chodźmy.

Zeszliśmy na piąte piętro.

— Co teraz? — spytałem nerwowo.

— Bardzo spokojnie wyjdziemy frontowymi drzwiami —
odparł.

— Chyba nie mówisz poważnie!

— Jak najpoważniej.

— Ale oni wiedzą, że jestem Bjornnem! — zaprotestowałem.

— Na pewno mnie szukają.

Uśmiechnął się.

— Nic bój się. Nic mają zielonego pojęcia, jak wyglądają
Bjornni. Jeśli w ogóle kiedykolwiek jakiegoś widzieli, w co oso-
biście bardzo wątpię, prawdopodobnie sądzą, że jesteś zielo-
no-czarny i masz na skórze kółka. Wierz mi, będziesz dla nich po
prostu tylko obcym.

Drzwi windy otworzyły się. Heath przeszedł obok mnie, ro-
zejrzał się po pustym wnętrzu, ale nie wszedł.

— Wiedziałem, że żartujesz. — Poczułem ogromną ulgę.

— Wcale nic — odrzekł. — Po prostu czekam na bardziej
zatłoczoną windę.

— Po co?

— Wmieszamy się w grupę zjeżdżających z wyższych po-

ziomów budynku, a policja szuka przecież dwóch osobników wychodzących z sutereny.

— I sądzisz, że uda nam się ich przechytryć? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Sprawdźmy, dobrze? — odrzekł, kiedy częściowo zapęt-niona winda zatrzymała się na naszym piętrze. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wejść za nim do środka.

Z każdą chwilą byłem coraz bardziej przerażony i moja skóra stała się o parę odcieni jaśniejsza. W drżących dłoniach trzymałem przed sobą obraz Mallachiego; wydawało mi się, że wszyscy się na mnie gapią. Kiedy wreszcie znaleźliśmy się w hallu, Heath nawiązał rozmowę z jakimś starszym panem i ciągle z nim dyskutował, aż wyszliśmy na zewnątrz drzwiami frontowymi i wpadliśmy na trójkę policjantów w mundurach. Heath ze spokojem skinął uprzejmie jednemu z nich. Ku mojemu absolutnemu zdumieniu funkcjonariusz odpowiedział tym samym gestem, po czym przestał zwracać na nas uwagę.

Po opuszczeniu budynku grupa rozproszyła się, a my podążyliśmy za czwórką ludzi, którzy skręcili w lewo — w przeciwnym kierunku niż ten, gdzie czekał na nas w samochodzie Mollutei. Weszliśmy na ruchomy chodnik i jechaliśmy nim tak długo, póki nie zniknęliśmy policji z pola widzenia. Wówczas Heath wyjął z kieszeni mały telefon i przywołał kierowcę. W chwilę później pojazd zatrzymał się obok nas.

— Dobra robota, Jamesie — zauważył Heath, kiedy zajęliśmy miejsca. — A teraz chyba najlepiej będzie, jeśli zawieziesz nas do portu kosmicznego.

— Dokąd się udajemy? — spytałem. Serce ciągle tłuło mi się szaleńczo w piersi.

— Minie parę godzin, zanim policja zorientuje się jak łatwo

Mroczna Pani

wymknęliśmy się z obławy, ale kiedy to wreszcie stwierdzą, będą na nas bardzo wściekli. Sądzę, że lepiej będzie, jeśli znajdziemy się jak najdalej stąd... Równie dobrze możemy więc spróbować odszukać Sergio Mallachiego. — Wyprostował się na siedzeniu i zachichotał. — Następny przystanek: piekło — powiedział.

10

Pierwszym wrażeniem było kompletne odrętwienie. Każdy staw w moim ciele wydawał się zamrożony, a poruszanie palcami stanowiło dla mnie przeogromny wysiłek.

Po chwili, kiedy stopniowo zaczęło wracać mi czucie, poczułem głód: przytłaczający, potężny, nienasycony.

Niespodziewanie rozbłysło światło, porażając moje powieki i powodując łzawienie, zanim jeszcze zdołałem otworzyć oczy. Spróbowałem dłonią zetrzeć z twarzy łzy, ale okazało się, że nie mogę wystarczająco zgiąć ręki.

W pewnej chwili do mojej świadomości wtargnął jakiś odległy głos.

— Witam z powrotem — usłyszałem. — Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Spróbowałem spytać, gdzie jestem, ale usta nie zareagowały na polecenia mózgu i to, co z siebie wydałem było jedynie niezrozumiałym bełkotem.

— Nie próbuj na razie mówić ani się ruszać — powiedział głos i teraz go rozpoznałem: należał do Valentine'a Heatha. — Właśnie się obudziłeś. Poczujesz się lepiej dopiero za dwie, trzy minuty.

Z trudem otworzyłem jedno oko i spróbowałem na niego spojrzeć, ale źrenica zupełnie nie miała ochoty się rozszerzyć, więc nie udało mi się skupić wzroku.

— Gdzie jestem? — zdołałem wymamrotać, kiedy częściowo wróciło mi czucie.

— Na pokładzie mojego statku — wyjaśnił Heath.

— Ale gdzie?

— Jakies trzy tygodnie od Karola Wielkiego albo cztery go-

dziny od Acherona, zależy od której strony patrzeć.

Wreszcie udało mi się dotrzeć rękami twarzy, wytarłem więc łzy i delikatnie obmacałem głowę.

— Co mi się przytrafiło? — spytałem.

— Trochę się zdrzemnąłeś.

— Długo spałem?

— Prawie trzy tygodnie.

— Nie rozumiem.

— Dwie godziny po opuszczeniu Karola Wielkiego umieściłem cię w kapsule hibernacyjnej — odparł. — Stawałeś się emocjonalnym kaleką. Ciągłe prawiłeś coś z patosem, bredząc o hańbie i niełasce. Kiedy zażądałeś, żebym zmienił kierunek lotu i zabrał cię na Benitarus II, uznałem, że najlepsze, co mogę zrobić, to wprowadzić cię w stan hibernacji do czasu aż dotrzemy na Acheron.

Nagle wszystko mi się przypomniało: policja, zuchwała rejtęra z budynku Heatha i fakt, że uciekam teraz przed wymiarem sprawiedliwości. Wspomnienie wszystkich tych wydarzeń jakoś niespecjalnie mnie wzburzyło, co przypisałem mojemu obecnemu stanowi fizjologicznego osłabienia organizmu. Usiłowałem usiąść, ale ból zaatakował głowę i plecy. Wydałem z siebie okrzyk przestrawu.

— Ostrzegałem cię, żebyś się nic ruszał — stwierdził Heath spokojnie. — Twoje ciało dopiero za parę minut wróci do normalnego stanu. Aha, jeśli jesteś podobny do mnie, powinieneś być straszliwie głodny: kapsuła hibernacyjna znacznie spowalnia metabolizm, ale mimo to po paru tygodniach czuje się zwykle niezły głód. Polecę, by kuchnia coś dla ciebie przygotowała, dobrze?

— Tak, proszę.

— Są tam tylko produkty sojowe, ale można je tak przyrzą-

dzić, żeby przypominały w smaku dowolną potrawę. — Zamyślił się. — Bjornni, jak mi się zdaje, są wegetarianami, więc steku chyba nie chcesz, co?

— Wystarczy zielenina — odrzekłem.

— Masz ochotę na sałatkę? — spytał.

— Może być.

Mój wzrok wyostrzył się wystarczająco, bym zobaczył, że Heath wzrusza ramionami.

— Tak, warzywka to jest to — mruknął. Pochylił się nad komputerowym terminalem i zaczął wypisywać instrukcje dla kuchni.

Wreszcie udało mi się usiąść i ostrożnie przełożyć nogi ponad krawędzią plastikowej kapsuły. Poczułem zawrót głowy, który jednak prawie natychmiast ustąpił.

— Poręczne rzeczy, te hibernatory — powiedział Heath. — Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nic instalują ich w liniowcach handlowych. Tylko dzięki kapsule udaje się nie zwariować z nudów podczas długich lotów. — Uśmiechnął się. — Nastawiłem swoją, żeby obudziła mnie sześć godzin przed tobą, na wypadek gdybyś nadal był w szoku.

Była to typowo ludzka, absolutnie szczerą i pragmatyczną uwagę i nic umiałem się za nią obrazić.

— Nadal uciekamy? — spytałem.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Heath. — Wiem, że bardzo chciałbyś się tego dowiedzieć, ale niestety nic zamierzam skontaktować się z policją i upewnić się, czy nadal cię szukają. — Na terminalu rozblęskło światelko. — O! Jest już twoja sałatka. Czujesz się na siłach, by dojść do kuchni?

— Spróbuję — odparłem, wstając ostrożnie. Ku swemu zaskoczeniu uświadomiłem sobie, że czuję się całkiem dobrze i do

tego przenika mnie wrażenie jakiejś dziwnej rzeškości.

— Mówiłem ci, że nieprzyjemne wrażenia trwają tylko parę minut — powiedział. — No i w dodatku podczas ostatnich trzech tygodni postarzałeś się tylko o jeden dzień.

Ponieważ Bjornna interesuje raczej jakość życia niż jego długość, nic nie odpowiedziałem. Poszedłem za Heathem do kuchni, gdzie czekała na mnie miseczka z warzywami. Byłem tak głodny, że zanim jeszcze usiadłem, zacząłem chwytać co większe kawałki i łapczywie wpychać je sobie do ust.

— I co, lepiej teraz? — spytał Heath, gdy skończyłem jeść.

— Zdecydowanie — odparłem.

— To dobrze.

— Chcę z tobą porozmawiać.

— Proszę bardzo — stwierdził.

— Muszę natychmiast wrócić na Benitarus II.

— Nie masz chyba zamiaru zaczynać od początku całej tej gadki, prawda?

— Kontakty z ludźmi mnie zepsuły — zadumałem się. — Najpierw pan Abercrombie wyrzucił mnie z pracy, przez co okryłem się wstydem, a teraz poszukuje mnie policja i zupełnie nie potrafię przewidzieć, co jeszcze może się przydarzyć. Mam jednak przeczucie, że każda kolejna minuta spędzona z dala od Benitarusa wystawia mnie na ryzyko, iż jeszcze bardziej zhańbię siebie i mój Dom.

— Leonardo, znajdujemy się cztery godziny od Acherona. Do Benitarusa mamy chyba z sześć tygodni drogi.

— Niemniej jednak dalszy kontakt z tobą może całkowicie zniszczyć moją moralność. Muszę jak najszybciej wrócić do domu i ponownie pogrążyć się w życiu i rytuałach Bjornów.

Heath potrząsnął głową.

— Nie ma mowy. Nie chodzi nawet o to, że Benitarus leży o

pół galaktyki stąd, ale przecież policja zacznie poszukiwania właśnie od twojej rodzimej planety.

— Naprawdę? — spytałem owładnięty panicznym strachem.

— Tak.

— Nie możemy na to pozwolić! Nie chcę, żeby Matkę Wzorcową zmuszano do rozmów z policją ludzi! — Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. — Może już tam są!

— Jeśli tak, niczemu nie zdołamy już przeszkodzić i tym bardziej nie warto się tym martwić.

— Nie rozumiesz! — krzyknąłem. — To byłaby ostateczna hańba!

— Zrozum — zaczął — teraz możemy jedynie polecieć razem na Odległy Londyn. Dostarczysz Abercrombiemu obraz, ja opowiem o wszystkim Tai Chong, a ona wyjaśni całą sytuację karo-lińskiej policji. Potem zrobisz, co zechcesz.

— Wtedy może być już za późno! — nalegałem.

Wzruszył ramionami.

— W porządku — uspokajał mnie. — Skontaktuję się z nią teraz, zanim wylądujemy na Acheronie. Czy to cię zadowala?

Skinąłem głową, bo przez moment całkowicie zaschło mi w gardle i nic byłem w stanie wydać z siebie głosu. Heath zajął się wysłaniem podprzestrzennej wiadomości do Tai Chong. Opowiedział jej całą historię, biorąc na siebie winę i poprosił szefową galerii, by zdała dokładną relację mojej Matce Wzorcowej.

— Zadowolony? — spytał, gdy skończył.

— Dlaczego to dla mnie zrobiłeś? — odpowiedziałem pytaniem.

— Ponieważ jestem osobą wyjątkowo przyzwoitą i niezwykle opiekuńczą.

— Bardzo niewielu ludzi robi cośkolwiek, nie oczekując w

zamian żadnych korzyści — naciskałem. — Jak dotąd nie zrobiłeś niczego, co sugerowałoby, że jesteś filantropem.

Heath wyglądał na niezłe ubawionego.

— Leonardo, stajesz się cynikiem. — Umilkł. — Prawdę mówiąc — dodał — mnie również interesuje Mroczna Pani. Jej historia wydała mi się niezwykle intrygująca.

— Tak intrygująca, żeby przywieźć mnie tutaj i potem odtransportować na Odległy Londyn na swój koszt, nie myśląc o rekompensacie? — spytałem z powątpiewaniem..

— Powiedzmy, że moje uczucie wobec niej nie jest zupełnie bezinteresowne i nie mówmy o tym więcej — stwierdził.

Nagle statek zadrżał i omal nie upadłem.

— Przekraczamy prędkość podświetlną — oznajmił Heath. — Powinniśmy już widzieć Acheron.

Włączył ekran podglądu zewnętrznego.

— Oto i nasza planeta — powiedział. — Nawet stąd widać, jakie tam panuje gorąco. Zobaczmy, czego możemy się dowiedzieć na jej temat.

Poinstruował komputer, by przedstawił nam podstawowe dane dotyczące Acherona, czerwonego światła o średnicy około pięciu tysięcy mil.

Powierzchnia Acherona była upstrzona czynnymi kraterami, bieguny miały tę samą barwę co równik, a z jednostajnego krajobrazu wyróżniały się tylko dwa małe oceany. Planeta posiadała jeden księżyc o średnicy nie większej niż dwadzieścia pięć mil, który z zawrotną prędkością pędził po niemal bezchmurnym firmamencie, jak gdyby próbując uciec z niegościnnego świata znajdującego się pod nim.

— Jak można dobrowolnie zdecydować się na życie tutaj? — spytałem, wpatrując się w ekran.

— Kiedyś była to planeta górnicza — wyjaśnił Heath.

— I wyeksploatowano całe złoża?

Potrząsnął głową.

— Nie. Po prostu ludzie znaleźli bogatsze miejsca i odlecieli.

— Więc kto tu obecnie mieszka?

Prześliznął się wzrokiem po odczycie komputerowym.

— Prawie nikt — niecałe trzysta osób. To już tylko peryferyjny światek dla nielicznych handlarzy i niezależnych kopaczy.

— Pada tu czasem deszcz? — spytałem.

— Niezbyt często — odparł. Odwołał się jeszcze raz do tekstu na ekranie. — Zobaczmy... Przeciętna temperatura na równiku wynosi trzydzieści cztery stopnie Celsjusza, na biegunie północnym dwadzieścia dziewięć stopni. Średnia roczna ilość opadów na równiku sześć cali, na biegunach zero. — Skrzywił się. — Grawitacja jest nieco mniejsza niż ta, do której jesteście przyzwyczajeni — nie na tyle, żebyśmy mieli kłopoty z poruszaniem się, ale wystarczająco, byśmy nie musieli zużywać na chodzenie zbyt wiele energii; to nieco zrekompensuje nam upał. Rasy inteligentne: brak. Lokalna fauna: brak. Lokalna flora: bardzo uboga i prymitywna. — Popatrzył na mnie. — Jestem zaskoczony, że znalazło się choć trzech ludzi chętnych tu zamieszkać, nie mówiąc już o trzystu.

— Z czego składa się atmosfera?

Sprawdził odczyt.

— Powietrze jest rzadkie, ale da się oddychać. Biorąc pod uwagę śladowe ilości niektórych pierwiastków, mam straszne przeczucie, że będzie pachnieć jak same ścieki.

Następne parę godzin spędziliśmy regenerując siły, otrząsając się z efektów hibernacji i obserwując jak czerwona kula Acherona stale się powiększa. W końcu wypełniła cały ekran.

— Jesteśmy już całkiem blisko — zauważyłem. — Nie powinieneś poprosić o pozwolenie na lądowanie?

— Zdaje się, że tu nic ma portu kosmicznego — odparł. — Sensory statku zlokalizowały jedynie małą osadę, na północ od której zaparkowano około dwóch tuzinów statków. Przypuszczam, że właśnie tam powinniśmy wylądować.

— Mam nadzieję, że tubylcy nie uznają tego za akt agresji. Zaśmiał się.

— Wątpię, by mieli tu coś, co warto byłoby ukraść.

Kilka minut później wlecieliśmy w atmosferę planety, a niedługo potem wylądowaliśmy na peryferiach zrujnowanego miasteczka. Składało się z jednej jedynej ulicy zabudowanej domami i sklepami o kopulastych dachach. Budynki były na wpół zakopane w kurzu i obłożone warstwami suszonego błota, co miało je dodatkowo chronić przed ostrymi promieniami słońca. Wejścia znajdowały się tuż przy samej powierzchni ziemi, a prowadziły do nich raczej rampy niż schody. Kiedyś musiały się tu znajdować dwa skrzyżowania dróg, ale teraz oba były opustoszałe i ze wszystkich stron otoczone jedynie szkieletami rozpadających się domów.

Kiedy wynurzyliśmy się ze statku, natychmiast dostrzegliśmy, że ktoś na nas czeka — był to niski, ciemnowłosy i ciemnooki mężczyzna, ubrany w niemodny, zakurzony garnitur.

— Witamy na Acheronie — odezwał się. Zlekceważył mnie i wyciągnął rękę do Heatha. — Nazywam się Justin Peres. Jestem tu burmistrzem.

— Valentine Heath — odparł mój towarzysz, ściskając jego dłoń. — A to mój współpracownik, Leonardo. — Popatrzył na obłok kurzu wiszący nad środkiem opustoszałej ulicy. — Nie przypuszczałem, że Acheron może potrzebować burmistrza.

— Nie potrzebujemy go — przyznał Peres. — Ale potrzebujemy żywności, a ci idiotyczni biurokraci z Delurosa VIII nie chcą jej sprzedawać planecie, która nie ma oficjalnej administracji. — Uśmiechnął się. — Tak to właśnie wygląda... — Nagle jego uśmiech zniknął. — I jako przedstawiciel administracji chciałbym się dowiedzieć, jaki jest cel waszego przybycia. — Popatrzył najpierw na Heatha, a potem na mnie. — Cholera, nie wyglądacie na łowców nagród.

— I wcale nimi nie jesteśmy — odparł Heath.

— Cóż za przyjemna odmiana — zauważył. — Co więc was tu sprowadza?

— Szukamy przyjaciela — odrzekł Heath. — Może go znasz...

— Jeśli przebywa na Acheronie, znam go na pewno — mruknął Peres. — Jak się nazywa?

— Sergio Mallachi — odezwałem się.

Popatrzył zaskoczony.

— Mówisz po ziemsku? — Wgapił się we mnie. — Stary, nigdy bym na to nic wpadł, sądząc z twojego wyglądu.

— A jeśli chodzi o Mallachiego...

— Spóźniliście się.

— Wic pan, gdzie on jest? — spytał Heath.

— Tak.

— Zechciałby się pan podzielić z nami tą informacją?

— Nie sądzę, żeby wam się przydała — powiedział Peres. — Facet leży na cmentarzu przy południowym krańcu miasta. — Popatrzył ostro na Heatha. — Na pewno nie jesteście łowcami głów?

— Jestem handlarzem sztuki — oznajmił Heath. — Sprzedałem portret namalowany przez Mallachiego i przyleciałem przekazać mu pieniądze.

— A ten obcy? — spytał Peres, wskazując nagle kciukiem w

moim kierunku. Nie raczył przy tym nawet na mnie spojrzeć.

— Powiedziałem już, że to mój wspólnik.

Peres wzruszył ramionami.

— Cóż, jesteśmy na Granicy — powiedział z przekąsem. — Nie mam prawa narzucać ludziom, z kim mają robić interesy. — Umilkł na moment. — Przyleciał pan zatem zapłacić mu za obraz, tak?

— Zgadza się.

— Jest pan zupełnie pewien, że chodzi o tego samego Sergio Mallachiego? — spytał Peres z powątpiewaniem.

— Absolutnie.

— Łowcę nagród?

— Tak.

— W takim razie będzie pan musiał chyba odszukać kogoś z jego rodziny i jemu przekazać pieniądze — zadumał się Peres. Po czym spytał: — Naprawdę malował obrazy?

— Ściśle rzecz biorąc, namalował tylko jeden — wyjaśnił Heath.

Peres potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— No, no, no, codziennie człowiek dowiaduje się nowych rzeczy. Założę się, że jest to wizerunek jego przyjaciółki.

— Kobiety o ciemnych włosach? — spytał Heath z nagłym przejęciem. — Jasna cera, czarne oczy?

— Zgadza się, to ona. — Peres chwilę milczał. — Przykro mi, że przebyliście taki szmat drogi na próżno.

— Tak to bywa w interesach — mruknął Heath. — Ale skoro już tu przylecieliśmy, osobiście chętnie wstąpię gdzieś na drinka, zanim wystartujemy w długą podróż powrotną. Mój współpracownik i ja bylibyśmy szczęśliwi, gdyby pan przyłączył się do nas jako nasz gość.

— On też pije? — spytał Peres. Wydawał się rozważać propozycję. — Może i pije — stwierdził w końcu. — Na pewno jest to lepszy pomysł niż stanie tutaj.

— Czy stanie tutaj jest z jakiegoś powodu niebezpieczne? — spytałem nerwowo.

— Czasem może być — powiedział Peres, kierując się w stronę miasta odległego o jakieś czterysta jardów.

Mimo słabszej grawitacji, upał szybko mnie zmęczył i z trudem nadążałem za dwójką mężczyzn. Nagle dostrzegłem jakiś ruch na jednym z dachów. Zmrużyłem oczy, aby sprawdzić, czy nie jest to miraż spowodowany gorącem, i całkiem wyraźnie zobaczyłem szaro odzianego mężczyznę, tkwiącego w cieniu, jaki rzucał nieco wyższy sąsiedni budynek.

Dotarliśmy do ulicy i znowu wydało mi się, że wyczuwam postaci czające się w zaciemnionych wnętrzach budynków. Zgarbiłem się ze strachu tak, że ledwo mogłem ustać w tym piekielnym powietrzu planety i pospieszyłem instynktownie do przodu. Coś kazało mi dołączyć do dwóch ludzi, którzy szli przede mną.

— Co się stało, Leonardo? — spytał Heath, dostrzegając moją panikę. — Skaleczyłeś się?

— Nie.

— Więc o co chodzi?

— O nic — uciałem, nie chcąc zdradzać moich spostrzeżeń przed Peresem.

Heath popatrzył na mnie, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Chwilę później dotarliśmy do tawerny i z ulgą weszliśmy do chłodnego wnętrza. Było stosunkowo pusto. Zaledwie kilku mężczyzn tkwiło wokół dwóch wielkich stołów i popijając, toczyło beładne rozmowy. Pod ścianami, przy małych jednoosobowych

stolikach siedziało samotnie jeszcze trzech mężczyzn. Mieli surowe, posępne twarze bez cienia uśmiechu; wszyscy byli ubrani w nijakie brązy i szarości. Jeden z nich obracał w ręce szklankę z whisky, drugi układał pasjansa, a trzeci, nieco starszy, po prostu siedział z łokciami opartymi na stole; kapelusz miał nasunięty nisko na czoło, a oczy zamknięte. Coś nieokreślonego w tych ludziach zafascynowało mnie i przeraziło jednocześnie, toteż przysunąłem się bliżej Heatha, ukradkiem popatrując na każdego po kolei.

— Proszę nam powiedzieć, panie Peres — zaczął Heath, zмирzając do pustego stolika — co się popija na Acheronie.

— Ja piję brandy — odparł Peres, kiedy obaj dołączyliśmy do Heatha i usiedliśmy przy stoliku — ale goście zwykle wolą piwo, przynajmniej do czasu aż nie przywykną do klimatu. — Popatrz na mnie. — Do cholery, zupełnie nie wiem, co ty mógłbyś wypić.

— Myślę, że Leonardo mógłby spróbować roztworu glukozy — stwierdził Heath, obracając się do mnie. — Nigdy nie widziałem, żebyś był tak blady. Pewnie się odwodniłeś.

Kolor mojej skóry odbijał oczywiście strach, ale nie ośmieliłem się tego wyjawić.

— Poczuję się dobrze, kiedy tylko ochłonę z tego upału — odrzekłem. — Poproszę o szklankę wody.

— Woda to jest to — oświadczył Heath, spoglądając w dół na klawiaturę komputera i marszcząc brwi. — Widzę przyciski brandy i piwa, ale nie mogę znaleźć w spisie wody.

— Nie znajdzie pan — stwierdził Peres. — Nie wszystko można załatwić na Acheronie tak prosto. Ale zajmę się tym.

Poszedł do bani i wrócił chwilę później, niosąc nasze napoje na tacy, którą postawił przed Heathem, trochę za daleko ode mnie.

Heath, chyba bardziej rozbawiony niż urażony stosunkiem burmistrza do kosmitów, przysunął mi wodę.

— Niech mi pan powie, panie Peres — zaczął Heath, jednym łykiem wypijając pół piwa — jak umarł Sergio Mallachi?

— Został zabity właśnie tutaj, w tej tawernie.

— Przez jakiegoś zabójcę, którego tropił?

— Hm, sądzę, że można to tak ująć — odrzekł Peres.

— To dość mętna odpowiedź — zauważył Heath.

— Tamten jest zabójcą, to prawda, ale Mallachi ścigał go nie dlatego. — Peres łyknął brandy. — Chodziło o tę kobietę. Opuściła Mallachiego przed paroma miesiącami i związała się z tym młodzikiem, a Mallachi przyjechał tu, żeby go zabić. Wyzwał go tutaj i Kid zabił go na środku tej sali.

— Cóż — zamyślił się Heath — nikt nigdy nie twierdził, że zawód łowcy nagród czyni człowieka nieśmiertelnym.

— To prawda — zgodził się Peres.

— I mówi pan, że został zabity przez młodego mężczyznę?

— Tak. Wszyscy nazywali go po prostu Kid, czyli „dzieciak”.

— Peres uśmiechnął się. — Wiecie, tu na Granicy niewielu ludzi używa prawdziwych nazwisk, zwłaszcza jeśli są ścigani przez prawo.

— A ta kobieta? — spytał Heath z przejściem. — Co się z nią stało?

— Jest tu nadal — odparł Peres spokojnie.

— Tutaj?! — powtórzył Heath wstrząśnięty. — W tym budynku?

Peres potrząsnął głową.

— Nic. Tutaj na Acheronie. Siedzi w więzieniu na końcu ulicy.

— Co takiego zrobiła?

— Cholera, zupełnie nic — powiedział Peres.

— W takim razie nie rozumiem...

— Kid jest ciągle na Acheronie — wyjaśnił Peres. — Ukrywa się gdzieś na pustyni.

— Jest pan pewien?

Peres skinął głową.

— Póki znajduje się tu jego statek, wiemy, że nie opuścił planety.

Heath skinął głową na trzech mężczyzn przy stolikach.

— Pewnie tak. W przeciwnym razie, co robiliby tu ci łowcy nagród? Muszą szukać właśnie jego.

— Kid mieszka na Acheronie od blisko pięciu lat i zna tu wszystkie kryjówki lepiej niż ktokolwiek inny. Trzeba być naprawdę szalonym, żeby pójść na pustynię i próbować go stamtąd wykopać, zwłaszcza że mamy lepsze sposoby, aby go tutaj ściągnąć.

— Używacie kobiety jako przynęty?

— Właśnie.

— Skąd wiecie, że nie odleci bez niej?

— Jest tu jeszcze dwóch innych łowców. Czekają przy jego statku.

— Jeśli jego kryjówka jest dobrze zaopatrzona, może tkwić w niej całe lata — zauważył Heath.

Peres potrząsnął głową.

— Wylezie dziś albo jutro — stwierdził z przekonaniem.

— Skąd ta pewność?

— Ponieważ na wszystkich pasmach radiowych nadaliśmy wiadomość, że jego kobieta zostanie stracona jutro w nocy.

— Dlaczego miałby wam uwierzyć? — spytał Heath.

— Faktycznie, nie ma powodu — przyznał Peres. — Tyle że to nie ja nadałem tę informację. Ona to zrobiła. — Urwał. — W gruncie rzeczy, wszystko to było jej pomysłem.

- Sama chce, żeby wpadł w pułapkę?
 - Najwyraźniej — powiedział Peres. Wydawał się mocno zakłopotany. — To nic ma zbyt wielkiego sensu, co?
 - Nie, chyba że ona sądzi, iż facet zdoła jakoś przeżyć — zgodził się Heath.
 - Niemożliwe — powiedział Peres. — Wokół miasta rozlokowało się chyba z tuzin łowców głów. Wiadomość o zabójstwie Mallachiego szybko się rozeszła i zaroił się na Acheronie jak szarańcza. — Westchnął. — Wciąż mamy tu trochę rudy, którą można jeszcze wydobywać, ale odnoszę wrażenie, że po tych dwóch zabójstwach — tym, które już zostało popełnione i tym, które niechybnie nastąpi — nieco trudniej będzie zainteresować Acheronem inwestorów.
 - Może powinniście spróbować reklamować planetę jako atrakcję turystyczną. Postawcie pomniki w miejscach, gdzie umarł Mallachi i jego zabójca — zasugerował Heath. — A sam Kid — dodał w zamyśleniu — też może zabić paru łowców i przysporzy wam kilka pomników więcej.
 - Czy przeleciałby pan całą tę drogę tutaj tylko po to, żeby zobaczyć, gdzie pochowana jest grupka jakichś zabójców? — spytał sceptycznie Peres.
 - Nie — przyznał Heath. — Ale...
 - Ale co?
 - Ale ja mam wrodzoną odrazę do zbrodni i w ogóle wszystkich form przemocy. Istnieje szansa, że ludzie bez takich uprzedzeń mogą się zainteresować.
 - Być może — mruknął Peres bez większego przekonania.
- Zapadło dłuższe milczenie. Obaj mężczyźni dopijali swoje trunki.
- Co się stanie z kobietą, gdy Kid zostanie zabity? — spytał w końcu Heath.

- Pozwolimy jej odejść.

— Zastanawiam się, czy mógłbym zobaczyć się z nią, zanim odlecimy — powiedział Heath.

— Po co? — spytał podejrzliwie Peres.

— Żyła z Mallachim — wytłumaczył Heath. — Może będzie w stanie powiedzieć mi, czy zostawił po sobie spadkobierców, a jeśli tak, gdzie ich można znaleźć. A poza tym — dodał z przekonaniem — chciałbym poznać istotę, która tak chętnie przywołuje kochankę na pewną śmierć.

— Skąd mam wiedzieć, że nie przysłał was Kid. Może macie zamiar pomóc jej w ucieczce?

— Niech pan sprawdzi zapis lotu mojego statku — powiedział Heath. — Byliśmy w kosmosie przez trzy tygodnie, a sam pan powiedział, że Mallachiego zabito dwa tygodnie temu.

— No, nie wiem... — mruknął Peres znacząco.

— Byłbym bardzo wdzięczny — dodał Heath.

— Jak bardzo...

Heath wyciągnął portfel i odliczył trzy stukredytowe banknoty.

— Czy ten obcy też idzie? — spytał Peres.

— Tak — odrzekł Heath, dodając do banknotów na stoliku jeszcze dwa pięćdziesięciokredytowe papierki.

Peres przez chwilę patrzył na pieniądze, potem wziął je i wepchnął do kieszeni.

— Chodźmy — oznajmił wstając.

Dołączyłem do nich przy drzwiach i po rampie zeszliśmy na gorącą, pełną kurzu ulicę.

— Tędy — rzucił Peres i skręcił w lewo.

Zatrzymaliśmy się po jakichś pięćdziesięciu krokach.

— To tutaj — stwierdził, wskazując niską budowlę jasnego koloru. — Kiedyś był to biurowiec, ale od blisko dwudziestu lat

nic mamy już żadnego przemysłu. Potrzebowaliśmy więzienia, więc wybraliśmy len budynek i otoczyliśmy drzwi i okna polem elektromagnetycznym.

Popatrzyłem na dom i nagle ją zobaczyłem. Rysy jej twarzy były tak proporcjonalne, że zdawała się piękna nawet przedstawicielowi innej rasy. Cała była ubrana na czarno, jej ciemne oczy wyglądały na smutne i zadumane, a włosy były dokładnie takie jak na wszystkich obrazach i hologramach. Stała bez ruchu w oknie i patrzyła ponad nami na odległy kraniec ulicy.

— Wiedziałem, że ona istnieje! — wykrzyknął Heath.

— A kto powiedział panu coś innego? — spytał Peres skonsternowany.

— Och, pewien handlarz dzieł sztuki, który powinien znać się nieco lepiej na swoim fachu — uśmiechnął się Heath.

— Tak przy okazji... — Peres zamilkł, aby zapalić małe cygaro. — Powiniennem was ostrzec, że ta kobietka jest małomówna. Rozmowa z nią jest zdecydowanie jednostronna.

— Dobrze, dobrze — mruknął Heath, przyglądając się sylwetce w oknie.

— Cóż... — Peres ponownie ruszył w stronę budynku. — Jeśli tak bardzo wam zależy...

Nagle parę stóp przed nami otworzyły się drzwi i pojawił się w nich wysoki, krzepki mężczyzna o ciemnej karnacji.

— Lepiej zejdźcie z ulicy — powiedział cicho. Jego wzrok skupił się na jakimś miejscu daleko za nami.

— Co takiego? — spytał Heath.

— Róbcie, co mówi ten facet! — wrzasnął Peres nagląco, ciągnąc Heatha za ramię do pustego budynku. Popędziłem za nimi po rampie.

— Co się stało? — zapytał Heath. — Co się tu w ogóle dzieje?!

Peres poprowadził nas do okna i wskazał na szczupłą postać

młodego mężczyzny o jasnych włosach, który stał bez ruchu przy końcu ulicy.

— Przyszedł po nią — powiedział.

11

Kid nadal stał w miejscu i obserwował otoczenie. Od czasu do czasu jego wzrok zastygał na szczycie dachu albo na wnętrzu jakiegoś budynku i wiedziałem, że właśnie wypatrzył kolejnego łowcę nagród, który trwał w oczekiwaniu.

Dzieciak odziany był w wyblakłe, szarobrązowe ubranie. Pistolet laserowy spoczywał w przypiętej do boku kaburze, odłączony już od zestawu baterii i gotów do natychmiastowego użycia. Pistolet dźwiękowy tkwił założony za pasek, strzelbę Kid przewiesił sobie przez ramię, a rękojeść jeszcze jednego pistoletu wystawała z cholewy lewego buta. Nie miał kapelusza i gorący wiatr rozwiewał jego złote włosy, które otaczały jego twarz niczym aureola na religijnych obrazach przedstawiających ludzkich świętych.

Najwyraźniej mężczyzna, który poradził nam, żebyśmy weszli do środka znajdował się poza zasięgiem wzroku Kida, ponieważ młodzieniec nie zwracał na niego uwagi, koncentrując się jedynie na bliższych budynkach. Kid miał pod pachami plamy od potu, a tył jego koszuli kleił się do wilgotnego ciała; stał nieruchomo i wydawało się, że się waha.

— To samobójstwo! — wrzasnął Heath, patrząc na niego przez okno. — Nie wie, że to pułapka?

— Wie — szepnął Peres.

— Czyżby sądził, że zdoła ich wszystkich zastrzelić?

Peres wzruszył wymijająco ramionami.

Odwrociłem się, żeby spojrzeć na więzienie. Mroczna Pani stała w oknie, bacznie patrząc na Kida. Jej twarz była pogodna. Zastanawiałem się, czym zasłużył sobie na tę straszliwą zemstę z jej strony.

— Nadchodzi! — wymamrotał Peres z podnieceniem, kiedy Kid wyciągnął pistolet laserowy i zaczął powoli iść w kierunku więzienia.

Coś gwałtownie poruszyło się na dachu, błysnął laser i w sekundę później jakiś łowca głów sturlał się po łagodnej pochyłości i upadł ciężko na ziemię.

Mężczyzna, który wcześniej nakazał nam zejść z ulicy, wyciągnął staroświecki rewolwer i wypalił z niego do Kida. Najwyraźniej chybił, gdyż Dzieciak obrócił się i strzelił w jego kierunku, gdy tamten akurat zamierzał odskoczyć na bok. Trafił i chwilę później mężczyzna padł martwy tuż pod naszymi drzwiami. Jego twarz była spalona na czarno. Popatrzyłem na niego ze strachem, ale i z jakąś niezdrową fascynacją. Wiedziałem, że są rasy, które uznają taki koniec za heroiczny albo zgoła romantyczny.

Usłyszeliśmy kolejny wystrzał — Kida odrzuciło, a jego pistolet wyleciał jakieś czterdzieści stóp w powietrze. Najwidoczniej postrzelono go w ramię. Natychmiast wyciągnął z buta drugi rewolwer i oddał strzał, a potem błyskawicznie obrócił się, gdyż dostrzegł kolejną postać w sklepie po swojej prawej stronie. Nie wiem z jakiej broni wypalono do Kida, ale upadł na ziemię i dwa razy się przeturlał, a krew tryskała z otwartej rany w miejscu, gdzie było przedtem lewe ucho. Jego twarz przybrała wyraz wściekłości, maskując ból. Klęcząc wystrzelił w kierunku sklepu.

Błysnęły kolejne dwa laserowe strzały, jeden z dachu i jeden z tawerny. Kule zryły ziemię wokół Kida. Znów upadł do tyłu, jakby uderzył go w pierś jakiś ciężki przedmiot. Potem, mimo iż jego ciało w mgnieniu oka pokryło się pełzającymi płomykami po licznych trafieniach lasera i wzrok zaćmił się pod zalewającą mu oczy krwią, chłopak drżącą ręką wyjął pistolet dźwiękowy i wycelował w kolejnego łowcę.

Chciałem zamknąć oczy, ale nie byłem w stanie. Patrzyłem więc na Kida jak sparaliżowany, a on strzelał i strzelał, próbując przed śmiercią zabić jak najwięcej przeciwników. To ponure widowisko było absolutnie sprzeczne z całym moim dotychczasowym doświadczeniem. Jednocześnie zupełnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego chłopak, który odniósł już chyba dziesięć śmiertelnych ran, ciągle strzela, dlaczego po prostu się nie podda i nic zaakceptuje swego losu.

Powietrze nadal wypełniał huk wystrzałów i błysk promieni laserów. Kule trafiały w zakrwawione ciało Kida, a on wciąż gmerał rozpaczliwie w kieszeni dwoma palcami, które pozostały mu u ręki, daremnie usiłując dosięgnąć ostatniej broni. W końcu nic mogłem już dłużej patrzeć na tę rzeź i odwróciłem głowę.

Złapałem się na tym, że — może przypadkowo, może rozmyślnie — znowu patrzę na Mroczną Panią. Jej ręce wyciągały się do młodzieńca, jak gdyby wołały, aby wstał i przyszedł do niej, a jej twarz, która zwykle była tak blada i odarta z wszelkich emocji, teraz wydawała się wręcz purpurowa z podniecenia. Musiała naprawdę wierzyć, że chłopak jest zdolny wywalczyć sobie wolność wśród tych wszystkich łowców i wydostać ją z więzienia, ponieważ chwilę później powrócił na jej twarz wieczny smutek i instynktownie poczułem, że chłopak skonał.

A potem, zupełnie niespodziewanie, kobieta popatrzyła z

niezglębionym wyrazem twarzy prosto na mnie. Wydało mi się to tak niepokojące, że natychmiast skierowałem wzrok w inną stronę.

— Cóż, tak to jest — stwierdził Peres, wzdychając z ulgą.

— Co za jatka — skomentował Heath. — Ilu załatwił? Czterech?

— Zdaje mi się, że trzech — odparł Peres. — Będziemy musieli sprawdzić, czy któryś z nich jeszcze żyje.

— To było straszne! — krzyknąłem.

Peres obrócił się do mnie.

— Myślałem, że lubisz widok ludzkiej krwi.

— Nikomu nie może się podobać obraz takiej masakry! Odbieranie życia innej istocie jest niemoralne, niezależnie od tego, jaki jest powód!

Peres popatrzył na mnie rozbawiony.

— Jeśli sądzisz, że to niemoralne, poczekaj, aż zobaczysz jak łowcy zaczną walczyć między sobą o to, który z nich oddał śmiertelny strzał. Będziemy tu mieli prawdopodobnie jeszcze parę następnych zabójstw, zanim to się ostatecznie wyjaśni.

— Co się stanie z kobietą? — spytał Heath.

Peres wzruszył ramionami.

— Pewnie ją wypuścimy. — Nagle wyszczerzył się w uśmiechu. — Będzie musiała szybko znaleźć sobie jakiś nowy środek transportu, jeśli chce stąd odlecieć cało. Mam zamiar skonfiskować statek Kida w ramach zapłaty za zniszczenia, których narobił podczas strzelaniny.

— Jeśli odbierze jej pan szansę opuszczenia planety, okaże się pan istotą całkowicie pozbawioną sumienia! — wykrzyknąłem. Zaskoczyła mnie własna zuchwałość.

Peres obrócił się i spojrzał na mnie, jak gdybym był insektem,

którego się rozgniata butem.

— Hm, jestem cholernie pewien, że nie chcielibyście jej żywić za darmo — odezwał się w końcu.

— Więc dokąd pójdzie? — spytałem.

— A skąd, do diabła, mam wiedzieć? — zdenerwował się. — Pewnie zwiąże się z którymś z łowców.

— Ależ to mordercy! — naciskałem. Wiedziałem, że naruszam wszelkie zasady dobrego wychowania, ale nie potrafiłem się już powstrzymać.

— Co cię to obchodzi? — zapytał Peres. — Sądzisz, że wolałaby odlecieć z takim małym, pasyastym potworkiem jak ty?

— Nie musi pan być taki zjadliwy — wtrącił się spokojnie Heath. — Trudno się nie zgodzić z moim współpracownikiem, panie Peres. Zamiast zmuszać ją, by pozostawała w towarzystwie tych krwiożerczych drani, niech pan jej pozwoli odlecieć z nami.

Peres patrzył na niego długą chwilę.

— Na co ona panu? — spytał podejrzliwie.

— Mnie? — powtórzył Heath zaskoczony. — Wcale jej nie chcę. Uważam to jedynie za zwykły akt człowieczeństwa.

Kobieta znalazła się w tarapatkach, bez pieniędzy; pan nalega, żeby odleciała przed zmrokiem, a jedynymi ludźmi, poza nami, którzy mogą ją stąd zabrać są bezwzględni zabójcy... Jeśli zdecyduje się do nas przyłączyć, na naszym statku znajdzie się dla niej dosyć miejsca, a poza tym możemy wysadzić ją na dowolnej planecie między Acheronem a Karolem Wielkim. Wątpię, czy któryś z łowców zamierza opuszczać Granicę Wewnętrzną, a my przynajmniej podrzucimy ją trochę bliżej miejsca, do którego się udaje.

— Skąd może pan wiedzieć, dokąd ta kobieta się udaje? —

spytał Peres. — Do cholery, w końcu przyleciała tutaj, prawda? Może lubi Granicę.

— Zawsze może odrzucić moją propozycję — dopowiedział Heath. — Ale przynajmniej będę wiedział, że próbowałem.

Peres milczał przez chwilę.

— A tak naprawdę, dlaczego pan się nią interesuje?

— Przecież już mówiłem.

— Ale chciał się pan z nią zobaczyć, jeszcze zanim pojawił się Kid.

— Śmierć Kida niczego nie zmienia — odparł Heath. — Po prostu nadal muszę się dowiedzieć, komu przekazać pieniądze po Mallachim.

— I jest pan gotów przyrzec, że nie planujecie zabawić się z nią w trakcie przejażdżki po Granicy? — spytał Peres podejrzliwie.

— Nie bardzo rozumiem, co to może pana obchodzić — mruknął Heath — ale zapewniam, że nie mamy takiego zamiaru. Żaden kulturalny człowiek nie mógłby wykorzystać kobiety, która znajduje się w tak kłopotliwym położeniu. Jestem dżentelmenem, a ona damą w kłopotliwym położeniu. To wszystko.

— To nigdy nie bywa takie proste — powiedział z naciskiem Peres. — Jeśli ją zabierzecie, a potem słuch o niej zaginie, ta sprawa będzie mi ciążyć do końca życia.

I nagle nawet ja zrozumiałem, dokąd zmierza ta cała gadka.

— Zdaję sobie sprawę, że to straszny ciężar — odparł Heath ze współczuciem.

— Ma pan cholerną rację — zgodził się Peres.

— Jak można go panu osłodzić?

Peres uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Jakiś tyśdziesiątka i będzie dobrze.
— Siedemset — rzucił szybko Heath.
— Osiemset.
— Zgoda — stwierdził Heath.
— W porządku. — Peres nagle spoważniał. — Jak pan chce to załatwić?

— Niektórym łowcom mogłoby się nie spodobać, gdyby zobaczyli Leonarda i mnie prowadzących kobietę na statek — odparł Heath. — Chyba lepiej będzie, jeśli to pan ją do nas przyprowadzi.

— Czy któryś z nich może sądzić, że ona wolałaby pójść z nim? — spytał Peres.

— Szczerze mówiąc, nie mam zielonego pojęcia — odrzekł Heath — ale nic widzę powodu, by kusić los. Pan jest tu burmistrzem, będzie panu łatwiej dostarczyć ją na lądowisko.

— A jeśli nie zechce pójść?

— Wyrzuci ją pan z tej planety, a ona nie ma ani przyjaciół, ani pieniędzy — wyjaśnił Heath. — Dlaczego miałyby nie zechcieć?

— To dziwna kobieta. Z nią nigdy nic nie wiadomo.

— Niech pan jej po prostu powie, że ma dwa wyjścia: odlecieć z nami albo zostać w więzieniu.

— Ale ja jej nie chcę widzieć w moim więzieniu ani dnia dłużej — zaprotestował Peres. — Mam przez nią tylko same kłopoty i stertę trupów, jakby nieuchronnie przyciągała śmierć.

— Więc proszę ją przekonać, aby opuściła z nami Acheron.

— Dobrze, postaram się — powiedział Peres, ale z jego miny wynikało, że nie wierzy, by kobieta się zgodziła.

— Momencik! — krzyknął Heath. — Może jednak wolałby pan, żebym ja z nią porozmawiał?

Peres potrząsnął głową.

— Wystarczy, że raz spojrzy na tego obcego i już nic nie będzie w stanie jej przekonać, by z wami poleciała. Sam się tym zajmę.

— Dobra. — Heath wyjrzał przez okno w dół na ulicę. Nad ciałem Kida kłóciło się czterech łowców, dziko gestykulując. — Kiedy tylko załatwią swoje finansowe porachunki, udamy się prosto na statek.

— Spotkam się tam z wami za pół godziny — oświadczył Peres. Otworzył drzwi i po rampie wyszedł na ulicę.

— Cóż, Leonardo — stwierdził Heath, uśmiechając się i zacierając ręce — mamy ją!

— Była to jedyna cywilizowana rzecz, jaką można było zrobić — zgodziłem się. — Nie mógłbym pozwolić, by została w towarzystwie tych zabójców.

Heath zachichotał.

— Na wypadek, gdyby umknęło to twojej uwagi, przypomnam ci, że przyleciała tu prosto z ramion łowcy nagród, a potem na kocią łapę żyła z przestępcą.

— Nie zmienia to faktu, że to straszni ludzie. — Wzdrygnąłem się. — Jak mogą się tak zabijać?

— Byłbyś zaskoczony, gdybyś się dowiedział, czego jest w stanie dokonać człowiek, kiedy chodzi o pieniądze — odparł Heath. — I zanim ich potępisz, przypomnij sobie, że na światach Granicy łowcy nagród stanowią coś w rodzaju wymiaru sprawiedliwości.

— Ale to było brutalne i dokonane z premedytacją morderstwo!

— Kid wiedział, że oni tu będą. Nie musiał przychodzić.

— Więc dlaczego przyszedł?

— O co ci chodzi?

— O Kida — wyjaśniłem. — Zapytałem, dlaczego wrócił, skoro wiedział, że będą tu na niego czekali łowcy głów? Nie rozumiem jego postępowania.

— Słyszałeś, co powiedział Peres — odrzekł Heath. — Wrócił po kobietę.

— Ale chyba wiedział, że nigdy nie uda mu się jej uratować — nalegałem. — Dlaczego bezsensownie poświęcił swoje życie?

— Może jednak myślał, że mu się uda — stwierdził Heath bez większego przekonania.

— Sam w to nie wierzysz — powiedziałem. — Wiem, iż widział co najmniej czterech łowców. Musiał się domyślać, że jest ich znacznie więcej.

Heath wzruszył ramionami.

— Naprawdę nie wiem, Leonardo. W sytuacji bez wyjścia ludzie czasem robią dziwne rzeczy.

— Ależ on nie był w sytuacji bez wyjścia! — zauważyłem. — Na pustyni był całkiem bezpieczny. Znał górnicze tunele tak dobrze, że nikt nie ośmieliłby się go tam szukać.

— Ale myślał, że jego kobieta zostanie zabita jutrzejszej nocy.

— Jeśli uwierzył w jej wołanie o pomoc, musiał wiedzieć, iż nie zdoła jej uratować. Jeśli w nie nic uwierzył, nie miał powodu by wracać.

— To prawda — przyznał w zamyśleniu.

— Więc jaka może być prawdziwa odpowiedź?

— Nie wiem — powiedział Heath, podchodząc do okna, aby zobaczyć, czy łowcy nagród już się rozeszli. — Może dowiemy się tego od Mrocznej Pani.

12

— Czy mogę zaproponować pani coś do picia? — spytał Heath.

Po opuszczeniu atmosfery Acherona przełączył statek na automatycznego pilota i siedzieliśmy teraz w trójkę przy stoliku w kuchni, jedynym miejscu na tym maleńkim statku, które mogło pomieścić nas wszystkich.

— Poproszę o coś ciepłego — odparła Mroczna Pani.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od czasu, gdy Peres ją do nas przyprowadził; zachwyciła mnie śpiewność jej głosu. Kobieta wyglądała na całkowicie spokojną i wydawała się niczym nie przejmować.

Heath przyniósł jej filiżankę kawy.

— Dziękuję — powiedziała, chwyciwszy naczynie w obie ręce, ale nie zaczęła pić.

— Co jeszcze mógłbym dla pani zrobić? — spytał.

Potrząsnęła głową.

Heath najwyraźniej się zastanawiał, w jaki sposób wciągnąć ją w rozmowę. Była nic tylko jakaś odległa, ale w tym swoim absolutnym spokoju wyglądała, jakby nie miała prawie żadnego kontaktu z rzeczywistością.

— Byłoby straszne, gdyby musiała pani zostać na Acheronie — zaczął Heath z zakłopotaniem.

Nadal rozgrzewała dłonie filiżanką z kawą i milczała.

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby czuła się pani tutaj dobrze — kontynuował. — Co jeszcze możemy dla pani zrobić? Zupełnie nic?

Wpatrywała się w Heatha przez długą chwilę i chociaż jej twarz pozostała bez zmian, odniosłem wyraźne wrażenie, że

bawi jeg^o skrępowanie.

— Chcesz zadać mi jakieś pytania — odezwała się w końcu.

— Zadaj je teraz.

— Jak masz na imię?

— Nazywaj mnie Nekhbet.

Skrzywił się.

— Może minąć trochę czasu, zanim człowiek nauczy się je odpowiednio wymawiać.

— Mam też inne imiona.

— Czy jedno z nich brzmi Shareen d'Amato, wielka pani? — spytałem.

Myślałem, że moje pytanie ją zaskoczy, ale kobieta tylko odwróciła się powoli w moją stronę i popatrzyła na mnie z ciekawością.

— Albo Eresh-Kigal? — kontynuowałem.

— Jesteś bardzo zadziwiającym obcym — odezwała się z cieniem rozbawienia.

— A ja jestem bardzo zakłopotanym facetem — wtrącił się Heath. — Kim jest Shareen d'Amato i Eresh-jakaś-tam?

— To tylko imiona — odparła.

— Twoje imiona? — spytał Heath.

Skinęła głową.

— Czy to są twoje prawdziwe imiona? — nalegał.

— Proszę spytać przyjaciela — odrzekła. — On wie.

— Leonardo? — spytał zaskoczony Heath i obrócił się do mnie. — No, dobrze, więc kim ona jest?

— To Mroczna Pani — powiedziałem.

Uśmiechnęła się na potwierdzenie moich słów.

— Czy mogę zadać ci pytanie, wielka pani? — kontynuowałem.

— Tak.

Mroczna Pani

— Słyszałaś kiedykolwiek o człowieku nazwiskiem Brian McGinnis?

Zamknęła na chwilę oczy, a potem otworzyła je i zapatrzyła się w ścianę, jak gdyby widziała przez nią niewyraźną i odległą przeszłość.

— Kim, do diabła, jest Brian McGinnis? — wtrącił Heath.

— To pewien mężczyzna, który umarł prawie sześć tysięcy lat temu — wytłumaczyłem.

— Brian McGinnis — odezwała się w końcu Mroczna Pani. — Minęło bardzo dużo czasu, odkąd po raz ostatni słyszałam to nazwisko.

— Znałaś go? — zapytałem.

— Jak mogła znać kogoś, kto umarł sześć tysięcy lat temu? — rzucił ostro Heath.

— Twój przyjaciel ma rację, obcy — zwróciła się do mnie z uśmiechem. — Jak mogłabym znać człowieka, który umarł tak dawno temu?

— Nic chcę cię urazić, wielka pani — rzekłem — ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

— Mam wrażenie, że znasz odpowiedź. — Jej ciemne oczy skupiły się na mnie. — Mam rację?

— Sądzę, że tak, wielka pani — odparłem, zaskoczony, że prawie nic czuję przed nią strachu. — Chciałbym też spytać, czy znałaś Christophera Kilcullena.

— Dobrze się przygotowałeś, obcy — oznajmiła bez cielna wrogości. — Powinnam cię pochwalić.

— Ale nic chcesz mi odpowiedzieć — mruknąłem.

— Nic muszę.

— Chciałbym jednak usłyszeć to z twoich własnych ust, wielka pani — nalegałem.

Znowu się uśmiechnęła.

— Nie wątpię — westchnęła — ale powinieneś wiedzieć, że nigdy nic dostaje się wszystkiego, czego się pragnie, obcy.

Na krótką chwilę zapadło milczenie.

— Obiecałaś, że odpowiesz na nasze pytania — odezwał się w końcu Heath.

— Na twoje, tak — odrzekła.

— Dobrze — powiedział Heath. — Jeśli już rozmawiamy na temat ludzi, których możesz znać, to co powiesz o Malcolmie Abercrombiem?

— Kim jest Malcolm Abercrombie? — spytała.

— Kolekcjonuje twoje portrety — wyjaśnił Heath. — I trzeba dodać, że wydał już na nie znaczną fortunę.

— Co to ma wspólnego ze mną? — zapytała spokojnie.

— Chciałabyś go spotkać?

— Nigdy go nie spotkam — odparła stanowczo.

— On bardzo pragnąłby cię poznać.

— Więc się rozczaruje.

— Szczerze mówiąc — kontynuował Heath przekonująco — zaryzykowałbym twierdzenie, że wiele by dał, aby cię poznać.

— Nie potrzebuję jego pieniędzy ani nie pragnę jego towarzystwa — stwierdziła Mroczna Pani.

— Więc potraktuj to jako przysługę dla mnie.

— Nie jestem ci winna żadnej przysługi.

— Jako dżentelmen nic powinienem o tym wspominać, ale przecież cię uratowaliśmy.

— Masz zupełną rację — zgodziła się.

— A więc jestem pewien, że się jakoś porozumiemy — uśmiechnął się Heath.

— Masz zupełną rację — powtórzyła twardo — że nie powi-

nienieś o tym wspominać. I rozumiem cię doskonale, Valentine Heath. — Wzięła łyk kawy, a potem z wdziękiem wstała. — Teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym odpocząć.

— Mogę ci zadać ostatnie pytanie, wielka pani? — wtrąciłem szybko.

Obróciła się w moją stronę.

— Tylko jedno.

— Czy jesteś istotą ludzką?

— Oczywiście, że jest istotą ludzką — rzucił Heath. — Tylko na nią popatrz, Leonardo.

Spojrzała wprost na mnie, ale nic nie powiedziała.

— Proszę, wielka pani — jęknąłem. — Naprawdę nie znam odpowiedzi na to pytanie.

— Odpowiedź brzmi: nie — odezwała się w końcu.

— Jesteś przedstawicielem jakiejś obcej rasy? — zapytał Heath z niedowierzaniem.

— Nie.

Heath był niemal kompletnie zirytowany.

— Musisz być jednym albo drugim.

— Skoro tak twierdzisz... — odparła spokojnie. — Mógłbyś mnie skierować do kajuty?

— Jasne — odrzekł Heath, wstając i idąc do drzwi. — Możesz wziąć moją.

— Dziękuję — powiedziała. — To bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony.

Heath błysnął w jej stronę uśmiechem.

— Od tego są przyjaciele.

— Nie jesteś moim przyjacielem, Valentine Heath — oświadczyła spokojnie, po czym weszła do jego kabiny i zamknęła za sobą drzwi.

— Skąd wiedziała, jak się nazywam? — zadumał się Heath

Mroczna Pani

wracając do stolika. — Nie przedstawiłem się jej.

— Może burmistrz Peres jej powiedział — rzuciłem bez przekonania.

Skinął energicznie głową.

— Na pewno. — Wyjął z szalki butelkę z alkoholem, przyrządził sobie drinka i usiadł. — No, Leonardo, co myślisz o naszym gościu?

— To jest Mroczna Pani — stwierdziłem.

— Wiem, sam mi powiedziałeś, że to jest Mroczna Pani i ona to potwierdziła. — Strapił się. — Sądzę jednak, że czułbym się znacznie lepiej, gdyby mi ktoś wreszcie powiedział, kim w ogóle jest ta Mroczna Pani.

— Nie wiem — odparłem szczerze.

— Co to była za gadka o Brianie-jakimś-tam?

— To był człowiek, który żył tysiąc lat przed tym, zanim twoja rasa rozpoczęła loty międzygwiazdne.

— No i co?

— Namalował jej portret — wyjaśniłem.

— Najwyraźniej namalował kogoś, kto był do niej bardzo podobny.

— Widziałem fotografię tej pary.

— Jesteś absolutnie pewien?

— Tak.

— A Kilcullen? Też był artystą?

— Tak.

— I również umarł dawno temu, jak sądzę?

— Tak, chociaż nie tak dawno jak McGinnis.

Zmarszczył brwi.

— Interesujące — zadumał się.

— Powiedziałbym raczej, że przerażające — poprawiłem go.

— Mimo to jednak ona mnie nie przeraża.

- A niby dlaczego miałbyś się jej bać?
- Ponieważ nie jest ani człowiekiem, ani obcym.
- To nieprawda — zakpił Heath, popijając drinka. — Jest człowiekiem tak samo jak ja.
- W takim razie, jak mogłaby znać Briana McGinnisa? — nalegałem.
- Może w taki sam sposób jak ty.
- Widziałem jej podobizny starsze od obrazu McGinnisa o ponad dwa tysiące lat.
- Sądzisz, że jest jedyną czarnowłosą kobietą, jaka kiedykolwiek żyła? — zapytał Heath z drwiną.
- Nie — odparłem — ale uważam, że jest jedyną czarnowłosą kobietą, która żyje tak długo.
- Zdajesz sobie sprawę, jaka jest długość ludzkiego życia? — wybuchnął.
- Tak — odrzekłem. — Tylko że ona nie jest człowiekiem.
- Wygląda jak człowiek, przebywa wśród ludzi, była malowana i rzeźbiona przez ludzi, nosi ludzkie imiona. Czy to dla ciebie oznacza obcego?
- Powiedziała, że obcym też nie jest.
- Heath prychnął pogardliwie.
- Skoro wyeliminowałeś i człowieka, i obcego, co ci jeszcze pozostało?
- Może jest rodzajem jakiegoś psychicznego fenomenu albo zjawiskiem nadprzyrodzonym? — zasugerowałem.
- Wskazał na wpół opróżnioną filiżankę.
- Duchy nie piją kawy.
- Nie wiedziałem — mruknąłem i dodałem z ironią: — Bez wątplenia musiałeś już wiele razy mieć do czynienia z duchami.
- Niech cię diabli! — wybuchnął i dopił drinka. — Wiem, że

jako Bjornnowi trudno ci to pojąć, ale niestety nie wszystkie kobiety mówią prawdę. — Odstawił na stolik szklankę i podszedł do komputera pokładowego. — Rozwiążemy ten problem raz na zawsze. Włącz się!

— Włączony — odparł komputer. — Czekam...

— Ile inteligentnych istot jest obecnie na pokładzie tego statku?

— Trzy — oznajmił komputer.

— Kto?

— Ty, Bjornn nazwiskiem Leonardo i ludzka kobieta, której imię brzmi Nekhbet, Shareen d'Amato, Eresh-Kigal albo Mroczna Pani.

— Podaj mi charakterystykę biologiczną tej kobiety.

— Wzrost: pięć stóp, sześć cali. Waga: sto dwadzieścia osiem funtów. Włosy: czarne. Oczy: czarne. Wiek: między dwadzieścia osiem a trzydzieści sześć lat, oceniając po strukturze skóry i budowie kostnej, z możliwością pomyłki do...

— Wyłącz się — polecił Heath. Obrócił się do mnie. — Czy według ciebie tak wygląda zjawia?

— Nie.

— Więc cię przekonałem?

— Nie.

— Nie? — powtórzył. — Ciekawe dlaczego?

— Twój komputer to maszyna i jako taki może analizować jedynie te dane, które zostały do niego wprowadzone. Nie może brać pod uwagę informacji, które zebrałem o Mrocznej Pani w przeszłości.

Przez długą chwilę lustrował mnie wzrokiem.

— Wiesz, stajesz się zbyt przemądrzały — powiedział wreszcie.

— Ufam, że to nie ja powoduję twoją agresję.

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem — bąknąłem.

— Nie jestem urażony, ale zaskoczony. — Westchnął z rezygnacją. — No dobrze, Leonardo, jak sądzisz, kim ona naprawdę jest?

— Nie wiem.

— Nie potrafisz znaleźć żadnej przyczyny, dla której ona upiera się, że znała tych dawno zmarłych artystów?

— Nie — odrzekłem. — I powinienem ci jeszcze zwrócić uwagę, że większość z mężczyzn, którzy ją malowali nie była artystami.

— Tak? — spytał zaskoczony. — A kim byli?

— Nie udało mi się znaleźć w ich biografiach ani jednej cechy wspólnej — przyznałem się.

Rozważał przez chwilę tę kwestię, a później wzruszył ramionami i nalał sobie następnego drinka.

— Cóż, nie mam zamiaru oszaleć, głowiąc się nad tym. Może Abercrombie będzie w stanie coś wyjaśnić.

— A skąd Malcolm Abercrombie mógłby znać rozwiązanie? — rzuciłem. — Wie o niej jeszcze mniej niż ty.

— Dostarczymy mu ją — mruknął Heath.

— Nie rozumiem.

Heath uśmiechnął się.

— Może „dostarczyć” to faktycznie niezbyt odpowiednie słowo. Będziemy negocjować przyjemność przebywania w jej towarzystwie.

— Nie możesz sprzedawać jednej inteligentnej istoty drugiej!

— Nikt nikogo nie ma zamiaru sprzedawać, Leonardo — rzucił lekko. — Po prostu wykonamy towarzyską usługę dla dwojga ludzi, którzy przekonają się bezpośrednio, jak wiele ich łączy.

— Ona nie jest twoją własnością, którą możesz wynająć

komuś na godziny! — krzyknąłem przerażony.

— Czy ktoś tu mówi o prostytutce? — spytał Heath niewinnie. — Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że stary, cierpiący na raka Abercrombie prawdopodobnie nie byłby w stanie zrobić niczego w tym względzie, nawet gdyby chciał. — Heath pochylił się. — Ale wydaje dziesiątki milionów kredytów na obrazki z jej podobizną. Facet ma po prostu obsesję, która pochłonęła jedną trzecią jego życia. Na pewno zechce osobiście zobaczyć dziewczynę, przekonać się, że ona istnieje, porozmawiać z nią i może wybrać jakiegoś artystę, żeby ją namalował. To musi być dla niego dużo warte.

— Mroczna Pani powiedziała, że nigdy nie spotka się z Abercrombim — przypomniałem twardo.

— I jestem pewien, że w to wierzy — odparł Heath. — Jednak jeśli nawet się w coś wierzy, to wcale nie znaczy, że lak musi być naprawdę. Do cholery, ta kobieta wierzy również w to, że nic jest człowiekiem!

— Ale to będzie porwanie! — zaprotestowałem.

— To byłoby porwanie, gdyby znalazła się tutaj wbrew własnej woli — uspokoił mnie. — Ale ona przecież poleciała z nami dobrowolnie.

— Ponieważ nie wiedziała, co planujesz.

— Wydaje ci się, że to jakaś królowa, czy co? Że musisz traktować ją z respektem i wielkim szacunkiem? — zadrwił Heath.

— Pozwól, że coś ci przypomnę: zadawała się z zabójcami, postarała się, by jej kochanek został brutalnie zarżnięty przez łowców głów, a poza tym wyrzucono ją z Acherona. Osobiście nie dałbym za nią nawet kredytu. Powinna być wdzięczna, że w ogóle zgodziliśmy się ją zabrać. — Umilkł. — Słuchaj — dodał już

spokojniej — żeby nie dręczyło cię to po nocach, dam jej dziesięć procent sumy, którą dostanę od Abercrombiego. To będzie pewnie więcej pieniędzy, niż widziała kiedykolwiek w życiu.

— Nie przyjmie ich.

— Oczywiście, że przyjmie.

— Nie — powtórzyłem. — Powiedziała już o sobie wystarczająco dużo.

— Przyjmie, kiedy dowie się, że nie ma wyboru.

— Nie mogę na to pozwolić!

— Leonardo — powiedział Heath — będę z tobą szczerzy. Widzisz, znajduję się w naprawdę trudnej sytuacji finansowej.

— Umilkł i westchnął. — Wciąż uciekam przed policją, nie wiadomo, kiedy będę mógł wrócić na Karola Wielkiego, a zresztą jestem pewien, że moje tamtejsze aktywa zostały już zamrożone. Bez wątpienia wytropią wszystkie moje konta kredytowe, więc ich również nie ośmielę się użyć. Potrzebuję natychmiastowego zastrzyku gotówki, a ta kobieta wydaje mi się wprost zrzędzeniem losu.

— Dostaniesz pieniądze za obraz Mallachiego od Tai Chong.

Potrząsnął głową.

— To starczy za ledwie na zatankowanie statku. — Chwilę, milczał. — Zwykły tłum napawa mnie obrzydzeniem, Leonardo, tak zostałem wychowany. Ten fakt może być nieprzyjemny, ale jest prawdziwy: muszę mieć pieniądze, aby prowadzić życie na odpowiednim poziomie.

— A co z poziomem jej życia? — zapytałem.

— Była w więzieniu, kiedy ją spotkaliśmy — mruknął. — Co to było za życie?

— Mniejsza o to, tutaj znalazła się dobrowolnie — zauważyłem. — A ty chcesz zrobić coś wbrew jej woli.

Mroczna Pani

— Stajesz się męczący, Leonardo — stwierdził Heath. — Podobaleś mi się znacznie bardziej, gdy byłeś grzeczniejszy.

— Nie mogę milczeć, widząc, co chcesz zrobić tej pani.

Uniósł brew.

— Czy zrobiłoby ci różnicę, gdyby była mężczyzną?

— Nadal byłoby to niemoralne.

— Ale nie byłbyś taki zdenerwowany?

— To zawsze byłaby haniebna zbrodnia, niezależnie od tego kim jest ofiara — powiedziałem stanowczo.

— Ale gorsza, jeśli dotyczy kobiety?

— Wszystkie osoby płci żeńskiej są święte.

— Cholernie dziwny jest świat, z którego przybywasz — zauważył.

— Nadal czuję się jego częścią — odparłem. — Wierzę w słuszność jego praw i kocham go.

— Cóż, następnym razem, kiedy znajdziemy się w podobnej sytuacji na pewno porwę mężczyznę — powiedział Heath. — Tymczasem temat uważam za zamknięty.

— Temat nie jest zamknięty — ciągnąłem z uporem. — Chcę ci uświadomić, jak straszną zamyślasz zbrodnię.

— Temat jest zamknięty! — rzucił twardo. — Albo znowu umieszczę cię w kapsule hibernacyjnej.

Stwierdziłem, że w żaden sposób nie pomogę Mrocznej Pani, jeśli nadal będę się kłócił, więc potulnie mu przytaknąłem, po czym odczekałem parę godzin, aż Valentine zapadł w sen. Wtedy wszedłem cicho do jej kabiny, aby poinformować ją o zamiarach Heatha.

Kabina była pusta.

Przetrzaśnąłem stosunkowo niewielkie wnętrze statku, ale nie odnalazłem żadnego śladu Mrocznej Pani. W końcu obudziłem

Heatha.

— O czym ty mówisz? — zapytał, wstając z koi. — Ludzie nie znikają ze statków kosmicznych ot tak sobie! Gdzie ona jest?

— Odeszła — oświadczyłem.

— Dokąd?

— Nie wiem.

— Zaraz się przekonamy! — mruknął znacząco i ruszył energicznie do jej kajuty. Przeszukał ją niezwykle dokładnie, zajrzał nawet pod koję i do maleńkiej szafy, a później obejrzał kabinę dowodzenia, część magazynową, umywalnię i kuchnię.

— Co się tu, do cholery, dzieje? — zapytał zdezorientowany.
— Komputer, włącz się!

— Włączony — oznajmiło urządzenie. — Czekam...

— Ile inteligentnych istot znajduje się w tej chwili na pokładzie statku?

— Dwie.

— Czy od czasu, gdy opuściliśmy Acheron otwierano któryś właz?

— Nie — odparł komputer.

— Czy Mroczna Pani mogła wydostać się ze statku bez naszej wiedzy w jakiś inny sposób?

— Nie.

— Czy w ogóle próbowała opuścić statek?

— Nie.

— W takim razie, co się, do diabła, z nią stało?

— Nie wiem — odrzekł komputer.

CZĘŚĆ 3

***Człowiek, który chciał
mieć to wszystko***

13

Heath stał kilka minut na drewnianym balkonie, z którego rozpościerał się widok na pokryte śniegiem góry, po czym wrócił do środka, zatarł energicznie ręce i skierował się do barku.

— Piękny dzień! — zachwycił się. — Trochę mroźny, ale piękny.

— Jeśli uważasz, że jest zimno, to po co wychodzisz? — spytałem bez większego zainteresowania.

— Wiesz, ile ten domek mnie kosztuje? — uśmiechnął się. — Tu się przylatuje dla klimatu i widoków. Cóż, od czasu do czasu pogoda faktycznie robi się niespecjalna, ale krajobrazy są naprawdę wspaniałe.

— Jak długo musimy tu jeszcze zostać?

— Leonardo, są ludzie, którzy oddaliby wszystko co mają za górską chatkę na Graustark. Po prostu odpręż się i ciesz się życiem.

— Czy twoi prawnicy już się z tobą skontaktowali? — spytałem.

— Muszą jeszcze przekupić paru oficjeli — wyjaśnił. — Wszystko idzie znakomicie. Jeszcze dzień czy dwa, najwyżej trzy i będziemy mogli wrócić na Karola Wielkiego.

— Nie chcę tam wracać.

— Więc zostaniesz tutaj.

— Upłynęło już dziewięć dni, odkąd opuściliśmy Acheron. Muszę wracać do pracy.

— Zboczyliśmy na Graustark, gdyż Tai Chong prosiła, żebyś

kilka dni odpoczął.

— Myślałem, że przylecieliśmy tu, ponieważ ukrywasz się przed policją — mruknąłem.

— To tylko jeden z powodów. — Skrzywił się. — Skoro już tu jesteś, powinieneś to rozsądnie wykorzystać.

— Musimy przechodzić przez to wszystko jeszcze raz? — spytałem znużony.

— Nie, oczywiście, że nie — odparł. — Ale wiem, że czujesz się przygnębiony, odkąd usłyszałeś od swojej mamy...

— Mojej Matki Wzorcowej — poprawiłem go.

Wzruszył ramionami.

— Nieważne. Może wykorzystamy to, że chwilowo nie pada śnieg i pójdziemy na spacer? Na zewnątrz jest wprost wspaniale!

— Jestem o wiele bardziej wrażliwy na niskie temperatury niż ty.

— To się ciepło ubierz.

— Ścieżki są wąskie i kręte. Mógłbym spaść w przepaść.

— No dobrze — oświadczył i przez sekundę jakby ważył coś w myśli. — Mam inny pomysł.

— Jaki?

— Siedź sobie tutaj i użalaj się nad sobą.

— Nigdy nie zrozumiesz potworności tego, co się zdarzyło — szepnąłem złamanym głosem.

— Wiem, twoja matka jest na ciebie wściekła — odparł. — I co z tego? Przeboleje to. Tai Chong załatwi całą sprawę z policją i nikt już nie będzie myślał, że jesteś złodziejem czy porywaczem... W końcu ciągle pracujesz dla Claiborne'a i siedzisz sobie w domku w najbardziej ekskluzywnym kurorcie na najbardziej ekskluzywnej planecie w gwiazdozbiorze Quinellus.

— Muszę natychmiast wrócić do pracy.

— Do multimilionera-kolekcjonera, który nawet nie ma

ochoty na ciebie patrzeć — roześmiał się Heath.

— Nic nie można na to poradzić.

— Oczywiście, że można — stwierdził Heath.

— Na przykład co?

— Powiedz mu, żeby poszedł do diabła! Bądź mężczyzną jak ja!

— Nie jestem taki jak ty, różnię się od ciebie prawie pod każdym względem — zauważyłem.

— Co nie znaczy, że jesteś kimś gorszym niż Abercrombie — powiedział Heath. — Naprawdę nie powinieneś pozwalać sobą pomiatać.

— To mój pracodawca.

— A także najbardziej niekompetentny kolekcjoner dzieł sztuki, o jakim kiedykolwiek słyszałem — dodał Heath. — Ćwierć wieku zajęło mu znalezienie trzydziestu portretów Mrocznej Pani, a ty znalazłeś trzy pracując dla niego przez miesiąc.

— O dwóch z nich wiedziałem wcześniej — zaprotestowałem. — Dlatego mnie zatrudnił.

— Ale sam znalazłeś trzeci — kontynuował Heath. — I co więcej, znalazłeś również modelkę.

— Prawdę mówiąc, to ty ją znalazłeś — zauważyłem.

— Ty, ja, co za różnica? — spytał. — Ważne, że to nie Abercrombie ją znalazł. Nigdy nie przyszło mu w ogóle do głowy, żeby spróbować jej poszukać. Siedzi sam w tym swoim wielkim domu, otoczony wspaniałą kolekcją, której nie umie nawet właściwie ocenić i myśli, że wszyscy inni powinni dla niego pracować. — Heath przerwał. — Za nic w świecie nie zrozumieję, dlaczego tak się palisz do powrotu do pracy u niego, kiedy możesz siedzieć i wypoczywać przy trzaskającym ogniu kominka na szczycie najpiękniejszej góry galaktyki!

— Przyjacielu Valentine — odparłem przechodząc na styl przyjaźni, ponieważ w tym momencie naprawdę darzyłem go tym uczuciem — dlaczego nie powiesz wreszcie wprost, o co ci chodzi?

— Chyba za tobą nie nadążam, przyjacielu Leonardo — odrzekł Heath, chociaż widoczny błysk rozbawienia w jego oczach upewnił mnie, że zrozumiał mnie doskonale.

— Sądzisz, że jeśli zdołasz mnie przekonać, że Malcolm Abercrombie jest wyjątkowo odpychającym przedstawicielem ludzkiej rasy i że wykorzystuje mnie, nieodpowiednio mi płacąc, opiszę ci co bardziej wartościowe dzieła z jego kolekcji i powiem, w jaki sposób najłatwiej je ukraść.

Heath uśmiechnął się.

— A więc jednak przyznajesz, że posiada w swojej kolekcji wartościowe kawałki!

— Nigdy temu nie zaprzeczałem.

— Zdawało mi się, że mówiłeś, iż żaden z portrecistów Mrocznej Pani nie był wybitnym artystą.

— To prawda — zgodziłem się. — Ale poza jej portretami Abercrombie posiada jeszcze niemal czterysta innych obrazów i hologramów.

— Czy są wśród nich jakieś dzieła Mority?

— Nie będę dyskutował na temat jego kolekcji, przyjacielu Valentine.

— I tak uszczuplę ją co nieco, z twoją pomocą czy bez, przyjacielu Leonardo — obiecał. — Mógłbyś jednak znacznie ułatwić mi życie, gdybyś przekazał mi choćby niektóre informacje.

— To byłoby nieetyczne.

— Pewnie tak — przyznał — ale opłaciłoby ci się. Zostałbyś moim współnikiem.

— Nie chcę ani połowy zarobku, ani połowy winy — stwier-

dziłem.

— Nie ma problemu — odparł Heath spokojnie. — Jeśli wolałbyś żyć z jedną piątą winy, dam ci tylko dwadzieścia procent zysku.

— Nie.

— To jest twoje ostatnie słowo?

— Tak.

— Jesteś całkowicie pewien? — nalegał.

— Tak!.

— Porozmawiamy o tym później.

— Odpowiedź zawsze będzie taka sama — uciałem.

— Nie poczujesz się chyba do lojalności wobec niego.

— To mój pracodawca — wyjaśniłem.

— Twoim pracodawcą jest Galeria Claibome.

— Która zobowiązała mnie do pracy właśnie dla Malcolma Abercrombiego — podchwyciłem. — Muszę wypełnić kontrakt.

— A potem chcesz się zabić? — spytał ostro.

— Skąd wiesz? — krzyknąłem wstrząśnięty.

— Tai Chong mi powiedziała.

— Nie miała prawa.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi — wytłumaczył. — Nie mamy przed sobą prawic żadnych sekretów.

— Zawiodła moje zaufanie — jęknąłem.

— Tylko dlatego, że pragnie ocalić ci życie. — Przerwał zakłopotany. — Ja również tego pragnę, zwłaszcza jeśli zamierzasz popełnić samobójstwo z powodu czegoś, co zdarzyło się na Karolu Wielkim albo Acheronie.

— Powiedziałem jej o mojej decyzji jeszcze przed odlotem na Karola Wielkiego. Chociaż — dodałem szczerze — od tamtej chwili nie zdarzyło się nic, co mogłoby zmienić moją decyzję.

Heath roześmiał się serdecznie.

Mroczna Pani

- Jesteś mistrzem niedomówień, przyjacielu Leonardo.
- Nic musisz nazywać mnie przyjacielem — zauważyłem.
- Dlaczego nie? — spytał. — Przecież jesteśmy przyjaciółmi, prawda?
- Tylko do czasu aż nie okradniesz Malcolma Abercrombiego.
- Wzruszył ramionami.
- Nic nie trwa wiecznie.
- Mylisz się, przyjacielu Valentine.
- Tak? A co takiego trwa wiecznie?
- Mroczna Pani.
- Parsknął z irytacją.
- Wiecznie, cholera! Nie zdołała dotrzeć nawet do końca lotu na Odległy Londyn.
- Ona nie umarła — szepnąłem.
- Coś mi się zdaje, że niestety masz rację — przyznał. Zadumał się nad czymś na chwilę. — Zastanawiam się, do jakiej rasy naprawdę należy.
- Do twojej — stwierdziłem.
- Potrząsnął gwałtownie głową.
- Przecież ci powiedziałem, Leonardo: ona z całą pewnością nie jest człowiekiem. Musi należeć do rasy, której członkowie potrafią się teleportować. Tylko w ten sposób mogła opuścić statek.
- A ja ci mówię, że jedyną rasą, która posiada tę umiejętność są Dorbanie. Niestety, oddychają chlorem i są zbyt potężni, aby zmieścić się na twoim statku.
- W takim razie musi być jeszcze inna, nie znana nam dotąd rasa, która również opanowała tę sztukę.
- Może i tak, przyjacielu Valentine.
- Nic wierzysz w to ani trochę, co? — spytał.

— Nie — odparłem. — A ty?

Heath westchnął głęboko.

— Chyba też nie. — Zamyślił się. — Nie mam pojęcia, kim ona jest, ale bardzo chciałbym dowiedzieć się, co takiego ma w sobie, że ludzie, którzy nie posiadli choćby podstawowej wiedzy o sztuce, nagle decydują się namalować jej portret.

— Nawet dla moich bjornnowskich oczu ta kobieta jest wprost niezwykle piękna — zauważyłem. — A poza tym, ma w sobie coś... coś ulotnego. Może chcieli uchwycić jej urodę, ponieważ wiedzieli, że kobieta odejdzie.

— O ile pamiętam, większość tych artystów umarła w dość straszny sposób. Zastanawiam się, czy raczej nie malowali jej, ponieważ wiedzieli, że sami wkrótce odejdą.

— Nie sędzę — odparłem. — Wielu z nich umarło śmiercią naturalną. Nic wydaje mi się, by przecucie śmierci musiało się łączyć z nakazem malowania portretu tej kobiety.

Heath westchnął.

— Przypuszczam, że masz rację. W każdym razie ja ją widziałem i jak na razie nie czuję przymusu, by ją namalować czy wyrzeźbić. — Urwał i nagle popatrzył na mnie z zainteresowaniem. — A ty?

— Zrobiłem piórkiem szkic jej portretu — przyznałem się.

— Kiedy?!

— Ostatniej nocy, gdy spałeś.

— Gdzie jest?

— Nie jestem zbyt dobrym artystą i portret nie był najlepszy — odrzekłem — więc go zniszczyłem. — Westchnąłem nieszczęśliwie. — Kiedyś nie zdołałem też uchwycić piękna Mony Lisy.

— Mona Lisa — powtórzył. — Czy to właśnie dzięki niej zdobyłeś swoje imię?

— Tak.

— Jestem ciekaw, dlaczego chciałeś narysować Mroczną Panią, Leonardo?

— To najbardziej interesująca istota ludzka jaką znam. I najpiękniejsza.

— O ile jest istotą ludzką — mruknął.

— Tak — zgodziłem się.

— Kto wydawał ci się najbardziej interesującą i najpiękniejszą istotą ludzką, zanim ją spotkałeś?

— Tai Chong — odrzekłem bez namysłu.

— Czy kiedykolwiek miałeś ochotę narysować jej portret? — spytał Heath.

— Nie.

— A więc wróćmy do mojego pierwszego pytania: co takiego jest w Mrocznej Pani, że ludzie czują się zmuszeni ją malować?

— Nie wiem — stwierdziłem. — Może chciałem zachować wspomnienie jej twarzy.

— Ależ możesz obejrzeć sobie jej twarz, kiedy tylko zechcesz — zauważył Heath. — Każ po prostu komputerowi odnaleźć jakieś jej podobizny i zrób sobie ich odbitki.

— To mi tylko powie, jak inni ją widzieli — powiedziałem. — Chciałem narysować to, co sam ujrzałem.

— Mówisz jak artysta — zauważył Heath z przekąsem.

— Nie jestem artystą — odrzekłem. — Bardzo bym chciał, ale niestety brak mi talentu.

— Tak jak Mallachiemu, co nie przeszkodziło mu jej namalować. — Heath zmarszczył brwi. — Chciałbym po prostu wiedzieć, dlaczego. — Wstał. — Można oszaleć, próbując odpowiedzieć na te pytania. Nie wiem jak ty, ale ja idę się przejść.

— Zatrzymał się przy drzwiach. — Na pewno nie chcesz ze mną iść?

— Na pewno — odrzekłem. — Dróżki są bardzo śliskie, a ja i tak mam kłopoty z równowagą.

— I co z tego? — bąknął. — Myślisz, że ja nie mam?

— Ty jesteś pełen wdzięku — powiedziałem.

Heath prychnął pogardliwie.

— Ty zawsze chciałeś być artystą. Ja zawsze chciałem być włamywaczem, ubranym na czarno, wdrapującym się na ściany budynków i zakradającym do buduarów dam, aby skraść trzymane tam przez nie klejnoty. — Skrzywił się z uśmiechem. — Tylko raz próbowałem łązić po dachu, ale spadłem na balkon i złamałem sobie nogę w trzech miejscach. — Wzruszył ramionami. — Tyle o wdzięku... i o romantycznym życiu superwłamywacza. — Otworzył drzwi i poczułem powiew zimnego powietrza. — Jeśli nie wrócę w ciągu godziny, zadzwoń na policję i powiedz, żeby zaczęli szukać mojego zamarznętego ciała. Pogrzeb chcę mieć raczej skromny: cztery czy pięć setek wieńców, relacja w dzienniku telewizyjnym, nic specjalnego. I nie mów prawdy mojej rodzinie — Heathowie umierają w łóżkach, a nie spadając w przepaść.

— Dopilnuję wszystkiego — zapewniłem go.

Na jego twarzy pojawił się grymas.

— To był żart, Leonardo.

— Och...

Wymamrotał coś, co złało się z hukiem szalejącego na zewnątrz wiatru, a potem zamknął za sobą drzwi.

Odczekałem chwilę, po czym podszedłem do biurka w salonie i wyjąłem rylec i tabliczkę. Miałem zamiar skończyć list, który zacząłem pisać rano.

Moja szacowna Matko Wzorcowa!

Tak, masz rację. Związki z ludźmi naprawdę mnie skaziły. Nie

zaprzeczam temu... chociaż jestem pewien, że jeżeli dasz się ubłagać i zgodzisz się porozmawiać ze mną, zdołam ci wytłumaczyć, jak doszło do obecnej sytuacji.

Tai Chong zapewniła mnie, że nie będę miał żadnych problemów z policją ludzi. Byłem przecież jedynie nieświadomym uczestnikiem wydarzeń, nie zainicjowałem ani nie przyczyniłem się do kradzieży dzieł sztuki na Karolu Wielkim. Nie porwałem też Mrocznej Pani. Kiedy tylko uświadomiłem sobie, jakie są intencje Valentine'a Heatha, robiłem co było w mojej mocy, aby odwieść go od jego zamiarów. To właśnie nakazała mi Zasada Honoru, w zgodzie z którą wciąż żyję.

Ty jednak twierdzisz, że zostałem skażony tak bardzo, iż nie jestem już w stanie odpokutować moich win i nie pozwalasz mi powrócić na Benitarus II. Jesteś moją Matką Wzorcową i twój głos jest jedynym, jaki dociera do mnie z Domu Crsthionn, a więc muszę ci być posłuszny.

Chcę, żebyś wiedziała, że chociaż moje dotychczasowe zachowanie zhańbiło Dom, podczas tych kilku miesięcy, które pozostały mi do wypełnienia kontraktu z Galerią Claiborne będę się starał postępować w taki sposób, by już nigdy więcej nie skompromitować rasy Bjornn.

Mam jednak straszne przeczucie, że nie będzie to tak proste zadanie, jak w mojej niewiedzy przypuszczałem, gdy opuszczałem Dom Crsthionn. Czuję się tak, jak gdybym znajdował się poza naszą planetą od co najmniej stu lat, a przecież w rzeczywistości minęło dopiero niewiele więcej ponad pięć standardowych miesięcy galaktycznych. A im bardziej poznaję ludzi, tym mniej ich rozumiem.

Tai Chong, na przykład, na wszelkie sposoby próbuje mi zastępować ciebie, Matko Wzorcową. Zawsze stara się pamiętać o

moich potrzebach, troszczy się o moje wygody i stale skłania mnie do tego, bym działał zgodnie z moralnymi nakazami sumienia. A przecież jestem absolutnie przekonany, że dobrze wie, iż pewne obrazy, które przyjmuje do sprzedaży są zdobywane nielegalnie i mimo to ani nie donosi na przestępców na policję, ani nie unieważnia transakcji. Z kolei Hector Rayburn zawsze zachowuje się wobec mnie serdecznie, ale zupełnie nie rozumiem jego stwierdzenia, że fakt wyrzucenia z pracy jest raczej zabawny niż przerażający. Valentine Heath to chyba najbardziej czarujący człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałem, a z drugiej strony nie ma pewnie takiego przestępstwa, przed popełnieniem którego by się wzdragał. Malcolm Abercrombie przeznaczają miliony kredytów na cele charytatywne, a jednocześnie — co wydaje się zupełnie nieprawdopodobne — bez chwili zastanowienia odrzucił wszelkie zobowiązania wobec Domu i Rodziny.

Co mam zrobić, by zrozumieć te dziwne istoty, Matko Wzorcową? Jak mogę się oczyścić, jeśli stale muszę pozostawać w ich towarzystwie? Dlaczego teraz, kiedy najbardziej potrzebuję twojej porady, odmawiasz mi jej?

Jedynym wyjściem z całej tej sytuacji wydaje mi się obecnie rytualne samobójstwo, ale ty kategorycznie odmawiasz mi prawa do tego aktu, nalegając, bym wypełnił do końca kontrakt zawarty między Domem Crsthionn a Galerią Claiborne. Tak więc, odrzucony i izolowany od wszystkiego, co uważam za drogie, muszę nadal przebywać wśród członków tej absolutnie niezrozumiałej dla mnie rasy.

Ale najdziwniejsza z wszystkiego jest Mroczna Pani. W świecie, który i tak coraz mniej pojmuję, jest ona najmniej logicznym elementem. Nazwałem ją istotą ludzką, ale prawdę mówiąc nie jest ona ani człowiekiem, ani obcym. Nie jest ani prawdziwa, ani nie prawdziwa; ani to osoba, ani zjawą. Należy do współczes-

Mroczna Pani

sności, ale żyła już osiem tysięcy lat temu. Nie jest inkarnacją, ponieważ inkarnacje rodzą się, żyją i umierają. I nie zdarza im się zniknąć z leżącego w próżni statku kosmicznego.

Widziałem ją, poznałem i rozmawiałem z nią, a liczba moich pytań na jej temat dalej rośnie. Dlaczego pojawia się akurat w tych miejscach i w tym czasie, w którym się pojawia? Czym jest? Kim jest? W jaki sposób sprowadza śmierć na swoich kochanków? Jaki jest jej związek ze skromnym botanikiem, który sześć tysięcy lat temu żył na odległej Ziemi? Dlaczego ludzie wierzą, że nawiedza cmentarz kosmonautów na Peloranie VII? Co ją łączyło z cyrkowcem, który został kaleką na skutek upadku z trapezu trzy wieki temu?

I co mam powiedzieć Reubenowi Venzii, kiedy dowie się, że zakończyłem misję i zaproponuje mi wymianę informacji o Mrocznej Pani? Jeśli powiem mu prawdę, pomyśli, że kłamię, jeśli nie powiem mu prawdy, będę kłamał naprawdę. W obu przypadkach zhańbię Dom Crsthionn. Przyniosę wstyd Domowi również i wtedy, gdy nie zgodzę się na rozmowę z nim, bo przecież Tai Chong poleciła mi utrzymywać z nim kontakt.

Potrzebuję porady etycznej, ale zakazano mi z tobą rozmawiać, będę więc musiał polegać na Tai Chong, osobie, która przyjmuje kradzione obrazy i wyjawia powierzone jej sekrety. Skoro zakazano mi wszelkich kontaktów z moją rasą, mogę udać się jedynie do niej. Jest to przecież jedyna istota płci żeńskiej, jaką znam — poza Mroczną Panią, ale tej nie potrafię odnaleźć. Dlatego też Tai Chong będzie musiała pełnić funkcję mojej Matki Wzorcowej, póki nie wypełnię zobowiązania wobec Galerii Claiborne. Dopiero wtedy dopełnię obrządku.

Proszę, uwierz, że jest mi niezmiernie przykro, iż jestem powodem twego smutku. Naprawdę, nigdy nie zamierzałem...

Buchnęło na mnie mroźne powietrze i kiedy odłożyłem rylec, do pokoju wszedł Heath. Hałaśliwie otrzepał buty ze śniegu, a potem zdjął rękawiczki i zaczął gwałtownie chuchać na ręce.

— Robi się naprawdę zimno — oznajmił, podchodząc do mnie. — Resztę dnia spędzę chyba z drinkiem w ręku, podziwiając krajobraz przez okno. — Jego wzrok padł na list, który pisałem. — Mogę?

— Jeśli chcesz — odparłem.

Wziął kartkę w dłoń i przyglądał się jej uważnie.

— Co to, do diabła, jest? Nie mogę przeczytać ani słowa.

— List do mojej Matki Wzorcowej.

— To najdziwniejsze pismo, jakie kiedykolwiek widziałem — stwierdził. — Wygląda raczej na jakąś grafikę.

— Napisałem do niej w języku bjomneńskim, w stylu skruchy. Oddał mi list.

— Myślałem, że rysujesz kolejną wizję Mrocznej Pani.

— Jestem na to zbyt marnym artystą — odrzekłem. — Ale może kiedyś, w przyszłości, uda mi się w końcu stworzyć portret, który będzie jej godny.

— Tylko żeby tego dokonać, zapewne musiałbyś jeszcze raz na nią spojrzeć, co? — spytał Heath z zadumą.

— Być może — zgodziłem się. — Chociaż zapamiętałem jej twarz bardzo dobrze. Gdy zamykam oczy i pomyślę o niej, potrafię odtworzyć każdy szczegół.

— Ja też — przyznał się Heath. — Ale pamięć może być zwodnicza. Lepiej wstrzymaj się z wykonaniem swego dzieła, aż ją znowu zobaczysz.

— Przyjacielu Valentine — powiedziałem znużonym głosem — nie pomogę ci ukraść kolekcji Malcolma Abercrombiego.

— Czy ja coś takiego sugeruję? — spytał niewinnie.

- Co kilka minut.
- Jesteś bardzo nieufnym facetem, Leonardo.

W tym momencie rozległy się jeden po drugim trzy wysokie, piskliwe dźwięki.

- Co to było? — spytałem przestraszony.

Heath zmarszczył brwi.

- System bezpieczeństwa. Ktoś zbliża się do drzwi.

- Kto to może być?

- Skąd niby mam wiedzieć? — wzruszył ramionami Heath. —

Zamówiłem wprawdzie pewne smakołyki, ale nie sądzę, by dostarczali je przy takiej pogodzie.

— Jesteśmy tutaj zupełnie sami — zauważyłem. — Co zrobimy, jeśli to będzie złodziej?

Heath zachichotał.

- Zaproszę go do środka i wymienimy doświadczenia.

- Nie powinieneś poszukać jakiejś broni? — zasugerowałem.

— Myślałem, że czujesz odrazę wobec przemocy — stwierdził rozbawiony.

Gwałtownie zbladłem i moja skóra przybrała odcień upokorzenia. Poczulem zadowolenie, że Matka Wzorcowca nie może mnie teraz zobaczyć i wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że jej decyzja jest właściwa — naprawdę zostałem skażony złem do tego stopnia, że nie ma już dla mnie żadnego ratunku.

— Masz całkowitą rację, przyjacielu Valentine — przytaknąłem, jękając się z zakłopotania. — To była niemoralna sugestia. Przepraszam, że zaproponowałem coś takiego.

— Wybaczę ci — odparł i wyciągnął z kieszeni marynarki mały pistolet — jeśli ty nie będziesz miał nic przeciwko temu, że się jednak zabezpieczę.

- Nigdy mi nic mówiłeś, że posiadasz broń! — krzyknąłem.

— Nigdy mnie o to nie pytałeś — odrzekł z uśmiechem. — Ale żeby cię uspokoić, powiem, że nigdy z niej nie strzelałem. Nie wiem nawet, czy działa.

Rozległy się kolejne dwa dzwonki.

— Cóż, przynajmniej facet nie próbuje się włamać — skomentował Heath. — Otworzyć się.

Drzwi wsunęły się w ścianę i do pokoju wszedł Reuben Venzia; od stóp do głowy był obsypany śniegiem, a jego oszronione wąsy sterczały groźnie.

— Ty, obcy — rzucił twardo, patrząc wprost na mnie — cholernie trudno cię znaleźć!

14

— Kim pan jest, do diabła? — zapytał Valentine.

— Proszę się nic denerwować, panie Heath — odparł Venzia.
— Nikomu nic powiedziałem, gdzie się pan ukrywa.

Nagle spojrzął w dół na lufę pistoletu Heatha i zamilkł.

— Nikt na Graustark nie zna mojego prawdziwego nazwiska — stwierdził Heath. — Lepiej będzie, jeśli mi pan natychmiast wyjaśni, kim jest i jak mnie odnalazł.

— Nazywam się Reuben Venzia. Tai Chong powiedziała mi, gdzie mogę was znaleźć... Prawie mi dupa odmarzła. Jeśli nie ma pan zamiaru mnie zastrzelić, proszę pozwolić mi wejść do środka i się ogrzać.

— To ten facet, o którym mi kiedyś mówiłeś? — spytał Heath.

— Tak, przyjacielu Valentine.

— W porządku — oświadczył Heath, opuszczając broń. —

Może pan wejść.

Venzia wszedł do pokoju, a kiedy zasunęły się za nim drzwi, błyskawicznie zrzucił kurtkę na najbliższe krzesło i zaczął energicznie rozcierać ręce.

— Mam dla ciebie przesyłkę od Tai Chong — odezwał się do mnie — ale jest na zewnątrz, na saniach. Przyniosę ci ją, kiedy pogoda się nieco poprawi.

— Tutaj nie można dojechać saniami — zauważył Heath. Nagle znowu zrobił się podejrzliwy.

— Wiem — odparł Venzia. — Zostawiłem je na drodze, jakieś półtorej mili stąd.

— W takim razie, po co pan w ogóle nimi jechał? — spytał Heath. — Wioska leży zaledwie dwie mile stąd.

— Ponieważ nikt nie powiedział mi, jak trudny jest dojazd do tego cholernego miejsca! — wybuchnął Venzia. — Macie coś ciepłego do picia?

— Tylko kawę — odparł Heath.

— Może pan wlać do niej trochę rumu?

— Mogę, ale najpierw chciałbym poznać powód pana niezapowiedzianej wizyty.

— Chcę porozmawiać z Leonardo — odrzekł Venzia.

— On również interesuje się Mroczną Panią — wyjaśniłem Heathowi.

— A więc odkryłeś już jej imię! — wykrzyknął Venzia.

— Jeżeli w ogóle jest prawdziwe — wtrącił się Heath, zanim zdołałem coś powiedzieć.

— W każdym razie, to jedno z jej imion — mruknął Venzia. — Co z kawą?

Heath podszedł do kuchenki, przygotował filiżankę kawy i dodał do niej trochę alkoholu.

— Jak na gościa, nie jest pan szczególnie dobrze wychowany, panie Venzia.

— Prawie zamarłem na śmierć pięć tysięcy lat świetlnych od domu — odpalił Venzia. — Pozwólcie mi się trochę rozgrzać, odyskać oddech, a zacznę się zachowywać odpowiednio.

— W porządku — powiedział pojednawczo Heath, podając mu kawę. — Tymczasem może wyjaśni nam pan, dlaczego właściwie znalazł się pan te pięć tysięcy lat świetlnych od domu.

— Mógłbym usiąść? — spytał Venzia, podchodząc do wielkiego miękkiego krzesła.

— Oczywiście — odpowiedział Heath. — Ale mam nadzieję, że opowie pan nam wszystko dokładnie.

— Szkoda że Tai Chong nie powiedziała mi przed podróżą, że tu jest tak cholernie zimno — wymamrotał Venzia. Wstrząsały nim gwałtowne dreszcze, łykał łapczywie kawę i ogrzewał dłonie o filiżankę.

— Czuje się pan już lepiej? — spytał Heath po krótkim milczeniu.

Venzia skinął głową.

— Za chwilę wszystko będzie dobrze.

— I wtedy jak sądzę powie nam pan wreszcie, po co pan tu przyleciał — zdenerwował się Heath.

— Mówiłem już, że przyleciałem zobaczyć się z Leonardo — odrzekł Venzia. — Muszę z nim porozmawiać sam na sam.

— W tym domu nikt nie będzie ukrywał przede mną żadnych sekretów — powiedział Heath twardo. — Cokolwiek ma pan do powiedzenia, ja także chcę to usłyszeć.

— Kim pan jest? — spytał Venzia podejrzliwie.

— Wie pan doskonale, że nazywam się Valentine Heath.

— Ale kim jest Valentine Heath? — naciskał Venzia. — Znam

pańskie nazwisko i wiem o panu tylko tyle, że ukrywa pan swoją tożsamość i fakt pobytu na Graustark. Dlaczego miałbym panu zaufać?

— Ponieważ jestem człowiekiem niezliczonych talentów, a także mam mnóstwo rozmaitych zainteresowań, wśród których czołowe miejsce zajmuje obecnie Mroczna Pani.

— Czego pan od niej oczekuje? — spytał Venzia, łypiąc na niego z ciekawością.

— Moje zainteresowanie jest czysto finansowe — odparł Heath.

Venzia zrobił zdziwioną minę.

— Finansowe? — powtórzył z niedowierzaniem. — Jak, do cholery, może być finansowe?

Heath uśmiechnął się.

— Zadał pan pytanie. Ja na nie odpowiedziałem. Teraz moja kolej. Dlaczego pan interesuje się Mroczną Panią?

— Mogę to wyjawić tylko Leonardo — oznajmił Venzia.

— Muszę jeszcze raz panu przypomnieć, że jest pan gościem w moim domu — stwierdził oschle Heath. — W dodatku nie proszonym. Jeśli będzie pan dalej nadużywał mojej gościnności, bez wahania wyrzucę pana z powrotem na mróz.

Venzia przez chwilę rozważał wszystkie za i przeciw i w końcu skinął głową na zgodę.

— Mądra decyzja — skomentował Heath. — Pozwoli pan, że najpierw przygotuję sobie drinka.

— Też bym wypił — zauważył Venzia.

— Nie skończył pan jeszcze kawy.

— Ale skończę ją, zanim pan przyrządzi drinki — odrzekł Venzia, po czym wziął wielkiego łyka i odstawił prawie pustą filiżankę na stolik.

Heath wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo. — Wyjął dwie szklanki i zaczął mieszać jakąś niebieskawą miksturę. — Ciągle nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie Venezia. Dlaczego interesuje pana Mroczna Pani?

— Po prostu chcę ją poznać — odparł Venezia.

— Może trochę dokładniej, jeśli łąska — mruknął rozkazująco Heath.

— Muszę z nią porozmawiać — wyjaśnił Venezia. — Posiada pewne informacje, które są mi niezbędne.

— Jakie informacje? — spytał Heath.

— Zadał pan pytanie, a ja na nie odpowiedziałem — stwierdził Venezia z uporem. — Teraz moja kolej.

Heath skończył mieszanie drinków, podał jeden Venezii i z powrotem usiadł.

— Moglibyśmy tak gadać całą noc i nic dowiedzielibyśmy się niczego sensownego — mruknął. — Postanowiłem więc, że będę absolutnie szczery wobec pana i oczekuję tego samego w zamian.

— Dobrze — zgodził się Venezia.

Heath posmakował drinka, a potem rozsiadł się wygodnie.

— Z powodu pewnych zupełnie niezależnych ode mnie okoliczności jestem zawodowym immoralistą.

— Co to, u diabła, znaczy? — wtrącił Venezia.

— Mniej więcej tyle, że bez żadnych skrupułów wykorzystuję każdą okazję, która się nadarza. Leonardo uważa mnie za złodzieja, ale to byłaby bardzo zawężona definicja.

— Więc nie jest pan złodziejem? — spytał Venezia nieco zdeorientowany.

— Oczywiście, między innymi jestem także i złodziejem — odparł swobodnie Heath. — I to, zapewniani pana, jednym z najlepszych. Prawdę mówiąc, Leonardo i ja w ostatnim czasie

rozważamy właśnie problem w miarę bezpiecznego i niezawodnego sposobu odłączenia Malcolma Abercrombiego od jego kolekcji.

— To kłamstwo! — wtrąciłem gwałtownie.

— Doprawdy? — spytał z zainteresowaniem Venzia, całkowicie lekceważąc mój protest.

Heath przytaknął.

— Zdaję sobie sprawę, że Abercrombie nie ma wprawdzie dzieł o znacznej wartości, niemniej jednak...

— No, to chyba lekka przesada — przerwał Venzia. — Ma Skarłosa, Perkinsa i trzy czy cztery obrazy Ngonisa, ma Santi-niego...

— Naprawdę? — Heath popatrzył na niego z niewinnym uśmiechem. — W takim razie chyba zostałem źle poinformowany.

— Wróćmy do rzeczy — rzucił niecierpliwie Venzia.

— Chodzi o to, panie Venzia, że kiedy dowiedziałem się o obsesji Abercrombiego na punkcie Mrocznej Pani, natychmiast postanowiłem dostarczyć mu ją w zamian za satysfakcjonująco wysoką kwotę.

— Życzę szczęścia — odparł Venzia.

— Sądzi pan, że Abercrombie nic zechce zapłacić za jej towarzystwo? — spytał Heath.

— Z tym raczej nie będzie problemu, bez zastanowienia zapłaci każdą sumę. Trochę trudniej jednak będzie znaleźć samą Mroczną Panią.

— Raz już ją znaleźliśmy, więc jestem pewien, że bez specjalnego wysiłku uda nam się to ponownie.

Venzia dosłownie podskoczył na krześle.

— Naprawdę ją widzieliście? Ją?

Heath kiwnął flegmatycznie głową.

- Była na pokładzie mojego statku.
- Gdzie jest teraz? — zapytał Venzia z przejęciem.
- Nie wiem.
- Gdzie wysiadła?

— Nic wiem, czy pan w to uwierzy — zaczął Heath — ale po prostu zniknęła podczas lotu z Acherona na Odległy Londyn.

Venzia osunął się na krzesło. Najwyraźniej był całkowicie zafamany.

- A więc znowu ją zgubiłem.
- Pan mi wierzy? — spytał Heath ze zdziwieniem.
- Dlaczego miałbym panu nie wierzyć? — odrzekł Venzia posępnie. — Czyżby pan kłamał?

— Nie — pokręcił głową Heath — ale gdyby wówczas nic było ze mną Leonarda, sam bym w to nie uwierzył.

Venzia milczał przez długą chwilę. Potem jednym haustem dopił drinka.

- Cholera! — wymamrotał.
- Nie jest pan zaskoczony, że ta kobieta zdołała się teleportować ze statku? — spytał Heath, a wyraz jego twarzy z wystudowanej obojętności przybrał odcień jawnego zainteresowania. — Dlaczego?

— Nic zdziwi mnie nic, cokolwiek ona zrobi — oświadczył Venzia.

— Wszystko panu opowiedziałem — podsumował Heath. — Teraz proszę o szczerść z pańskiej strony.

Venzia popatrzył przenikliwie na nasze twarze, po czym westchnął i skinął głową.

— W porządku — zgodził się. — Nasze interesy nie kolidują ze sobą.

— No, nie wiem, obaj chcemy ją odnaleźć — obruszył się Heath. — Powiedziałbym, że nasze interesy są dokładnie takie

same.

— Ja pragnę z nią tylko porozmawiać — zastrzegł Venzia.— Pan natomiast zamierza ją porwać i sprzedać Abercrombiemu.

— Chcę mu ją jedynie przedstawić — poprawił go Heath. — Mimo wszystko, nie jestem zwolennikiem handlu żywym towarem.

— Może pan to nazywać, jak panu wygodnie. Dla mnie to bez różnicy. — Venzia pozwolił sobie na luksus nieznacznego uśmiešku. — Gdybym lubił hazard, panie Heath, postawiłbym cały mój majątek na to, że nigdy, jak dwa i dwa równa się cztery, nie uda się panu dostarczyć jej Abercrombiemu, jeśli ona sama nie zechce się z nim spotkać. Ciągle jeszcze nie wie pan, z czym ma do czynienia.

— A niby z czym mam do czynienia?

— Gdybym powiedział to wprost, za nic w świecie by mi pan nie uwierzył.

— Może i nie, ale proszę jednak spróbować.

Venzia potrząsnął głową z niezdecydowaniem.

— Dobrze. Ale muszę zacząć od początku. — Wziął głęboki wdech, a potem kontynuował: — Sześć lat temu miałem do załatwienia pewien interes na Pyrexie III. Słyszał pan kiedyś o tej planecie?

— Nigdy — odparł Heath.

— Ja tak — wtrąciłem. — Tam toczyło się największe powstanie przeciw Oligarchii.

— Zgadza się — potwierdził Venzia. — Ale nie zainicjowała go rdzenna ludność. Sądzę, że do dziś Kaarni nie za bardzo rozumieją, czym jest Oligarchia, a jeśli nawet rozumieją, to w ogóle ich to nie obchodzi. Całymi dniami siedzą w słońcu i tworzą te swoje bezsensowne jedenastozgłoskowe poematy. Tylko taki tryb życia ich interesuje. Ale osadnicy to co innego.

Wydawało im się, że Oligarchia nakłada zbyt wysokie podatki na ich handel i w końcu ogłosili niezależność.

— Co to wszystko ma wspólnego z Mroczną Panią? — spytał Heath.

— Trochę cierpliwości — burknął Venzia. — Zdarzyło mi się przebywać na Pyrexie III właśnie podczas tego buntu. Od początku wiadomo było, że kolonistom nie uda się zwyciężyć — po trzech dniach przybyła Flota i zostali zdziesiątkowani. Rebelia była dość krwawa. Jak większość cudzoziemców uzyskałem azyl w jednej z ambasad i zdecydowałem się przeczekać w niej całe to zamieszanie. — Mięśnie jego twarzy skurczyły się na to wspomnienie. — Znajdowałem się akurat w ambasadzie Syriusza V i pech chciał, że w nią akurat trafiła bomba. Budowla zachwiała się w posadach i zaczęły się rysować ściany, ale sądziłem, że zdążę jeszcze pomóc ekipie ratowniczej wynieść przez okno dwoje rannych ludzi. Uratowaliśmy pierwszego i już mieliśmy ruszyć po drugiego, gdy budynek zapadł się całkowicie i przysypały mnie dwie tony gruzu. — Przez chwilę milczał. — Nie wiem, jak długo leżałem nieprzytomny. Pamiętam przebudzenie... Próbowałem przekopać sobie drogę wśród piasku i kamieni i stwierdziłem, że mam złamane obie ręce. Ledwie mogłem oddychać i zacząłem się dusić własną krwią. Słyszałem jak pracownicy służb ratunkowych wykrzykują moje nazwisko, przeszukując ruiny, ale byłem za słaby, żeby im odpowiedzieć. W końcu nadeszła najgorsza chwila — byłem przekonany, że umieram. — Znowu przerwał, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w jakiś nieokreślony punkt w przestrzeni. Zapewne stanął przed nim obraz tamtego dnia. — I wtedy właśnie zobaczyłem ją.

— Ją? — powtórzył Heath. — To znaczy Mroczną Panią?

Venzia skinął głową.

— Stała przede mną z wyciągniętymi rękoma i wzywała mnie do siebie. Usiłowałem się podnieść, ale nie byłem w stanie się ruszyć.

— I co się działo dalej? — spytał Heath.

— Obudziłem się w szpitalu — odparł Venzia. Jego twarz skrzywiła się w grymasie, jak gdyby targały nim jakieś sprzeczne uczucia. — Prawdopodobnie udało im się do mnie dotrzeć minutę albo dwie później. Powiedzieli mi, że nie oddychałem, ale ciągle pulsowało moje tętno i dlatego mnie zabrali. W ogóle tego nie pamiętam. Pamiętam tylko Mroczną Panią, jak wyciąga do mnie ręce i woła, żebym do niej dołączył.

— Halucynacje — mruknął Heath.

— Też tak myślałem — zgodził się Venzia.

— Dlaczego zmienił pan zdanie? — wtrąciłem.

— Zobaczyłem ją ponownie rok później.

— Gdzie? — spytał Heath.

— Na Declanie IV, mojej rodzinnej planecie. Ciągle jeszcze odyskiwałem siły. Zmęczyło i znudziło mnie już czytanie książek i oglądanie filmów holograficznych, więc kiedy przyjechał do nas na tydzień cyrk, zdecydowałem, że mam ochotę obejrzeć przedstawienie. — Zamknął na krótką chwilę oczy, wspominając tamte przeżycia. — Występował tam absolutnie wspaniały pogromca dzikich zwierząt, pracujący z demonokotami z Kilarstry, których nigdy wcześniej nikomu nie udało się wytresować. Nikt poza nim nie miał również w swoim programie błękitnego smoka.

— Błękitnego smoka? — powtórzył Heath. — Nie słyszałem o nim.

— Jest to gad wielkości małego domu; pochodzi z jakiegoś

miejsca na Obrzeżu. Facet cały włożył mu prosto w paszczę, a przecież ten cholerny potwór mógł go po prostu połknąć! Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem. — Zamyślił się i otworzył oczy. — Po przedstawieniu, czekałem przy wyjściu, żeby powiedzieć artyście, jak bardzo mi się podobał jego występ. Ponieważ nie byłem jedynym chętnym, policja musiała utworzyć szpaler pomiędzy namiotem i wozem cyrkowym. Kiedy wreszcie pogromca pojawił się, ujrzałem kobietę przytuloną do jego ramienia. To była właśnie ona.

— Mroczna Pani? — spytał Heath.

Venzia skinął głową.

— Byłem całkowicie oszołomiony. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że jest kobietą z krwi i kości, a nie zjawą, jak dotychczas myślałem. W każdym szczególe przypominała tamtą z Pyrexa.

— Rozmawiałeś z nią? — spytałem.

— Policja nie pozwoliła mi się do nich zbliżyć. — Nagle Venzia ożywił się. — Wypiłbym jeszcze jednego drinka, jeśli można prosić.

— Teraz? — zapytał Heath, najwyraźniej zirytowany, że Venzia przerwał swą opowieść.

— Tak, bardzo proszę.

Heath skrzywił się, ale wstał, poszedł do barku i szybko napełnił szklankę, po czym wrócił na miejsce. Cała czynność zajęła mu może ze czterdzieści sekund.

— W porządku, niech pan mówi dalej — ponaglał Heath. — Kiedy w końcu udało się panu z nią porozmawiać?

— Nigdy — odparł Venzia.

— Co?! — wykrzyknął Heath z niedowierzaniem. — I to ma być już cała historia?

— Załedwie początek — odrzekł spokojnie Venzia. — Wtedy

nie wiedziałem jeszcze, kim czy też czym ona jest.

— A teraz pan wie?

— Tak — potwierdził Venzia. — W nadziei, że ją spotkam wróciłem do cyrku następnego wieczoru. To nie był żaden romantyczny poryw ani obsesja. Chciałem po prostu z nią pomóc. — Wzruszył bezradnie ramionami. — Nawet nie wiem, dlaczego.

— A więc wrócił pan następnego wieczoru... — podpowiedział Heath.

Venzia kiwnął głową.

— Tak. — Mięśnie jego twarzy ponownie zadrżały. — Poskramiacz znowu wszedł do paszczy błękitnego smoka, a potwór zamknął ją, dokładnie tak samo jak poprzedniej nocy. Ale tym razem usłyszałem straszliwy odgłos chrupnięcia, a kiedy smok otworzył ponownie paszczę, była pusta. — Venzia zamilkł na moment i opróżnił swoją szklankę.

— To brzmi strasznie — zauważyłem.

— Bo to było straszne — zgodził się. — Zostałem po przedstawieniu, aby okazać współczucie kobiecie, ale nigdzie nie mogłem jej znaleźć. Rozpytywałem wszędzie przez cały następny dzień, ale nikt jej nie widział od czasu zakończenia przedstawienia. — Przerwał. — Nie pojawiła się już więcej i kiedy cyrk opuszczał Declan IV, odleciał bez mej. Wtedy jeszcze nie wierzyłem, że ludzie mogą się rozpląwać w powietrzu, a ponieważ byłem pewny, że pozostała na Declanie, wynająłem agencję detektywistyczną, aby ją odszukała. Niestety, nigdy jej nie znaleźli.

— Ja wprawdzie wierzę, że zniknęła z mojego statku w nie wyjaśniony sposób, ale ty nie powinieneś — zauważył Heath.

— Przynajmniej jeśli opierać się na tym, co nam powiedziałeś

do tej pory. Gdybym był na twoim miejscu, doszedłbym do wniosku, że Mroczna Pani po prostu opuściła planetę, zanim wynająłem detektywa. Declan IV jest całkiem ruchliwym światem. Z całą pewnością statki przylatują i odlatują z niego co parę minut.

— Dokładnie tak też zakładałem — odparł Venezia. — Myślałem, że to tylko zbieg okoliczności, że jej zniknięcie było po prostu trochę tajemnicze i to wszystko. — Głęboko odetchnął. — Póki na aukcji nie zobaczyłem pewnego obrazu. — Obrócił się do mnie. — Kupił go Malcolm Abercrombie. Chodzi o dzieło Justina Craiga.

— To musiało cię naprawdę zaszokować — zauważyłem.

— Dlaczego? — spytał Heath ostro.

— Ponieważ Justin Craig zginął w bitwie o Genovaith IV prawie trzydzieści wieków temu — odparłem.

— Odnalazłem trzy jego biografie — kontynuował Venezia. — Dwie z nich nie wspominały o żadnej kobiecie w jego życiu, ale trzecia wyraźnie mówiła o brunetce, która nie opuszczała go w ostatnich dwóch tygodniach życia i w dziwnych okolicznościach zniknęła natychmiast po jego śmierci. — Urwał. — Tak samo jak w przypadku poskramiacza zwierząt

— dodał znacząco.

— Ale tamten jej nie namalował — zauważył Heath.

— Dlaczego miałby to zrobić? — spytał Venezia. — Nie miał zielonego pojęcia o malowaniu.

— Wybacz mi, przyjacielu Reubenie, że ci przerywam — wtrąciłem. — Twierdzisz, że nie każdy kto ją widział maluje jej portret?

— Oczywiście — odrzekł Venezia. — Do diabła, czy na Acheronie zauważyłeś, żeby ktokolwiek leciał kupować pędzel i sztalugi?

Mroczna Pani

— Nie — odparłem, zaskoczony, że przeoczyłem tak oczywisty fakt.

— W każdym razie, przez następne dwa lata poszukiwałem jej, siedząc w miarę możliwości pojawiające się portrety. To bardzo piękna kobieta i wielu mężczyzn, których znała usiłowało utrwalić jej wizerunek na płótnach albo hologramach. Wielu, ale nic wszyscy.

— Skąd wiedziałeś, że nazywają ją Mroczną Panią? — spytałem. — Tylko obraz Sergio Mallachiego nosi ten tytuł, a ty nigdy o nim nie słyszałeś.

Uśmiechnął się.

— Ma wiele imion. Niektóre z nich podałem ci jeszcze na Odległym Londynie. Najczęściej jednak nazywają ją właśnie Mroczną Panią.

— Skąd wiesz? — nalegałem. — Nie słyszałem o żadnym innym portrecie zatytułowanym Mroczna Pani.

— W 1827 roku po Chrystusie Jonas McPherson umieścił jej podobiznę na dziobie swego statku wielorybniczego i nazwał go Mroczna Pani. W 203 roku ery galaktycznej wspomniał o Mrocznej Pani w swoim dzienniku pokładowym Hans Venable. Podróżował po Galaktyce na polecenie Departamentu Kartografii, a notatkę sporządził dosłownie na moment przed śmiercią. Jego statek został wessany przez czarną dziurę... W 2822 roku ery galaktycznej sfotografowano tę kobietę z zawodowym bokserem, Jimmy McSwainem, który powiedział fotografowi, że jego towarzyszka znana jest jako Mroczna Pani. Czy mam mówić dalej?

— Tak, proszę — odpowiedział Heath z namysłem, prostując się w krześle.

— W porządku — stwierdził Venzia. — W 3701 roku ery galaktycznej została zholografowana w towarzystwie zabójcy na-

zywanego Hulaką. Oboje wpadli w pułapkę policyjną, którą przeżyła tylko kobieta, ale zniknęła, zanim ktokolwiek zdążył ją przesłuchać. Tuż przed śmiercią Hulaka poprosił, by pozwolono mu ostatni raz zobaczyć Mroczną Panią. Zaledwie rok później znalazła się u boku łowcy nagród nazwiskiem MacDougal Rozjemca. Nie ma jego hologramów, ale zachowały się dwa przedstawiające ją i na obu bez wątpienia widnieje Mroczna Pani Hulaki.

Venzia głęboko odetchnął, a potem mówił dalej:

— Istnieje jeszcze jedna wzmianka z 4402 roku, ale chociaż rysopis się zgadza, nie ma hologramów, fotografii ani obrazów kobiety określonej jako Mroczna Pani. — Efektownie umilkł. — W każdym razie, pojawia się zwykle na mniej więcej miesiąc przed śmiercią kochanka i zawsze odchodzi najwyżej dzień po niej.

— Wygląda na to, że to chyba faktycznie ciągle ta sama osoba — przyznał Heath.

— Nie ma co do tego żadnych wątpiwości. Dowiedziałem się, że występuje również pod dwudziestoma innymi imionami i że gdy się pojawia, zawsze zapowiada śmierć.

— A jednak ty nie umarłeś — zauważyłem.

— To prawda — odrzekł Venzia. — Ja nie umarłem.

— Wiesz dlaczego? — spytał Heath.

— Tak sędę — stwierdził Venzia. Chwilę milczał, porządkując myśli. — Chyba... chyba nie zobaczyłem samej Mrocznej Pani. To znaczy, nie zobaczyłem jej cielesnej postaci... Chociaż nic jestem tego zupełnie pewny... Przecież zostałem przysypany tonami gruzu... Poza tym, tam było prawie zupełnie ciemno... Zresztą, skąd wzięłaby się pod całym tym rumowiskiem?

— A więc jednak to była halucynacja — powiedział Heath z

zadowoleniem.

Venzia potrząsnął energicznie głową.

— Nie.

— Nic? To co to w takim razie było?

— Raczej wizja.

— I tak uważam... — zaczął sceptycznie Heath.

— To była wizja! — upierał się Venzia. — I kiedy już byłem tego absolutnie pewien, odwiedziłem jeden z wielkich szpitali. Zabrałem z sobą hologram Mrocznej Pani, który skopiowałem z akt policyjnych Hulaki. Pozwolono mi odwiedzić sekcję beznadziejnych przypadków na oddziale powypadkowym. Wszystkim przytomnym pacjentom pokazałem jej zdjęcie i zapytałem, czy widzieli ją kiedykolwiek.

— I co? — nie wytrzymał Heath.

— Ponad trzystu z nich zaprzeczyło. Jednemu mężczyźnie wydawało się, że przywoływała go we śnie. Umarł tydzień później.

— A inni pacjenci? — spytałem.

— Większość umarło — odparł Venzia. — Prawdę mówiąc, pięciu nic przeżyło nawet następnego dnia. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby mi opowiedziała o mężczyźnie, którego Mroczna Pani przywoływała we śnie. Okazało się, że zabrał kiedyś na spacer córkę; zatrzymali się, aby pooglądać teren budowy i dziecko przypadkiem znalazło się przed pracującym buldożerem. Ojciec zdołał odepchnąć dziewczynkę w bezpieczne miejsce, ale sam został strasznie poharatany. Kiedy poddano go reanimacji, był już od jakichś dziewięćdziesięciu sekund w stanie śmierci klinicznej i chociaż w szpitalu przez następny tydzień robili co mogli, w końcu skonał.

— Czy znalazł pan jakichś innych pacjentów, którym lekarze dawali najwyżej kilka godzin życia, a którzy jednak przeżyli? —

spytałem.

— Troje — odrzekł Venezia. — Dwóch topielców i kobietę porażoną śmiertelną dawką prądu. — Przerwał. — Przewidując twoje następne pytanie, powiem, że nie mam najmniejszego pojęcia, w jakim naprawdę byłem stanie, gdy mnie znaleziono.

— Więc dlaczego tylko on ją widział? — spytał Heath zawieszony. — No i co wy dwaj macie z sobą wspólnego? Ty zostałeś uwięziony w ruinach, jego przejechał buldożer. Ty byłeś w centrum działań wojennych, on zabrał córkę na spacer. Ty nie umarłeś, a on tak. Jaki jest związek pomiędzy wami?

Przysłuchiwałem się pytaniom Heatha i rozmyślałem nad odpowiedzią, a Venezia przez cały czas wpatrywał się we mnie z osobliwym uśmiechem.

— Myślę, że Leonardo nam to wyjaśni — odezwał się w końcu.

— To prawda, widzę pewien związek — zgodziłem się. — Ale nie jestem niczego pewien.

— Więc i tak widzisz więcej niż ja — zauważył cierpko Heath.

— Mam pewną teorię — zadumałem się — chociaż chyba nie jest do końca prawdziwa.

— Dlaczego? — ponaglał mnie Venezia.

— Ponieważ Mroczna Pani nie może być śmiercią — odparłem. — Gdyby tak było, przynajmniej trzech innych pacjentów również musiałoby ją zobaczyć.

— Zgadza się — rzucił Venezia.

— Czym więc jest? — spytałem go.

— Czy któryś z was może mi wytłumaczyć, o co tu chodzi? — wtrącił nerwowo Heath.

— Przyjacielu Valentine — zwróciłem się do niego — związek nie leży w naturze nieszczęść, ale w przyczynach, które je spo-

wodowały.

Heath w zamyśleniu opuścił głowę.

— Venzia próbował uratować ranną kobietę, a tamten pacjent swoją córkę. Czy to znaczy, że ona pojawia się tylko bohaterom? — Rozważał przez chwilę własne słowa, a potem potrząsnął energicznie głową. — Nic, to nie może być wyjaśnienie! Przypomnijcie sobie Mallachiego: czy jest coś heroicznego w knajpianej strzelaninie z powodu kobiety?

— Nie chodzi o to, że przyjaciel Reuben i ojciec tej małej dziewczynki zachowali się jak bohaterowie — wyjaśniłem — ale o to, że każdy z nich kuśił los.

Heath zmarszczył brwi.

— Co za różnica?

— W tych dwóch przypadkach, nie ma różnicy — stwierdziłem — ale czasem ona istnieje.

— Mógłbyś mi to wyjaśnić? — poprosił Heath.

— Weźmy na przykład pogromcę zwierząt — zacząłem. — Nie był bohaterem, a jednak igrał z nieszczęściem za każdym razem, kiedy wychodził na arenę.

— A więc Mroczna Pani pojawia się ludziom, którzy kuszą los?

— Ściśle rzecz biorąc — wtrącił Venzia — pojawia się tylko tym ludziom, którzy igrają ze śmiercią.

— Dlaczego z niektórymi pozostaje dłużej, a do innych przychodzi jedynie na ułamek sekundy? — spytał Heath.

I nagle uświadomiłem sobie, że znam rozwiązanie tajemnicy Mrocznej Pani.

— Niektórzy, jak przyjaciel Reuben, kuszą śmierć tylko raz, działając przy tym zupełnie spontanicznie — oznajmiłem. — Inni, jak Mallachi, Kid, czy pogromca zwierząt, całe swoje życie igrają z losem.

— Masz całkowitą rację — stwierdził z aprobatą Venzia.

— Znalazłem brakujący czynnik — wyjaśniłem. — Pierwotnie przypuszczałem, że każdy z malujących Mroczną Panią artystów brał udział w jakichś działaniach militarnych, ale teraz widzę, że za bardzo zawęziłem pole poszukiwań. Śmiałek cyrkowy, Brian McGinnis w ziemskiej dżungli, czy człowiek, który sporządzał mapy czarnych dziur — każdy z nich kusił śmierć równie często jak żołnierze czy najemnicy.

— Ale ona nie jest śmiercią. — Heath był wyraźnie skonsternowany. — Sam powiedziałaś, że gdyby była, widziałby ją każdy umierający.

— To prawda — zgodził się Venzia.

— Więc czym jest, do diabła? — spytał Heath.

— To po prostu Mroczna Pani — odparł Venzia.

— Ale czym jest?

Venzia ciężko westchnął.

— Nic wiem.

— Ta rozmowa zaczyna tracić sens — stwierdził z żalem Heath.

— Nie wiem, czym jest — powtórzył Venzia. — Wiem jedynie, że pojawia się różnym mężczyznom od prawie ośmiu tysięcy lat. Zauważcie: tylko mężczyznom, nigdy kobietom. Przybiera swą cielesną postać i staje się towarzyszką człowieka, którego życie wypełniają nieustanne niebezpieczeństwa, a po jego śmierci natychmiast znika. Między jej kolejnymi materializacjami mija czasem sto lat albo i więcej. Wiem także, że ludziom, którzy kuszą ją tylko raz, objawia się poprzez pewien rodzaj wizji.

— Kuszą ją czy kuszą śmierć? — spytał Heath ostro.

— Nie jestem pewien, czy jest jakaś różnica — zauważył Venzia.

— Zdawało mi się, iż wcześniej twierdziłeś, że ona nie jest śmiercią.

— Nie wierzę, że nią jest, chociaż nie mam również wątpliwości, iż jest jakoś ze śmiercią związana. Nie sądzę, by sama naprawdę kogoś zabiła, ale jawnie zachęca ludzi do podejmowania ryzykownych czynów, które mogą skończyć się śmiercią.

— Zachęca ich? — powtórzył z powątpiewaniem Heath. — Czy ciebie zachęcała?

— Źle się wyraziłem. Powiedzmy raczej, że jej obecność wydaje się nieuchronnie sprowadzać na nich śmierć — poprawił się Venzia.

— Czy pojawia się każdemu, kto igra ze śmiercią? — spytał Heath.

— Nie wiem — odparł Venzia. — Większość nie przeżywa tego doświadczenia.

— A co z przedstawicielami obcych ras? Czy oni również ją spotykają?

— Nie znalazłem żadnych informacji na temat obcych, którzy by się z nią zetknęli lub namalowali jej portret.

— Dlaczego nie zniknęła po zabiciu Kida na Acheronie?

Venzia zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Tak naprawdę, ona nigdy nie znika. Zwykle po prostu tak się tylko uważa — stwierdził w końcu. I dodał: — Tai Chong opowiedziała mi o wydarzeniach na Acheronie. Z opisu tej planety wywnioskowałem, że Mroczna Pani nie mogła ulotnić się ani z więzienia, ani w ogóle z Acherona, nie ujawniając przed ludźmi swoich zdolności.

Heath potrząsnął głową.

— Niezła teoria, tyle że nie wytrzymuje krytyki.

Mroczna Pani

— Tak? A to dlaczego? — spytał Venzia z zainteresowaniem.

— Jeśli rzeczywiście nie chce, by ktokolwiek wiedział jakie ma możliwości, to dlaczego zniknęła z pokładu mojego statku?

Venzia uśmiechnął się.

— Ponieważ wtedy niczym już nie ryzykowała. Leonardo i tak wiedział, kim jest.

— Leonardo domyślił się tego zaledwie pięć minut temu! — odparował Heath.

— Ale wiedziałem, że nazywają ją Mroczną Panią, przyjacielu Valentine — stwierdziłem. — I spytałem ją o Briana McGinnisa i Christophera Kilcullena.

— To fakt — przyznał Heath.

Cała nasza trójka zamilkła na długie minuty, oswajając się z nowymi informacjami. W końcu Heath zachichotał.

— Mój Boże — powiedział. — Właśnie spędziłem godzinę na rozmowie o Mrocznej Pani, jak gdyby naprawdę była kimś więcej niż tylko piękną kobietą albo fascynującą obcą, która posiadała umiejętność teleportacji. Kiedy się jutro obudzę, będę się śmiać z własnej głupoty.

— Nie sądzę — odparł Venzia z przekonaniem. — Zresztą, bardzo dobrze wiesz, że ona nie jest obcym.

— Więc czym w końcu jest?! — rzucił Heath, coraz bardziej rozdrażniony całą tą sytuacją.

— Nic wiem — odrzekł Venzia.

— Leonardo? — Heath obrócił się z wyczekiwaniem w moją stronę.

— Chciałbym powiedzieć, że jest Matką Wszechrzeczy — wyznałem — ale to byłoby bluźnierstwo.

— A kim, czy też czym jest Matka Wszechrzeczy? — spytał Venzia.

— Czycimy ją jako Stwórcę, podobnie jak wy waszego Boga —

wyjaśniłem. — Ale nie chcę was urazić, więc nie mogę twierdzić, że Mroczna Pani jest członkiem obcej rasy.

— Może Bjornom objawia się w innej postaci — zasugerował Heath.

— Żaden Bjornn nigdy nie robi niczego, co mogłoby przyciągnąć Mroczną Panią — stwierdziłem. — Moja rasa miłuje życie.

— Tak jak i członkowie naszej, przynajmniej w większości — wtrącił Venezia. — A ona mimo wszystko nam się zjawia.

— Wy ponad wszystko cenicie odwagę — zauważyłem. — My nie. Wyobraźcie sobie, że w moim języku nie ma w ogóle słowa na określenie „bohatera”. To pojęcie po prostu nie funkcjonuje wśród mojego ludu.

— Nawet stadne zwierzęta są zdolne do bohaterstwa — skomentował Heath. — Weźmy na przykład przewodnika stada, który staje do walki z silniejszym drapieżnikiem, aby reszta mogła w tym czasie oddalić się w bezpieczne miejsce.

— Motywem działania przewodnika jest ślepy, bezmyślny instynkt, a nie bohaterstwo, przyjacielu Valentine — odparłem. — Postawiony przed świadomym wyborem, nigdy dobrowolnie nie wdałby się w starcie z drapieżnikiem, a Mroczna Pani najwyraźniej odwiedza tylko tych ludzi, którzy kuszą los dobrowolnie.

— Chwileczkę! — krzyknął nagle Heath. — Niektórzy z was popełniają przecież rytualne samobójstwa. Czy takie zachowanie nie może jej przyciągnąć?

— Nie ma nic bohaterskiego w zakończeniu własnego życia po to, by uniknąć dalszej hańby, przyjacielu Valentine — zauważyłem.

— Odchodzimy od tematu — wtrącił się Venezia. — Nie ulega wątpliwości, że Mroczna Pani pojawia się jedynie ludziom. Koniec dyskusji, kropka.

— W porządku — zgodził się Heath. — Wiemy, że pojawia się tylko ludziom; i co teraz?

— Teraz jej poszukamy — stwierdził Venzia spokojnie, ale stanowczo.

Heath zachichotał.

— To jest duża galaktyka, panie Venzia.

— Więc spróbujmy przewidzieć, gdzie się może pojawić i poczekajmy tam na nią.

— Po co, przyjacielu Reubenie? — spytałem.

— Biedny Leonardo. — W głosie Venzii było słychać autentyczne współczucie. — Zebrałeś już wszystkie elementy łami-główek, a ciągle nie umiesz ułożyć całości.

— Słucham?

— Posadzimy ją przed sobą i porozmawiamy z nią — wyjaśnił Venzia.

— Żebyśmy się dobrze rozumieli — wtrącił Heath. — Spędził pan sześć lat, i wydał bóg wie ile pieniędzy, próbując znaleźć tę kobietę, a wszystko czego pan chce, to usiąść i porozmawiać z nią?

— A co by pan chciał z nią zrobić, panie Heath? — spytał Venzia pogardliwie.

— Pan wie, co mam zamiar z nią zrobić — odrzekł Heath.

— Zapłacę panu więcej niż Abercrombie.

— Wątpię. — Heath wzruszył ramionami. — Czy pan wie, ile pieniędzy posiada Abercrombie?

— Chcę tylko przez pięć minut być z nią sam na sam — jęknął Venzia. — Potem może ją pan sprzedać Abercrombiemu albo zrobić z nią, co pan tylko zechce.

— Jeżeli ona na to pozwoli — zauważyłem znacząco.

— Milion kredytów, panie Heath — rzucił Venzia, ani na chwilę nie spuszczać oczu z Valentine'a.

— Milion kredytów za pięć minut? — upewnił się Heath.

— Tak.

— Wielu ludzi spędziło z nią o wiele więcej czasu niż pięć minut — stwierdził Heath — i założę się, że nigdy żadnemu z nich nic powiedziała nawet drobnej części tego, co chciałby pan wiedzieć.

— Tamci nie wiedzieli, z kim mają do czynienia — odparł Venzia. — A ja wiem. Prawdopodobnie żaden z nich nigdy nie zadał jej właściwego pytania. — Urwał. — To moja szansa.

— Przypuśćmy, że rzeczywiście panu odpowie. Skąd pewnością, że to będzie prawda? — naciskał Heath.

— Będę wiedział — odparł Venzia żarliwie.

— Proszę mi wybaczyć — przerwałem im — ale naprawdę nie rozumiem, o czym mówicie.

Heath spojrzał na mnie rozbawiony.

— Muszę ją zapytać o coś bardzo ważnego, Leonardo — powiedział Venzia.

— O co?

— Co dzieje się z człowiekiem po śmierci — odrzekł. Był nieprawdopodobnie przejęty. — Ona jest jedyną osobą, która to wie.

— Czy próba dowiedzenia się tego nie jest świętokradztwem? — przeląknęłam się.

— Może, ale głupotą byłoby nie spróbować, jeśli ma się prawdopodobnie jedyną okazję — odparł gorączkowo Venzia, po czym zaczął wymieniać: — Czy istnieje prawdziwa religia? Przed którym ołtarzem powinienem się modlić? Jakie nawyki i zwyczaje muszę odrzucić? Co powinienem zrobić, by zapewnić sobie wstęp do raju? A jeśli poza tym nie ma innego życia, czy mogę robić wszystko, na co mam tylko ochotę?

— Przecież teraz też może pan robić to, na co ma pan tylko ochotę — zauważył ironicznie Heath.

— Wyłącznie dlatego, że nie znam wszystkich konsekwencji swoich posunięć — odparł Venzia. — A chciałbym je poznać.

Heath uśmiechnął się.

— Niebiańska polisa ubezpieczeniowa.

— Może pan to sobie nazywać, jak się panu podoba.

— Ogromnie dużo pan oczekuje w zamian za swoje pieniądze, panie Venzia — zauważył Heath.

— I mam zamiar to dostać — powiedział Venzia z głębokim przekonaniem.

15

Venzia spędził noc w domku Heatha, a rano wspólnie postanowiliśmy, że natychmiast opuścimy Graustark i udamy się we trójkę na Odległy Londyn.

Ja oczywiście już od dawna chciałem powrócić do pracy, ale na pośpiech nalegał głównie Venzia, który był przekonany, że teraz, kiedy znowu straciliśmy z oczu Mroczną Panią, w sprzedaży pojawi się jej nowy portret. Tymczasem chciał wrócić z nami na Odległy Londyn, gdzie mógłby pozostawać ze mną w stałym kontakcie, a jednocześnie poszukiwać informacji na temat wszelkiego rodzaju bohaterów i śmiałków. W tym celu postanowił zaprogramować odpowiednio swój komputer i przejrzeć przy jego pomocy wszystkie dostępne czasopisma, książki, nagrania wideo i w ogóle wszelkie drukowane i wizualne środki przekazu.

Jeśli chodzi o Heatha, wciąż nie był chyba całkowicie przekonany, że Mroczna Pani jest właśnie tym, za co uważaliśmy ją ja i Venzia, ale nie miał też żadnych obiekcji, by towarzyszyć nam na Odległy Londyn, ponieważ tam mógł osobiście skontaktować się z Malcolmem Abercrombiem.

Venzia opuścił chatkę godzinę przed nami, żeby odnaleźć sianie i zwrócić je do wypożyczalni. Umówiliśmy się na statku Heatha, gdyż Venzia dostał się na Graustark liniowcem kosmicznym i nie miał na miejscu własnego statku.

— Będzie trochę tłoczno — zauważył Venzia, kiedy już wniósł swój bagaż do środka.

— To jest statek przystosowany do przewożenia dwóch, a nie trzech osób — odparł Heath.

— Widzę — mruknął Venzia. Odwrócił się do mnie. — Proszę. — Podał mi pudełko o wymiarach mniej więcej dwanaście na osiem cali.

— Co to jest? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia. Tai Chong prosiła, żebym ci to przekazał.

— Prezent od Tai Chong? — zadumałem się, z radością przyjmując pudełko.

— Mam wrażenie, że przysłano je z Bjornna i że ona tylko przetrzymała je dla ciebie — odparł Venzia.

— Z Benitarusa II — poprawiłem go łagodnie. — Bjornn to rasa, nasza planeta nazywa się Benitarus.

— Możliwe — rzucił Venzia, tracąc zainteresowanie tematem. Spojrzał na Heatha. — Jestem głodny. Co muszę zrobić, żeby dostać coś do jedzenia?

Heath uśmiechnął się.

— Po prostu proszę iść do kuchni i zamówić, co pan chce.

Działa na głos.

— Gdzie znajdę menu?

— Kuchnia zrobi dla pana wszystko, o co pan poprosi, tyle że z produktów sojowych.

— Dzięki.

Venzia wyszedł, a Heath obrócił się do mnie.

— No i...?

— O co chodzi, przyjacielu Valentine?

— Co jest w tej paczce?

— Nie wiem.

— Nie masz zamiaru jej otworzyć?

— Pomyślałem, że zrobię to w zaciszu mojej kabiny — bąknąłem nieśmiało.

— Nie masz swojej kabiny — zauważył Heath z uśmiechem.

— Dzielisz ją z Venzią.

— A więc otworzę ją tu i teraz — powiedziałem.

— Świetny pomysł — przyznał Heath.

Położyłem paczkę na stoliku i wpatrywałem się w nią przez długą chwilę, nie dotykając jej jednak.

— Co się stało? — spytał Heath.

— Boję się — szepnąłem.

— Myślisz, że ktoś przysłał ci bombę? — zażartował Heath. —

Nie martw się, Leonardo. Czujniki statku identyfikują każdy niebezpieczny przedmiot.

— To nie jest bomba — stwierdziłem.

— Więc co?

Westchnąłem.

— Wiem tylko, co to powinno być, ale nie mam pojęcia, czy się nie zawiodę.

— To nic ma zbyt wielkiego sensu, Leonardo — powiedział Heath. — Może otworzę ją za ciebie?

— Nie! — krzyknąłem. — Sam to zrobię.

— Co tu się dzieje? — spytał Venzia, wracając z kuchni z tacą. Heath wzruszył ramionami.

— Jego spytaj — rzucił, wskazując na mnie z irytacją.

— Nie zamierzałem denerwować żadnego z was — przeprosiłem.

— To bardzo dobrze — odparł Venzia. — Otwórz wreszcie tę pieprzoną paczkę i lećmy stąd w cholerę.

— Może lepiej najpierw wystartujemy — zwróciłem się do Heatha. — Paczka może poczekać.

— Ale ja nie mogę! — wrzasnął. — Zrobiłeś wokół niej taką tajemnicę, że nie ruszę się stąd, dopóki jej nie otworzysz.

Westchnąłem i zacząłem rozpakowywać zawiniątko. Musiałem przynieść coś ostrego z kuchni i w końcu udało mi się rozciąć opakowanie.

— No, dalej — ponaglił Heath.

— Za chwilę — odrzekłem.

Przerwałem, zrobiłem głęboki wdech i otworzyłem pudełko... Z moich ust wydobył się okrzyk ulgi.

— Dobrze się czujesz? — spytał Heath.

— Tak, przyjacielu Valentine. — Byłem szczęśliwy. — Teraz czuję się dobrze.

Zajrzał do pudełka.

— Co to za numer? — spytał. — Nie ma tam nic poza kurzem.

— To jest paczka od mojej Matki Wzorcowej — powiedziałem.

— Dlaczego wysłała ci kurz? — nalegał Heath.

— To nie jest kurz, ale piasek ze świętej ziemi Domu Crsthionn — wyjaśniłem.

Venzia wzruszył ramionami i zabrał swój posiłek do kabiny, którą dzielił ze mną.

— Przypuszczam, że to pomyślna wiadomość — zauważył

Heath.

— Tak — odparłem. — Bałem się, że paczka zawiera coś zupełnie innego.

— Na przykład co?

— Po prostu coś innego. — Umilkłem. — Każdy Bjornn świętuje dwa dni w roku, przyjacielu Valentine: dzień, w którym powstał jego Dom, i dzień, w którym jego własny, jednostkowy Wzorzec został przez ten Dom zaakceptowany. Rocznicą pierwszego z tych wydarzeń miała miejsce w czasie naszego lotu z Acherona, natomiast moje prywatne święto będę obchodził za jakieś trzydzieści dwa dni. Rozumiesz?

— Nie za bardzo — strapił się Heath. — Kiedy my, ludzie, mamy jakieś święto, dajemy sobie prezenty, a nie kurz.

— To nie jest kurz — tłumaczyłem cierpliwie. — To jest poświęcona ziemia z miejsca urodzin Pierwszej Matki Domu Crsthionn, tej, której potomek jako pierwszy urodził się z naszym Wzorcem.

— To jak woda święcona dla katolika — skomentował Heath.

— Woda święcona jest tylko symbolem — odparłem — a to jest prawdziwa ziemia.

— Co masz zamiar z nią zrobić? — spytał Heath.

— Najpierw muszę znowu skorzystać z twojego noża.

— Po co?

— Aby upuścić sobie trochę krwi i w ten sposób połączyć swoje ciało ze świętą ziemią na znak wierności i posłuszeństwa wobec Domu Crsthionn.

— I na pewno nie chcesz się zabić? — spytał podejrzliwie.

— Na pewno przyjacielu Valentine — odrzekłem. — To rytuał religijny.

— Myślałem, że samobójstwo też jest rytuałem religijnym —

mruknął Heath.

— Ten obrządek jest ważniejszy niż samobójstwo.

— W porządku — powiedział. — Co dalej?

— Potem pokryję tą ziemią ciało.

— Przypuszczam, że masz ku temu jakiś ważny powód — stwierdził cierpko.

— Ten czyn dodatkowo symbolizuje mój związek z Pierwszą Matką — wyjaśniłem. — Muszę też zmówić trzy modlitwy: do Pierwszej Matki, do Domu i do Matki Wszechrzeczy.

— I to już wszystko, co musisz zrobić?

— Potem usunę z siebie ziemię i będziemy musieli ją zdeintegrować.

— To chyba niezbyt mądre pozbywać się jej, skoro ma dla ciebie takie znaczenie — oświadczył Heath.

— Skalam ją swoim dotknięciem — wyjaśniłem — i nie będzie już święta, ale sprofanowana. Jeśli ją zniszczę, pozostanę czysty do następnego roku.

— Jak sobie radziliście, zanim pojawiły się dezintegratory? — spytał Heath z zainteresowaniem.

— Wtedy nie znaliśmy jeszcze podróży kosmicznych, odnosiliśmy więc ziemię do miejsca, z którego pochodzi. Do dzisiaj ci z nas, którzy pozostają na Benita rusie II zwykle odprawiają ten obrządek w pobliżu miejsca urodzin Pierwszej Matki.

— Czy kobiety z twojej rasy także dopełniają tego rytuału? — spytał Heath.

— Nie — obruszyłem się. — Po co ktoś, kto zawsze jest czysty i święty miałby to robić?

— Ale ciebie do tego zmuszają, prawda?

— Nic rozumiem.

— Nie szkodzi. — Urwał. — Powiedz mi lepiej, dlaczego tak się

martwiłeś, Leonardo? Co mogłoby się stać, gdyby pudełko zawierało, powiedzmy, parę rękawiczek albo jakieś słodycze?

— To by znaczyło, że nieodwołalnie odmówiono mi sakramentów mojej rasy — wyjaśniłem.

— Myślałem, że Matka Wzorcową już dawno odmówiła ci prawa powrotu do twojej społeczności.

— To jedynie zakaz fizyczny. Gdyby nie przysłała mi świętej ziemi, zostałbym wyklęty również w sensie duchowym. Moją duszę skazano by tym samym na samotną wędrówkę i wieczne potępienie.

— Cóż, teraz przynajmniej rozumiem ten okrzyk radości — uśmiechnął się Heath. — Czy ta szczególna ceremonia nosi jakąś nazwę?

— Święto Pierwszej Matki — odparłem.

— Czy na swoje urodziny dostaniesz następane pudełko z kurzem? — spytał.

— To nie są urodziny — wyjaśniłem — tylko dzień akceptacji. Jest to dla mnie wyjątkowo radosny dzień.

— Czym się różni od święta Pierwszej Matki?

— Kiedy jestem w domu, zawsze odbywa się wielka uroczystość.

— I co się wtedy dzieje? — spytał zaskoczony.

— W podniosłym nastroju odbywa się rytualna ceremonia odnowienia moich ślubów wobec Domu i Rodziny, przez co po raz kolejny potwierdzam wierność i posłuszeństwo wobec Domu.

— Jak można coś takiego przestać w pudełku? — spytał ze śmiechem Heath.

— Kiedy Bjornn rodzaju męskiego znajduje się poza Benitarusem II, Matka Wzorcową przesyła mu jedynie symbol odnowienia ślubu wierności — roślinę wyrosłą na jej własnych polach.

Dopełniając aktu zjedzenia tej rośliny, przypieczętuję więź między nami.

— To musi być dość marna namiastka tego, czego doświadczałeś, zanim opuściłeś swoją planetę — skomentował Heath.

— Tak — zgodziłem się. — Ale szczęście jednostki nie ma znaczenia. Dom jest wszystkim.

— Skoro tak mówisz.

— Czy teraz mogę pożyczyć od ciebie coś ostrego? — spytałem.

Skinął głową, poszedł do kuchni i chwilę później wrócił z nożem.

Uniosłem rękę nad ziemię Pierwszej Matki, ale nie przeciąłem palca.

— Przyjacielu Valentine, czy nie drażni cię widok krwi? — spytałem.

— Tylko mojej własnej — odparł lekko.

Przejechałem ostrzem noża po palcu i pozwoliłem, by krew przez dłuższą chwilę kapała na świętą ziemię.

— Szkarłatna? — spytał Heath, marszcząc brwi ze zdziwienia.

— Myślałeś, że krew zawsze jest czerwona? — odpowiedziałem pytaniem.

— Chcesz bandaż albo plaster?

— Zaraz przestanie płynąć — zapewniłem go i rzeczywiście krwawienie szybko ustało.

— Przypuszczam, że dalszą część obrządku zechcesz kontynuować w kabinie suchego prysznica — zasugerował Heath.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Prawdę mówiąc, nawet wolę, żebyś to zrobił tam — skrzywił się. — Nienawidzę bałaganu.

Podziękowałem mu, poczekałem aż statek opuści Graustark

i wyruszy w trasę na Odległy Londyn, a potem dokończyłem obrządku Pierwszej Matki w zaciszu suchego prysznicu.

Miałem nadzieję, że podczas podróży Venzia przekaze nam więcej szczegółów na temat Mrocznej Pani, ale okazało się, że powiedział nam już wszystko, co wiedział. Fakt ten jednakże nie powstrzymał go od mówienia o niej niemal bez przerwy. Był zupełnie opętany nadzieją na spotkanie z nią i uzyskanie odpowiedzi na swoje pytania.

Heath nadal pozostawał sceptyczny. Wprawdzie przyłączał się do każdej dyskusji, formułował trafne uwagi i mówił o Mrocznej Pani tak, jak gdyby wierzył Venzii, to jednak ilekroć zaczynaliśmy kolejną rozmowę, trzeba go było przekonywać od początku, że nasza modelka nie jest ani przedstawicielką obcej rasy, ani normalną kobietą z ponadnormalnymi zdolnościami.

Sam czułem tak wielką ulgę, że Matka Wzorcową nie skazała mojej duszy na wieczną wędrówkę, iż nawet status wygnańca, który nigdy więcej nie będzie mógł wrócić do swego rodzinnego kraju wydał mi się całkiem znośny. Aby nie rozmyślać zbyt dużo o mym przykrym położeniu, całkowicie skoncentrowałem się na naszych poszukiwaniach Mrocznej Pani, w nadziei, że w ten sposób odsunę wszystkie myśli o Domu i Rodzinie.

Kiedy moi towarzysze zasnęli, ponownie spróbowałem narysować na kartce twarz Mrocznej Pani i ponownie zawiodły mnie kiepskie zdolności artystyczne. Pewnego dnia próbowałem nawet narysować ją jako Bjornna... Błada twarz bez Wzorca, czarny strój, doskonale wyraziste rysy, przeraźliwie smutne oczy... Czysta boskość przeniesiona atramentem na papier... A jednak kiedy skończyłem, nie wyglądała jak Matka Wszechrzeczy, a jedynie jak zwykły Bjornn rodzaju żeńskiego z pozbawioną Wzorca skórą i ładną buzią. Miałem przeczucie, że Mroczna Pani,

jakiegokolwiek jest pochodzenia i czegokolwiek pragnie, rzeczywiście przychodzi tylko do ludzi, zupełnie nie interesując się Bjornnami.

Napisałem kolejny list do Matki Wzorcowej, w którym podziękowałem jej za prezent i zdałem relację ze wszystkiego, co się wydarzyło, ale wiedziałem, że i tak mi nie odpowie. Napisałem także do Żony Wzorcowej, oficjalnie się z nią rozwodząc (choć po moim wygnaniu separacja i tak nastąpiła automatycznie) i życząc jej szczęścia u boku następnego małżonka, który zostanie dla niej wybrany. Litość, jaką czułem dla samego siebie była niczym w porównaniu z tą, jaką odczuwałem wobec mojej Żony Wzorcowej, której życie — zupełnie nie z jej winy — miało się odmienić w tak późnym wieku. Może będzie musiała pozostawać dziewicą przez całe lata, czekając aż nadejdzie dzień, w którym Dom znajdzie dla niej i zatwierdzi doskonały Wzorzec uzupełniający. Albo, co jeszcze gorsze, Dom w swojej mądrości może zdecydować, że zmarnowała już dość młodości i wieku dojrzałego i połączy ją w parę z Wzorcem, który nie będzie w sposób właściwy uzupełniał jej własnego. Jeśli się tak stanie, prędzej czy później moja była żona urodzi dziecko z Wzorcem, którego nie przyjmie żaden Dom. A wtedy, mimo iż żyła niewinnie i bez żadnej skazy, cierpieć będzie podwójne wygnanie.

Krążyły mi po głowie tak posępne myśli, że postanowiłem spróbować jeszcze raz odegnać je od siebie i powróciłem do rozważań na temat Mrocznej Pani. Heath spał, ale Venzia, który w milczeniu studiował na komputerze jakąś książkę z elektronicznej biblioteki, zauważył mój niepokój i rozjaśnienie skóry.

- Dobrze się czujesz, Leonardo? — spytał.
- Tak, przyjacielu Reubenie — odparłem.

- Na pewno? Wyglądasz na mocno strapionego.
- Już mi lepiej.
- Skoro tak twierdzisz — powiedział, wzruszając ramionami. Chwilę milczał. — Miałbyś coś przeciwko temu, żebym zadał ci pytanie na temat twojego przyjaciela, pana Heatha?
- Pytaj, przyjacielu Reubenie.
- Czy on rzeczywiście zamierza okraść Abercrombiego?
- Jestem tego zupełnie pewien, przyjacielu Reubenie.
- To bardzo źle.
- Zgadzam się — przytaknąłem. — Kradzież jest spreczna zarówno z prawem moralnym, jak i cywilnym. Venzia uśmiechnął się.
- Chciałem wykorzystać go w naszych poszukiwaniach Mrocznej Pani, ale jeśli spróbuje obrabować Abercrombiego, prawdopodobnie skończy w więzieniu. Bogacz zapewne świetnie zabezpieczył swoją posiadłość.
- Boję się, że przyjaciel Valentine mógłby zadziwić was obu: i ciebie, i pana Abercrombiego — mruknąłem.
- Być może — powiedział Venzia, ucinając temat. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego cały czas jest tak sceptycznie nastawiony do naszych koncepcji?
- Bo nie widział jej w takich okolicznościach, w jakich ty ją widziałeś — zasugerowałem.
- Ty też jej nie widziałeś — zauważył — a zdaje się, że dość łatwo zaakceptowałeś myśl o jej ponadnaturalnej egzystencji.
- To prawda — zgodziłem się.
- Heath ma więc do dyspozycji te same fakty, co ty — podsumował Venzia. Był naprawdę zakłopotany. — Dlaczego nie dochodzi do tych samych wniosków?
- Może dlatego, że zawsze polega wyłącznie na sobie i nie

jest mu potrzebna wiara w coś większego, niż on sam.

— A tobie jest potrzebna?

— Nauczono mnie, że powinienem wierzyć w istoty potężniejsze ode mnie i że mogę na nich zawsze polegać — odparłem.

— Zastanawiam się, czy... — zadumał się Venzia.

— Czy co, przyjacielu Reubenie?

— Prawie wszyscy mężczyźni, z którymi przebywała Mroczna Pani, byli całkowicie niezależni. Zastanawiam się, czy wyznawali jakąś religię?

— Przypuszczam, że będziemy musieli spytać o to następnego — zauważyłem.

— Jeśli zdążymy go spotkać — mruknął Venzia, a jego twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

— Zabrzmiało to tak, jakbyś uważał, iż jest morderczynią — stwierdziłem — a przecież obaj wiemy, że to nieprawda.

— Nie dbam o to, kim ona jest. Interesuje mnie tylko jej wiedza.

Kolejny raz przywołałem w pamięci jej twarz.

— Sądzę, że mnie bardziej interesują jej pragnienia — odrzekłem.

— Jej pragnienia? — powtórzył powoli. — Do diabła, ona pragnie tylko jednego: śmierci.

— Nie wydaje mi się, przyjacielu Reubenie.

— Czyżby?

— Gdyby rozkoszowała się śmiercią bohaterów, na pewno już dawno by się nią nasyciła.

— Niektórzy ludzie są nienasyчени — zauważył Venzia.

— Kiedy o niej myślę, nieodparcie przypomina mi się wyraz jej oczu, smutek na twarzy i promieniejące z niej poczucie jakiejś nieokreślonej tęsknoty — odrzekłem. — Nie mogę pozbyć się

wrażenia, że ona czegoś szuka i jeszcze tego nic znalazła.

— Szuka? Czego?

— Nie wiem — odparłem szczerze.

Rozważaliśmy ten problem przez kilka kolejnych minut, ale do niczego nie doszliśmy. Potem Venzia poszedł do naszej kabiny, aby się przespać, a ja zostałem sam i dalej rozmyślałem o Mrocznej Pani. Miałem nadzieję, że pewnego dnia znajdzie w końcu to, czego szuka i że wtedy z jej twarzy zniknie ten nieskończony smutek.

16

Po dotarciu na Odległy Londyn natychmiast zgłosiłem się do Galerii Claibome. Hector Rayburn poinformował mnie, że Tai Chong została aresztowana w ubiegły weekend podczas marszu protestacyjnego w obronie praw obcych na Kennicotcie VI. Ponieważ odmówiła zapłacenia kaucji, spędzi w więzieniu jeszcze dwa dni.

— Zaproponowałem, by Galeria Claibome wpłaciła za nią kaucję — zakończył — ale nie chciała w ogóle o tym słyszeć. Siedzi więc w pudle i przemawia do wszystkich, którzy chcą jej słuchać. Podobno odbyła nawet w celi konferencję prasową!

— Wydawał się ogromnie rozbawiony postawą Tai Chong.

— Bardzo mi przykro z tego powodu, przyjacielu Hectorze — stwierdziłem. — Dla wielkiej pani pobyt w więzieniu na Kennicotcie musi być bardzo przykrym przeżyciem.

— Wprost przeciwnie, raczej dobrze się bawi — odparł ze śmiechem. — Nawiasem mówiąc, nie jestem ci przypadkiem

winien obiadu?

— Jest dopiero dziesiąta rano — zauważyłem ze zdziwieniem.

— Nigdy nie słyszałeś o wczesnym obiedzie?

— Wysoko sobie cenię twoją propozycję, przyjacielu Hectorze, ale naprawdę nie jestem głodny.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, zaproszenie jest wciąż aktualne. Jeśli się zdecydujesz, daj mi tylko znać dzień wcześniej.

— Z pewnością tak zrobię — obiecałem.

— Restaurację, o której ci opowiadałem ostatnim razem, niestety chwilowo zamknięto — kontynuował — ale słyszałem o innej, gdzie obsługują i ludzi, i obcych. Może zajrzę tam dzisiaj i sprawdzę, czy byłaby dla nas odpowiednia.

— To bardzo uprzejmie z twojej strony, przyjacielu Hectorze — odpowiedziałem.

— A tak przy okazji — dodał z nagłym zainteresowaniem w głosie — jaki naprawdę jest Valentine Heath?

— To niezwykle czarujący człowiek — odparłem. — Dlaczego pytasz?

— Od lat podsuwa nam kradzione obrazy — wyjaśnił Rayburn. — Jestem po prostu ciekaw.

— Dlaczego przyjmujecie obrazy, jeśli wiecie, że są kradzione?

— Do diabła, wszystko co w tej galaktyce jest warte jakichś większych pieniędzy zostało w ciągu ostatnich lat co najmniej raz czy dwa ukradzione. A obrazy Heatha są przynajmniej trudne do wytopienia.

— Od dawna wiesz, że Heath handluje kradzionymi dziełami sztuki?

— Podejrzewałem to od chwili, gdy dowiedziałem się, że nigdy nie wystawia ich na aukcje publiczne.

— Czy Tai Chong wie o tym? — spytałem, mając nadzieję, że

usłyszę przeczącą odpowiedź.

— Oficjalnie nikt o tym nie wie — Rayburn chytrze się uśmiechnął — i gdybyśmy musieli zeznawać na policji, każde z nas by zaprzeczyło. — Zniżył głos. — Rozmawiam z tobą na ten temat tylko dlatego, że jesteś moim kolegą z pracy i zdarzyło ci się być w bliskich stosunkach z Valentinem Heathem.

— Znajomość z Valentinem Heathem nie czyni mnie jeszcze złodziejem! — zaprotestowałem gwałtownie.

— Oczywiście, że nie — uspokoił mnie Rayburn. — Ale z drugiej strony, nie znaczy to również, że jesteś niewinny jak nowo narodzone dziecko, prawda?

— Nigdy niczego nie ukradłem, przyjacielu Hectorze!

Uśmiechnął się.

— Przecież niczego ci nie zarzucam, Leonardo.

— A mnie się wydaje, że jednak tak — naciskałem. — Sugerujesz, że kontakty z Heathem zepsuły mnie.

— Cóż, kiedy opuściłeś Karola Wielkiego, policja przeprowadziła z Tai Chong długą rozmowę na twój temat — powiedział.

— To było zwykłe nieporozumienie — obruszyłem się. — Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

— W porządku — oznajmił pojednawczo, nadal się uśmiechając. — Wierzę ci.

— Nie wydaje mi się.

— Słuchaj, jeśli cię zdenerwowałem, wybacz. Naprawdę nie miałem takiego zamiaru. Mówiliśmy o Heathie.

— Zapytałem cię, czy Tai Chong wiedziała, że zakupione u niego obrazy były kradzione — poprawiłem go.

— Wolałbyś, żeby nie wiedziała o tym, a także, żeby nie brała udziału w pikietach w obronie twoich praw, prawda?

— Nie miałem pojęcia, że ona prowadzi kampanię na rzecz praw Bjornnów — stwierdziłem, wdzięczny za zmianę tematu.

— Bjornni, Canphoryci, Rabolianie — co za różnica? Wszyscy walczyacie przecież o równość, czyż nie?

— Bjornni nie walczą — obruszyłem się.

— Wiesz, co mam na myśli. — Był wyraźnie zakłopotany.

— Tak, przyjacielu Hectorze — odparłem. — Wiem.

— Cóż — powiedział, kierując się do drzwi — będę leciał. Do zobaczenia po południu.

— Musisz mieć w planie bardzo wielki obiad, jeśli tak długo cię nie będzie — skomentowałem.

Uśmiechnął się.

— Zjem obiad, a potem spluczę czymś dobrym gardło. — Umilkł. — Na pewno nie chcesz ze mną pójść? Kiedy wróci Tai Chong, pięciogodzinne przerwy na lunch nie będą się zdarzać zbyt często.

— Nie, dziękuję, przyjacielu Hectorze.

Wzruszył ramionami, pomachał mi ręką na pożegnanie i wyszedł na ulicę.

Ponieważ chwilowo nie miałem żadnego konkretnego zadania, a moi bezpośredni przełożeni byli w tej chwili nieosiągalni, resztę poranka spędziłem na systematycznym przeglądaniu katalogów aukcyjnych z ostatnich dwóch tygodni. Moje poszukiwania portretów Mrocznej Pani zakończyły się jednak fiaskiem. Po południu przejrzałem również katalogi ofert prywatnych, ale rezultat był taki sam.

Właśnie miałem opuścić galerię i udać się na spoczynek, kiedy wideofon zasygnalizował połączenie z Malcolmem Abercrombiem.

— Słyszałem, że wróciłeś — stwierdził oschle, gdy zobaczyłem

na ekranie jego twarz.

— Tak, dziś rano — odparłem.

— Czy przywiozłeś ze sobą obraz Mallachiego?

— Tak.

— A więc dlaczego, u diabła, jeszcze go nie przyniosłeś?! — wybuchnął.

— Wydawało mi się, że nic uzgodnił pan jeszcze z Tai Chong ceny — wyjaśniłem.

— I co z tego? Ona będzie próbowała mnie okraść, ja będę się coraz mniej przekonująco bronił, potargujemy się parę godzin, ale wszyscy wiemy, że w końcu i tak go kupię.

— Muszę w tej kwestii poradzić się Tai Chong — twierdziłem konsekwentnie.

— Gdybyś jeszcze nie słyszał, informuję cię, że twoja szefowa tkwi w więzieniu na planecie Kennicott.

— Wiem o tym.

— Więc wiesz pewnie i to, że wyjdzie z niego dopiero za dwa dni — kontynuował Abercrombie. Spojrzał na mnie badawczo. — Nic mam zamiaru czekać tak długo. Chcę mieć ten obraz natychmiast!

— Nie zostałem upoważniony do przekazania go panu — powiedziałem przeproszająco. — W czasie nieobecności Tai Chong taką decyzję może podjąć tylko Hector Rayburn.

— Gdzie on jest?

— Nie wiem.

— Czy jutro będzie w galerii?

— Tak.

— Więc załatw jego zgodę, gdy tylko przekroczy próg — rzucił Abercrombie — a potem bezzwłocznie przynieś obraz do mojego domu. Jasne?

— Tak, panie Abercrombie — odrzekłem. — Absolutnie.

— Jutro rano! — wrzasnął złowieszczo i przerwał połączenie.

Wróciłem na noc do swojego pokoju, a następnego ranka uzyskałem pozwolenie od Rayburna i dostarczyłem obraz Abercrombiemu zgodnie z jego życzeniem.

Następne dwa dni przeminęły bez żadnych wydarzeń i spędziłem je głównie na dalszych poszukiwaniach podobizn Mrocznej Pani.

Rankiem tego dnia, kiedy miała wrócić Tai Chong, w galerii odszukał mnie Heath.

— Witaj, przyjacielu Valentine — powiedziałem, odrywając oczy od ekranu podręcznego komputera na biurku — ufam, że czujesz się dobrze.

Skinął twierdząco głową.

— A ty?

— Całkiem nieźle — odparłem, zastanawiając się, po co przyszedł.

— Miałeś jakieś wieści od Venzii od czasu naszego przylotu?

— Rozmawiam z nim co noc, przyjacielu Valentine.

— Interesujący facet — zauważył Heath.

— O, tak — zgodziłem się. — Co mógłbym dla ciebie zrobić, przyjacielu Valentine?

— Hmm, jest jedna rzecz — odparł. — Wczoraj wieczorem ponownie skontaktowałem się z moimi prawnikami. Większość oskarżeń przeciwko mnie oddalono, ale moje fundusze nadal są zamrożone. — Zadumał się. — Wszystkie, nie tylko te na Karolu Wielkim. — Potrząsnął głową z podziwem. — Odkryli nawet moje konto na Spicy II.

— Żałuję, że nie mogę pożyczyć ci pieniędzy, przyjacielu Valentine — przerwałem mu — ale całą moją pensję galeria wysyła do Domu Crsthionn. Nawet pokój i posiłki są opłacane przez Claiborne'a i potrącane z comiesięcznej sumy przesyłanej

mojej Matce Wzorcowej.

— Nie chcę pożyczki — rozgniewał się Heath. — Potrzebuję pieniędzy, a nie przysługi.

— Nie rozumiem — wyszeptalem, chociaż oczywiście świetnie rozumiałem.

— Mam ci to przeliterować? — spytał ze złością. — Chcę, żebyś pomógł mi złamać system zabezpieczeń Abercrombiego.

— Nie mogę ci pomóc, przyjacielu Valentine — odparłem. — Może Reuben Venzia znajdzie dla ciebie jakąś pracę.

— Heathowie nie pracują — prychnął pogardliwie. — Oni wyłącznie wydają pieniądze.

— Współczuję ci, przyjacielu Valentine, ale nie mogę ci pomóc we włamaniu.

— Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

— Przyjaciele nic zachęcają do łamania prawa — zauważyłem. — Nie pozwolę, żeby kontakt z tobą zachwiał moją moralnością. To, że cię lubię nie oznacza jeszcze, iż zechcę ci pomóc w popełnieniu przestępstwa przeciwko człowiekowi, którego nie lubię.

— Oszczędź mi wymówek — rzucił Heath z niechęcią.

— Pozwól, że powiem ci coś jeszcze, przyjacielu Valentine — zacząłem. — Nawet jeśli uda ci się okraść Malcolma Abercrombiego i tak dzięki temu nie zdobędziesz ani jednego kredytu. Będziesz miał tylko obrazy.

— Które zamienię na pieniądze.

— Jak? Są przecież ubezpieczone.

— Tai Chong rozwiązywała już nie raz równie delikatne problemy.

— Nie w przypadku obrazów, które zostały skradzione jej własnemu klientowi — mruknąłem.

— Byłbyś zaskoczony.

— Możliwe — odparłem wymijająco, próbując ukryć, jak bardzo zasmuciło mnie jego stwierdzenie. — Ale i tak ci nie pomogę.

Westchnął.

— W porządku, Leonardo. Skoro tak stawiasz sprawę, zrobię to sam.

— Aresztują cię i zamkną w więzieniu.

— Niekoniecznie. Łamałem już lepsze systemy.

— Gdybyś wiedział, że uda ci się ukraść obrazy samemu, z pewnością nie prosiłbyś mnie o pomoc — zauważyłem obojętnie.

— Po prostu twoja pomoc byłaby dla mnie znacznym ułatwieniem — wyjaśnił. — Ale i bez niej akcja się powiedzie. — Przerwał. — Sam dom nie powinien sprawić zbyt dużego problemu. Obejrzałem go sobie z zewnątrz i chyba wyłapałem wszystkie zabezpieczenia. Mogę natomiast mieć pewne trudności z ucieczką, ponieważ znajduję się na całkowicie otwartej przestrzeni. Zanim odkryję bezpieczne podejście, minie parę dni... Będę też musiał zaplanować trasę ucieczki... ale wszystko na pewno mi się uda. — Nagle spojrzał na mnie ostro. — Pozostaje tylko jedno pytanie.

— Jakie, przyjacielu Valentine?

— Chcę wiedzieć, czy jeśli mi się uda, powiadomisz policję?

— Wolałbym, żebyś w ogóle nie próbował.

— Wiem, co byś wolał, Leonardo. Odpowiedz na moje pytanie.

— Naprawdę nie wiem — wyjąkałem bezradnie.

Nagle Heath uśmiechnął się szeroko.

— Głowa do góry — rzekł. — Jeśli jego system bezpieczeństwa jest rzeczywiście tak dobry jak uważasz, to bardzo możliwe, że

jednak nie będziesz musiał rozstrzygać tego bolesnego dylematu.
— Poklepał mnie po ramieniu. — Będę z tobą w kontakcie.

Odwrócił się i zanim zdołałem cokolwiek wymyślić, odszedł, pozostawiając mnie zadumanego nad jego pytaniem. Wciąż jeszcze byłem zatopiony w myślach, kiedy nadeszła Tai Chong.

— Witamy z powrotem, Leonardo — rzuciła.

— Witaj, wielka pani — odpowiedziałem wstając. — Mam nadzieję, że czujesz się dobrze?

— Znakomicie, o ile w ogóle można się tak czuć po tego rodzaju przejściach. Kuchnia i wystrój wnętrza w więzieniu na Kennicotcie pozostawiały trochę do życzenia — odparła, po czym spytała z napięciem: — Nie wiesz przypadkiem, czy pokazywano mnie w wiadomościach Odległego Londynu?

— Hector Rayburn mówił, że tak — odparłem. — Wróciłem dopiero trzy dni temu.

Uśmiechnęła się triumfująco.

— Wiedziałam! Pokazali mój hologram?

— Nie wiem.

Wzruszyła ramionami.

— To bez znaczenia. I tak skierujemy powszechną uwagę na położenie obcych na Kennicotcie.

— Czy zmieniono już na ich korzyść jakieś prawa, wielka pani? — zapytałem.

Wydawała się mocno zaskoczona moim pytaniem.

— Nie mam pojęcia, Leonardo — odparła. — Jestem jednak pewna, że to tylko kwestia czasu. — Znowu się uśmiechnęła. — Ja w każdym razie uważam swoją misję za zakończoną. Czy Reuben Venzia cię odnalazł?

— Tak.

— I dał ci przesyłkę od Matki Wzorcowej?

— Tak.

— To dobrze. Nic powiedziałabym mu, gdzie jesteś, ale wydawało mi się, że ta paczka może być dla ciebie ważna.

— I była, wielka pani. Dziękuję za troskę. — Urwałem. — Chciałbym wyjaśnić, co tak naprawdę się zdarzyło na Karolu Wielkim.

— Nic ma takiej potrzeby. Twoje wcześniejsze informacje były wystarczające i problem został już załatwiony w sposób satysfakcjonujący nas wszystkich.

— Nie Valentine'a Heatha, jak się obawiam.

— Czy on jest na Odległym Londynie?

— Tak, wielka pani. Jego aktywa są nadal zamrożone.

— To bardzo źle — oświadczyła.

— Boję się, że zamyśla coś nielegalnego, aby uzupełnić fundusze.

— Tak? Znasz jakieś szczegóły? — spytała, wykrzywiając twarz w grymasie niezadowolenia.

— Chodzi o włamanie — szepnąłem.

— Pieniądze?

— Dzieła sztuki, wielka pani.

Zmarszczyła brwi.

— Na Odległym Londynie?

— Tak, wielka pani.

— Co za idiota...

— Zgadzam się — przytaknąłem. — Przekonasz go, aby tego nie robił?

— Spróbuję — mruknęła. — Wiesz, gdzie teraz jest?

— Nie, wielka pani, ale widziałem go dziś rano i obiecał, że niedługo znowu się ze mną skontaktuje.

— Kiedy to zrobi, powiedz mu, że koniecznie chcę z nim porozmawiać.

— Czy powstrzymasz go przed popełnieniem przestępstwa?

Mroczna Pani

- Zrobię, co w mojej mocy — odparła uspokajająco.
 - Dziękuję, wielka pani — szepnąłem. — Bardzo go polubiłem. Nie chcę, żeby trafił do więzienia.
 - Ani ja — odrzekła poważnie. Spojrzała mi prosto w oczy. — Widział już kolekcję Abercrombiego?
 - Skąd wiesz, że planuje obrabować właśnie Malcolma Abercrombiego? — spytałem zdziwiony.
 - Uśmiechnęła się.
 - Znam gusta Valentine'a.
 - Jeśli chodzi o dzieła sztuki?
 - Jeśli chodzi o wszystko z wyjątkiem dzieł sztuki. Widzisz, kolekcja Abercrombiego jest jedyną rzeczą na tej planecie na tyle wartościową, by mogła zadowolić te gusta. — Podeszła do drzwi swego biura i jeszcze raz odwróciła się do mnie. — Pamiętaj, powiedz mu, żeby najpierw skontaktował się ze mną.
 - Najpierw? — powtórzyłem skonsternowany.
 - Zanim zrobi coś, czego może później żałować.
 - Powiem mu, wielka pani — przyrzekłem.
 - W porządku. A teraz nie chcę być nieuprzejma, ale mam dużo zaległych spraw do załatwienia.
 - Rozumiem — odparłem. — Cieszę się, że wróciłaś, wielka pani.
 - Dziękuję, Leonardo — powiedziała i weszła do biura.
- Resztę dnia spędziłem na dalszych bezowocnych poszukiwaniach obrazów i hologramów Mrocznej Pani. Po drodze do domu zatrzymałem się w swojej ulubionej restauracji. Cekał tam na mnie Venzia.
- Znalazłeś coś? — zapytał bez żadnych wstępów.
 - Nie — odparłem. — A ty, przyjacielu Reubenie?
- Potrząsnął przecząco głową.
- Sprawdziłem chyba ze dwa tysiące kaset — sapnął. — Ani

śladu. Jutro zabiorę się do czasopism. — Skrzywił się. — Nie chcę nawet myśleć, ile będę musiał przejrzeć.

— Obejrzałem każdą broszurkę i katalog, które dostaliśmy w ciągu ostatnich dwóch tygodni — poinformowałem go. — W żadnym źródle nie wspomniano, by gdziekolwiek wystawiono na sprzedaż jakiś jej portret.

— Dlaczego tylko z dwóch tygodni? — spytał.

— Ponieważ niecałe trzy tygodnie temu była jeszcze na Acheronie — odrzekłem. — I chociaż zawsze istnieje możliwość, że ktoś zaoferuje jej wcześniejszy portret, twoje odkrycia przekonują mnie, iż twórca takiego dzieła prawie na pewno by już nie żył. Musimy znaleźć człowieka, którego spotkała po zniknięciu ze statku przyjaciela Valentine'a.

— O ile w ogóle się jeszcze pojawi — stwierdził Venzia ponuro. — Bywały okresy, kiedy znikwała na całe lata, a nawet stulecia.

— To prawda — pokiwałem głową. — Ale weź pod uwagę, że może wcale nie znikwała, tylko po prostu jak dotąd nie udało ci się ustalić, gdzie wówczas przebywała?

— Tak, biorę pod uwagę również i taką możliwość — przyznał ze znużeniem w głosie. Ziewnął przeciągle. — Boże, ależ jestem wykończony! Chyba pójdę się trochę przespać. — Westchnął głęboko. — Spędziłem dziś dwadzieścia godzin przy tych cholernych taśmach; gdyby się pojawiła, jestem pewny, że za nic w świecie bym jej nie przeoczył.

— Dobrej nocy, przyjacielu Reubenie — powiedziałem.

— Dzięki — odparł. — Myślę, że chyba obaj powinniśmy zakończyć na dziś pracę. Ty pewnie też czujesz się zmęczony.

— Zajdę jeszcze do biblioteki — rzuciłem. — Muszę tam coś sprawdzić.

— Dla Claiborne? — spytał.

— Nie, dla nas. Zasugerowałeś mi bardzo interesujący kierunek badań.

— Czyżby? — spytał zaskoczony.

— Tak — odrzekłem. — Zjem coś tutaj, a potem trochę poczytam.

— Zawiadomisz mnie, jeśli natrafisz na coś ciekawego? — spytał.

— Oczywiście, przyjacielu Reubenie.

Venzia wyszedł, a ja zjadłem lekki posiłek i poszedłem do biblioteki, po drodze porządkując myśli i przygotowując pytania, które chciałem zadać komputerowi.

17

Usiadłem w kabinie bibliotecznej i patrzyłem jak powoli zaczyna ożywać ekran komputera.

— Dobry wieczór — odezwało się w końcu urządzenie.

— Jestem Leonardo z Benitarusa II. Korzystałem już z twoich usług.

— Jest mi bardzo przykro, ale muszę pana poinformować, że nie znalazłem żadnych nowych portretów modelki, której pan szuka.

— Wiem — oznajmiłem. — Dziś wieczorem potrzebuję innych informacji.

Na ekranie pojawił się długi spis.

— Zostałem poinstruowany przez Reubena Venzię, by przekazać panu, że przejrzał wymienione taśmy i czasopisma i nic

nie znalazł.

— Dziś nie interesuje mnie przeglądanie taśm ani mediów elektronicznych — powiedziałem.

Ekran pociemniał.

— Czekam na polecenia.

— Kto z żyjących obecnie ludzi jest największym bohaterem?

— Nie jestem w stanie formułować subiektywnych ocen, a właśnie tego typu umiejętność potrzebna jest, by odpowiedzieć na to pytanie.

— W takim razie powiedz mi, kto z żyjących członków armii otrzymał najwyższe odznaczenie za odwagę?

— Admirał Evangeline'a Waugh.

— Kobieta? — spytałem rozczarowany.

— Tak.

— A jaki żyjący mężczyzna został najwyżej uhonorowany?

— Sugi Yamisata.

— Jaki jest jego stopień?

— Nie ma żadnego.

— Czy jest na emeryturze? — spytałem.

— Odsiaduje w więzieniu wojskowym karę za zabicie pod wpływem alkoholu kolegi z armii.

— Czy jest tam dłużej niż trzy tygodnie?

— W tej chwili odsiaduje piąty rok z trzynastoletniego wyroku — odparł komputer.

Szybko zdecydowałem, że Yamisata nie może być kandydatem na następnego wybrańca Mrocznej Pani. Nie szukał jej przynajmniej przez ostatnie pięć lat i nie będzie w stanie przyciągnąć jej uwagi przez następne osiem.

— Ile czasu zajmie ci sporządzenie listy wszystkich ludzi, którzy wykonują prace związane z narażeniem życia? — spytałem.

— To jest niewykonalne — oświadczył komputer.

— Dlaczego?

— W tej chwili taka lista obejmowałaby ponad dwadzieścia miliardów ludzi. Zanim skończyłbym ich wymieniać, spis byłby już nieaktualny.

— Dwadzieścia miliardów?! — powtórzyłem z niedowierzaniem. — Ilu z nich służy w wojsku?

— Trzyście miliardów.

— A inne zawody?

— Policjanci: cztery miliardy; strażacy: miliard; profesje związane z utylizacją odpadów toksycznych...

— Dość — przerwałem.

Komputer natychmiast zamilkł.

— W jaki sposób mógłbym ustalić tożsamość żyjącego obecnie mężczyzny, który igrał ze śmiercią częściej niż wszyscy inni mężczyźni? — spytałem.

— Igranie ze śmiercią jest terminem nieściśłym, przez co narzuca subiektywną perspektywę rozumowania, która wykracza poza moje możliwości.

— Dobrze, zatem najpierw poucz mnie, jak najtrafniej konstruować pytania do ciebie — powiedziałem. — Postać z portretu, którego dla mnie szukasz, to kobieta znana jako Mroczna Pani. W ciągu tysięcy pojawiała się w towarzystwie wielu mężczyzn i niezmiennie pociągali ją wyłącznie ci, którym sprawiało przyjemność ryzykowanie życia. Dwaj ostatni, których odwiedziła, to łowca nagród i przestępca. Czy jest jakiś sposób, aby przewidzieć, gdzie pojawi się teraz?

— Twoje oświadczenie zawiera szereg wewnętrznych sprzeczności — wyrecytował komputer.

— Skonkretyzuj je — rzuciłem.

— „Pani” jest terminem odnoszącym się do kobiet. Według

akt najdłużej żyjąca kobieta umarła licząc sto pięćdziesiąt sześć lat. Twierdzisz, że Mroczna Pani żyje od wielu tysiącleci. Albo więc nie jest istotą ludzką i stąd nie jest również „panią”, albo też mylisz się w ocenie jej wieku.

— Wcale nie uważam, że jest normalną istotą ludzką — uważałem.

— Żadna inteligentna, oddychająca tlenem forma życia, zbudowana z ciała i krwi nie może egzystować przez kilka tysięcy lat.

— Przyjmij jako pewnik moją tezę, że ona żyje właśnie tak długo i że nie jest obcą formą życia.

— To jest sprzeczne z danymi, które mi zaprogramowano.

— A więc rozważ to jako hipotezę — westchnąłem lekko porytywany. — Jeśli ta hipotetyczna kobieta istnieje, czy jest jakiś sposób, by przewidzieć, gdzie się pojawi?

— Jeśli nawet założymy wyłącznie na nasz użytek, że ona rzeczywiście istnieje, ciągle jeszcze pozostają w twoim wstępnym oświadczeniu inne wewnętrzne sprzeczności — odparł komputer. — Nie ma danych potwierdzających, że wszyscy łowcy nagród i przestępcy znajdują przyjemność w ryzykowaniu życia.

— Rozumiem.

— Poza tym, ponieważ te terminy odnoszą się do całej grupy ludzi, w przeciwieństwie do Mrocznej Pani, która jest jednostką, nic mogę pozwolić sobie na hipotezę, że wszyscy łowcy nagród i wszyscy przestępcy znajdują przyjemność w narażaniu swojego życia. Posiadam dane zupełnie przeciwne.

— Rozumiem — powtórzyłem z uporem — ale gdybyś jednak założył, tylko na nasz użytek, że Mroczna Pani istnieje, czy potrafiłbyś wyznaczyć strategię, która pozwoliłaby ustalić w jakim miejscu pojawi się w najbliższym czasie?

— Posiadam za mało danych na jej temat — odrzekł komputer.

— Podać ci więcej?

— Tak.

— Wydaje się, że Mroczną Panią pociągają mężczyźni — ludzkie osobniki rodzaju męskiego — którzy świadomie i dobrowolnie podejmują działania zagrażające ich życiu. — Zamilkłem na chwilę, podświadomie oczekując, że komputer przerwie mi i stwierdzi, że ta teza jest nieprecyzyjna, ale nic takiego nie nastąpiło. — Aby ograniczyć naszą listę można by, jak mi się wydaje, wyeliminować urzędników pracujących w wojsku i policji oraz tych ochotników, którzy w trakcie walki wykonują wyłącznie rozkazy, jako przeciwieństwo ludzi, którzy z indywidualnej inicjatywy dokonują bohaterskich czynów.

— Sprzeczność — oznajmił komputer. — Czynny bohaterskie często dokonywane są przez jednostki właśnie w oparciu o bezpośrednie rozkazy. Dla przykładu podam sytuację żołnierza, któremu każe się, by utrzymał dotychczasową pozycję w obliczu przytłaczającej siły wroga, nie mówiąc mu ani słowa jak ma to uczynić.

— Dziękuję — mruknąłem. — Pomiń mój ostatni warunek.

— Zrobione.

— Bardzo możliwe, iż pociągają ją wojskowi — kontynuowałem, próbując starannie uporządkować myśli — ale ponieważ wojny składają się z krótkich bitew przerywanych różnej długości okresami spokoju, wydaje mi się, iż nie można przewidzieć jej pojawienia się w jakichś konkretnych działaniach militarnych, dlatego że nie można przewidzieć czasu i miejsca kolejnej bitwy, a zatem szkoda naszego wysiłku. Sądzę również, że tę samą zasadę można zastosować wobec funkcjonariuszy policji

i innych instytucji związanych z ochroną bezpieczeństwa publicznego.

— Zgoda.

— Dlatego, chociaż nie można wykluczyć, że następnym razem ona rzeczywiście pojawi się w towarzystwie wojskowego, funkcjonariusza policji czy łowcy nagród, będziemy mieć większe szanse znalezienia jej, jeśli weźmiemy pod uwagę wyłącznie ludzi wykonujących inne zawody.

Odczekałem chwilę na sprzeciw komputera, a kiedy okazało się, że urządzenie ciągle milczy, kontynuowałem:

— Proponuję więc, abyśmy szukali człowieka, który wykonuje pracę nie związaną bezpośrednio ani z wojskiem, ani ze służbami bezpieczeństwa publicznego, a pomimo to jednak regularnie ryzykuje życie.

— Sprzeczność. To wyklucza z rozważań wszystkich, którzy wplątują się w sytuacje grożące śmiercią z powodu innego niż zatrudnienie.

— Bardzo interesująca uwaga — przyznałem. — W gruncie rzeczy człowiek, który przyzywa śmierć bez nadziei na finansowe korzyści może być dla Mrocznej Pani atrakcyjniejszy niż, powiedzmy, akrobata cyrkowy. Zgadzasz się?

— Nie mam zdania, ponieważ Mroczna Pani jest twoim, a nie moim tworem hipotetycznym.

— A więc tylko dla naszych potrzeb włącz, proszę, do swoich rozważań fakt, że uznałaby takiego człowieka za atrakcyjniejszego. — Urwałem. — Teraz zastanówmy się, jakie grupy mogłyby nas interesować: alpinści, sportowcy uprawiający niebezpieczne dyscypliny... — Westchnąłem przygnębiony, ponieważ przyszły mi do głowy tuziny podobnych zajęć. — Nie, ta lista nie miałaby końca.

— Dwa przykłady, które wymieniłeś, to zajęcia uboczne — zauważył komputer. — Zgodnie z twoim założeniem powinieneś dołączyć do kręgu rozważań również ludzi psychicznie i emocjonalnie niezrównoważonych, którzy są opętani żądzą śmierci.

— Nie — odparłem. — Tacy ludzie nie ryzykują życia dobrowolnie. Coś ich do tego zmusza.

— Chyba wszyscy ludzie, którzy dokonują czynów zagrażających ich życiu są w pewnym sensie zdeterminowani — zasugerował komputer.

— To możliwe — przyznałem. — Niemniej jednak, musimy wyznaczyć jakąś granicę. Chciałbym, abyśmy brali pod uwagę tylko tych mężczyzn, którzy są pod względem medycznym normalni psychicznie.

— Uwzględnione — oświadczył komputer. — Masz jakiś powód, by wprowadzić to kryterium?

— Po prostu nie wierzę, by Mroczną Panią, która bez wątplenia jest przy zdrowych zmysłach, pociągali szaleńcy.

Komputer nie oponował i stwierdziłem z uczuciem rosnącego podniecenia, że zrobiłem kolejny — chociaż wciąż za mały — krok ku ustaleniu tożsamości człowieka, którego poszukiwałem.

— A więc zawężamy naszą listę do tych zdrowych psychicznie ludzi, którzy ryzykują życie dobrowolnie i bez motywacji finansowej — podsumowałem. — Dobrze, wśród tych ludzi, a są ich zapewne dziesiątki milionów, znajdą się z całą pewnością ryzykanci większego i mniejszego kalibru. Na przykład: ojciec, który wchodzi do pokoju zakaźnie chorego dziecka w oczywisty sposób dobrowolnie ryzykuje swoje życie, nie myśląc o żadnej nagrodzie pieniężnej. A jednak sam jego czyn jest o wiele mniej niebezpieczny, niż polowanie z dzidą na krwiożercze zwierzęta, wyłącznie z miłości do sportu i ryzyka. Jesteś w stanie zrobić takie

rozróżnienie?

— Musiałbym sprawdzić dodatkowe źródła.

— Nie wystarczą dotychczasowe, łącznie z danymi z Centralnego Biura Spisów Ludności na Delurosie VIII? — spytałem.

— Niestety nic.

— Szkoda — westchnąłem. — Przypominasz sobie, że kiedyś spytałem cię, co różni artyści, którzy namalowali osobę znaną jako Mroczna Pani, mieli z sobą wspólnego?

— Nie było żadnego łącznika — odparł komputer.

— Jedynie wspólny profil osobowościowy, prawda?

— Tak — odpowiedział komputer. — Jest to profil bardzo szeroki, ale coś takiego faktycznie istnieje.

— Wyeliminujmy więc wszystkich ludzi, którzy nie pasują do parametrów tego profilu.

— Uwzględnione.

— Następnie wykreśl wszystkich narkomanów, którzy bez wątpienia ryzykują życie za każdym razem, kiedy biorą jakieś środki, ale często nie uświadamiają sobie podejmowanego ryzyka albo w ogóle się nad nim nie zastanawiają.

— Uwzględnione.

Prawdopodobnie wciąż jeszcze pozostawały dziesiątki milionów ludzi... ale zacząłem przecież od miliardów. Zrobiłem więc kolejny krok.

— Poza tym — dodałem — o ile wiem, Mroczna Pani nigdy nic objawiła się dziecku, a więc ustalamy ostatecznie wiek minimalny na szesnaście lat.

— Uwzględnione.

— No i jeszcze to, że poszukiwany przez nas mężczyzna musi być nadal aktywny.

— Ten punkt jest dla mnie niejasny — wtrącił komputer. —

Czy musi być aktywny fizycznie, czy też aktywny, jeśli chodzi o ryzykowne działania?

— Co to za różnica?

— Człowiek na wózku inwalidzkim może ryzykować życie tak samo jak zdrowy, energiczny mężczyzna, albo może zdecydować, że przestaje je narażać...

— Musi nadal regularnie ryzykować życie — uciałem.

— Uwzględnione.

— Aha, nie musi być przystojny ani pociągający — zaznaczyłem — ponieważ wielu mężczyzn, którzy ją dotąd znali, było nieatrakcyjnych według powszechnie uznawanych standardów urody.

— Uwzględnione.

— Mroczna Pani nie objawia się tym, którzy kuszą śmierć tylko raz czy dwa w życiu, a więc załóżmy także, że mężczyzna, którego szukamy ryzykuje przez dłuższy czas.

— „Dłuższy czas” jest określeniem zbyt niedokładnym — przerwał mi komputer.

Spróbowałem wyobrazić sobie, jak długo mógł być przestępcą Kid — prawdopodobnie jeden z jej najmłodszych wybrańców.

— Powiedzmy, że minimum pięć lat — odparłem, mając nadzieję, że nie przeceniłem długości jego kariery kryminalnej.

— Uwzględnione.

Usiłowałem wymyślić dalsze kryteria selekcji, ale nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

— Opierając się na założeniach, które ustaliliśmy — odezwałem się w końcu — możesz już podać, ilu ludzi nadal spełnia niezbędne warunki?

— Aby odpowiedzieć na twoje pytanie, muszę dostać się do

Biura Spisów Ludności na Delurosie VIII.

— Zrób to.

— Skontaktowanie się z zagranicznym komputerem pociągnie za sobą pewne dodatkowe koszty. Czyje konto mam obciążyć?

Odpowiedź nie była łatwa. Nie mogłem przecież kazać płacić Galerii Claibome ani Malcolmowi Abercrombiemu, ponieważ aktualne poszukiwania prowadziłem na własną rękę. Z drugiej strony, sam nic byłem w stanie zapłacić, gdyż całe moje wynagrodzenie deponowane było na koncie Domu Crsthionn.

— Proszę przekazać rachunek Reubenowi Venzii — powiedziałem po chwili zastanowienia.

— Nie mam pozwolenia na taki przelew. Proszę poczekać, zapytam jego komputer osobisty. — Po chwili komputer odezwał się: — Reuben Venzia zgadza się honorować wszelkie rachunki. Łączę się z Delurosem VIII. Przegląd zajmie mi jakieś trzydzieści, czterdzieści minut. W tym czasie możesz kontynuować rozmowę ze mną albo skorzystać z innych usług bibliotecznych. Kiedy skończę, natychmiast cię zawiadomię.

— Chyba wyjdę na parę minut — zdecydowałem.

Ekran komputera pociemniał, a ja opuściłem kabinę. Oczekiwałem, że zaleje mnie morze ciepła i powróci poczucie bezpieczeństwa, tak jak to zwykle bywało, gdy wtapiałem się w tłum obdarzonych świadomością istot. Kiedy więc znalazłem się w grupce około dwudziestu przedstawicieli różnych obcych ras, rzeczywiście poczułem gwałtowny przyptyw dobrego samopoczucia, ale równocześnie uświadomiłem sobie, że wrażenie to nie może się w niczym równać z emocjami, jakich doświadczałem zawężając coraz bardziej krąg potencjalnych wybrańców Mrocznej Pani. W normalnych warunkach coś takiego głęboko

by mnie zaniepokoiło, ale teraz byłem tak pochłonięty ustalaniem tożsamości człowieka, który jako następny zmusi ją, by pokonała barierę między duchem i ciałem, że zaledwie odnotowałem to w myślach.

Pozostawałem w towarzystwie pokrewnych mi istot już pół godziny. Z każdą upływającą minutą moje podniecenie coraz bardziej rosło, więc w końcu wróciłem do kabiny i po prostu wpatrywałem się w pusty ekran, czekając aż komputer znowu zacznie działać. Włączył się parę minut później.

— Wzywam Leonardo z Benitarusa II — głos komputera zadźwięczał we wszystkich głośnikach biblioteki.

— Jestem tutaj — szepnąłem. — Czy masz już informacje, których poszukuję?

— Opierając się na aktach Centralnego Biura Spisów Ludności na Delurosie VIII, twoje kryteria spełniają 7 213 482 osoby. Zwracam uwagę, że akta mogą być niekompletne.

— Nadal jesteś połączony z Delurosem? — spytałem.

— Nie, ale chwilowo zatrzymałem w pamięci wszystkie potrzebne dane — odparł komputer. — Wymażę je, gdy tylko skończysz poszukiwania.

— Czy na podstawie danych, które zgromadziłeś, możesz wyznaczyć jakieś dodatkowe metody zawężenia listy?

— Tak — stwierdził komputer. — Jeśli Mroczna Pani ma odwiedzić mężczyznę, którego szukasz proponuję wyeliminować z kręgu rozważań wszystkich żonatych.

— Ale Christopher Kilcullen był żonaty — zauważyłem.

— Rozwiódł się ze swoją czwartą żoną, zanim namalował portret Mrocznej Pani.

— Zapomniałem o tym — przyznałem się. — Ilu z tych mężczyzn ma żony?

Mroczna Pani

- 4 302 198.
- Wyeliminuj ich — poleciałem.
- Zrobione.
- Ilu pozostaje na liście?
- 2 911 284 — oświadczył komputer.
- Nie możemy sprawdzać prawie trzech milionów mężczyzn — wymamrotałem. — Musimy zredukować ich liczbę jeszcze bardziej.
 - Proszę zaczekać...
 - Wyeliminujmy tych, którzy igrali z Mroczną Panią bez przerwy przez ponad dwadzieścia lat. Przypuszczam, że gdyby miała im się objawić, już dawno by to zrobiła — zaproponowałem.
 - W danych, które mi udostępniłeś nic nie wskazuje na to, że takie założenie może być prawdziwe.
 - Wiem, ale muszę próbować zawęzić listę. Ilu mężczyzn pozbywamy się dzięki temu kryterium?
 - 1 033 102.
 - Ilu pozostanie?
 - 1 878 182.
 - Dobrze. Skreśl tych, którzy dobrowolnie ryzykowali życie mniej niż dwadzieścia razy.
 - Wyeliminowałem kolejnych 682 646.
 - Teraz zredukuj listę o tych, którzy ryzykowali życie mniej niż pięćdziesiąt razy.
 - Wyeliminowałem 1 121 400 mężczyzn.
 - Ilu pozostało?
 - 74 136.
 - Teraz wyrzuć tych, którzy dobrowolnie ryzykowali życie mniej niż sto razy — powiedziałem, próbując bez powodzenia wymyślić jeszcze jakieś inne kryteria selekcji.

- Wyeliminowałem 72 877 mężczyzn.
- Ilu pozostało?
- 1 259.
- Wyeliminuj tych, którzy ryzykowali życie mniej niż dwieście razy.
- Skreśliłem z listy 1 252 osób.
- Znakomicie, zostało nam tylko siedmiu mężczyzn.
- Jeśli twoje kryteria były właściwe — zastrzegł komputer.
- Równie dobrze możemy skreślać w ten sposób aż do końca. Ilu z tych ludzi dobrowolnie narażało się na śmierć co najmniej dwieście pięćdziesiąt razy?
- Cała siódemka zostanie wyeliminowana.
- A więc nic potrzebujemy już następnego kryterium — odparłem z zadowoleniem.
- Kolejnym logicznym krokiem powinno być ustalenie, który z tych mężczyzn ryzykował życie częściej niż pozostała szóstka — wtrącił komputer.
- Pewnie masz rację — mruknąłem. — Podejrzewam jednak, że są między nimi bardzo niewielkie różnice. Zapewne każdy z nich żyje w stałym kontakcie ze śmiercią. W porządku, podaj mi nazwisko, które otwiera listę.
- Gottfried Schenke z Tumigi III.
- Czemu zawdzięcza, że jest naszym numerem pierwszym? — spytałem.
- Kolekcjonuje mięczaki żyjące w największym oceanie Tumigi III.
- Mięczaki? A co w tym niebezpiecznego?
- Te wody zamieszkują liczne gatunki drapieżnych ryb i ssaków. W wyniku starć z nimi Schenke w ostatnich dziewięciu latach był już cztery razy hospitalizowany.
- Ależ setki milionów ludzi w Galaktyce pływa w wodach

pełnych drapieżników — zaprotestowałem. — Na pewno dziesiątki milionów z nich wchodziło do wody więcej niż dwieście pięćdziesiąt razy!

— To prawda.

— Więc dlaczego tylko Schenke jest na liście?

— Ponieważ sprecyzowałeś wcześniej, że każdy z tych ludzi musi świadomie i dobrowolnie ryzykować życie. Z wyjątkiem bardzo nielicznej garstki pływaków, nikt albo nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia, albo w ogóle się nad tym nie zastanawia. Gdyby było inaczej, ci ludzie z pewnością nie postępowaliby tak ryzykownie.

— Rozumiem — odparłem. Nagle przyszło mi do głowy kolejne kryterium. — Wyeliminuj z listy także tych, którzy są homoseksualista mi.

— Trzech mężczyzn wyeliminowanych. Pozostaje czterech, w tym nadal Gottfried Schenke.

— Kim są trzej pozostali?

— Wilfred Kramer z Hallmarka, myśliwy. Poluje na wielkie, dzikie zwierzęta w dżunglach Hallmarka, Alzacji IV i Karobusa XIII. — Komputer zamilkł na chwilę, po czym kontynuował: — Erie Nkwana z Nowego Zimbabwe. Posiada siedemnaście rekordów w nurkowaniu górskim.

— Co to jest nurkowanie górskie? — spytałem.

— Sport, polegający na skokach ze szczytu górskiego do rwącej rzeki.

Zadrżałem na myśl o czymś takim.

— Kim jest ostatni z tej trójki? — spytałem.

— Vladimir Kobrynski z Saltmarsh. Był zawodowym bokse-rem, skakał na spadochronie, pracował jako królik doświadczalny...

— Królik doświadczalny? — przerwałem. — Kto to jest?

— To ktoś, kto dobrowolnie poddaje się eksperymentom. Kobrynski na przykład przyjmował zastrzyki z zarazkami chorób wirusowych, przeciw którym poszukiwano lekarstwa.

— Czy to nie jest sprzeczne z naszym kryterium świadomości niebezpieczeństwa?

— Nie sądzę — odrzekł komputer. — Kiedyś Kobrynski odsiadywał wyrok za zabicie człowieka w trakcie bójki na Altairze III. Zgodził się na ochotnika przyjmować zastrzyki w zamian za zmniejszenie wyroku. Mam mówić dalej?

— Tak, proszę.

— Był również myśliwym i odkrywcą, a ponadto ciągle tworzy dzieła sztuki.

— W jaki sposób artysta może ryzykować życie? — spytałem zaskoczony.

— Kobrynski stworzył nową formę sztuki zwaną malarstwem plazmowym. Jest to wysoce niebezpieczne przedsięwzięcie, podczas którego wydziela się silne promieniowanie radioaktywne przetwarzane następnie w jarzące się na nocnym niebie dzieło sztuki. Po niecałej minucie obraz się rozprasza.

— Ten facet rzeczywiście dość intensywnie szuka śmierci — zadumałem się.

— Ryzykował życie o siedemnaście razy mniej niż Gottfried Schenke — wtrącił komputer.

— Ale Schenke może być po prostu nawiedzonym kolekcjonerem — zauważyłem — a ten człowiek żyje w taki sposób, jakby cały czas prowokował Mroczną Panią.

— Masz jeszcze jakieś pytania?

— Chwilowo nic nie przychodzi mi do głowy — westchnąłem wyczerpany. — Dręczy mnie tylko wątpliwość, czy czasem cały ten wieczór nie okaże się bezproduktywną zabawą.

Mroczna Pani

— Nie potrafię na to odpowiedzieć.

— Wiem — stwierdziłem znużony. — Pewnie żaden z tych czterech mężczyzn nie namalował portretu Mrocznej Pani w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

— Nie — odparł komputer. — Prawdę mówiąc, tylko jeden z nich kiedykolwiek przejawiał jakieś zainteresowanie jej portretem.

— Wyjaśnij to! — poleciłem ostro, czując nagły przypływ podniecenia.

— Poprzez jednego ze swoich agentów Malcolm Abercrombie nabył dwa lata temu portret osoby, którą nazywasz Mroczną Panią. Aukcja odbyła się na Beta Santori V.

— Mniejsza o szczegóły, chcę nazwiska! — ponagliłem go. Nie mogłem się doczekać, który to z naszej czwórki.

— Tym, który przegrał licytację był Vladimir Kobrynski. Chcę podkreślić, że fakt ten nie miał nic wspólnego z hipotetycznym problemem, który postawiłeś mi do rozwiązania dziś wieczór i gdybyś wcześniej nakazał mi powiązać poszukiwania z kontekstem portretów, prawdopodobieństwo, że przy tej okazji pojawi się nazwisko Kobrynskiego wynosiło 0, 0000037 procenta.

— Czy mogę otrzymać wydruk wszystkich dostępnych na temat Kobrynskiego danych?

— Drukuję...

Z drukarki zaczęła wyływać pojedyncza kartka papieru.

— Masz jego hologram w swoich bankach danych?

— Tak, jeszcze go nie wymazałem. Spójrz na ekran.

Holograficzny ekran powoli zamigotał, rozjaśnił się i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem surową, ogorzałą twarz Vladimira Kobrynskiego.

18

Mroczna Pani stała przede mną i wyciągała ku mnie ramię. Hipnotyzującym głosem przyzywała mnie. Zrobiłem w jej stronę jeden niezdecydowany krok, a potem drugi.

— Chodź, Leonardo — zanuciła śpiewnie. — Chodź, a zobaczysz rzeczy, o jakich dotąd nawet nie śniłeś. Chodź, przekrocz barierę, która nas dzieli. Chodź, a poznasz odwieczną tajemnicę życia i śmierci.

Zrobiłem kolejny, trochę pewniejszy krok.

— Chodź — szepnęła. — Chodź ze mną, a poznasz majestat Drugiej Strony. Chodź!

Usiadłem gwałtownie na łóżku; byłem półprzytomny, panicznie drżały mi ręce, a moja skóra przybierała coraz to inne odcienie. Dopiero po długiej chwili dotarło do mnie, że to był tylko sen, i trochę się uspokoiłem.

Ale czy na pewno to był sen? Bardzo rzadko śniłem, a jeśli już mi się to zdarzało, zwykle po przebudzeniu nie byłem w stanie przypomnieć sobie żadnych szczegółów. Ten sen natomiast pamiętałem niezwykle wyraźnie.

Z każdą kolejną minutą rosły moje wątpliwości. A może to wcale nie był sen, tylko wizja, objawienie Matki Wszecrzeczy. Byłbym zarozumiałcem, gdybym twierdził, że odwiedziła właśnie mnie — niczym nie wyróżniającego się Bjornna płci męskiej — ale każdy szczegół tego nocnego doznania wrył mi się tak głęboko w pamięć, że zacząłem utwierdzać się w przekonaniu, iż jednak to nie był zwykły sen.

— Światła! — zawołałem chrapliwie.

Zacząłem chodzić w tę i z powrotem po rzęsiście oświetlonym pokoju, próbując dociec znaczenia tego, co mi się przydarzyło. Wczoraj wieczorem poszedłem z biblioteki prosto do hotelu, w którym mieszkał Venzia, i opowiedziałem mu o swoich odkryciach. Moja relacja tak go poruszyła, że wpadł w gorączkowe podniecenie i oznajmił, że ma zamiar w ciągu najbliższej godziny odlecieć na Saltmarsh, rodzinną planetę Kobryńskiego. Zaproponował, że weźmie mnie z sobą, ale wydawało mi się, że nie mogę opuścić Odległego Londynu bez pozwolenia Tai Chong. I chociaż usilnie nalegałem, żeby odłożył podróż do następnego ranka, za nic w świecie nie chciał zmienić swojej decyzji. Gdy się rozstawaliśmy, jego twarz płonęła fanatycznym zapalem.

Wróciłem do swojego pokoju, zmartwiony, że mój udział w historii Mrocznej Pani dobiegł końca i od razu położyłem się do łóżka. Doszedłem do wniosku, że przyśniła mi się, ponieważ przez cały poprzedni wieczór intensywnie o niej myślałem. Mógł to być podświadomy bunt wobec frustracji, jaką odczuwałem z powodu usunięcia mnie z centrum wydarzeń.

Takie wytłumaczenie było dość logiczne, ale czy prawdziwe? Moja głowa wypełniła się nagle mnóstwem pytań. Jeśli bowiem założyć, że Mroczna Pani nawiedza jednak nie tylko ludzi, to rzeczywiście mogła mi się objawić. Kim zatem jest? Matką Wszechrzeczy? Ale czy rozważanie takiej możliwości nie było przypadkiem bluźnierstwem? A może zachowałem się jak świętokradca właśnie dlatego, że nie podążyłem za nią, kiedy mnie wzywała?

Nie znałem odpowiedzi na żadne z tych pytań, a im więcej się nad nimi zastanawiałem, tym większy miałem mętlik w głowie. Rozmyślałem tak i rozmyślałem aż do świtu, po czym wysze-

dłem z pokoju i mszyłem do galerii.

W pustawym i wyposażonym w nieliczne meble hallu mojego hotelu czekał na mnie Valentine Heath. Miał znudzoną minę i całkowicie ignorował spojrzenia ciekawskich mieszkańców i jawnie wrogie gesty ze strony zaglądających z ulicy ludzi.

— Dzień dobry, Leonardo — odezwał się jak gdyby nigdy nic.

— Wyglądasz potwornie.

— Źle spałem, przyjacielu Valentine.

— Bardzo ci współczuję.

— Skąd wiedziałeś, że tu mieszkam? — spytałem. — Nigdy ci nie mówiłem.

— Nietrudno znaleźć obcego na Odległym Londynie — odrzekł ze śmiechem, po czym przybrał poważny wyraz twarzy. — Koniecznie powinieneś się przeprowadzić — kontynuował. — Dywan wytarty, tapeta się odkleja, a służba patrzy na mnie z niechęcią.

— To jest najlepszy hotel dla obcych — oświadczyłem.

— Nie do wiary!

— Też w to nie wierzyłem, póki nie odwiedziłem kilku innych — powiedziałem. Obróciłem się nieznacznie, tak żeby nie widzieć recepcjonisty — Canphoryty, który bezczelnie przyglądał się nam z twarzą wyrażającą wstręt. — Przyznaj się, czego ode mnie chcesz?

— Tego samego, co wczoraj — mruknął Heath. Zapadła nieprzyjemna cisza. — Mam siedemnaście tysięcy kredytów długu w hotelu Wieże Odległego Londynu. Zażądali zapłaty do jutra rana.

— Jesteśmy na Odległym Londynie dopiero cztery dni — wyszeptaliśmy osłupiały. — Jak zdołałeś wydać tyle pieniędzy?

— Mówiłem ci, że mam kosztowne gusta. Apartament pre-

zydencki kosztuje dwa i pół tysiąca kredytów za noc i to bez posiłków, a ponieważ przyleciałem tutaj bez ciuchów, zamówiłem także u hotelowego krawca nową garderobę.

— To było bardzo niemądre z twojej strony, przyjacielu Valentine. Powinieneś być zatrzymać się w tańszym hotelu.

— Co to za różnica? — uśmiechnął się. — Biorąc pod uwagę to, że moje fundusze są zamrożone, nie mogę sobie pozwolić na żaden hotel.

— Ale dlaczego od razu apartament prezydencki? — spytałem. — Na pewno nie potrzebujesz aż tyle przestrzeni.

— Potrzebuję pewnych drobnych luksusów — oświadczył, najwyraźniej traktując to jako wystarczające usprawiedliwienie. — Poza tym, teraz to już i tak bez znaczenia. Albo cudem załatwię gdzieś pieniądze, albo jutro rano mnie aresztują.

— Może powinieneś stąd odlecieć — zasugerowałem nieśmiało.

— Niestety, nie stać mnie na paliwo. Nie mam nawet tyle, żeby zapłacić za hangar. — Znowu przerwał. — Poszedłem wczoraj późnym wieczorem do hotelu Venzii, żeby pożyczyć od niego trochę pieniędzy, ale odleciał godzinę przed moim przyjściem.

— Wiem.

— Gdzie jest teraz?

— W drodze na Saltmarsh.

— Saltmarsh? — powtórzył Heath. — Nigdy nie słyszałem o tym świecie.

— To mała planeta w gwiazdozbiorze Albion.

— Po co tam poleciał?

— Żeby się spotkać z Mroczną Panią.

— Skąd wie, że ona tam jest?

— Ja mu powiedziałem.

- Tak? A skąd się dowiedziałeś?
- Wydedukowałem to z pomocą komputera bibliotecznego
- wyjaśniłem.
- Jesteś pewien, że się nie mylisz?
- Tak mi się wydaje.
- Dlaczego nic poleciałeś z Venzią? — zainteresował się.
- Mam inne zobowiązania.
- Wobec Claiborne'a?
- Kiedy rozmawiałem ostatniej nocy z przyjacielem Reubenem, sądziłem, że galeria jest ważniejsza — jęknąłem. — Teraz sam już nie wiem.
- Co się stało?
- Będziesz się śmiał, kiedy ci powiem.
- Przymierzam, że nie będę, nawet jeśli mnie to naprawdę rozśmieszy — rzekł uspokajająco. — Co takiego się wydarzyło, Leonardo?
- Chyba nawiedziła mnie Mroczna Pani.
- Chyba? — powtórzył, marszcząc brwi.
- Nie jestem pewny, może to był tylko sen — wyjaśniłem zgodnie z prawdą. — Naprawdę nie wiem. — Urwałem na chwilę, po czym dodałem: — Ale jeśli to była ona, koniecznie muszę zobaczyć ją jeszcze raz.
- Jak bardzo jest to dla ciebie ważne, Leonardo? — spytał Heath.
- Jeśli to rzeczywiście była ona, może najważniejsze ze wszystkiego na świecie — westchnąłem strapiony. — Ale nie stać mnie na przelot na Saltmarsh, więc raczej nigdy się nie dowiem.
- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny — rzucił.
- Co masz na myśli? — spytałem podejrzliwie.
- Jeśli zdradzisz mi działanie systemu zabezpieczeń

Abercrombiego, jutro rano nie tylko będę miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zatankować statek, ale będę także musiał dość pośpiesznie opuścić Odległy Londyn. — Przerwał znacząco. — Równie dobrze mogę wyruszyć w kierunku Saltmarsh na poszukiwanie Mrocznej Pani i zabrać cię z sobą.

— Nic szantażuj mnie — powiedziałem twardo.

— To nie jest szantaż — odparł. — To tylko zwykła wymiana usług. Jeśli ty mi nie pomożesz, ja nic będę mógł pomóc tobie. To wszystko.

— Nic mogę spełnić twojej prośby, przyjacielu Valentine.

— Mam nadzieję, że zmienisz zdanie, Leonardo — oznajmił — chociaż jeśli nie, i tak będę musiał zainteresować się kolekcją Abercrombiego dziś wieczorem. Po prostu nie mogę dłużej czekać. — Zadumał się. — Gdybyś do północy zmienił zdanie, skontaktuj się ze mną.

— Nic licz na to.

Wyciągnął rękę.

— A więc życz mi powodzenia.

Uścisnąłem bez słowa jego dłoń, a on odwrócił się i powoli wyszedł z hotelu. Obserwowałem przez długą chwilę, jak niknie w tłumie porannego szczytu, a potem ruszyłem do Galerii Clai-borne. Jak na złość przez całą drogę natrętnie tłukł mi się po głowie obraz Mrocznej Pani. Po przyśściu do galerii skierowałem się prosto do mojego biurka i zacząłem pisać list.

Droga Tai Chong!

Mam do rozstrzygnięcia bolesny dylemat moralny. Odnoszę wrażenie, że objawiła mi się Mroczna Pani i choć nie jestem tego do końca pewny, koniecznie muszę ją odnaleźć i ustalić, kim naprawdę jest i czego ode mnie chce. Żeby to jednak zrobić, muszę pomóc przyjacielowi popełnić przestępstwo i skorzystać z

jego owoców.

Jeśli mu nie pomogę, nie będę w stanie odwiedzić świata, w którym wkrótce pojawi się Mroczna Pani, a jeśli faktycznie jest tą osobą, za którą ją uważam, popełnię w ten sposób świętokradztwo.

Oczywiście, możliwe jest, że się mylę, że ona wcale się ze mną nie skontaktowała i w ogóle nie interesuje się obcymi. Ale nie przekonam się o tym, dopóki z nią nie porozmawiam, a bez udzielenia pomocy mojemu przyjacielowi nie będę mógł tego zrobić. Jeśli się jednak mylę, jeśli ona niestety nie odwiedziła mnie, okaże się, iż pomogę przyjacielowi popełnić przestępstwo jedynie dla korzyści finansowych, więc będę równie winny jak on sam.

Potrzebuję moralnej porady, a nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić. Dlatego błagam cię, żebyś...

Poczułem czyjąś rękę na ramieniu i gwałtownie wyprostowałem się na krześle.

- Szefowa chce cię widzieć — powiedział Hector Raybum.
- Teraz? — spytałem.
- Tak powiedziała.
- Już idę. Dziękuję, przyjacielu Hectorze.

Poinstruowałem komputer, żeby przechował list w pamięci, a potem wstałem i udałem się do biura Tai Chong.

- Wejź, Leonardo — uśmiechnęła się uprzejmie.
- Dziękuję, wielka pani — odpowiedziałem i wszedłem do pokoju. Już w drzwiach zauważyłem, że do licznych wiszących na ścianie pamiętek dodano nowy hologram, na którym dwóch krzepkich policjantów prowadziło ją do więzienia na Kennicotcie. Jej twarz przybrała wyraz triumfu.

- Interesujące, prawda? — powiedziała, podążając za moim wzrokiem.

— Przerażające, wielka pani! — krzyknąłem szczerze. — Policjanci wyglądają na bardzo potężnych i wściekłych.

— I tacy byli — odparła radośnie. — Jestem z tego hologramu bardziej dumna niż z wszystkich pozostałych razem wziętych.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć osobie, która odczuwała tak wyraźną przyjemność z aresztowania za złamanie prawa. Zapadło niezręczne milczenie.

Po chwili Tai Chong znowu się odezwała:

— Zastanawiam się, czy miałeś już jakieś wieści od Valentine'a Heatha?

— Rozmawiałem z nim dziś rano, wielka pani.

— I...?

— Ciągle ma zamiar obrabować Malcolma Abercrombiego.

— Powiedziałeś mu, że chcę go widzieć?

Moja skóra ściemniała ze wstydu.

— Zapomniałem, wielka pani.

— Cóż, nic nie szkodzi — mruknęła. — Ale pamiętaj, żeby mu przekazać tę informację, kiedy zobaczysz go następnym razem.

— Nie będzie następnego razu, wielka pani.

— Nie? A to dlaczego?

— Ponieważ on zamierza obrabować Malcolma Abercrombiego dziś w nocy i prawie na pewno zostanie aresztowany. — Przerwałem. — Zatrzymał się w Wieżach Odległego Londynu, wielka pani. Może ty zdołasz go od tego odwieść.

— Może — mruknęła. — Skąd masz pewność, że go złapią? To całkiem sprytny facet.

— Ponieważ nigdy nie był w domu Malcolma Abercrombiego i nie jest obeznany z systemem zabezpieczeń. Prosił mnie o pomoc, ale odmówiłem.

— Rozumiem.

Poruszyłem się niespokojnie.

- Mam prośbę, wielka pani.
- Jaką?
- Czy Claiborne ma oddział na Saltmarsh?
- To jest w gwiazdozbiornie Albion, prawda?
- Tak, wielka pani.
- Wydaje mi się, że mamy tam małą filię — odparła po chwili namysłu. — Dlaczego pytasz?
- Chciałbym zostać natychmiast przeniesiony na Saltmarsh. Zmarszczyła brwi.
- Z jakiego powodu? Jesteś tutaj nieszczęśliwy?
- Nie, wielka pani! — zawołałem. — Wręcz przeciwnie, kocham swoją pracę i bardzo mi się tu podoba. Wydaje mi się jednak, że Mroczna Pani pojawi się wkrótce na Saltmarshu i koniecznie muszę z nią porozmawiać.
- Po co?
- Istnieje szansa, tylko szansa, nic pewności, że ta kobieta może mieć ogromne religijne znaczenie dla rasy Bjornn — wyjaśniłem. — Zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, brzmi niedorzecznie, ale muszę ją znowu zobaczyć, aby poznać prawdę.
- Dlaczego nie wspomniałeś mi o tym wczoraj?
- Dowiedziałem się o tym dopiero ostatniej nocy — odparłem. — Chciałem wziąć urlop i polecieć na Saltmarsh z Reubenem Venzią, ale on już odleciał... Jesteś moją jedyną nadzieją. Popatrzyła na mnie w zamyśleniu.
- A co z Heathem? — spytała w końcu. — Jesteście przyjaciółmi, prawda?
- On nie ma pieniędzy nawet na paliwo do statku — stwierdziłem. — Dlatego właśnie jest zdecydowany obrabować Malcolma Abercrombiego.
- Czy on też interesuje się Mroczną Panią? — spytała, rysując jednocześnie na kartce jakieś wzorki bez znaczenia.

— Ona interesuje go wyłącznie jako towar, który mógłby sprzedać Malcolmowi Abercrombiemu — wyjaśniłem.

— Co za prostak — obniszyła się. Na moment zatopiła się w myślach, a potem nagle wstała. — Żałuję, ale nie mogę ci pomóc, Leonardo — stwierdziła ze współczuciem. — Niestety, nie mogę cię wysłać do naszej filii na Saltmarsh.

— Z powodu tych problemów na Karolu Wielkim? — spytałem.

— Nic, nie — odparła pośpiesznie. — Całkowicie oczyszczono cię z wszelkich zarzutów. — Zamyśliła się. — Ale twój kontrakt dotyczy tylko filii Galerii Claibome na Odległym Londynie. Filia na Saltmarsh nie ma prawa cię zatrudnić.

— A gdyby zrobić wyjątek? — jęknąłem. — To może być rzecz o podstawowym znaczeniu dla mojego przyszłego życia.

Potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że nic nie da się zrobić, Leonardo. Mogę jedynie przyznać ci krótki urlop, jeśli jesteś w stanie dostać się tam na własny koszt. Z wszystkich swoich posunięć muszę zdawać relację przed zwierzchnikami, a nie mogę im przecież powiedzieć, że przeniosłam cię na Saltmarsh tylko dla twojej osobistej przyjemności.

— Rozumiem, wielka pani — odparłem ze smutkiem, a moja skóra przybrała odcień głębokiego rozczarowania. — Przepraszam, że cię niepokoiłem.

— Nic się nie stało, Leonardo — szepnęła uspokajająco. — Żałuję, że nie mogę ci pomóc.

Opuściłem dyrektorski gabinet, wróciłem do biurka, usiadłem i w skupieniu analizowałem słowo po słowie rozmowę z Tai Chong. Minął już czas, kiedy jej wypowiedzi rozumiałem dosłownie; stałe kontakty z ludźmi nauczyły mnie, by kwestiono-

wać każde ich stwierdzenie i motyw. Uświadomiłem sobie, że Tai Chong wcale nie ma zamiaru powstrzymać Valentine'a Heatha przed obrabowaniem Malcolma Abercrombiego. Chciała jedynie dopilnować, aby mu się powiodło. Dlatego właśnie musiała z nim porozmawiać: chciała wskazać mu obrazy, które mogłaby przyjąć bez kłopotliwych pytań. Z tego samego powodu odmówiła przeniesienia mnie na Saltmarsh — wiedziała, że moje gorące pragnienie spotkania Mrocznej Pani zmusi mnie do współdziałania z Heathem.

A może się mylę? Wiedziałem, że Tai Chong handlowała obrazami podejrzanego pochodzenia, ale czy to możliwe, by tak inteligentna i prawa kobieta mogła obojętnie się przyglądać, jak okradany jest jeden z jej klientów? A nawet jeśli tak było, czy mogłaby naprawdę tak manipulować wydarzeniami, aby zagwarantować włamaniu sukces?

Nic nie wiedziałem, jaka jest prawda, ale doświadczenie nauczyło mnie, że jeżeli jakakolwiek istota ludzka ma do wyboru dwa posunięcia, zwykle wybiera to bardziej egoistyczne. Z rezygnacją poinstruowałem komputer, aby wymazał mój ostatni list do Tai Chong.

Pracowałem do obiadu, a gdy skończyłem, zamiast pójść do tej samej restauracji co zwykle, udałem się do najbogatszej dzielnicy miasta i odnalazłem hotel Wieże Odległego Londynu.

Kiedy przechodziłem przez korytarz, towarzyszyła mi cała masa wrogich spojrzeń, ale nikt nie próbował mnie zatrzymać. Przywołałem windę. Nie wiedziałem, gdzie znajduje się apartament prezydencki, ale pomyślałem, że może być na najwyższym piętrze i poleciłem windzie, żeby mnie tam zawiozła.

W końcu znalazłem się na długim korytarzu, wypełnionym wysokiej klasy rzeźbami z całej Galaktyki, i do wielkich, ręcznie

rzeźbionych drzwi z kosztownego doradusiańskiego drewna.

— Kto tam? — zapytał Heath, kiedy system bezpieczeństwa poinformował go o mojej obecności.

— Leonardo — odparłem.

Chwilę później drzwi bezgłośnie wsunęły się w ścianę i znalazłem się w bogato umeblowanym pokoju. Heath podniósł się z miękkiego krzesła i podszedł do mnie, stąpając po pluszowym dywanie.

— Wyglądasz jeszcze gorzej niż rano — skomentował. — Chodź i siadaj.

— Dziękuję — odparłem i podszedłem do sofy, która unosiła się parę cali nad podłogą.

— Jak się czujesz? — spytał z troską w głosie. — Twoja skóra ciemnieje.

— To jest odcień wstydu.

— Och, czyżbyś miał coś na sumieniu?

— Przyszedłem, żeby ci opowiedzieć o systemie zabezpieczającym kolekcję Malcolma Abercrombiego — oświadczyłem.

CZĘŚĆ 4

***Człowiek, który dostał
to wszystko***

19

Najpierw poczułem głód, potężny, przejmujący, jakiego nie zaznałem nigdy w życiu.

Zacząłem powoli odzyskiwać przytomność, niejasno uzmysławiając sobie, że znajduję się wewnątrz kapsuły hibernacyjnej. Otworzyłem oczy i skrzywiłem się z bólu, ponieważ poraziło mnie oślepiające światło. Przy każdej próbie ruszenia głową odnosiłem wrażenie, jakby ktoś uderzał w nią młotkiem. Znieruchomiałem więc ponownie w pozycji leżącej i w myślach doliczyłem do trzystu. Polem, nadal zeszywniały, ale już bez bólu, usiadłem, niezdarnie przerzuciłem nogi nad ścianką kapsuły i ostrożnie wstałem.

Heath siedział na krawędzi drugiej kapsuły; jego zwykle starannie zaczesane włosy były dziko potargane. Przez chwilę na jego twarzy malował się wyraz całkowitej dezorientacji. Zgiął niepewnie ramiona, a potem łagodnie opuścił stopy na podłogę.

— Dzień dobry, Leonardo — odezwał się, kiedy zauważył, że już się obudziłem. — Jak się czujesz?

— Jestem głodny — rzuciłem.

— I masz do tego pełne prawo — odparł. — Nie jadłeś od jakichś trzydziestu dni.

— A jak ty się czujesz, przyjacielu Valentine?

— Jestem wprost piekielnie głodny!

Heath skierował się do kuchni, stękając za każdym razem, gdy jego stężałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa, a ja poszedłem za nim, próbując ignorować bolesne skurcze raz po raz przeszywające moje nogi.

— Cholera, ależ zeszywniałem! — poskarżył się.

Dotarliśmy do kuchni i zamówiliśmy śniadanie, po czym usiedliśmy przy maleńkim stoliku i w milczeniu jedliśmy żarłocznie przez parę minut. Gdy skończyliśmy, Heath wyprostował się na krześle i westchnął z zadowoleniem.

— Boże, jakie to było dobre! — wrzasnął radośnie. — Jestem tak objedzony, że chyba powinienem wrócić do hibernatora i przespać się trochę, aby to wszystko strawić.

— To nie jest konieczne, przyjacielu Valentine — powiedziałem. — Ludzki organizm trawi pokarm w...

— To był żart, Leonardo — przerwał.

— Och... — strapiłem się. Ponieważ nie chciałem zranić jego uczuć, dodałem pośpiesznie: — Był bardzo śmieszny.

— Dzięki — skrzywił się.

— Proszę bardzo, przyjacielu Valentine.

— Wiesz — zaczął Heath — kiedyś zastanawiałem się, czy po prostu nie złożyć w banku stu tysięcy kredytów na osiem czy dziewięć procent... albo nawet na dwa procent... a potem nie zahibernować się na kilka stuleci. Obudziłbym się jako bogacz. — Heath uśmiechnął się. — Ale kiedy później spędziłem parę miesięcy w kapsule, uświadomiłem sobie, że po niecałym roku umarłbym z głodu i pragnienia. Pomiędzy całkowitym zatrzymaniem wszelkich funkcji organizmu, a jedynie spowolnieniem jego niektórych czynności jest kolosalna różnica.

— Poza tym, Oligarchia wydała zarządzenie, że odsetki od pieniędzy na kontach nie mogą narastać, jeśli ich właściciel znajduje się w kapsule — zauważyłem. — Dlatego hibernacja jest pod ścisłą kontrolą rządu: informacje o czasie jej trwania przekazywane są do komputera Skarbu Państwa na Delurosie. Tak są zaprogramowane wszystkie kapsuły.

— To nowy przepis — przerwał mi. — Nie obowiązywał w epoce Republiki ani Demokracji, a hibernacja stosowana jest już od prawie dwóch i pół tysiąca lat. Tak, jestem przekonany, że ktoś kiedyś musiał już spróbować dłuższego pobytu w kapsule i umarł z głodu zamiast się obudzić.

Heath zamilkł.

— Gdzie się obecnie znajdujemy, przyjacielu Valentine? — spytałem w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Jakieś dwa dni temu powinniśmy byli osiągnąć gwiazdozbiór Albion — odrzekł. — Sprawdzę naszą dokładną pozycję.

Wypowiedział odpowiednią komendę i komputer włączył się. — Podaj mi nasze aktualne położenie — zadysponował Valentine.

— Jesteśmy w gwiazdozbiórce Albion. Za około siedemdziesiąt dziewięć minut przelecimy w odległości trzech lat świetlnych od systemu Maximus.

— Dokładnie tak jak zaplanowaliśmy. — Heath uśmiechnął się łobuzersko. — Zdaje się, że wyprzedzamy Venzię co najmniej o parę dni.

— Przecież odleciał prawie trzydzieści sześć godzin przed nami? — zdziwiłem się.

Heath przybrał zadufaną minę.

— Niewiele jest tak szybkich statków jak ten, a Venzia nic wygląda na kogoś, kto posiadałby jeden z nich. — Zamówił z kuchni lampkę wina i spytał komputer, czy gdy byliśmy w stanic hibernacji zostały nagrane jakieś wiadomości.

— Tak — odparł komputer. — Mam w pamięci trzy informacje dla ciebie.

— Odtwórz je w takiej kolejności, w jakiej je dostałeś — stwierdził Heath.

— Pierwsza pochodzi od Louisa Nittenneiera — oznajmił komputer.

— To mój prawnik — wyjaśnił Heath.

— Valentine? Valentine? — odezwał się piskliwy męski głos. — Cholera! Dlaczego zawsze kiedy koniecznie potrzebuję z tobą porozmawiać, akurat jesteś zahibernowany? — Chwila ciszy. — No dobra, po kolei. Wszystkie zarzuty przeciwko tobie zostały oddalone i nie jesteś już poszukiwany. Możesz wrócić na Karola Wielkiego. Skonfiskowano prawie połowę twojej kolekcji — wszystko czego wcześniej nie ubezpieczyłeś, ale natychmiast oprotestowaliśmy tę decyzję i prowadzimy już rozmowy na temat zwrotu. Sądzę, że pół miliona kredytów wystarczy. Muszę się zobaczyć z jeszcze jednym facetem z policji, ale dowiedziałem się z całkiem pewnego źródła, że chętnie się ze mną dogada. Co jeszcze? — Kolejna przerwa. — Aaa, tak... straciłeś mieszkanie w zachodniej dzielnicy miasta, jedno z tych, które wynajmowałeś pod fałszywym nazwiskiem. Oczywiście zapomniałeś zapłacić czynsz za ostatnie cztery miesiące. Udało mi się załatwić w sądzie, by nikt inny nie mógł się tam na razie wprowadzić. Jeśli chcesz mieć je z powrotem, wyślij mi czterdzieści tysięcy kredytów za za ległe komorne i jeszcze dziesięć tysięcy na zabezpieczenie. I nie zapomnij zapłacić swojemu ciężko pracującemu adwokatowi. Koniec wiadomości.

— To mieszkanie i tak mi się nie podobało — oświadczył Heath, obojętnie wzruszając ramionami. — Proszę o następną wiadomość.

— Valentine — powiedział straszliwie podnieconym głosem Louis Nittermeier — co ty, do cholery, wywinąłeś na Odległym Londynie? Policja kontaktowała się ze mną dzisiaj już trzy razy. — Przerwa. — Jakiś facet nazwiskiem Abercrombie wrzeszczy, że

cię zabije, i z tych nielicznych informacji, które udało mi się uzyskać wiem, że chyba nie należy do ludzi, których można udobruchać jakąś drobną sumką. Wierzę, że jesteś niewinny jak niemowlę... ale jeśli przypadkiem jest inaczej, lepiej trzymaj się co najmniej pięćset lat świetlnych od Odległego Londynu, dopóki nie znajdziesz sobie dobrego adwokata. Podkreślam słowo „dobry”. Niestety, moja licencja nie zezwala mi na otwarcie biura na Odległym Londynie, zresztą, nawet gdybym dostał takie pozwolenie i tak nie wiedziałbym, za które sznurki pociągnąć. — Kolejna przerwa. — A tak między starymi przyjaciółmi, nie jesteś już tym wszystkim zmęczony? Powiedz, czy każda twoja wykałaczką musi być ze szlachetnego metalu i to w dodatku od razu z dwudziestoczerokaratowego złota? Któregoś dnia będziesz chciał ugryźć więcej niż jesteś w stanie przeżuć, a wtedy ktoś uzmysłowi ci twoją zachłanność tak brutalnie, że nigdy więcej niczego już nie będziesz miał ochoty strawić. Z tego co wiem, Abercrombie ma duże szanse, żeby zostać właśnie tym kimś. — Znużone westchnienie. — Cóż, życzę szczęścia i nie zapomni j za płacić swojemu wiernemu adwokatowi. Koniec.

— Jak się dowiedział, że to ja? — spytał Heath, marszcząc brwi. — Nigdy w życiu nie spotkałem tego faceta.

— Wie, że sprzedałeś obraz Mallachiego i że wróciłeś ze mną na Odległy Londyn — wyjaśniłem.

Potrząsnął głową.

— Tłumy ludzi przylatują co dzień na Odległy Londyn. Dlaczego podejrzewa akurat mnie? Wie tylko tyle, że jestem handlarzem, który sprzedał mu poszukiwane płótno. — Heath zmienił temat. — Proszę o ostatnią informację.

— Tu Tai Chong — odezwał się znajomy głos. — Mamy, jak mi się zdaje, duży problem. — Umilkła na chwilę, a potem konty-

nuowała obojętnym tonem, ostrożnie dobierając słowa: — Podobno trzy dni temu ktoś ukradł cztery cenne obrazy z domu Malcolma Abercrombiego. Nie mam najmniejszego pojęcia, kto mógł dokonać tego haniebnego czynu, ale z jakiegoś powodu pan Abercrombie ma, oczywiście jak najbardziej mylne, przekonanie, że jesteś za to odpowiedzialny, Valentine. Przekonał policję, żeby wydała nakaz aresztowania ciebie. Nie mam pojęcia, gdzie jesteś, ale jeśli ta wiadomość przypadkiem do ciebie dotrze, nalegam, byś zwrócił się do policji i oczyścił swoje dobre imię.

Heath zaśmiał się na tę propozycję.

— Jeśli jesteś z nim, Leonardo, przykro mi cię poinformować, że pan Abercrombie oskarża cię o współudział w tym przestępstwie i że obecnie jesteś poszukiwanym przez prawo zbiegiem.

Znowu przerwała i Heath odwrócił się do mnie.

— Zauważ, że nie zasugerowała ci, abyś się oddał w ręce władz — oznajmił rozbawionym tonem.

— Dlaczego tego nie powiedziała? — spytałem szczerze zaintrygowany.

— Ponieważ wie, że byś to zrobił.

— Jestem pewna, że uda mi się to wszystko załatwić i załatwić, by oddalono zarzuty, które na tobie ciążyą, Leonardo — kontynuowała Tai Chong — ale tymczasem, chociaż uważam taką metodę za odrażającą, muszę cię zawiesić w prawach mojego pracownika. Nie będziesz otrzymywał też zapłaty. Mam w tej sprawie związane ręce. Taka jest polityka galerii. Musimy uważać na każdego, kogo oskarża się o jakiegokolwiek przestępstwo. Głęboko wierzę, że nie zrobiłeś nic złego i nigdy nie zrobisz, ale fakt pozostaje faktem: to już drugie podejrzenie o przestępstwo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy...

Siedziałem oszołomiony.

— Kiedy twoja cotygodniowa pensja nie wpłynęła na konto Domu Crsthionn, skontaktowała się ze mną twoja Matka Wzorcowca i nie miałam innego wyjścia, jak tylko wyjaśnić jej całą sytuację. Z przykrością muszę cię zawiadomić, iż musiałam jej przekazać również, że policja szuka cię w związku z kradzieżą. Nie spocznię, dopóki nie uwolnię cię od odpowiedzialności za ten pożałowania godny incydent — dodała pospiesznie. — Czuję się z tego powodu strasznie, Leonardo, i daję ci słowo, że nic cierpisz nadaremnie. Zawsze byłeś wobec mnie lojalny i ja także będę lojalna wobec ciebie. Nawet jeśli ta sprawa przeciągnie się zbyt długo, co wydaje się prawdopodobne, nadal będę chętnie korzystać z twoich usług jako luźno związanego z nami konsultanta.

— Moja Matka Wzorcowca wic o wszystkim?! — powtórzyłem, ogarnięty paniką.

— Nie mam pojęcia, gdzie wy dwaj jesteście i oczywiście nie wiem też, dokąd się udajecie, ale jeśli wiadomość dotrze do ciebie, Valentine, liczę, iż oddasz się w ręce najbliższych władz i że namówisz Leonardo, aby zrobił to, co będzie dla niego najlepsze. Życzę powodzenia i szczęśliwej drogi.

— Cóż za dama! — zachwycił się Heath. — Założę się, że kiedy wysyłała tę wiadomość, w jej biurze tkwiło kilku policjantów.

— Myślałem, że zrobiłem to, czego chciała — oświadczyłem zupełnie zdruzgotany.

— Bo zrobiłeś — odparł Heath. — Ale Tai Chong nie wzięła pod uwagę, że Abercrombie może podejrzewać Bjornna o współpracę z człowiekiem, który ma zamiar złamać prawo. — Potrząsnął głową. — Ten facet jest albo inteligentniejszy niż są-

dziłem, albo to kompletny paranoik.

— Co się ze mną stanie? — wyjąkałem zrozpaczony.

— Nic słuchałeś chyba zbyt uważnie, co? — spytał Heath lekko.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Obiecała, że zaopiekuje się tobą. A ona zawsze dotrzymuje słowa.

— Jak? — spytałem, kompletnie nic nie rozumiejąc.

— W ten sam sposób, w jaki opiekuje się mną — wyjaśnił Heath. Uśmiechnął się. — „Luźno związany konsultant” to eufemizm dla określenia sprzedawcy kradzionych dzieł sztuki. Gwarantuję, że zarobisz w ten sposób więcej niż uzbierałbyś pracując przez całe życie w galerii albo nawet samodzielnie handlując dziełami sztuki na Bjornnie.

— Na Benitarusie II — poprawiłem go mechanicznie.

— Co za różnica.

— Za nic w świecie nic zostanę złodziejem! — zaprotestowałem.

— A co innego ci pozostało? — zastanowił się Heath poważnie. — Twoja Matka Wzorcowa nie będzie z tobą w ogóle rozmawiać, a Galeria Claiborne chwilowo pozbyła się ciebie.

— Mogę popełnić rytualne samobójstwo.

Potrząsnął głową.

— Galeria cię nie zwolniła. Jeśli Tai Chong sprawi, by policja oddaliła zarzuty przeciwko tobie, wciąż będziesz musiał odpracować resztę kontraktu.

— Niczego nie jestem dłużny kobiecie, która skłoniła mnie do popełnienia przestępstwa, a teraz chce jeszcze, żebym został złodziejem.

— Masz interesujące poglądy na temat honoru, Leonardo.

— Nic rozumiem — szepnąłem.

— Honor nakazuje ci wypełniać finansowe zobowiązania jedynie w stosunku do ludzi, którzy żyją według twoich wysoce moralnych norm, czy tak? — spytał Heath. — A przecież sam powiedziałeś, że Tai Chong narzuciła ci własne pojęcie moralności. — Urwał. — Żyję według swego szczególnego kodeksu od lat, ale też nigdy nie udawałem, że jestem człowiekiem honoru.

— Jak mam wypełnić kontrakt, jeśli Tai Chong najwyraźniej woli, żebym kradł dla niej obrazy? — spytałem.

— Nie wiem — odrzekł Heath. — Będziesz musiał to dobrze przemyśleć.

— Nie mogę! — zaprotestowałem. — Potrzebuję porady moralnej.

— Ode mnie? — spytał z rozbawionym uśmiechem.

— Nie, nie od ciebie — odparłem zimno.

— Twoja Matka Wzorcowca ci nic pomoże, a od Tai Chong rady nic chcesz — zauważył. — Kogo jeszcze mógłbyś spytać?

— Nie mam pojęcia — odrzekłem. — Znajdę kogoś.

— Tymczasem jednak jesteś sam, a jakoś trzeba żyć.

— Nic będę kradł dzieł sztuki — powiedziałem twardo.

— Czy ja ci to proponuję? — spytał Heath niewinnie.

— Tak.

— Och, zapomnij o tym. Przynajmniej na chwilę. Wyobraź sobie, że istnieje o wiele łatwiejszy sposób zarobienia pieniędzy. — Pochylił się do przodu z przejęciem. — Będziemy na Saltmarsh przed Venzią, a więc zapewne pierwsi znajdziemy Mroczną Panią. Myślę, że twój przyjaciel chętnie zapłaci znaczną sumkę za pięć minut sam na sam z nią.

— Jeśli ty potrafisz znaleźć ją na Saltmarsh, jemu też się to uda — zauważyłem.

Heath uśmiechnął się z wyższością.

— Poczekamy na niego w porcie kosmicznym i powiemy, że ją porwaliśmy.

— Dlaczego miałby ci uwierzyć?

— Ponieważ będzie to brzmiało dość logicznie — wyjaśnił Heath. — Z jakiego powodu miałbym go okłamywać?

— Choćby z takiego, że nazywasz się Valentine Heath.

— Ale on nie zna Valentine'a Heatha tak dobrze jak ty.

— Wie jednak, że Mroczna Pani odejdzie, zanim zdołasz ją zmusić do zrobienia czegokolwiek wbrew jej woli — zwróciłem mu uwagę.

— Z tego, co ty i Venzia mówiliście wynika, że nigdy nie znika w obecności kogoś, kto nie jest świadom jej prawdziwej natury. Będziemy więc po prostu trzymali ją w tłumie.

— Trzymali ją w tłumie? — powtórzyłem.

— Tak. Im więcej będzie ludzi, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że ona zniknie.

— Myślałem, że chcesz okłamać przyjaciela Reubena — stwierdziłem.

— Jeśli będę musiał — odrzekł Heath. — Najpierw jednak naprawdę spróbuję dostarczyć mu tę panią. Tyle, że może nam się nic udać, więc na tę okoliczność musimy mieć przygotowany plan awaryjny.

— Więc masz zamiar przetrzymać ją, dopóki nie przyleci Venzia? — spytałem.

— Dokładnie tak.

— Nie chcesz o nic jej poprosić? — kontynuowałem.

— Na przykład o co?

— O odpowiedź na pytania Venzii.

Heath potrząsnął głową.

— Oczywiście, że nie. Jaką przyjemnością byłoby życie bez tajemnic?

— A jeśli istnieje jakieś inne życie, jeśli śmierć nic jest końcem, nie chcesz się tego dowiedzieć?

— W swoim czasie i tak dowiem się na ten temat wystarczająco dużo — odparł beztrąsko.

— Ale...

— Zrozum — przerwał mi. — Nigdy nie należałem do osób, które zaczynają czytać powieść sensacyjną od ostatniego rozdziału. To oszustwo. Tak mi się wydaje.

— Od kiedy to tak brzydzisz się oszustwem?

— No, no, no, zaczynasz błyszczeć inteligencją — zaśmiał się. Milczeliśmy przez długą chwilę.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — odezwałem się w końcu.

— Leonardo — westchnął Heath. — Jeden z powodów, dla których wolę myśleć, że kiedy umieramy, umiera wszystko czym jesteśmy, jest taki, że jeśli miałoby być inaczej ja byłbym skazany na wieczne potępienie. Mroczna Pani może powiedzieć mi tylko dwie rzeczy: albo że jest jakieś życie po śmierci, albo że nie ma go. Jeśli nie ma, w niczym nie zmieni to mojego poglądu na porządek tego świata. Jeśli jest, wolę o tym nie wiedzieć. Czy taka odpowiedź cię zadowala?

— Tak, przyjacielu Valentine.

— A ty chcesz ją o coś spytać?

— Być może — mruknąłem.

— O co?

— Nie jestem jeszcze pewien.

— Cóż, lepiej się szybko zdecyduj. Za niecałe pięć godzin lądujemy na Saltmarsh. — Heath zamyślił się. — Wiesz — dodał po chwili — Saltmarsh leży tylko cztery dni od Benitarusa II. Kiedy załatwimy już wszystko, mógłbym zawieźć cię do domu, żebyś

spróbował osobiście rozwiązać swoje problemy z Matką Wzorcową.

— Dziękuję ci za troskę, przyjacielu Valentine — uśmiechnąłem się — ale zakazano mi lądować na Benitarusie II.

— Może twoja matka zmieni zdanie, jeśli dowie się, że jesteś tak blisko swej rodzinnej planety.

— Raczej nie.

— Nigdy nie wiadomo — rzucił.

— Wiadomo — odparłem. — Mój Dzień Akceptacji minął podczas naszego pobytu w stanie hibernacji, a ona nie przysłała mi żadnej wiadomości ani podarku z jedzeniem.

Zaśmiał się.

— Uciekamy przed policją, Leonardo! Nikt poza Tai Chong nie wie, dokąd się udajemy i od blisko trzydziestu dni utrzymujemy ciszę radiową. Skąd twoja Matka Wzorcową ma wiedzieć, gdzie wysłać prezent?

— To prawda — zadumałem się.

— Zauważ też, że od miesiąca podróżujemy z prędkością światła. Nawet gdyby wiedziała, jak nas znaleźć i tak nie miała żadnej możliwości, żeby dostarczyć ci paczkę?

— Dziękuję za twoje spostrzeżenia, przyjacielu Valentine — stwierdziłem z autentyczną nadzieją. — Bardzo mnie podniosły na duchu.

— A więc zechcesz się spotkać z Matką Wzorcową, kiedy skończymy nasze sprawy na Saltmarsh? — spytał znowu.

— Nigdy już nie będzie mi wolno się z nią zobaczyć — wyjaśniłem cierpliwie. — Co więcej, prawdopodobnie w ciągu paru najbliższych dni popełnię samobójstwo.

— Znowu zaczynasz? — z rezygnacją zapytał Heath. — Nie ma ciekawszych tematów do rozmowy?

— Są, ale ten jest najważniejszy. Może będę zmuszony, by...

— Oszczędź mi opowieści o swoich nakazach moralnych — przerwał energicznie. — Chcę, żebyś dał mi słowo, że nie odbierzesz sobie życia ani nie będziesz o tym mówił, dopóki Tai Chong nic przekona policji, że jesteśmy niewinni.

— Przyrzekam, że nie będę mówił o samobójstwie aż do wiadomości od Tai Chong — rzekłem ostrożnie.

— Bardzo trudno się z tobą rozmawia, wiesz?

— Mówiłeś mi to już wcześniej.

— Więc mówię ci to jeszcze raz!

— Przykro mi, że cię obraziłem, przyjacielu Valentine — tłumaczyłem się.

— I przestań, do cholery, za wszystko przepraszać! — wrzasnęła ze złością. — Jeżeli zamierzasz odnosić sukcesy w złodziejskim fachu, przede wszystkim musisz pozbyć się tej pieprzonej uniżoności!

— Wcale nie zamierzam odnosić przestępczych sukcesów — odpaliłem.

— Więc będziesz głodnym złodziejem.

Pomaszerował do kajuty, a ja zostałem w kuchni. Przez następną godzinę z roztargnieniem przeżuwałem sojowe półprodukty i zastanawiałem się, co też poradziłaby mi moja Matka Wzorcowca, aby pomóc mi się przygotować do życia kryminalisty.

20

Heath wprowadził statek na orbitę wokół Saltmarsh i skon-

taktował się z jedynym portem kosmicznym planety.

— Tu Pablo Picasso, zarejestrowany na Karolu Wielkim, trzydzieści jeden dni temu wylecieliśmy z Odległego Londynu; dowódca: Valentine Heath, rasa: Człowiek. Proszę o współrzędne do lądowania.

— Proszę przedstawić cel pańskiego przybycia na Saltmarsh — oznajmił kobiecy głos.

— Cel handlowy.

— Jaka dziedzina handlu?

— Kupuję i sprzedaję dzieła sztuki.

— Walutą Saltmarsh są szylingi Nowej Kampali. Czy chce pan dokonać wymiany?

— Przyjmujecie kredyty?

— Nasz świat jest członkiem Oligarchii, proszę pana — odparł urażony głos.

— A więc nie muszę wymieniać pieniędzy — stwierdził Heath.

— Atmosfera Saltmarsh zawiera 16, 23 procenta tlenu i 79 procent azotu, a ciężenie wynosi 0, 932 standardu Delurosa VIII. Czy któryś z tych czynników może stanowić zagrożenie dla pańskiego zdrowia?

— Dla mojego nie — odrzekł Heath. — Czy są tu jakieś pierwiastki, które mogłyby okazać się szkodliwe dla Bjornna?

Zapadła krótka cisza.

— Ma pan na pokładzie swojego statku jakichś przedstawicieli obcych ras?

— Tak.

— Proszę ich poinformować, że nie wolno im opuścić statku.

— To nie ma sensu — zaprotestował Heath. — Mój wspólnik należy do rasy Bjornn z Benitarusa II. Sprawdźcie akta, a przekonacie się, że Benitarus ma najwyższy handlowy i kulturalny status ze wszystkich światów Oligarchii — status planety naj-

większego uprzywilejowania — i zawsze cieszył się serdecznymi kontaktami z ludzką rasą.

— W żadnym wypadku obcy nie może otrzymać pozwolenia na lądowanie na Saltmarsh. Zakaz jest całkowity i bez- wyjątkowy.

— Mogę mówić z pani przełożonym? — poprosił twardo Heath.

Rozmawiał z kierownikiem działu, później z Biurem Imigracyjnym i z filią Departamentu do Spraw Obcych Ras, ale po półgodzinie stało się oczywiste, że polityka rasowa Saltmarsh jest konsekwentna i rząd nie ma ochoty zrobić wyjątku.

W końcu Heath odwrócił się do mnie z rezygnacją.

— Cóż, Leonardo. Nie mogę już wyżej interweniować, chyba że pozwoliliby mi porozmawiać z gubernatorem, ale obaj wiemy jaka byłaby odpowiedź.

— Zgadzam się, przyjacielu Valentine — mruknąłem.

— Mam się udać do Kobryńskiego sam czy odlatujemy? Wybór należy do ciebie.

— Musimy odnaleźć Mroczną Panią — odparłem. — Idź sam.

— W porządku. Co mam zrobić, jeśli znajdę Kobryńskiego, a jej tam nie będzie?

— Będziesz musiał na nią poczekać.

— Jak długo? Dzień, miesiąc, rok? Aż nie dojdziemy do wniosku, że jednak źle zlokalizowałeś jej następnego wybrańca?

— Prędyj czy później do niego dołączy i zobaczę ją ponownie — oświadczyłem z przekonaniem.

— Chyba że to, co uważasz za wizję, tak naprawdę było tylko nic nie znaczącym snem.

— Skoro tak myślisz, to dlaczego mnie w ogóle z sobą zabrałeś? — spytałem.

— Ponieważ Saltmarsh leży na drugim końcu Galaktyki, niezły kawał drogi od Odległego Londynu — odparł. — A jeśli odgadłeś prawidłowo, mam szansę zarobić na tym małą fortunę. Oczywiście, jeśli uda mi się powstrzymać ją przed zniknięciem... Ale nie zapominaj przy tym — dodał — że numer rejestracyjny mojego statku znajduje się teraz w komputerze Saltmarshu... Wciąż jesteśmy poszukiwani przez policję. Każda kolejna godzina naszego pobytu tutaj zwiększa szansę, że zostaniemy schwytani, a przynajmniej zdemaskowani przed miejscowymi władzami.

— Wiem, ale za wszelką cenę muszę się dowiedzieć, czy ona rzeczywiście jest tą osobą, za którą ją uważam.

— W porządku — stwierdził Heath. — Chciałem się tylko upewnić, czy zdajesz sobie sprawę z ryzyka jakie podejmujemy. — Zamilkł i westchnął. — Pierwszy krok to znalezienie Kobryńskiego. Jeśli ona będzie z nim, wrócę tutaj i zaplanujemy nasze następne posunięcie. Jeśli jej nie będzie, spróbuję go namówić, żeby udał się ze mną na statek i wysłuchał twojej opowieści na jej temat. To jest o wiele łatwiejsze niż próbować cię przemycić na planetę.

— Tak, o ile on będzie miał na to ochotę — zauważyłem.

— Niekiedy potrafię być całkiem przekonujący — odrzekł Heath.

— Gdyby Kobryński należał do ludzi, których można łatwo przekonać, ona nigdy by się nim nie zainteresowała.

— Zobaczmy — rzucił sceptycznie Heath. Włączył radio i ponownie skontaktował się z portem kosmicznym. — Tu Valentine Heath. Całkowicie rozumiemy waszą postawę i akceptujemy warunki lądowania bez zastrzeżeń.

— Bardzo dobrze, Pablo Picasso. Masz zgodę na lądowanie.

Przekazałam już współrzędne twojemu komputerowi pokładowemu.

— Dziękuję — mruknął Heath.

Dwadzieścia minut później wylądowaliśmy na planecie, Heath opuścił statek, a para uzbrojonych strażników zajęła pozycje przed włazem, prawdopodobnie po to, by powstrzymać mnie przed ewentualnym sprofanowaniem gleby Saltmarshu.

Przez okno obserwowałam Heatha, póki nie zniknął z pola widzenia, po czym włączyłam komputer i zacząłam pisać:

Do Mrocznej Pani!

Nie wiem, jak cię nazywać ani nawet jak dostarczyć Ust do twoich rąk, ale moja Matka Wzorcową wyparła się mnie, Tai Chong zaś zmusiła, bym został przestępcą i ze wszystkich istot płci żeńskiej, które znam, pozostałaś mi tylko ty, a potrzebuję porady moralnej.

Zresztą, jeśli jesteś naprawdę Matką Wszechrzeczy, nie tylko znasz mój wstyd i hańbę, ale sama je dla mnie zapisałaś w Księdze Losu, z powodów, których nie potrafię odgadnąć.

Nie wiem, dlaczego mnie odwiedziłaś ani czego ode mnie chcesz. Nauczono mnie czcić Dom i Rodzinę, ale Dom wyrzekł się mnie, a Rodzina zabroniła innym Bjornnom wymawiać moje imię. Wpojono mi poszanowanie prawa, a mimo to zostałam złodziejem i obecnie moją jedyną nadzieją na przetrwanie jest doskonalenie się w tej profesji. Kapłanka i Święte Pisma twierdzą, że Matka Wszechrzeczy stworzyła Bjornnów na swoje własne podobieństwo, ty jednak przybrałaś kształty obcej rasy. Nauczono mnie miłować życie, ale ty, która mi je dałaś, kochasz tylko śmierć.

Nie pragnę cię osądzać, chcę tylko dobrze zrozumieć twoje zamysły. Czy sposób w jaki żyłam dotąd, był właściwy? A może

chcesz, abym umarł w blasku chwały? Takiej śmierci przecież pragną ludzie. Jeśli Dom się pomylił, jeśli Rodzina wmówiła sobie wszystkie swoje przekonania, jak to się stało, że nigdy nie sprowadziłaś ich na prawdziwą drogę? I dlaczego właściwie objawiasz się tylko ludziom?

A może to ja się pomyliłem i źle odczytałem twoją naturę? Byłaś u mnie naprawdę czy też był to tylko sen?

Muszę poznać odpowiedź, ponieważ jeśli był to tylko sen, rację ma moja Matka Wzorcową, twierdząc że jestem łajdakiem. Pomogłem Valentine'owi Heathowi okraść Malcolma Abercrom- biego i jeżeli zrobiłem to bez twojego błogosławieństwa, moja dusza będzie błąkać się przez całą wieczność, skazana na wiekuiste potępienie i samotna w wielkiej próżni wszechświata.

Właśnie z tego powodu muszę dowiedzieć się, kim jesteś i czego ode mnie chcesz, czy nic dla ciebie nie znaczę, czy też żyję zgodnie z planem, jaki mi przeznaczyłaś? Nie czuję się zły, ale czynię zło.

To jest właśnie sedno sprawy — zło, które wyrządziłem. Malcolm Abercrombie zwolnił mnie z pracy wtedy, kiedy jeszcze w ogóle nie wiedziałem o twoim istnieniu, ale byłem wdzięczny Tai Chong, że skłoniła go, by mnie przyjął z powrotem. Wiedziałem, że Valentine Heath jest złodziejem, zanim zdałem sobie sprawę z twego istnienia, a pomimo to nie doniosłem na niego policji. Wiedziałem, że Kida zwabiono w śmiertelną pułapkę na długo przedtem, nim poznałem twoją prawdziwą naturę, ale nie zrobiłem niczego, by go ostrzec. Widziałem, jak Valentine Heath przekupuje burmistrza Acheronu i nie sprzeciwiłem się temu...

Przemyślałem na nowo wydarzenia ostatnich paru tygodni i doszedłem do nieuchronnego wniosku: wcale nie popełniłem tych

złych czynów dla ciebie.

A skoro tak, musiałem je zatem popchać dla siebie.

Problem w tym, że nadal nie czuję się zły. Czyżbym był więc tak głęboko zdemoralizowany i do tego stopnia zepsuty, że nie dostrzegam już różnicy pomiędzy dobrem i złem?

A może porzuciłaś swoją bjornnowską postać i stałaś się człowiekiem z jakiegoś określonego powodu? Czy to możliwe, że ludzie mają rację, a my się mylimy, że Valentine Heath jest o wiele bliższy twego ideału cnoty niż moja Matka Wzorcowca?

Nikt inny nie jest w stanie rozstrzygnąć moich wątpliwości, a nie mogę już dalej żyć w niepewności. Muszę poznać prawdę. Mój zawód, to znaczy mój pierwotny zawód, przyzwyczaił mnie do kontaktu z kolorem i kreską, ale doświadczenie mówi mi, że życie jest raczej dalekie od sztuki: wszystko jest w tym albo czarne, albo białe. I nawet teraz, z policją na karku, w chwili, gdy uczę się łamać prawa ustanowione przez świat ludzi i rozpaczliwie szukam sposobu, by się z tobą spotkać — o ile rzeczywiście tu jesteś — nawet teraz nie wiem, czy wykonuję twój rozkaz, czy też po prostu pomnażam ilość swoich łajdactw.

Muszę wiedzieć, czy jesteś tylko śmiercią, szukającą wszędzie kochanków, czy Matką Wszecchrzeczy.

Muszę dowiedzieć się, kim jesteś albo do końca swego życia nie dowiem się, kim jestem ja sam.

Znak, Największa Pani! Błagam cię, daj mi znak!

Twój oddany

Na tym skończyłem. Jej oddany, kto? Syn, czciciel, sługa, nikczemnik?

Westchnąłem i popatrzyłem na ekran, zdumiony swoją śmiałością. Niektóre istoty modlą się do Matki Wszecchrzeczy, inne ją ignorują, ale żadna nigdy nie ośmieliłaby się napisać do

niej listu z żądaniami.

Poleciałem komputerowi, żeby natychmiast zmaszał list i wykasował go z pamięci, a potem zapatrzyłem się posępnie w okno statku, z roztargnieniem obserwując dwóch strażników, którzy stali bez mchu w gorącym słońcu Saltmarshu. Stali sztywno, ich plecy były wyprostowane, mundury nieskazitelne, oczy wpatrzone przed siebie, a broń w pogotowiu. Byli doskonale przygotowani do obrony świętości swojej planety przed wszystkimi obcymi plugawcami. Uświadomiłem sobie, że zastanawiam się nad tym, jak oni zachowaliby się na mojej planecie, gdyby znaleźli się w sytuacji podobnej do tej jak ja teraz.

Najprawdopodobniej wyszliby śmiało przez właz, ignorując wszelkie zakazy. Ludzie bowiem najpierw działają, a dopiero później zastanawiają się nad konsekwencjami. Zawsze mnie uczono, że takie podejście jest irracjonalne i nierozważne, a jednak to właśnie ludzie podbili pół miliona światów, podczas gdy logicznie postępujący Bjornni tkwią wciąż na jednej jedynej planecie. Podczas gdy my skupialiśmy się na przestrzeganiu czystości moralnej w życiu, oni zalali gwiazdy miliardami swoich przedstawicieli i badali, podbijali, plądrowali, rządzą, nigdy nie prosząc o pozwolenie na zaludnienie czyjejs planety, nigdy niczego nie dając, nigdy nie przepraszając, nigdy nie spoglądając za siebie. W okresie Republiki przenosili się szybko z planety na planetę, wzbudzając wrogość większości ras. W końcu zostali zmuszeni, by się wycofać i przegrupować, ale Republika i tak przetrwała jeszcze dwa tysiąclecia. Potem nastąpiła Demokracja. Na jej początku ludzie byli po prostu tylko jedną z wielu ras, ale wkrótce znowu odzyskali prymat — Demokracja przetrwała prawie trzy tysiące lat. Teraz mamy erę Oligarchii i ogromną, pełną inteligentnych ras Galaktyką rządzi w sposób absolutnie

doskonały Zgromadzenie Siedmiu, ale w ciągu ostatnich czterech wieków żaden obcy nigdy nie zasiadł w fotelu szefa rządu Oligarchii.

Zastanawiałem się, czy Bjornn mógłby zająć takie stanowisko. W zasadzie tak, ale dużym ciężarem byłby dla niego nasz kodeks etyczny, który w wielu sytuacjach nie pozwalałby mu na podejmowanie decyzji najkorzystniejszych z ludzkiego punktu widzenia. Czyżby więc Matka Wszechrzeczy przemyślała wszystkie swoje dotychczasowe posunięcia i uznała, że brakuje nam pragmatyzmu? Czy Mroczna Pani kocha to, co w człowieku najlepsze? A może pociąga ją to, co jest w nim najgorsze?

Zwłaszcza za frapowała mnie ta ostatnia myśl. Czy istnieje jakiś łącznik między naszymi dwiema rasami, punkt względnej równowagi między pierwiastkami jin i jang? Czy Mroczna Pani próbuje przybliżyć Człowieka do ideałów Bjornnów, eliminując tych mężczyzn, którzy są najjawniejszymi przykładami skrajnie nieracjonalnych zachowań? A jeśli tak, czy ja również jestem częścią tego planu, prototypem nowej rasy Bjornn, zawodowym złodziejem i uciekinierem, który ośmiela się zwracać bezpośrednio do swojego bóstwa?

Ale równie dobrze mogło być i tak, że po prostu nauczyłem się za swoje własne grzechy i wady obwiniać jakąś tajemniczą kobietę, która ani nie zna rasy Bjornn, ani się nią nie interesuje, której w ogóle nie obchodzi Vladimir Kobrynski i która znajduje się w tej chwili albo o dziesiątki tysięcy lat świetlnych stąd, albo nigdy już nie objawi się nikomu w cielesnej postaci.

Mniej więcej od dwóch godzin kłębiły mi się w głowie takie ponure myśli, kiedy otworzył się właz i z wielką paczką wciśniętą pod pachę wszedł na statek Heath.

— Znalazłeś ją? — spytałem gorączkowo.

Potrząsnął głową.

— Nie znalazłem nawet jego, ale wiem, gdzie jest.

— Gdzie?

— Na bezludnym świecie zwanym Samotnikiem. To jedyna planeta okrążająca Betę Sybaris. Widzisz... Jak się okazuje, malarstwo plazmowe jest jeszcze bardziej niebezpieczne niż sądziliśmy. Dowiedziałem się, że może wyniszczyć całą populację planety, jeśli nie zastosuje się odpowiednich środków ostrożności. W każdym razie rząd Saltmarsh postanowił nie ryzykować życia swoich obywateli z powodu najnowszego hobby Kobryńskiego i poprosił go o opuszczenie planety. Przyjaciel Vladimir odleciał i teraz tworzy arcydzieła na Samotniku, gdzie może zabić co najwyżej samego siebie.

— Jak to daleko stąd? — spytałem.

— Możemy dotrzeć tam w niecałe dwa dni — odparł Heath. Postawił na stole pudełko. — A to mały prezencik dla ciebie. — Popatrzył na mnie, oczekując reakcji. — To od twojej Matki Wzorcowej.

— Niemożliwe — stwierdziłem smutno. — Skąd mogłaby wiedzieć, że tutaj jestem?

— Widocznie Tai Chong jej powiedziała, ponieważ przysłała to do tutejszej filii Claiborne'a, a oni przekazali paczkę Urzędowi Celnemu, przypuszczając, że prędzej czy później się pojawimy. — Urwał. — Przestań tak podejrzliwie na mnie zerkać, Leonardo. System Benitarus leży tylko o tydzień lotu od Saltmarsh. Miała dość czasu, żeby przysłać ten pakunek przed naszym przybyciem.

— Masz rację — przyznałem. Moja nadzieja gwałtownie odżyła. — To by się nawet zgadzało.

— Widzisz — mruknął Heath z satysfakcją. — A zdawało ci się,

że zapomniała o twoim Dniu Akceptacji.

— Muszę ci się z czegoś zwierzyć, przyjacielu Valentine.

Byłem się, że w ogóle się ze mną nie skontaktuje — oznajmiłem i zacząłem w pośpiechu rozwiązywać paczkę. — Zwłaszcza, kiedy powiedziano mi, że poinformowano ją, iż jestem poszukiwany przez policję Odległego Londynu. — Niezręcznie rozszarpywałem palcami sznurki i plomby. — Jeśli odmówiono mi tylko Święta Pierwszej Matki, istnieje jeszcze możliwość, że pewnego dnia otrzymam pozwolenie powrotu do mojej Rodziny.

— Wyglądasz na bardzo podnieconego — zauważył Heath. — Prawie się jarzysz.

— Jestem strasznie podniecony, przyjacielu Valentine — odparłem. W końcu udało mi się rozedrzeć papier i zacząłem powoli otwierać pudełko. — To byłoby więcej niż ośmieliłbym się kiedykolwiek mieć nadzieję i...

Nagle zamilkłem i martwym wzrokiem wgapiłem się w paczkę.

— Co się stało? — zapytał Heath zaniepokojony. — Coś nie w porządku?

— Prosiłem Mroczną Panią o znak — rzuciłem posępnie. — Właśnie mi go dała.

Sięgnąłem w głąb pudełka i trzymając za ogon wyjąłem małego, martwego szczura.

— Zostałem wyrzucony z Domu na całą wieczność — jęknąłem. — Wszyscy Bjornni zostaną poinformowani, żeby mnie unikać, jeśli kiedykolwiek i gdziekolwiek mnie spotkają, a moje imię zostanie usunięte z Księgi Rodzinnej.

— Może się mylisz — powiedział Heath. — Gdyby naprawdę cię wyrzuciła, nie wysyłałaby ci niczego.

— Byłoby dla mnie lepiej — zajęczałem.

— Nie rozumiem.

— W Dniu Akceptacji odbywa się uczta... — wyjaśniłem. Moja skóra gwałtownie zmieniała kolory. Z całych sił starałem się zapanować nad emocjami.

— Dlatego właśnie sądzę, że się mylisz — odpalił Heath. — Czegoś takiego nie mogłaby wystąpić na twój Dzień Akceptacji. Bjornni są przecież wegetarianami.

— W ten sposób moja Matka Wzorcowa przekazuje mi, że nie tylko okryłem się hańbą, ale i nie jestem już Bjornnem.

— A kim niby według niej teraz jesteś? — spytał Heath, wpatrując się w szczura.

— Zjadaczem mięsa.

— Zjadaczem mięsa? — powtórzył zaciekawiony.

— Człowiekiem — oświadczyłem.

21

Vladimir Kobrynski z wyglądu w niczym nie przypominał bohatera.

Rysy jego opalonej twarzy były toporne, miał mocno przereźdzone i słabe włosy, wyjątkowo wydatny nos, brakowało mu części płatka lewego ucha, a jego zęby były krzywe i przebarwione. Chociaż z natury krzepki i muskularny, ważył jakieś dwadzieścia pięć funtów za dużo i nad paskiem zwisał mu spory brzuch. Ręce różniły się od siebie kolorem: prawa była brązowa, opalona przez słońca wielu światów, a lewa niemal biała, dzięki czemu doszedłem do wniosku, że musi być sztuczna. Nie utykał,

ale chodził z pewną sztywnością, jak gdyby przez cały czas dolegały mu wszystkie stare rany.

Leciliśmy na Samotnika pięćdziesiąt trzy godziny, a później przez kolejne trzydzieści minut usiłowaliśmy zlokalizować siedzibę Kobryńskiego, co okazało się niełatwe, ponieważ planeta miała bardzo pofałdowaną powierzchnię — gęsto upstrzoną górami i kraterami — a artysta ustawił metalowy barak przy podstawie wygasłego wulkanu. Heath uprzedził go przez radio o naszym przylocie i gdy Kobryński wreszcie odpowiedział na nasz sygnał i sprawdził naszą tożsamość, wylądowaliśmy na planecie i zaparkowaliśmy obok jego statku.

Dostrzegliśmy go natychmiast po wyjściu na powierzchnię. Z wyrazem otwartej ciekawości na twarzy czekał na nas przed wjazdem.

— Pan Heath? — spytał patrząc na Valentine'a.

— Zgadza się.

— Witam na Samotniku. Zawsze lubiłem towarzystwo. — Obrócił się do mnie. — Ty musisz być Leonardo. Śmieszne imię jak na obcego.

— Przykro mi, jeśli to pana obraża — oświadczyłem.

— Żeby mnie obrazić, trzeba się nieźle napracować — rzucił lekko i zamilkł, lustrując nas wzrokiem. — Okay — rzekł w końcu. — Wiem, że nie jesteście z Saltmarshu i że nigdy przedtem nie spotkałem żadnego z was, może więc łaskawie powiecie mi, co tu robicie i dlaczego nagle stałem się tak popularny. — Uśmiechnął się. — Nie jestem aż tak chorobliwym egoistą, żeby sądzić, iż przylecieliście tu oglądać moje malarstwo plazmowe.

— Czyżbyśmy nie byli jedynymi pańskimi gośćmi? — spytał ostrożnie Heath.

— Dostałem radiową wiadomość od kogoś nazwiskiem Venzia — odparł Kobryński. — Powinien zjawić się tu za parę

godzin. Wszyscy chcą na gwałt ze mną rozmawiać. Z jakiego powodu?

— Venzia? — powtórzył Heath zaskoczony. — W jaki sposób dogonił nas tak szybko?!

Tym razem to Kobrynski zrobił zdziwioną minę.

— Czy wy, chłopaki, urządziliście sobie wyścig, w którym ja jestem metą?

— Można to tak ująć — odrzekł Heath.

— Po co?

— Ponieważ wydaje nam się, że jest pan bardzo ważnym człowiekiem, panie Kobrynski — wyjaśnił Heath — i mamy parę pytań, które chcielibyśmy panu zadać.

— Dlaczego jestem taki ważny?

— To właśnie jedna z kwestii, które chciałbym z panem omówić — odparł Heath.

Kobrynski wzruszył ramionami.

— Czemu nie? Nie mam nic do ukrycia. Ale tutaj jest do prawdy zbyt gorąco. Wejdźmy do domu. — Odwrócił się do mnie. — Ty leż.

Udaliśmy się za nim do wielkiego budynku. Wewnątrz stało mnóstwo bardzo skomplikowanych komputerów najnowszej generacji, a także różne inne urządzenia, których w ogóle nie umiałem zidentyfikować. Na ścianach wisiało kilka głów zwierzęcych, tak przerażających, że trudno było stwierdzić, która z nich jest najpotworniejsza.

— Imponujące! — zauważył Heath.

— Sprzęt czy zwierzęta? — spytał Kobrynski.

— Jedno i drugie — odparł Heath. Wskazał na jedną z głów. Należała do straszliwego gada z sześciocalowymi kłami. — Czy to nic jest czasem grzmiący jaszczur? Wydaje mi się, że widziałem kiedyś takiego w zoo na Lodinie XI.

Kobrynski skinął głową.

— Zgadza się, to grzmiący jaszczur. Tyle że musiał go pan oglądać raczej w muzeum. Nikomu nic udało się jak dotąd złapać żywego przedstawiciela tego gatunku.

— Skąd pochodzą? — spytałem.

— Z Gamma Scuti IV.

— Wyglądają na bardzo drapieżne — zauważyłem.

— I takie są — przyznał Kobrynski. Poklepał czule łeb. — Zwłaszcza ten. Wgryzał mi się w lewą stopę, kiedy w końcu go zabiłem.

— Czy to wtedy stracił pan rękę? — spytałem.

Potrząsnął przecząco głową.

— To było jakieś piętnaście lat temu. Miałem wypadek spadochronowy. — Zgiął sztuczne lewe ramię. — Niewielka strata. Ta służy mi lepiej niż prawdziwa. Macie ochotę na drinka? — zaproponował.

— Tak, chętnie — ucieszył się Heath.

Kobrynski sięgnął do szafki, wyciągnął z niej butelkę altairiańskiego rumu i rzucił ją Heathowi.

— Też chcesz? — spytał mnie.

— Nie piję alkoholu — odpowiedziałem. — Ale dziękuję za propozycję.

— Proszę bardzo. — Skinął głową i usadowił się na krawędzi nie zasłanego łóżka. Nam wskazał metalowe stołki. — W porządku. Możecie zadawać te wasze pytania. Coś mi się zdaje, że interesują mnie tak samo jak was odpowiedzi.

— Jest pan tutaj sam? — spytał Heath.

— To pytanie czy zapowiedź kradzieży? — spytał Kobrynski tonem, który przez potencjalnych włamywaczy powinien zostać uznany za bardzo złą wróżbę.

— Pytanie, i to najwyższej wagi — odparłem.

— Jestem sam.

— Nic ma z panem żadnej kobiety? — nalegał Heath.

Kobrynski zatoczył ręką półkole, mając na myśli zapewne całą powierzchnię planety.

— Widzicie tu jakąś? — odparł lekko poirytowany. — O co chodzi z tą cholerną kobietą? Venzia pytał mnie o to samo.

— Szukamy pewnej kobiety — wyjaśniłem. — Mam powody sądzić, że niedługo się tutaj pojawi.

— Na Samotniku? — spytał artysta z sardonicznym uśmiechem. — Co mogłoby zmusić jakąkolwiek kobietę, żeby przyleciała na taki gorący, brzydki i obumarły świat jak ten?

— Pan, panie Kobrynski — odrzekłem.

Popatrzył na mnie zaskoczony.

— Ja?

— Właśnie.

— Chyba niezbyt dobrze obejrzeście mnie sobie w blasku słońca — zaśmiał się. — Raczej nie posiadam twarzy z gatunku tych, które skłaniają kobiety, żeby ganiały za jej właścicielem po całej Galaktyce.

— Ta kobieta będzie ganiała — mruknąłem.

— Proszę mówić dalej — rzucił Kobrynski. Jego mina wyrażała szczere zainteresowanie.

Obróciłem się do Heatha.

— Pozwolisz, że wszystko wyjaśnię, przyjacielu Valentine?

— Zaczęłeś już parę minut temu.

— Przepraszam za brak taktu — szepnąłem.

— Nie musisz przeproszać — powiedział Heath. — W końcu jesteś, hmm... ekspertem.

— Dziękuję — powiedziałem, zwracając się ponownie do

naszego gospodarza. — Panie Kobrynski, dwa lata temu podczas aukcji na Beta Santori V chciał pan kupić pewien obraz.

— Skąd o tym wiesz?

— Podano tę informację do publicznej wiadomości — odrzekłem. — Przypomina pan sobie?

— Jasne, że tak. To było jedyne dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek usiłowałem kupić. Sprzątnął mi je sprzed nosa jakiś bogaty drań z Bliskiego czy Starego Londynu.

— Z Odległego Londynu — poprawiłem go.

— Znasz go? — spytał Kobrynski. — Facet nigdy nie zjawiał się sam na aukcji. Miał agenta, który licytował w jego imieniu.

— Nazywa się Malcolm Abercrombie — dodałem. — Jeszcze całkiem niedawno pracowałem u niego.

— Musi być nadziany.

— Jest dość zamożny — przyznałem ostrożnie. — Mogę wiedzieć, co takiego szczególnego było w tym obrazie? Co pana w nim zainteresowało? Widziałem dzieło i szczerze mówiąc, to dość marny portret, jeśli chodzi o zalety artystyczne.

— Przylecieliście tutaj, żeby zapytać mnie o obraz czy o kobietę, której szukacie?

— O jedno i drugie — wyjaśniłem. — Odpowie pan na moje pytanie? To naprawdę ważne.

Kobrynski wzruszył ramionami.

— Mało mnie obchodziło, czy ten obraz jest dobry — odrzekł. — Powiedziałem ci już, że nie kolekcjonuję dzieł sztuki.

— Ale próbował pan go nabyć — kontynuowałem. — Dlaczego?

— Z powodu modelki.

— Kobiety z obrazu?

Skinął głową.

— Właśnie.

- Widział ją pan kiedyś? — spytałem.
- Prawic co noc przez ostatnie dwadzieścia lat — odparł Kobrynski.
- To niemożliwe! — wtrącił Heath.
- Uważaj, kogo nazywasz kłamcą, panie Heath — powiedział złowieszczo Kobrynski.
- Był pan kiedyś na Acheronię? — spytał Heath.
- Nigdy nawet o nim nie słyszałem.
- Wiem na pewno, że przebywała na Acheronie przynajmniej przez miesiąc — wyjaśnił Heath. — Jak to możliwe, że była z panem w tym samym czasie?
- Nie powiedziałem, że ją spotkałem — odrzekł Kobrynski. — Powiedziałem tylko, że ją widziałem. — Postukał się w głowę. — Tutaj.
- Nie rozumiem, panie Kobrynski — przyznał się Heath.
- Stale się pojawiała w moich snach — wyjaśnił Kobrynski. — Początkowo sądziłem, że sam ją wymyśliłem. Potem zobaczyłem ten obraz. — Zamyślił się. — Zapewne musiałem go zobaczyć kiedyś wcześniej i po prostu zachowałem wspomnienie jej twarzy w podświadomości.
- Nie przychodzi panu do głowy żadne inne wyjaśnienie?
- spytałem, znacząco zawieszając głos przy słowie „inne”.
- Jestem pewny, jak cholera, że nigdy w życiu nie widziałem tej kobiety na oczy, bo nie mogłem jej widzieć — odparł.
- Ten obraz pochodził sprzed sześciu wieków.
- Dlaczego próbował pan go nabyć? — po raz kolejny powtórzyłem z uporem swoje pytanie.
- Nagle jego oczy się zwężyły.
- Słuchaj — powiedział chrapliwie. — Jeśli został skradziony, a twojemu szefowi wydaje się, że może podejrzewać o to mnie

tylko dlatego, że dawno temu chciałem kupić tę cholerną rzecz...

- Zapewniam pana, że nie został skradziony — wtrąciłem
- i że Malcolm Abercrombie nie jest już moim pracodawcą.
- Więc co cię obchodzi, dlaczego próbowałem go kupić?
- wybuchnął.
- Proszę mi uwierzyć, że to dla mnie niezwykle ważne.
- Cóż, wolałbym raczej o tym nie mówić — odrzekł i zamilkł na chwilę, jakby rozważając coś w duchu. W końcu wzruszył ramionami. — Do diabła, niech ci będzie. Przeleciałeś taki kawał drogi... Myślę, że mogę ci odpowiedzieć... — Urwał dla efektu. — Próbowałem go kupić, ponieważ sądziłem, że jest to metoda na pozbycie się mojej obsesji.

- Nic rozumiem.

- Może ci się to wydać szaleństwem, ale chociaż wiedziałem, że nigdy nic spotkałem kobiety z obrazu, zacząłem stopniowo wierzyć, że ona istnieje naprawdę i że któregoś dnia ją spotkam. — Poruszył się. Wyglądał na speszzonego. — Przypuszczam, że byłem w niej nawet trochę zakochany.

- Wcale nie uważam tego za szaleństwo — zauważyłem. — Proszę mówić dalej.

- Cóż, kiedy teraz o tym opowiadam, mnie samemu wydaje się to szaleństwem — mruknął z zakłopotaniem. — Zachowywałem się jak opętany. Za każdym razem, kiedy wchodziłem na ring albo stawałem twarzą w twarz z atakującym zwierzęciem miałem wrażenie, że udowadniam jej swoją prawdziwą wartość i czułem, że jeśli tylko zdołam wygrać wystarczająco dużo walk i pokonać wielką liczbę wyjątkowo drapieżnych zwierząt, ona jakoś dowie się o tym i mnie odnajdzie. — Nagle urwał i skrzywił się w kwaśnym uśmiechu. — Zdaje się, że właśnie prowadzę jakieś absurdalne romantyczne pogaduszki z dwoma niezna-

jomymi na temat mojej miłości do zjawy. Może lepiej wróćmy do waszej kobiety z krwi i kości.

— Dla mnie zjawy są znacznie bardziej interesujące — przerwałem. — Moglibyśmy jeszcze trochę o nich porozmawiać?

Westchnął.

— Dlaczego nic? Cokolwiek jeszcze powiem i tak chyba nie poczuje się już głupiej niż w tej chwili.

— Czy nadal śni pan o niej? — spytałem.

— Co noc.

— Czy kiedyś uśmiechnęła się w pańskich snach?

Patrzył na mnie z ciekawością przez długą chwilę.

— Nie, nigdy — odparł, najwyraźniej zaskoczony moim pytaniem. — Zawsze ma smutny wyraz twarzy, jak... — Jego głos zamarł.

— Jak co?

— Jak gdyby czegoś szukała. Czegoś niezmiernie dla niej ważnego.

— Czy kiedykolwiek pojawiła się panu na jawie?

— Ile razy mam powtarzać — stwierdził z gniewem — że to tylko wyobrażenie kobiety, która żyła całe wieki temu. Nie, nawet nie tyle. To jedynie moje wspomnienie wyobrażenia jakiegoś artysty. — Wpatrzył się we mnie. — Dlaczego ona aż tak cię interesuje?

— Ona żyje — wyjaśniłem.

— To niemożliwe!

— Żyje — powtórzyłem. — I jestem przekonany, że już niedługo pojawi się na Samotniku.

— To nie może być ta sama kobieta — oświadczył Kobryński stanowczo.

— Ale jest.

Nagle zaśmiał się nerwowo.

- Jesteś jeszcze bardziej szalony niż ja.
 - Nic jestem szalony — obruszyłem się. — Sądzę, że wkrótce pojawi się tutaj, a wtedy koniecznie muszę z nią porozmawiać.
 - Widziałeś ją już kiedyś?
 - Obaj ją widzieliśmy — wtrącił Heath.
 - To musiał być ktoś bardzo do niej podobny — rzucił Kobrynski. — Przecież ona miała teraz ponad sześćset lat!
 - Ściśle rzecz biorąc, ma ponad sześć tysięcy lat — poprawiłem go.
 - W takim razie to nie może być ta sama kobieta — powtórzył Kobrynski rozstrzygająco.
 - Właściwie, ona nie jest normalną kobietą — mruknął Heath niechętnie.
 - Niespecjalnie przypomina mi jakąś obcą rasę — zauważył Kobrynski zjadliwie.
 - Nie jest również obcym — oznajmił Heath.
 - Nie jest ani człowiekiem, ani obcym — powiedział Kobrynski. — Czym więc jest?
 - Nie wiem — przyznał się Heath.
- Malarz zwrócił się do mnie.
- A ty, jak sądzisz, kim ona jest?
 - Objawieniem.
 - Objawieniem? — powtórzył.
 - Przez te wszystkie lata objawiła się wielu ludziom — wyjaśniłem. — Wyłącznie mężczyznom, którzy ją przyzywają. Komputer biblioteczny na Odległym Londynie wydedukował, że teraz powinna odwiedzić pana.
 - A więc wasz komputer biblioteczny zaraził się od was i też zwariował — mruknął Kobrynski. — Nigdy nie spotkałem tej kobiety. Zresztą, czym, do cholery, mógłbym ją skusić?

— Nieustannym poszukiwaniem sytuacji, które zagrażają życiu — odpowiedziałem.

— Przyleciałeś w niewłaściwe miejsce, kolego. Tacy faceci walczą w niezliczonych wojnach toczących się w całej Galaktyce. To żołnierze, którzy ryzykują życie dziesięć razy dziennie.

— Ją pociągają mężczyźni, którzy ryzykują życie dobrowolnie, nie spodziewając się z tego tytułu żadnych korzyści — kontynuowałem — a żołnierz nie naraża swego życia, dopóki nie otrzyma takiego rozkazu.

— Skąd ona może wiedzieć, że ja ryzykuję życie?

— Powiedział pan wcześniej, że miał absolutne przeświadczenie, iż ona jakoś dowie się o pana wyczynach — wyjaśniłem. — I miał pan rację.

— Ale jeśli nigdy mnie nie widziała... — zaczął skonsternowany.

— Ona nie jest istotą ludzką — wtrąciłem.

— Dlaczego właściwie się nią interesujesz? — spytał nagle Kobrynski.

— Muszę ją o coś zapytać.

— Jeśli jest choć trochę prawdy w tej twojej historyjce, po prostu zaryzykuj życie, a wtedy ona do ciebie przyjdzie.

— Przez osiem tysięcy lat nigdy nie odwiedziła żadnego obcego.

— Więc dlaczego jej szukasz?

— Bardzo trudno to wyjaśnić — szepnąłem.

— Świetnie się składa. Chyba już czas, żeby ktoś jeszcze poza mną poczuł się niezręcznie.

— Przyszła do mnie — wyjaśniłem. — Muszę się dowiedzieć dlaczego.

— Przyszła? — powtórzył. — Chcesz powiedzieć, że było to coś

w rodzaju religijnego objawienia?

— Być może.

— Być może? — powtórzył. — Skąd to wątplenie?

— Ponieważ równic dobrze mógł to być zwykły sen. A jeśli jednak to nie był sen, muszę się dowiedzieć, dlaczego spośród przedstawicieli wszystkich obcych ras wyróżniła właśnie mnie i czego ode mnie oczekuje.

— A jeśli okaże się, że to był tylko sen?

— Wtedy popamiętaj religijny rytuał, który i tak zbyt długo odkładam.

— Jaki rytuał? — spytał podejrzliwie Kobrynski.

— Samobójstwo — wyjaśniłem.

Kobrynski zmrużył oczy.

— Pozostanę przy moim pierwszym stwierdzeniu, chłopcy: jesteście kompletnie pomyleni.

— Przykro mi, że pan tak myśli — powiedziałem.

— Niech pan posłucha — zaczął Heath, prostując się. — Nie mam pojęcia, czym lub kim ona naprawdę jest: kobietą, obcym, teleportantką czy Matką Wszecrzeczy Leonarda, wiem jednak, że była na moim statku niecałe dwa miesiące temu i że istnieje ponad czterdzieści obrazów, hologramów i rzeźb, które ją przedstawiają. Niektóre pochodzą sprzed ponad ośmiu tysięcy lat. Takie są fakty.

— Naprawdę ją pan widział? — spytał Kobrynski.

— Obaj ją widzieliśmy — odrzekł Heath.

— Więc dlaczego wtedy nie spytaliście jej o wszystko, co chcecie wiedzieć?

— Ja nie mam do niej żadnych pytań — wyjaśnił Heath. — A Leonardo nie wiedział jeszcze, kim ona jest, albo raczej kim teraz sądzi, że jest.

— No dobrze — mruknął Kobrynski. — Wiem, dlaczego on się interesuje tą kobietą. A pan?

W jednej chwili twarz Heatha pokryła niewzruszona maska.

— Po prostu pomagam Leonardo ją znaleźć.

Kobrynski przeniósł wzrok na mnie, a potem ponownie spojrział na Heatha.

— Pan kłamie — oświadczył w końcu. Zwrócił się do mnie. — Ty mówisz prawdę, ale jesteś szalony. — Zadumał się. — A co z tym Venzią? Czego on chce?

— Chce się dowiedzieć, co nas czeka po śmierci — odparłem.

— I sądzi, że ona mu powie?

— Tak.

Kobrynski zmarszczył brwi.

— Wszyscy macie nic po kolei w głowach.

— Nic musi pan nam wierzyć... — zauważyłem.

— To dobrze, ponieważ nie wierzę w ani jedno wasze słowo.

— ... prosimy tylko — kontynuowałem — o pańską zgodę na pozostanie na Samotniku do czasu, aż ona się zjawi.

— Ona się nic zjawi — odparł Kobrynski.

— Mam nadzieję, że ma pan rację — stwierdziłem.

— Myślałem, że chcesz z nią porozmawiać?

— Muszę z nią porozmawiać — wyjaśniłem różnicę. — Ale nikt nie ma ochoty stawać twarzą w twarz ze swoim bogiem.

— O! Więc nagle okazuje się, że ona jest bogiem, a nie tylko samotną kobietą, która lubi miłujących ryzyko mężczyzn?

— Nie wiem, kim ona jest — szepnąłem. — Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Czy otrzymamy pańską zgodę na pobyt na Samotniku?

— A co mnie to obchodzi? — wzruszył ramionami Kobrynski. — Róbcie co chcecie.

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Zawsze pobłażałem wariatom. — Zamilkł na chwilę. — Jak sądzisz, kiedy się pojawi?

— Nie wiem.

— Cóż, jeśli dopiero po północy, to pewnie rzeczywiście będzie boginią.

— Dlaczego? — spytał Heath zaintrygowany ostatnią uwagą.

— Ponieważ zabawiam się aktualnie nową odmianą malarstwa plazmowego — tłumaczył Kobrynski. — Mam zamiar je przetestować dziś wieczorem. I kiedy to zrobię, cała ta cholerna planeta będzie radioaktywna przez następne siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat.

— Radioaktywna? — powtórzyłem bezwiednie.

— Słyszałeś coś o malowaniu plazmowym? — spytał.

— Przeczytałem co nieco na ten temat w bibliotece na Odległym Londynie.

— Cóż, to jest niezwykle interesujący proces, ale nigdy dotąd nie mogłem doprowadzić eksperymentu do końca — zaczął Kobrynski. — Mam zamiar dokonać tego właśnie dzisiaj. Ponieważ ta planeta jest całkowicie bezludna, postanowiłem dla zwielokrotnienia artystycznej ekspresji wykorzystać atomy labilne i z ich pomocą wywołać serię kontrolowanych wybuchów.

— Próbował pan już? — spytał Heath.

Kobrynski uśmiechnął się z wyższością.

— Gdyby tak było, w chwili opuszczenia statku otrzymalibyście śmiertelną dawkę promieniowania. — Po czym dodał: — Ale przepuściłem dane przez komputer i rokowania są pomyślne.

— Czy będziemy tu bezpieczni, kiedy pan będzie tworzył te plazmowe obrazy? — spytał Heath z obawą.

Kobrynski skinął głową.

— Barak ochroni nas przed promieniowaniem. — Znowu urwał. — Jeśli macie na swoim statku jakieś ochronne kombi-

nezony, najwyższy czas żebyście je przynieśli. Wprawdzie znalazłbym coś dla pana, ale za cholerę nic wiedziałbym, w co ubrać jego — rzekł, wymownie wskazując na mnie palcem.

— Chyba ma pan rację, lepiej pójdę po nie od razu — powiedział zdenerwowany Heath i skierował się pośpiesznie do drzwi.

Przez jakiś czas Kobrynski i ja siedzieliśmy w milczeniu. W końcu artysta głęboko westchnął.

— Szczerze mówiąc — odezwał się — żałuję, że jesteś szalony.

— Tak?

— Przez całe życie byłem straszliwie samotny.

— Myślałem, że przedstawiciele waszej rasy nie cierpią zbyt-
nio z powodu samotności — stwierdziłem.

— Nie wierz w to, Leonardo — odparł.

— Czy mogę panu zadać pytanie... osobiste?

— A niby co przed chwilą zrobiłeś?

— Przepraszam, jeśli pana obraziłem.

— Wcale nie czuję się obrażony. Jestem tylko trochę zażenowany własną odpowiedzią — wyjaśnił Kobrynski szczerze. — Ale sam jestem sobie winien, skoro w ogóle dałem się wciągnąć w tę rozmowę, więc daj sobie spokój ze skrupułami i zadaj wreszcie to pytanie.

— Jeśli nie lubi pan być sam, to dlaczego spędził pan większą część swego dorosłego życia uprawiając samotnicze profesje?

Zastanawiał się przez moment nad odpowiedzią.

— Do diabła, nic mam zielonego pojęcia — odparł w końcu.

Kobrynski ponownie zamilkł, a w chwilę później wrócił Heath z naszymi kombinezonami.

— Robi się tutaj strasznie gorąco. Musi być ponad czterdzieści stopni.

— Tak, i przy tym jest jeszcze strasznie sucho — zauważył Kobrynski. — Ani śladu wilgoci w powietrzu.

— Mokre czy suche, ugotowane mięso jest zawsze ugotowanym mięsem — stwierdził kwaśno Heath.

Kobrynski zachichotał.

— Szkoda, że nie było pana ze mną, kiedy polowałem na demonorogi na Ansardzie V. Tam dopiero była patelnia.

— Cóż, wierzę panu na słowo — odrzekł Heath, wycierając chusteczką pot z twarzy.

— Co będzie pan malował dziś w nocy? — spytałem.

— Jeszcze nie zdecydowałem — odparł Kobrynski. — Zrobiłem z pół tuzina wstępnych szkiców.

— Wstępnych szkiców? — spytałem.

Uśmiechnął się.

— Nigdy nie widziałeś obrazu plazmowego, prawda?

— Nie.

— RzUCA się go może ze dwie mile nad ziemię — tłumaczył. — Na bezchmurnym niebie planety takiej jak Samotnik obraz może wznieść się nawet na pięć mil i zapęłnić niemal całe sklepienie aż po horyzont. — Zadumał się. — Niebiańskie płótno jest tak wielkie, że nie można go pokrywać kawałek po kawałku. Tworzę więc najpierw wstępny obraz na tym komputerze — wskazał jedno z urządzeń — a kiedy nie jestem zadowolony, ten — pokazał kolejny komputer — analizuje szkic i modyfikuje przebieg procesu rozszczepienia pod kątem możliwie dokładnego osiągnięcia zamierzonego przeze mnie wcześniej efektu. Pozostałe maszyny wprowadzają te zmiany w nadzorowane przez siebie konkretne fragmenty operacji.

— Jakie kolory może pan uzyskać? — spytał Heath.

— Wszystkie, od ultrafioletu po podczerwień — odparł Kobrynski. — Obraz jest oczywiście przezroczyście, w przeciwnym

razie świat spaliłby się na popiół. Zresztą, lubię patrzeć jak przez moje dzieło przeświecają gwiazdy.

— Jak długo to trwa? — zapytał Heath.

— Przez minutę nabiera formy, w ciągu następnych dziewięćdziesięciu sekund się rozprasza. Idealną postać zachowuje może ze trzydzieści sekund.

— Proszę mi wybaczyć to, co powiem — wtrącił Heath — ale czy ten półminutowy efekt nie jest niewspółmierny z nakładem pracy i kosztami, które pan ponosi?

— Wy też co nieco poświęćcie, żeby znaleźć waszą zjawę — odparł Kobryński. — A przez te pół minuty mam wrażenie, że robię coś naprawdę wspaniałego, coś czego nikt przede mną jeszcze nie robił.

— Możemy zobaczyć szkice, które weźmie pan pod uwagę dzisiejszego wieczora? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo.

Słowną komendą włączył pierwszy komputer i polecił mu, by zawiesił przed nami w powietrzu hologram pierwszego tematu.

Był to niesamowity krajobraz obcego świata z krwawoczerwoną rzeką opływającą brzegi spustoszonego nasypu. Nad wodą pochylały się gołe pnie nieprawdopodobnie powyginanych, bezlistnych drzew.

— Larabee IV — rzekł Kobryński.

— Nigdy o nim nie słyszałem — stwierdził Heath.

— Leży obok gwiazdozbioru Quinellus. Najdziwniejsza planeta, jaką widziałem. Występują tam tylko dwa kolory: głęboka czerwień i ciemna purpura. Wszystko — skały, woda, roślinność — jest albo jednego, albo drugiego koloru.

— Są tam jakieś zwierzęta? — spytałem.

— Prospekt Korpusów Pionierskich twierdzi, że są, ale osobi-

ście nigdy żadnego nic widziałem — wyjaśnił i wydał komputero-
rowi komendę: — Następne hologramy!

W krótkich odstępach czasu zobaczyliśmy doradusiańską
okolicę górską, abstrakcyjne wyobrażenie laserowej strzelby,
martwą naturę w postaci owoców z Bindera X i niezwykle reali-
styczną wizję grzmiącego jaszczura.

— Czuję się trochę głupio, przed pokazaniem wam ostat-
niego — jęknął Kobrynski.

— Dlaczego?

— Ponieważ wygląda jakby został skopiowany z obrazu, o
którym rozmawialiśmy.

— Mroczna Pani? — spytałem.

— Tak ją nazywacie?

— Sama tak siebie nazywa — odparłem. — Możemy zoba-
czyć ten szkic?

— Następny! — polecił Kobrynski i w chwilę później prawie na
wyciągnięcie ręki pojawiła się twarz Mrocznej Pani. Jej smutne
oczy patrzyły prosto na mnie.

— Wygląda jak żywa — szepnął Heath z podziwem.

— Rzeczywiście, wspaniałe podobieństwo — przyznałem. —
Jak długo pan nad tym pracował?

— Trzy lata — odparł niemal bezgłośnie Kobrynski, jak gdyby
wstydział się, że nie potrafił stworzyć tego projektu w jeden wie-
czór.

— Gdzie pan umiejscowił wybuchy? — spytałem.

— Chyba w jej oczach — odrzekł. — To je ożywi.

— Może będzie wyglądać na mniej nieszczęśliwą — przy-
znałem.

— A gdyby tak jeszcze w płatkach uszu? — zasugerował He-
ath. — Nie mogę sobie teraz przypomnieć, czy nosiła kolczyki.

— Nie miała na sobie żadnej biżuterii, przyjacielu Valentine —

odparłem.

— Wyłącz się — polecił komputerowi Kobrynski.

Prawie dokładnie w tej samej chwili, w której zniknął obraz, otworzyły się drzwi i do chatki wszedł Reuben Venzia.

— Kim pan jest? — zapytał Kobrynski.

— To właśnie jest Reuben Venzia — wyjaśniłem pośpiesznie.

— No, no, no — powiedział Heath z krzywym uśmiechem. — Gang w komplecie.

22

— Nie ma jej jeszcze tutaj, przyjacielu Reubenie — oznajmiłem.

Venzia otarł pot z twarzy.

— A tak swoją drogą, dzięki, że pan na nas poczekał — dodał Heath sarkastycznie.

— Nie miałem wyboru — tłumaczył się Venzia. — To było dla mnie zbyt ważne. Chciałem znaleźć się tutaj przed jej przybyciem. Poza tym, nigdy nic zawierałem z wami żadnego porozumienia. Nie miałem obowiązku zabierać was z sobą tutaj ani gdziekolwiek indziej. Przecież pan chce ją sprzedać Abercrombiemu.

— Właśnie, właśnie — przerwał Kobrynski. — Nie powiedział mi pan w końcu, dlaczego się pan nią interesuje. Może nadszedł czas, żeby pan to wyjaśnił.

— Po co? — odburknął Heath. — Zdaje się, że i tak pan w nią nie wierzy.

— Hmm — wymruczał w zadumie Kobrynsky. — Jeśli jednak okaże się, że ona naprawdę istnieje, nie pozwolę jej nikomu sprzedać.

— Ona potrafi sama o siebie zadbać — zauważył Venzia z przekąsem. — Czy Heath nie opowiedział panu, co się zdarzyło ostatnim razem, gdy postanowił ją sprzedać?

— Nie. Co takiego? — spytał Kobrynski, wpatrując się z wy-czekiwaniem w Heatha.

— Zniknęła.

— Co to znaczy „zniknęła”?

— To znaczy — powtórzył Heath — że zniknęła z pokładu lecącego statku kosmicznego.

Kobrynski potrząsnął z niesmakiem głową.

— Wszyscy jesteście szaleni.

— Ja nic nie powiedziałem — zauważył Venzia.

— Nie, ale pan też w to wierzy.

— Tak.

— A właściwie — Heath zwrócił się do Venzii — jak, do diabła, zdołał pan się tu dostać tak szybko? Przysięgłbym, że dotarliśmy na Saltmarsh trzy dni przed panem.

— Tkwiłem w stanie hibernacji przez dwa tygodnie, a kiedy się obudziłem, dowiedziałem się przez radio, że Kobrynski znajduje się na Samotniku i natychmiast zmieniłem kurs.

— Też powinienem być wpaść na ten pomysł — stwierdził Heath z goryczą.

— Cóż za inteligentny złodziej! — parsknął Venzia pogardliwie.

— Teraz to i tak bez znaczenia. — Heath wzruszył ramionami. — Tutaj ją wreszcie dopadniemy i tylko to się liczy. — Uśmiechnął się. — A propos, nie jest pan już jedyną osobą, która chce jej

zadać kilka pytań.

— Nie rozumiem.

— Przyjaciel Leonardo miał wizję.

— Naprawdę przyszła do ciebie Mroczna Pani? — zapytał z nagłym zainteresowaniem Venzia.

— Nie jestem pewien, przyjacielu Reubenie — odparłem. — O to właśnie muszę ją zapytać.

Venzia już miał coś powiedzieć, ale zacisnął tylko usta i wydał z siebie krótkie westchnienie.

— Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko czekać — oświadczył.

— Tak — zgodziłem się.

— Przepraszam, że się wtrącam — powiedział z przekąsem Kobrynski — ale w tym pomieszczeniu nie mogą spać cztery osoby. Prawdę mówiąc, nie zmieści się nawet dwójka. Cieszę się, że przybyło do mnie trzech szaleńców, którzy dostarczają trochę rozrywki w moim nudnym życiu, ale gdybyście mieli zamiar się przespać, wolałbym żebyście wrócili na swoje statki.

— Chce pan, żebyśmy sobie poszli? — spytałem.

— Decyzja należy do was, ale ze statku nie zdołacie zobaczyć obrazu plazmowego w całej okazałości.

— Kiedy pan zacznie? — spytałem.

— Zmrok zapadnie za mniej więcej dwadzieścia minut. Zacznę za jakieś pół godziny.

— W takim razie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, Leonardo i ja zostaniemy tu do czasu, aż pan nie skończy.

— Ja też zostaję — dodał Venzia.

— Dla mnie bomba! — rzucił Kobrynski. — Ale muszę was ostrzec, że jedzenia wystarczy tylko dla mnie. Jeśli jesteście głodni, radzę wam czym prędzej udać się na wasze statki na

małą kolacyjkę.

— Ma pan zapas tylko na jeden posiłek? — spytał Venzia z jawnym niedowierzaniem.

— Jutro odlatuję — wyjaśnił Kobrynski.

— Dokąd pan poleci?

— Jeszcze nic wiem — odrzekł. — Jeśli nie będę zadowolony z mojego obrazu, prawdopodobnie poszukam jakiejś innej bezludnej planety i spróbuję jeszcze raz.

— A jeśli będzie pan zadowolony?

Wzruszył ramionami.

— Cóż, nie ma sensu dwa razy zdobywać tego samego szczytu. Na Obrzeżu tworzą nową ligę w murderball. Może spróbuję swoich sił.

— Murderball? — powtórzył Heath z zaciekawieniem.

Kobrynski skinął głową.

— Kombinacja starej gry zwanej rugby i czegoś, co nazywa się „kaleczące rowery”.

— Kaleczące rowery? — jak echo powtórzył za nim Heath. — Czy nie zakazano ich parę wieków temu?!

— Są zakazane tylko w Oligarchii — wyjaśnił Kobrynski. — Na Granicy Zewnętrznej nadal się w nie gra.

— Podczas meczów kaleczących rowerów zginęło mnóstwo ludzi — zauważył Heath. — Jaki jest procent wypadków śmiertelnych w murderballu?

— Dwadzieścia osiem na dziesięć meczy w sezonie — odrzekł Kobrynski. — Zapowiada się całkiem emocjonująco.

— Raczej przerażająco. — Wzdrygnąłem się z odrazą.

Kobrynski patrzył na mnie przez długą chwilę.

— Wiesz, co jest naprawdę przerażające? Leżenie na szpitalnym łóżku i oczekiwanie na śmierć w samotności. — Wyjrzał

przez okno. — Jeśli chcecie coś zjeść chłopaki, to lepiej już ruszajcie.

— Ile czasu zajmie panu stworzenie obrazu plazmowego?

— spytał Heath.

— Około pół godziny.

— Więc zjem kolację później. Nic tak nie psuje dobrego posiłku jak pośpiech.

— Pańska sprawa — mruknął Kobrynski bez śladu zainteresowania.

— Ja też zostaję — oznajmiłem. — Chciałbym zobaczyć, jak powstaje obraz plazmowy.

— A pan? — spytał Kobrynski Venzię.

— Tam jest cholernie gorąco — wymamrotał Venzia — a mój statek znajduje się dwie mile stąd. Poczekam, aż zrobi się trochę chłodniej.

— Wybrał pan już temat? — spytałem.

— Myślę, że ze względu na was namaluję Mroczną Panią

— odparł Kobrynski. — Chociaż tak naprawdę planowałem to zrobić dopiero za kilka miesięcy, kiedy projekt byłby dopracowany w każdym szczególe.

— Na hologramie wygląda świetnie — oświadczył Heath.

Kobrynski potrząsnął głową.

— Usta mi się nie udały.

— Według mnie są w porządku — naciskał Heath.

— Nie — upierał się Kobrynski. — Ona zawsze wygląda tak, jak gdyby za chwilę miała coś powiedzieć, jak gdyby za jedną setną sekundy miała poruszyć wargami. Ciągle nie wy czuвам tego efektu, kiedy patrzę na swój hologram. — Wzruszył ramionami. — A, niech tam! Pewnie mógłbym dopieszczać jej portret przez następne pięćdziesiąt lat, a i tak wciąż byłbym z niego niezadowolony. Równic dobrze mogę zrealizować go te-

raz.

Bez żadnych faz przejściowych niebo pociemniało z zaskakującą szybkością, a potem w równic błyskawicznym tempie świat pogrążył się w półmroku.

Kobrynski odczekał jeszcze parę minut, a kiedy ostatnie promienie słońca zniknęły za odległymi górami, zaczął wydawać komputerom polecenia. Z każdą upływającą sekundą szum maszyn stawał się głośniejszy, aż w końcu zaczęły się iskrzyć, a szum przerodził się w chaotyczne dudnienie, jakby rozsadzała je od wewnątrz jakaś skumulowana energia.

— Czy wszystko z nimi w porządku? — spytał niepewnie Heath.

Kobrynski skinął głową.

— Pełnią funkcję przekaźnika między baterią a płótnem.

— Płótnem?

— Chodziło mi oczywiście o niebo, panie Heath — odparł Kobrynski z uśmiechem.

Przez dwadzieścia minut wydawał polecenia i wprowadzał drobne poprawki, przerabiając drobiazgi, manipulując wektorami i ustawiając kąty. W końcu porzucił aparaturę i podszedł do nas.

— Jest prawie gotowy — sapnął z zadowoleniem.

— W którą stronę mamy patrzeć? — spytał Heath.

— Przez dowolne okno — odrzekł Kobrynski. — W każdym będzie trochę widać. Dopóki nie opuścicie baraku, będziecie całkowicie bezpieczni, ale chyba powinniście nałożyć kombinezony ochronne, tak na wszelki wypadek.

— Jakie kombinezony? — zapytał Venzia.

— A tak, pan nic nie wie, nic było pana jeszcze, kiedy o tym wspominałem. Po wybuchu cała planeta otrzyma śmiertelną dawkę promieniowania. Ale tutaj będzie pan bezpieczny.

- A jak dostanę się z powrotem na mój statek?
 - Mam gdzieś schowany zapasowy kombinezon. Załóż go pan przed wyjściem na zewnątrz.
 - Dziękuję, ale raczej pójdę na statek i przyniosę swój własny
- powiedział niepewnie Venzia.

Kobrynski wzruszył ramionami.

- Proszę bardzo. Pytanie tylko, czy zdoła go pan znaleźć w tych ciemnościach? Samotnik nie posiada księżyców.

Venzia przez chwilę rozważał to w myślach.

- Chyba ma pan rację — przyznał w końcu. — Zostaję. Kiedy będę wychodził, skorzystam z pańskiego kombinezonu.

- Proszę bardzo.

Heath i ja zdążyliśmy już przebrać się w ubrania ochronne. Zauważyłem, że Kobrynski nie nałożył rękawic i zwróciłem mu uwagę na to niedopatrzenie.

- Rękawice mnie krępują. Nie mogę swobodnie operować palcami — wyjaśnił — a czasami muszę pewne ostatnie poprawki wprowadzać ręcznie.

Odwrócił się w stronę komputerów i zaczął wydawać kolejne polecenia. Wszystkie były w języku matematycznym i zupełnie ich nie rozumiałem.

- Jeszcze chwileczkę — powiedział z głową pochyloną nad jednym z ekranów.

Cała nasza trójka przysunęła się do okien i gapiliśmy się w ciche, nocne niebo.

- Ostatnia poprawka — zamruczał Kobrynski, recytując kolejne równanie. — Gotowe, trzy, dwa, jeden, zero, startuj!

Wypatrywałem bacznie przez okno. Początkowo nic się nie działo. Nagle zaczęło stopniowo gęstnieć powietrze. Czerń nieba przecięły chaotyczne zygzaki zachodzących gwałtownie reakcji.

Niedowierzając, przetarłem oczy i ujrzałem taniec godowy łączących się molekuł.

Po chwili z najwyższego punktu nieboskłonu wystrzeliła wiązka światła, ale w przeciwieństwie do wszystkich widzianych przeze mnie wcześniej błyskawic, ta nie zniknęła. Pozostała na niebie, skręcając się w zakrzywioną płomienistą linię. W tym samym momencie niemal oślepił mnie kolejny błysk światła i do obrazu została dodana kolejna kreska. Wewnątrz obrysowanego błyskawicą obszaru zachodziły coraz gwałtowniejsze reakcje elektryczne, a rysunek szybko wypełniał się iskrzącymi się, jonizowanymi kolorowymi drobinkami energii i kolejnymi zygzakami błyskawicy. W krótkim czasie przed moimi zdumionymi oczyma zaczęła krystalizować się twarz Mrocznej Pani i niemal natychmiast pokryła całe niebiosy.

Smutne oczy rozjarzyły się światłem odległych mgławic, zęby zbielewały od poświaty gwiazd, a włosy stały się falującą masą ciemnych chmur, cętkowaną tu i ówdzie drobinkami gwiazdowego pyłu. Po chwili oblicze Mrocznej Pani zajaśniało blaskiem gigantycznych eksplozji.

— Bajeczne! — wykrzyknąłem.

— Nigdy nie widziałem czegoś podobnego! — dodał Heath z nieskrywanym lękiem.

— Wciąż nie podobają mi się usta — mruknął Kobrynski. Odwrócił się z powrotem do komputera. — Nadaj im kształt jakby... jakby miała za ułamek sekundy przemówić.

Zaczął ręcznie nanosić poprawki.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — spytał Venezia.

— Powinno zacząć się rozmywać za jakieś dziesięć sekund — odparł Kobrynski, wykreślając na ekranie nowe wektory. — Cholera z tymi ustami! — zaklął nagle. — Chyba dam sobie

spokój. I tak już nie zdążę ich poprawić.

— Wcale się nie rozprasza — zauważył Heath.

— Ale w końcu się rozproszy.

Wszyscy z przejęciem wpatrywaliśmy się w obraz.

— Robi się tylko coraz jaśniejszy — stwierdził Heath.

Kobrynski podszedł do okna i popatrzył z zadumą na swoje dzieło.

— Nic nie rozumiem — powiedział, marszcząc z zakłopotaniem brwi. — Powinna już zacząć znikać.

— Ale nie znika — odrzekł Heath.

— To znaczy, że mam szansę poprawić usta! — stwierdził podniecony artysta. Szybko wrócił do komputera.

— O to właśnie chodziło! — krzyknął po chwili z triumfem i z powrotem podbiegł do okna.

Faktycznie, po ostatnich retuszach podobizna Mrocznej Pani stała się niemal idealna. Twarz stworzona z rozżarzonych drobinek materii rozsianych na kosmicznym kobiercu wyglądała tak prawdziwie, że mimowolnie zacząłem oczekiwać na słowa, które, jak sądziłem, już, już powinny paść z jej ust.

A potem, tak naturalnie, że dopiero po kilku sekundach uświadomiłem sobie, co się naprawdę dzieje, jej wargi zaczęły się poruszać.

— Vladimirze — zagrzmiął głos z nieba, aż zadrżały szyby w oknach. — Chodź do mnie.

— Słyszeliście? — wymamrotał Kobrynski głosem łamiącym się z podniecenia.

— Chodź, Vladimirze — powtórzyła Mroczna Pani hipnotyzująco. Tym razem zatrzęsł się cały domek, a aparatura zajęczała na znak protestu.

— Więc to był jednak sen — wysapałem rozpaczliwie, zała-

many faktem, że wzywała tylko Kobryńskiego.

Malarz bez wahania skierował się do drzwi, ale w ostatniej chwili Venzia chwycił go za ramię.

— Nie! — krzyknął Venzia. — Niech pan zaczeka, najpierw muszę zadać jej moje pytanie!

Kobryński zachowywał się jak w transie. Machnął od niechcienia ramieniem i Venzia przeleciał przez cały pokój.

— Gdzie pan się wybiera? — zapytał Heath.

— Do niej — odparł spokojnie Kobryński.

— Jeśli otworzy pan drzwi, Venzia umrze. Pan zresztą również: nie ma pan rękawic.

— Ona mnie nie skrzywdzi — szepnął z przekonaniem Kobryński.

— Jej tam w ogóle nie ma! — wybuchnął Heath. — Idzie pan w radioaktywne piekło!

— Vladimirze — szepnęła Mroczna Pani.

— Wzywa mnie.

— Leonardo, powiedz mu coś!

— Ona nic jest Matką Wszechrzeczy — mruknąłem posępnie. Czułem się lekko zdezorientowany. — To tylko Mroczna Pani.

— O czym ty mówisz?! — Heatha ogarnęło zwątpienie.

Odwróciłem się do niego.

— Czegoż więc może chcieć ode mnie? — kontynuowałem z uporem swoją myśl. — Zupełnie nie rozumiem.

— Chodź do mnie, Vladimirze — po raz kolejny szepnęła natrętnie Mroczna Pani.

Kobryński otworzył drzwi.

— Nie! — krzyknął Heath, w akcie rozpaczki próbując zatarasować wyjście. Nieznacznie się spóźnił i w sekundę potem szalejąca na zewnątrz wichura z hukiem zatrzęsła drzwi za Kobryńskim.

Rzuciliśmy się z Heathem do okna, żeby zobaczyć dalszy przebieg wypadków. Po chwili dołączył do nas Venzia z potężnym siniakiem na czole.

Kobrynski zatrzymał się w odległości około pięćdziesięciu jardów od baraku i wyciągnął ręce ku niebu w błagalnym geście. Zanim wizerunek Mrocznej Pani ostatecznie rozwiął się na wietrze, z jej twarzy na moment zniknął wieczny smutek i pojawił się uśmiech. Spojrzałem ponownie w miejsce, gdzie powinien znajdować się artysta, ale nie było po nim nawet śladu.

— Gdzie on jest? — spytałem zaskoczony.

— Zniknął — orzekł Heath. Umilkł i nerwowo zagryzał wargi. Był wyraźnie zakłopotany. — A przynajmniej tak mi się wydaje.

— Niiieee! — wrzasnął Venzia, biegnąc do drzwi i rozwierając je na oścież. — Nie możesz jeszcze odejść! Muszę z tobą porozmawiać!

— Nie wychodź, przyjacielu Reubenie! — krzyknąłem za nim. — Wystawiłeś się już na promieniowanie, kiedy Kobrynski otworzył drzwi, a nie masz na sobie żadnej ochrony. Umrzesz!

— Nie próbuj mnie zatrzymać! — warknął złowieszczo Venzia, po czym wyrwał mi się i pobiegł do miejsca, w którym zniknął malarz. — Błagam! — ryczał pełną piersią. — Muszę wiedzieć!

— Wciągnijmy go z powrotem do środka! — krzyknąłem rozkazującym tonem.

— Niech wreszcie zada to swoje pytanie — odparł Heath ze znużeniem w głosie. — I tak jest już martwy.

— Ale...

Powietrzem wstrząsnął potężny huk, kiedy wysoko w górze rozbłysła ostatnia eksplozja, a potem niebo powróciło do normalnego stanu.

— Włącz licznik promieniowania na swoim kasku, Leonardo

— nakazał Heath. — Jeśli siła tego ostatniego podmuchu go nie zabiła, i tak spali się na popiół w ciągu następnych dziesięciu sekund. W każdym razie jego mózg usmażył się na pewno.

— Trzeba go było zatrzymać — wrzasnąłem z pretensją i wybiegłem z baraku. — Muszę mu pomóc!

— Jemu nie można już pomóc — oświadczył obojętnie Heath, ale mimo wszystko poszedł za mną.

Zanim do niego dotarliśmy, Venzia upadł. Jego twarz była pokryta czarnymi pęcherzami, miał na wpół spalone włosy, ale nadal żył i w końcu jakoś zdołaliśmy przenieść go z powrotem do baraku i położyć na łóżku.

— Równie dobrze mogliśmy go zostawić na zewnątrz — zauważył Heath. — Nikt nie jest w stanie przeżyć takiej dawki.

Sprawdziłem licznik promieniowania i odczyt potwierdził jego słowa.

Venzia wymamrotał coś zwęglonymi ustami.

— Chyba chce wody — stwierdził Heath.

— Woda jest skażona — zauważyłem.

— Co za różnica? Daj mu.

Nalałem trochę płynu do małego, metalowego kubka i przyłożyłem Venzii do warg.

— Dzięki — wyszeptał z trudem. Głowa nienaturalnie opadła mu do tyłu. — Gdzie ona jest?

— Odeszła — powiedziałem, kiedy dotarli do mnie wydarzenia ostatnich minut. — Ona nie jest Matką Wszecrzeczy. Przybyła tu po Kobryńskiego, nie po mnie.

— Nigdy się nic dowiem, czy jest jakieś inne życie — szepnął Venzia gasnącym głosem.

— Dowiesz się, i to już niedługo, przyjacielu Reubenie — stwierdziłem łagodnie.

Nagle jego ciało wyprężyło się gwałtownie, a oczy zapatrzyły

się ślepo w jakiś punkt w przestrzeni.

— Co się stało, przyjacielu Reubenie? — spytałem.

— Widzę ją! — zacharczał.

— Wzywa cię?

Zmarszczył brwi.

— Nie, jest z nim.

— Z Kobrynskim?

— Tak.

— Co robi? — spytałem podniecony.

— Uśmiecha się. — Znowu opadł na łóżko. — W końcu się uśmiechnęła — wyszeptał ostatkiem sił i umarł.

Siedziałem nieruchomo przy ciele Venzii od paru dobrych chwil. Z trudem otrząsnąłem się z otępienia, kiedy poczułem rękę Heatha na swoim ramieniu.

— Czas się stąd zabierać, Leonardo — powiedział.

— Tak — odparłem. — Czas ruszać.

— Musimy zostawić ciało tutaj. Zabieranie go na statek jest zbyt ryzykowne.

— Wiem — zgodziłem się niechętnie. Wstałem, poszedłem za nim do drzwi i ruszyliśmy na poszukiwania naszego statku.

— Wiesz co? — odezwał się Heath, przerywając długie milczenie. — Nie jestem tak do końca pewien, co naprawdę widziałem.

— Ja jestem.

— Zastanawiam się, gdzie ona się teraz pojawi?

— Nigdzie. Nigdy więcej nikomu żywemu już się nie ukáže — orzekłem i wiedziałem, że mam rację.

EPJLOG

Tak kończy się historia Mrocznej Pani.

Ale jest to również historia Leonardo, który w samotności i smutku nadal wędruje po Galaktyce, historia Leonardo, którego imię prawdopodobnie już nigdy więcej nie zostanie wypowiedziane przez żadnego członka jego Domu ani Rodziny i którego grzechy są niepoliczalne.

Wiele razy po opuszczeniu Samotnika w towarzystwie Valentine'a Heatha rozważałem myśl o popełnieniu samobójstwa, ale w związku z tym, że wciąż byłem tylko zawieszony w prawach pracownika Claibome'a, przez cały ten czas odczuwałem moralne zobowiązanie, by wypełnić mój kontrakt do końca. A kiedy wreszcie nadszedł dzień, w którym ostatecznie zakończyłem pracę dla galerii, doszedłem do wniosku, że skoro nie jestem już Bjornnem, to nic muszę także kultywować bjornneńskich zwyczajów.

Heath i ja przez trzy lata przemieszczaliśmy się z planety na planetę, zawsze o jeden krok ubiegając policję. Doskonałem się w tym czasie w jedynym zawodzie, do jakiego się nadawałem. Właśnie wtedy — bardziej z powodu nużących podróży statkiem niż z wewnętrznej potrzeby (a przynajmniej tak z początku myślałem) — zacząłem rysować serię portretów Mrocznej Pani, daremnie usiłując oddać jej nieuchwytnie piękno.

Pewnego dnia aresztowano Heatha i zostałem zupełnie sam. I wtedy wreszcie uświadomiłem sobie, jaka naprawdę jest moja misja, jaki jest właściwy sens mego życia, dlaczego los umieścił mnie na Samotniku owego fatalnego dnia, dlaczego Mroczna Pani przyszła do mnie i czego ode mnie chciała.

Otóż, na wszystkich namalowanych dotąd portretach zawsze przedstawiano ją z niezwykle smutkiem na twarzy. Po śmierci Kobryńskiego i Venzii i uwięzieniu Heatha tylko ja mogłem namalować ją w takiej postaci, w jakiej pojawiła się po raz ostatni i w jakiej będzie się pojawiać do końca świata.

Od wielu już lat moje życie upływa na niezliczonych próbach wypełnienia tego zadania i wciąż bez skutku, ponieważ w malowaniu jestem równie niezdarny, jak we wszystkim innym. Ale wiem, że pewnego dnia mi się uda! Bowiem dopiero wtedy, gdy powstanie ostatni portret Mrocznej Pani i zostanie dołączony do pozostałych, dopełnią się ostatecznie obie historie — moja i jej.

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ 1:

Człowiek, który miał to wszystko

CZĘŚĆ 2:

Człowiek, który ukradł to wszystko

CZĘŚĆ 3:

Człowiek, który chciał mieć to wszystko

CZĘŚĆ 4:

Człowiek, który dostał to wszystko

EPILOG